



# Vargas

## DZIKI HUFIEC

„Nie wydaje się, żeby królowa **francuskiej powieści kryminalnej** była gotowa abdykować”.



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

# V Fred Vargas

DZIKI  
HUFIEC

Z języka francuskiego przełożyła  
Bożena Sęk



WYDAWNICTWO  
SONIA DRAGA

Tytuł oryginału: *L'armée furieuse*

Copyright © Fred Vargas

Copyright © 2019 for the Polish edition by Wydawnictwo Sonia Draga

Copyright © 2019 for the Polish translation by Bożena Sęk under exclusive license to “Sonia Draga” Sp. z o.o.

Projekt graficzny okładki: Mariusz Banachowicz

Redakcja: Ewa Penksyk-Kluczkowska

Korekta: Iwona Wyrwisz, Marta Chmarzyńska

ISBN: 978-83-8110-802-7

Wszelkie prawa zastrzeżone. Nieautoryzowane rozpowszechnianie całości lub fragmentu niniejszej publikacji w jakiegokolwiek postaci jest zabronione i wiąże się z sankcjami karnymi.

Książka, którą nabyłeś, jest dziełem twórców i wydawcy. Prosimy, abyś przestrzegał praw, jakie im przysługują. Jej zawartość możesz udostępnić nieodpłatnie osobom bliskim lub osobiście znanym. Ale nie publikuj jej w internecie. Jeśli cytujesz jej fragmenty, nie zmieniaj ich treści i koniecznie zaznacz, czyje to dzieło. A kopiując ją, rób to jedynie na użytek osobisty.

Szanujmy cudzą własność i prawo!

*Polska Izba Książki*

Więcej o prawie autorskim na [www.legalnakultura.pl](http://www.legalnakultura.pl)

WYDAWNICTWO SONIA DRAGA Sp. z o.o.

ul. Fitelberga 1, 40-588 Katowice

tel. 32 782 64 77, fax 32 253 77 28

e-mail: [info@soniadraga.pl](mailto:info@soniadraga.pl)

[www.soniadraga.pl](http://www.soniadraga.pl)

[www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga](https://www.facebook.com/wydawnictwoSoniaDraga)

E-wydanie 2019

Skład wersji elektronicznej:

**virtualo**

[konwersja.virtualo.pl](http://konwersja.virtualo.pl)

# Spis treści

I

II

III

IV

V

VI

VII

VIII

IX

X

XI

XII

XIII

XIV

XV

XVI

XVII

XVIII

XIX

XX

XXI

XXII

XXIII

XXIV

XXV

XXVI

XXVII

XXVIII

XXIX

XXX

XXXI

XXXII

XXXIII

XXXIV

XXXV

XXXVI

XXXVII

XXXVIII

XXXIX

XL

XLI

XLII

XLIII

XLIV

XLV

XLVI

XLVII

XLVIII

XLIX

L

LI

LII

LIII

LIV

LV

LVI

LVII

Nota autorska

Przypisy

Drobne okruszki chleba ciągnęły się od kuchni do sypialni i aż do czystego posłania, na którym z otwartymi ustami spoczywała martwa staruszka. Młodszy inspektor Adamsberg przyglądał im się w milczeniu, wolnym krokiem krążąc tam i z powrotem wzdłuż tego szlaku i zastanawiając się, co za Tomcio Paluch – albo ogr w tych okolicznościach – zgubił je tutaj. W trzypokojowym mieszkaniu na parterze, położonym w XVIII dzielnicy Paryża, panował mrok.

W sypialni staruszka w łóżku. W jadalni mąż. Czekał, nie okazując zniecierpliwienia ani emocji, spozierając tylko pożądliwie na gazetę otwartą na stronie z krzyżówkami, których nie śmiał rozwiązywać dalej, dopóki policjanci są w mieszkaniu. Opowiedział swoją krótką historię: poznali się z żoną w towarzystwie ubezpieczeniowym, ona była sekretarką, on księgowym, pobrali się radośnie, nie przypuszczając, że potrwa to pięćdziesiąt dziewięć lat. Po czym żona umarła w nocy. Na zatrzymanie akcji serca, wyjaśnił przez telefon inspektor z XVIII dzielnicy. Przykuty akurat do łóżka, zadzwonił do Adamsberga z prośbą, aby go zastąpił. Bądź tak miły, zejdzie ci z godzinkę, ot, taka poranna rutyna.

Raz jeszcze Adamsberg przeszedł wzdłuż okruszkowego szlaku. Mieszkanie było nieskazitelnie czyste, oparcia foteli nakryte ochroniaczami, powierzchnie z tworzywa sztucznego wypolerowane, szyby bez smug, naczynia umyte. Dotarł do chlebownika, w którym leżała półbagietka i zawinięta w czystą ścierkę spora pajda chleba pozbawiona miękiszu. Wrócił do męża, przysunął sobie krzesło blisko jego fotela.

– Niedobre wieści z samego rana – rzekł staruszek, odrywając wzrok od gazety. – A przy tym upale w ludziach wrze. Ale tu, na parterze, daje się nawet utrzymać chłód. Dlatego zostawiam okiennice zamknięte. Trzeba też dużo pić, tak mówią.

– Niczego pan nie zauważył?

– Była normalna, jak się kładłem. Zawsze sprawdzałem, bo była sercowcem. I rano się zorientowałem, że odeszła.

– W łóżku są okruszki chleba.

– Lubiła coś pogryźć na leżąco. Skibkę chleba albo sucharek przed snem.

– Sądziłbym raczej, że później zbierała wszystkie okruszki.

– Jakżeby inaczej! Pucowała od rana do wieczora, jakby tylko po to żyła. Z początku to nie było nic takiego. Ale z czasem przeobraziło się w istną manię. Gotowa była nabrudzić, żeby mieć co sprzątać. Gdyby pan to widział!... Ale równocześnie biedaczka miała dzięki temu zajęcie.

– A okruszki? Nie sprzątnęła ich wieczorem?

– Ano nie, bo ja jej przyniosłem chleb. Za słaba była, żeby wstać. Kazała mi pozamiatać okruszki, a jakże, tyle że mnie to jest dziwnie obojętne. I tak by sama posprzątała na drugi dzień. Co dzień zmieniała pościel. Nie wiadomo po co.

– Czyli przyniósł jej pan chleb do łóżka, a potem odłożył go z powrotem do chlebownika.

– Nie, wywaliłem do kosza. Był za twardy, nie mogła go pogryźć. Przyniosłem jej sucharek.

– W koszu nie ma chleba, jest w chlebowniku.

– Tak, wiem.

– Bez miękiszu. Wyjadła cały miękisz?

– Do licha, nie, inspektorze. Czemu miałyby się objadać miękiszem? I to czerstwym? Dobrze się pan czuje, inspektorze?

– Tak. Jestem Jean-Baptiste Adamsberg, brygada kryminalna.

– Czemu nie policja z naszej dzielnicy?

– Inspektora powaliła letnia grypa. A z jego ekipy nikt nie mógł przyjechać.

– Wszyscy mają grypę?

– Nie, w nocy była bijatyka. Dwa trupy i czterech rannych. Z powodu kradzieży skutera.

– A to dopiero. W taki upał mózg się ludziom gotuje. Ja się nazywam Tuilot Julien, emerytowany księgowy Towarzystwa ALLB.

– Tak, zapisałem.

– Zawsze mi wyrzucała, że nazywam się Tuilot, a jej panięskie nazwisko, Kosquer, jest ładniejsze. W sumie racja. Tak myślałem, że pan jest inspektorem przez to wypytywanie o okruszki. Nasz dzielnicowy taki nie jest.

– Uważa pan, że za bardzo się zajmuję okruszkami?

– Eee, robi pan, jak chce. To do raportu, coś przecież trzeba w nim napisać. Rozumiem to, przez całe życie tylko tym się zajmowałem w ALLB, rachunkami i raportami. Gdybyż jeszcze te raporty były uczciwe. Widzi pan, szef miał taką swoją dewizę, zawsze powtarzał: odszkodowania nie należy wypłacać, nawet jeśli się należy. Pięćdziesiąt lat takich machlojek, może się zmącić w łepetynie. Mówiłem żonie, jakbyś mogła wyprać mi głowę zamiast zasłon, byłoby to dużo bardziej użyteczne.

Tuilot Julien zachichotał, akcentując swą dowcipną myśl.

– Po prostu nie rozumiem tej historii ze skórką.

– Żeby zrozumieć, trzeba logiki, inspektorze, logiki i sprytu. Ja, Tuilot Julien, mam jedno i drugie, w ciągu trzydziestu dwóch lat szesnaście razy wygrałem mistrzostwa w rozwiązywaniu krzyżówek o najwyższym stopniu trudności. Średnio raz na dwa lata, pracując tylko głową. Logika i spryt. Na takim poziomie są z tego też pieniądze. – Staruszek wskazał gazetę. – To jest zabawa dla przedszkolaków. Tyle że często trzeba ostrzyć ołówki, a z tego są strużyny. Ile ona mi napsuła krwi tymi strużynami! Co panu nie pasuje z tym chlebem?



– Nie leży w śmietniku, nie jest taki znowu wyschnięty, nie rozumiem, czemu nie ma miększu.

– Domowa tajemnica – rzekł Tuilot, który zdawał się świetnie bawić. – Bo widzi pan, mam tu dwoje małych sublokatorów, Toniego i Marie, świetną parkę, serdeczną jak nie wiem co, kochają się prawdziwą miłością. Tyle że moja żona, proszę mi wierzyć, wcale w nich nie gustuje. Nie mówi się źle o zmarłych, ale próbowała wszystkiego, żeby mi ich zabić. A ja od trzech lat krzyżuję jej plany! Logika i spryt, oto cała tajemnica. Lucette, już ty, biedulko, nie pokonasz mistrza krzyżówek, mówiłem jej. Ja z tymi dwojgiem stanowimy trio, wiedzą, że mogą na mnie liczyć, a ja na nich. Co wieczór krótka wizyta. Spryciule z nich, bardzo ostrożne, więc nie przychodzą, póki Lucette nie pójdzie do łóżka. Dobrze wiedzą, że na nich czekam, a jakże. Zawsze Toni przychodzi pierwszy, jest większy, silniejszy.

– I oni wyjedli miększ? Kiedy chleb był w koszu?

– Uwielbiają to.

Adamsberg zerknął na krzyżówkę, która wcale nie wydała mu się taka prosta, po czym odsunął gazetę.

– Oni, czyli kto?

– Nie lubię o tym mówić, ludziom się to nie podoba. Ludzie są strasznie bezduszni.

– To zwierzęta? Psy, koty?

– Szczury. Toni jest ciemniejszy niż Marie. Tak się kochają, że często przerywają jedzenie i jedno drugiemu pociera łebek łapkami. Gdyby ludzie nie byli tacy ograniczeni, oglądaliby takie widowiska. Marie jest ruchliwsza. Po jedzeniu wchodzi mi na ramię, wsuwa pazurki we włosy. Czesze mnie, że tak powiem. To jej sposób podziękowania. A może mnie lubi? Kto to wie? No, ale to krzepiące. Zawsze pogadamy sobie miło, a potem rozstajemy się aż do następnego wieczoru. Wracają do piwnicy przez dziurę za odpływem. Kiedyś Lucette wszystko zacementowała. Biedulka. Nie umie rozrobić cementu.

– Rozumiem – rzekł Adamsberg.

Stary przypominał mu Félix, który przycinał winorośle osiemset osiemdziesiąt kilometrów stąd. Swego czasu mlekiem oswoił zaskrońca. Pewnego dnia jakiś gość zabił zaskrońca. Wtedy Félix zabił gościa.

Adamsberg wrócił do sypialni, gdzie komisarz Justin czuwał przy zmarłej, czekając na przybycie lekarza domowego.

– Zajrzyj jej do ust – polecił. – Zobacz, czy ma w nich białe resztki, jak miększ chleba.

– Nie bardzo mam ochotę.

– Mimo to zajrzyj. Przypuszczam, że się udusiła, bo stary napchał jej do ust miększu chleba. Potem go wyjął i gdzieś wyrzucił.

– Miększu, który był w skórce?

– Tak.

Adamsberg otworzył okno i okiennice w pokoju. Rozglądnął się po niedużym podwórku usianym ptasimi piórami, przekształconym częściowo w graciarnię. Pośrodku widniała kratka zamykająca studzienkę odpływową. Była mokra, chociaż nie padało.

– Pójdiesz na podwórze i podniesiesz kratkę. Sądzę, że wyrzucił tam miękisz i połał wiadrem wody.

– Bez sensu – mruknął Justin, świecąc latarką w usta staruszki. – Jeśli to zrobił, czemu nie wyrzucił też skórki? Ani nie sprzątnął okruchów?

– Żeby wyrzucić skórkę, musiałby iść aż do kubła, czyli pokazać się w nocy na chodniku. Zaraz obok jest taras kawiarniany i na pewno niemało ludzi tam siedzi w takie gorące noce. Ktoś by mógł zobaczyć. Wymyślił świetne wyjaśnienie na skórkę i okruszki. Tak oryginalne, że staje się prawdopodobne. To mistrz krzyżówkowy, ma własny sposób kojarzenia pojęć. – Adamsberg zarazem strapiony i ogarnięty niejakim podziwem wrócił do Tuilota. – Kiedy Marie i Toni przyszli, wyjął pan chleb z kosza?

– Ależ nie, oni wiedzą, o co biega, i bardzo to lubią. Toni siada na pedale kosza, wieko się podnosi, a wtedy Marie wyciąga wszystko, co im się nadaje. Cwaniaki, he? Spryciarze, bez dwóch zdań.

– Czyli Marie wyjęła chleb. A potem oboje wyjedli miękisz? Migdałąc się?

– Tak było.

– Cały miękisz?

– To duże szczury, inspektorze, są żarłoczne.

– A okruszki? Czemu nie zjadły okruszków?

– Inspektorze, zajmujemy się Lucette czy szczurami?

– Nie rozumiem, czemu zawiązał pan chleb w ścierkę, kiedy szczury wygryzły miękisz. Skoro wcześniej wyrzucił go pan do kosza.

Staruszek wpisał kilka liter do krzyżówki.

– Od razu widać, że nie jest pan mocny w krzyżówkach. Gdybym wyrzucił wygryzioną skórkę do kosza, łatwo zgadnąć, że Lucette zaraz by wiedziała, że Toni i Marie do nas zajrzeli.

– Mógł pan wyrzucić do kubła na zewnątrz.

– Drzwi piszczą jak zarzynany prosiak. Nie zauważył pan?

– Zauważyłem.

– No więc po prostu zawiązałem skórkę w ścierkę. Dzięki temu uniknąłem porannej sceny. Bo sceny u nas są na porządku dziennym. Do licha, ona od pięćdziesięciu lat zrzedzi, wszystko wycierając szmatą, pod moją szklanką, pod nogami, pod tyłkiem. Jakbym już nie miał prawa chodzić ani siadać. Gdyby pan miał coś takiego w domu, też by pan ukrył skórkę.

– W chlebowniku by jej nie zauważyła?

– Nie. Rano je sucharki z rodzynkami. Na pewno umyślnie, bo te sucharki kruszą się jak

wszyscy diabli. Potem przez dwie godziny ma co robić. Dostrzega pan logikę?

Justin wszedł do pokoju, posłał Adamsbergowi krótki znak potwierdzający.

– Ale wczoraj – rzekł Adamsberg z niejakim znużeniem – to nie było tak. Wydłubał pan miękisz, dwie duże zbite garście, i wcisnął jej do ust. Kiedy przestała oddychać, wyjął pan miękisz i wyrzucił go do studzienki odpływowej na podwórku. Dziwi mnie, że wybrał pan ten sposób, aby ją zabić. Nigdy nie spotkałem człowieka, który udusił kogoś miękiszem.

– Pomysłowe – spokojnie przyznał Tuilot.

– Jak pan się domyśla, znajdziemy ślinę pańskiej żony na miękiszu chleba. A ponieważ jest pan logiczny i sprytny, znajdziemy też ślady szczurzych zębów na skórce. Dał im pan dojeść miękisz, żeby uprawdopodobnić swoją bajeczkę.

– Uwielbiają chować się w skórce, oglądać ich wtedy to przyjemność. Spędziłem wczoraj bardzo miły wieczór, naprawdę. Wychyliłem nawet dwa kieliszki, kiedy Marie czochrała mi włosy. Potem umyłem i odstawiłem kieliszek na miejsce, żeby uniknąć bury. A ona już wtedy nie żyła.

– Ona już wtedy nie żyła, bo pan ją zabił.

– Tak – przyznał Tuilot z obojętnym westchnieniem, wypełniając kilka kratek krzyżówki. – Wczoraj był lekarz z wizytą domową, zapewnił, że sporo pożyje. To oznaczało jeszcze dziesiątki wtorków z tłustymi pasztecikami, setki połajanek, tysiące trzepnięć ścierką. Człowiek w wieku osiemdziesięciu sześciu lat ma prawo rozpocząć nowe życie. Zdarzają się takie wieczory jak wczorajszy. Wieczory, kiedy mężczyzna wstaje i działa. – I Tuilot podniósł się z miejsca, otworzył okiennice w jadalni, wpuszczając skwar sierpniowego dnia. – Nie pozwałała też otwierać okien. Ale o tym wszystkim nie będę mówił, inspektorze. Powiem, że ją zabiłem, by oszczędzić jej cierpienia. Miękiszem z chleba, bo go lubiła, ot, żeby dogodzić jej na koniec. Wszystko obmyśliłem – ciągnął, stukając się w czoło. – Nikt mi nie udowodni, że nie zrobiłem tego z miłosierdzia. Z miłosierdzia, rozumie pan? Zostanę uniewinniony i za dwa miesiące wrócę tu, będę stawiał szklankę wprost na stole, nie podkładając serwetki, i dobrze nam będzie we trójkę: Toniemu, Marie i mnie.

– Tak, wierzę – przyznał Adamsberg, podnosząc się wolno. – Ale jeśli tak się stanie, panie Tuilot, nie odważy się pan postawić szklanki na stole. I być może wyjmie pan jednak serwetkę. A potem sprzątnie okruszki.

– Niby dlaczego?

Adamsberg wzruszył ramionami.

– Tak to widzę. Często tak się dzieje.

– Pan się mną nie przejmuje. Jestem sprytny.

– To prawda, panie Tuilot.

Na zewnątrz z powodu skwaru ludzie z rozdziawionymi ustami przemykali w cieniu pod ścianami budynków. Adamsberg postanowił pójść chodnikiem wystawionym na słońce, a więc pustym, i pieszo dać się ponieść na południe. Aby długim marszem uwolnić się od ucieszonyj – i faktycznie sprytnej – twarzy mistrza krzyżówek. Który w jeden z przyszłych wtorków kupi sobie na kolację tłusty pasztecik.

## II

Do siedziby brygady dotarł półtorej godziny później w mokrym od potu czarnym tiszercie i z uporządkowanymi myślami. Rzadko się zdarzało, by dobre lub złe wrażenie długo trawiło umysł Adamsberga. Pytanie jeszcze, czy on umysł w ogóle ma, często powiadała jego matka. Podyktował raport przeznaczony dla zagrypionego inspektora i zaszedł na dyżurkę po wiadomości. Sierżant Gardon, który pełnił służbę, przechylał głowę, aby czuć podmuchy wentylatora postawionego na podłodze. Chłodne powietrze rozwiewało mu miękkie włosy, jakby siedział pod suszarką w zakładzie fryzjerskim.

– Komisarz Veyrenc czeka na pana w kawiarni – powiedział, nie prostując się.

– W kawiarni czy w piwiarni?

– W kawiarni. W Kubku do Kości.

– Veyrenc już nie jest komisarzem, Gardon. Dopiero dzisiaj się dowiemy, czy wraca do służby.

Adamsberg przez chwilę przyglądał się sierżantowi, zastanawiając się, czy Gardon ma umysł, a jeśli tak, to co w nim umieszcza.

W Kubku do Kości usiadł przy stoliku Veyrenca, przywitali się jasnym uśmiechem i długim uściskiem dłoni. Na wspomnienie sytuacji, gdy Veyrenc pojawił się w Serbii<sup>1</sup>, dotąd jeszcze Adamsberga przechodził czasem krótki dreszcz. Zamówił sałatkę i powoli jedząc, dość rozwleknie opowiedział o pani Tuilot Lucette, panu Tuilot Julienie, o Tonim, Marie, ich miłości, o skórce z chleba, pedale u kosza na śmiecie, zamkniętych okiennicach, wtorkowym tłustym paszteciku. Od czasu do czasu zerkał przez kawiarnianą szybę, którą Tuilot Lucette z pewnością lepiej by umyła.

Veyrenc zamówił dwie kawy u szefa, tęgiego człowieka, którego gderliwość pogłębiała się wraz ze wzrostem temperatury na zewnątrz. Jego żona, milkliwa niska Korsykanka, przemykała niczym czarna wróżka, roznosząc potrawy.

– Pewnego dnia – odezwał się Adamsberg, wskazując ją dyskretnie – udusi go dwiema dużymi garściami miękiszu chleba.

– Bardzo możliwe – przyznał Veyrenc.

– A ona dalej czeka na chodniku – powiedział Adamsberg, znowu zerkając przez okno. – Już prawie godzinę stoi w tym skwarze. Nie wie, co począć, jaką podjąć decyzję.

Veyrenc powiódł wzrokiem za spojrzeniem Adamsberga i przyjrzał się niewysokiej chudej kobiecie, czysto odzianej w kwiecistą sukienkę, jakiej nie uświadczysz w paryskich sklepach.

– Nie wiesz na pewno, czy jest tu ze względu na ciebie. Nie przyszła pod komendę, chodzi

tam i z powrotem dziesięć metrów od niej. Umówiła się i ktoś ją wystawił.

– Przyszła do mnie, Veyrenc, głowę daję. Kto by się umawiał na tej ulicy? Ta kobieta się boi. I to mnie martwi.

– Bo nie jest z Paryża.

– Może pierwszy raz tu przyjechała. A to znaczy, że ma duży problem. Co nie rozwiązuje twojego problemu, Veyrenc. Od miesiący się zastanawiasz, mocząc nogi w rzece, i nic nie zdecydowałeś.

– Mógłbyś przesunąć termin.

– Już przesunąłem. Dziś o szóstej musisz podpisać albo nie. Wrócić do służby albo nie. Zostało ci cztery i pół godziny – dodał nonszalancko Adamsberg, spoglądając na zegarek, a właściwie na dwa zegarki, które nie wiadomo czemu nosił na ręce.

– Mam jeszcze kupę czasu – zauważył Veyrenc, mieszając kawę.

Inspektor Adamsberg i były komisarz Louis Veyrenc de Bilhc, pochodzący z sąsiednich wiosek w Pirenejach, mieli w sobie taki sam obojętny spokój, dość peszący. U Adamsberga przejawiał się on szokującymi oznakami nieuwagi i obojętnością. U Veyrenca owa obojętność powodowała niewytłumaczalne wycofanie, ośli upór, czasami potężny i milczący, ewentualnie akcentowany wybuchami gniewu. „To sprawka starej góry”, mawiał Adamsberg, nie szukając innego wyjaśnienia. Stara góra nie może wyrzucić z siebie zabawnych szalonych traw, jak robią falujące rozległe łąki.

– Idziemy – rzekł Adamsberg, zniecierpliwiony płacąc za lunch – bo ta kobitka pójdzie. Patrz, już się zniechęciła, dopada ją wahanie.

– Ja też się waham – zwrócił uwagę Veyrenc i duszkiem wypił kawę. – Ale mnie nie pomagasz.

– Nie.

– Super.

*Co rusz nowy zakręt gdzieś przed nim się roztoczy,  
przed samotnym człkiem pozbawionym pomocy.*

– Decyzję zna się zawsze na długo przed jej podjęciem. W zasadzie od początku. Dlatego doradzanie niczemu nie służy. Mogę ci tylko przypomnieć, że te twoje wierszyki denerwują komendanta Danglarda. Nie lubi masakrowania sztuki poetyckiej.

Adamsberg pożegnał szefa oszczędnym gestem. Nie było co się odzywać, grubas nie lubił tego, a właściwie nie lubił być sympatyczny. Był na podobieństwo swojego lokalu: łyсы, ostentacyjnie pospolity i niemal wrogi wobec klientów. Toczyła się ostra walka między tym dumnym niedużym bistro a zamożną piwiarnią stojącą naprzeciwko. Im mocniej Piwiarnia Filozofów podkreślała swoje bogate mieszczańskie zmanierowane oblicze, tym bardziej siermiężny robił się Kubek do Kości – konkurowały ze sobą bezpardonowo na niwie

społecznej. „Kiedyś ktoś tu straci życie”, mamrotał komendant Danglard. Pominąwszy to, że niska Korsykanka wepchnie mężowi do gardła mięksiz chleba.

Wyszedłszy z kawiarni, Adamsberg aż sapnął w kontakcie z parzącym powietrzem i ostrożnie ruszył w kierunku niewysokiej kobiety, która wciąż stała o kilka kroków od komendy. Przed wejściem do budynku siedział gołąb i Adamsberg pomyślał, że jeśli spłoszy ptaka, mijając go, kobieta odfrunie razem z nim – przez mimetyzm. Jakby była leciutka, zwiewna, zdolna ulecieć niczym słomka na wietrze. Z bliska oszacował jej wiek na jakieś sześćdziesiąt pięć lat. Zadbana o wizytę u fryzjera przed przyjazdem do stolicy, żółte loki twardo się trzymały na szpakowatych włosach. Kiedy Adamsberg się odezwał, gołąb ani drgnął, a kobieta zwróciła ku niemu wystraszoną twarz. Powoli zagadnął, czy potrzebna jej pomoc.

– Nie, dziękuję – odparła, odwracając wzrok.

– Nie chciała pani tu wejść? – spytał, wskazując stary budynek brygady kryminalnej. – Żeby pogadać z policjantami czy coś? Bo przy tej ulicy oprócz nich nie ma czego szukać.

– Ale jak policjanci nie słuchają człowieka, chodzenie do nich nic nie da – powiedziała, odsuwając się o kilka kroków. – Wie pan, policjanci nie wierzą zwykłemu człowiekowi.

– A tutaj pani przyszła? Do brygady kryminalnej? – drażył Adamsberg. Kobieta ściągnęła niemal niewidoczne brwi. – Pierwszy raz jest pani w Paryżu?

– Mój Boże, tak. Muszę wrócić dziś wieczór, nie mogą się zorientować.

– Chciała pani zobaczyć się z jakimś policjantem?

– Tak. Znaczący: może.

– Ja jestem policjantem. Pracuję tu.

Kobieta obrzuciła wzrokiem niedbały strój Adamsberga i zrobiła minę zawiedzioną albo sceptyczną.

– To pewnie dobrze ich pan zna?

– Tak.

– Wszystkich?

– Tak.

Kobieta otworzyła dużą brązową torbę wytartą na bokach i wyjęła kartkę, którą starannie rozłożyła.

– Pan inspektor Adamsberg – przeczytała z namaszczeniem. – Zna go pan?

– Tak. Z daleka przyjechała pani do niego?

– Z Ordebecu – powiedziała tak, jakby to wyznanie dużo ją kosztowało.

– Gdzie to jest?

– No, niedaleko Lisieux.

Normandia, pomyślał Adamsberg. To wyjaśniało jej powściągliwość w słowach. Poznał

kiedyś paru Normandczyków, ludzi milkliwych, których długo oswajał. Jakby wygłoszenie paru słów było dla nich niczym obdarowanie drugiego złotem niekoniecznie zasłużonym. Adamsberg ruszył, zapraszając kobietę, aby poszła z nim.

– W Lisieux są policjanci – mówił. – Może nawet są w Ordebecu. Macie u siebie żandarmów, prawda?

– Nie chcieliby mnie wysłuchać. Ale wikary z Lisieux, który zna proboszcza z Mesnil-Beauchamp, powiedział, że tutejszy inspektor mnie wysłucha. Wykosztowałam się na podróż.

– Chodzi o coś poważnego?

– No tak, pewnie, że to poważne.

– O morderstwo? – dopytywał Adamsberg.

– Może. Znaczy nie. Znaczy ludzie umrą. Powinnam uprzedzić policję, nie?

Ten człowiek budził zaufanie. Paryż ją przerażał, a podjęta decyzja jeszcze bardziej. Żeby wyjechać ukradkiem, okłamać własne dzieci!... A jeżeli pociąg powrotny się spóźni? A jeżeli później nie zdąży na autobus? Ten policjant mówił łagodnie, trochę jakby śpiewał. To na pewno nie człowiek od nich. Nie, raczej mikrus z południa o śniadej cerze i ostrych rysach twarzy. Jemu chętnie by opowiedziała to, z czym przyjechała, lecz wikary postawił sprawę jasno: tylko Adamsbergowi, nikomu innemu. A wikary to nie byle kto, jest kuzynem byłego prokuratora Rouen, który dobrze się zna na policjantach. Niechętnie podał jej nazwisko Adamsberga, odradzał rozmowę z nim, w ogóle był pewny, że nie wybierze się w tę podróż. Ona jednak nie mogła cicho siedzieć, skoro t e r z e c z y się działy. Skoro coś mogło się przytrafić dzieciom.

– Mogę to powiedzieć tylko temu inspektorowi.

– Ja jestem tym inspektorem – odparł.

Kobiecina wyglądała, jakby chciała stanąć okoniem, choć była taka szczuplutka.

– To czemuś pan nie powiedział od razu?

– Ale ja też nie wiem, kim pani jest.

– A po co to panu? Człowiek podaje swoje nazwisko, a potem wszyscy sobie nim gębę wycierają.

– I co z tego?

– Kłopoty. Nikt nie może wiedzieć.

Jędza, pomyślał Adamsberg. I tego czy innego dnia może skończyć z dwiema kulami miększu w gardle. Ale jędza przerażona czymś konkretnym i to nadal go ciekawiło. „Ludzie umrą”, powiedziała.

Zawrócili w kierunku komendy.

– Chciałem pani po prostu pomóc. Obserwowałem panią od dłuższej chwili.

– A ten człowiek tam? Jest z panem? Też się na mnie patrzył?

– Jaki człowiek?



– No tamten, z nienormalnymi włosami, ma pomarańczowe pasemka. Jest z panem?

Adamsberg podniósł wzrok i dwadzieścia metrów dalej ujrzał Veyrenca opartego o framugę drzwi. Nie wszedł do budynku, czekał niedaleko gołębia, który nadal ani drgnął.

– A, on. W dzieciństwie pocięto go nożem. I na bliznach włosy takie mu odrosły, rude. Nie radzę o tym wspominać.

– Nic złego nie myślałam, ale nie umiem ładnie mówić. W Ordebecu prawie się nie odzywam.

– Nic nie szkodzi.

– Za to moje dzieci dużo gadają.

– W porządku... Kurde, co z tym gołębkiem? – rzekł Adamsberg cicho. – Czemu nie odfruwa?

Znużony wahaniem kobiety inspektor zostawił ją i ruszył ku nieruchomemu ptakowi, Veyrenc tymczasem oderwał się od framugi i minął się z nim. Bardzo dobrze, niech się nią zajmie, jeśli w ogóle warto. Poradzi sobie bez problemu. Nabita twarz Veyrenca była przekonująca, budziła zaufanie, w czym ogromnie pomagał niespotykany uśmiech – z wdziękiem unosiła mu się wtedy jedna połowa ust. W tym miał ewidentną przewagę, czego Adamsberg swego czasu nie znosił<sup>2</sup> i przez co stanęli ze sobą do wyniszczającej walki. Teraz obydwaj kończyli wymazywać z pamięci pozostałości po niej. Kiedy Adamsberg w stulonych dłoniach podnosił gołębia, Veyrenc bez pośpiechu wracał ku niemu, a za nim szła ta przezroczysta kobietka, oddychając dość szybko. Zasadniczo była tak nijaka, że Adamsberg w ogóle by jej nie zauważył, gdyby nie kwiecista sukienka znacząca jej kontury. Może bez sukienki byłaby zupełnie niewidoczna.

– Jakiś gnojek związał mu łapki – powiedział Veyrenc, oglądając brudnego ptaka.

– Gołębiami też się zajmujecie? – spytała kobieta bez ironii. – Widziałam tu masę gołębi, one strasznie paskudzą.

– Ale ten – przerwał jej Adamsberg – nie jest masą, to po prostu gołąb, samotny gołąb. To czyni różnicę.

– Ano tak – przyznała kobieta. Wyrozumiała i ostatecznie obojętna.

Może Adamsberg się pomylił i kobieta nie skończy z miększym chleba w gardle. Może wcale nie jest jędzą. Może faktycznie ma kłopoty.

– Tak pan lubi gołębie? – zapytała teraz.

Adamsberg podniósł na nią roztargniony wzrok.

– Nie – odparł. – Ale nie lubię sukinkotów, którzywiają im łapki.

– Ano tak.

– Nie wiem, czy u was znają taką zabawę, ale w Paryżu się w nią bawią. Trzeba złapać ptaka i związać mu łapki trzycentymetrowym sznurkiem. Gołąb może wtedy chodzić tylko drobnym kroczkiem, a latać nie da rady. Powoli kona z głodu i pragnienia. Taka gra. Nienawidzę jej i znajdę gnojka, który tak się zabawiał z tym ptakiem.

Adamsberg wszedł w bramę prowadzącą do siedziby brygady, zostawiając kobietę i Veyrenca na chodniku. Kobieta nie odrywała oczu od włosów komisarza, bardzo ciemnych, poprzecinanych szokująco rudymi pasemkami.

– Naprawdę się tym zajmie? – spytała stropiona. – Tylko że wie pan, jest za późno. Ten inspektor miał pełno pcheł na ręce. To dowód, że gołąb nie ma siły zadbać o siebie.

Adamsberg powierzył gołębia staraniom mocarza ekipy, komisarz Violette Retancourt, ślepo wierząc w jej możliwości uratowania go. Jeżeli Retancourt nie zdoła pomóc ptakowi, nikt tego nie zrobi. Rosła tęga komisarz skrzywiła się mocno, co nie było dobrym znakiem. Ptak był w złym stanie, skórę na łapkach miał poprzecinaną od prób wyswobodzenia się ze sznurka, który werznął mu się w ciało. Był też wygłodzony i odwodniony. Zobaczymy, co da się zrobić, zakończyła Retancourt. Adamsberg pokręcił głową, na moment zaciskając usta, jak czynił, ilekroć stykał się z okrucieństwem. A ten kawałeczek sznurka stanowił jego część.

Idąc za Veyrenkiem, drobna kobiecina minęła dorodną komisarz z instynktownym uszanowaniem. Tęga policjantka sprytnie owijała gołębia w mokrą szmatkę. Wyjaśniła Veyrencowi, że później zajmie się łapkami i spróbuje usunąć sznurek. W dużych dłoniach Retancourt gołąb nawet nie próbował się poruszyć. Jak każdy pozwalał robić ze sobą wszystko, na równi wystraszony i ogarnięty podziwem.

Kobiecina, już spokojniejsza, usiadła w biurze Adamsberga. Była taka chudziutka, że wystarczyła jej zaledwie połowa krzesła. Veyrenc zajął pozycję w rogu, rozglądając się po znajomym pokoju. Pozostało mu trzy i pół godziny na podjęcie decyzji. Decyzji już podjętej zdaniem Adamsberga, lecz on na razie jej nie znał. Kiedy przechodził przez dużą wspólną salę, nadzieją się na wrogie spojrzenie komendanta Danglarda, który grzebał w segregatorach. Nie tylko jego wierszy Danglard nie lubił – nie lubił także jego.

### III

Kobiecina wreszcie zgodziła się podać swoje nazwisko i Adamsberg zapisywał je na jakimś świstku, co wyraźnie ją zaniepokoiło. Może ten inspektor w ogóle nie zamierza się nią zająć?

– Valentine Vendermot, przez „o” i „t” na końcu – powtórzył, zawsze miał bowiem problem z nowymi słowami, a z nazwiskami w szczególności. – I przyjechała pani z Ardebecu.

– Z Ordebecu. To w departamencie Calvados.

– A więc ma pani dzieci?

– Czwórkę. Trzech synów i córkę. Jestem wdową.

– Co się stało, pani Vendermot?

Kobiecina znowu sięgnęła do dużej torby, z której wyjęła lokalną gazetę. Drżącymi lekko rękami rozłożyła ją i umieściła na stole.

– Ten człowiek. Zniknął.

– Jak się nazywa?

– Michel Herbier.

– To pani przyjaciel? Krewny?

– Och, nie. Przeciwnie.

– To znaczy?

Adamsberg cierpliwie czekał na odpowiedź, której sformułowanie wydawało się trudne.

– Nie znoszę go.

– A, rozumiem – rzekł, biorąc gazetę.

Kiedy w skupieniu zapoznawał się z krótkim artykułem, kobieta niespokojnie spozierała na ściany, najpierw po prawej, potem po lewej stronie, Adamsberg jednak nie pojmował przyczyn tej inspekcji. Czegoś znowu się bała. Wszystkiego się bała. Bała się miasta, bała się ludzi, bała się tego, co inni powiedzą, bała się jego. Nadal także nie pojmował, dlaczego przyjechała aż tutaj, aby powiedzieć mu o tym Michelu Herbierze, skoro go nienawidzi. Emeryt, zapamiętały myśliwy, zniknął z miejsca zamieszkania wraz ze skuterem. Po tygodniu nieobecności żandarmi wkroczyli do jego domu w celach kontrolnych. Znaleźli wyrzuconą na ziemię zawartość jego dwóch zamrażarek zapchanych upolowaną zwierzyną. I tyle.

– Nie mogę się do tego mieszać – przepraszająco rzekł Adamsberg. – Skoro ten człowiek zniknął, rozumie pani, że z urzędu powinna się tym zająć miejscowa żandarmeria. I jeśli coś pani wie na ten temat, powinna pani powiedzieć to żandarmom.

- Nie mogę, panie inspektorze.
- Nie dogaduje się pani z lokalną żandarmerią?
- Ano tak. Dlatego wikary dał mi pana nazwisko. Dlatego tu przyjechałam.
- I co chce mi pani powiedzieć?

Kobiecina wygładziła kwiecistą sukienkę ze spuszczoną głową. Łatwiej jej się mówiło, kiedy nie widziała wzroku rozmówcy.

- Co mu się stało. Albo co mu się stanie. Umarł albo umrze, jeżeli nic się nie zrobi.
- Wygląda na to, że człowiek po prostu wyjechał, skoro nie ma jego skutera. Wiadomo, czy zabrał jakieś rzeczy?
- Nic oprócz jednej strzelby. Ma dużo strzelb.
- No to wróci za jakiś czas, pani Vendermot. Dobrze pani wie, że nie mamy prawa szukać dorosłego pod pretekstem, że zniknął na kilka dni.
- On nie wróci, panie inspektorze. Skuter się nie liczy. Też zniknął, żeby jego nie szukano.

- Mówi pani tak, bo ktoś mu groził?
- Tak.
- Ma wroga?
- Matko Boska, najstraszniejszego, panie inspektorze.
- Zna pani jego nazwisko?
- Boże drogi, nie wolno go wymawiać!

Adamsberg westchnął, trapiąc się bardziej o nią niż o siebie.

- I pani zdaniem ten Michel Herber uciekł?
- Nie, on nic nie wie. Na pewno już nie żyje. Widzi pan, on został... pojmany.

Adamsberg wstał i przez kilka chwil z rękami w kieszeniach chodził od jednej ściany do drugiej.

- Proszę pani, chcę pani wysłuchać, chętnie nawet zaalarmuję żandarmerię w Ordebecu. Ale nie mogę nic zrobić, dopóki nie zrozumiem. Proszę mi dać sekundkę.

Wyszedł z biura i skierował się do komendanta Danglarda, który mocno niezadowolony nadal przetrząsał segregator. Pośród miliardów informacji Danglard zgromadził w głowie niemal wszystkie nazwiska komendantów i ich zastępców wszystkich posterunków żandarmerii i komend policji we Francji.

- Danglard, kojarzysz kapitana żandarmerii w Ordebecu?
- W Calvadosie?
- Tak.

– Émeri, Louis Nicolas Émeri. Nosi imiona po swoim prapradziadzie, który w wolnym związku spłodził jego przodka, czyli po Louisie Nicolasie Davoucie, marszałku cesarstwa, dowódcy Trzeciego Korpusu napoleońskiej Wielkiej Armii. Bitwy pod Ulm, Austerlitz, Pruską Iławą, Wagram, diuk d'Auerstaedt i diuk d'Eckmühl od nazw jego słynnych

zwycięstw.

– Danglard, interesuje mnie współczesny facet, gliniarz z Ordebecu.

– No właśnie. Jego pochodzenie jest ważne, nikomu o nim nie pozwala zapomnieć. Dlatego może być wyniosły, dumny, bojowy. Pominąwszy napoleońskie dziedzictwo, gość jest dość sympatyczny, rozważny glina, ostrożny, może nawet za ostrożny. Czterdziestka. Nie wyróżnił się we wcześniejszych przydziałach, chyba był gdzieś na przedmieściach Lyonu. Zapomnieli o nim w tym Ordebecu. To spokojne miejsce.

Adamsberg pomaszerował do swojego biura, gdzie kobiecina wróciła do skrupulatnego oglądania ścian.

– To niełatwe, panie inspektorze, zdaję sobie sprawę. Bo normalnie, widzi pan, jest zakaz mówienia o tym. To może ściągnąć potworne kłopoty. Pan powie, czy te półki są dobrze przymocowane do ścian? Bo ciężkie dokumenty ustawił pan na górze, a lekkie na dole. To wszystko mogłoby runąć na ludzi. Zawsze to co najcięższe stawia się na dole.

Boi się gliniarzy, boi się, że regał runie.

– Czemu nie znosi pani Michela Herbiera?

– Nikt go nie znosi. Okropny bydlak, zawsze taki był. Nikt z nim nie rozmawia.

– To by tłumaczyło, dlaczego opuścił Ordebec. – Adamsberg wziął do ręki gazetę. – Jest stanu wolnego, na emeryturze, ma sześćdziesiąt cztery lata. Czemu nie miałby gdzie indziej zacząć nowego życia? Ma gdzieś rodzinę?

– Był żonaty przez jakiś czas. Owdowiał.

– Jak dawno?

– Och, ponad piętnaście lat temu.

– Spotyka go pani czasem?

– W ogóle go nie widuję. Mieszka na uboczu Ordebecu, więc łatwo go nie spotykać.

I wszystkim to odpowiada.

– Ale mimo to sąsiedzi zaniepokoiili się o niego.

– Tak, Hébrardowie. To porządni ludzie. Widzieli, jak wychodził koło szóstej wieczór. Wie pan, mieszkają po drugiej stronie uliczki. A on pięćdziesiąt metrów od nich, już w lesie Bigard, niedaleko starego wysypiska śmieci. Wilgotno tam jak nie wiem.

– Czemu się zaniepokoiili, skoro widzieli, jak odjeżdża na skuterze?

– Bo zwykle jak jedzie na dłużej, zostawia im klucz od skrzynki na listy. A tu nie. I nie słyszeli, żeby wrócił. I ze skrzynki wysypywała się poczta. A to znaczy, że Herber pojechał gdzieś na krótko i coś nie pozwoliło mu wrócić. Żandarmi mówią, że w szpitalu go nie ma.

– Kiedy weszli do jego domu, zawartość zamrażarek leżała porozrzucana.

– Tak.

– Po co mu tyle mięsa? Ma psy?

– To myśliwy, zdobycz wkłada do zamrażarek. Zabija dużo zwierząt i nie ćwiartuje ich. – Kobieciną wstrząsnął dreszcz. – Brygadier Blériot... on jest dla mnie dość miły, nie to co

kapitan Émeri... no więc brygadier mi o tym powiedział. Straszne to było, mówił. Na podłodze leżało pół lochy z głową, sarnie udźce, zajęczyce, warchlaki, młode kuropatwy. Wszystko byle jak porzucane. Kiedy żandarmi weszli,gniło od paru dni. Przy tym upale takie gnijące mięso jest niebezpieczne.

Strach przed regałami i strach przed bakteriami. Adamsberg zerknął na wielkie poroże jelenia wciąż leżące w biurze na podłodze, teraz pokryte kurzem. Wspaniały dar właśnie od Normandczyka.

– Zajęczyce? Sarny? Spostrzegawczy jest ten brygadier. On też poluje?

– Och, nie. Mówi się „sarny” albo „zajęczyce”, bo każdy wie, jaki jest ten Herhier. Okropny myśliwy, złoczyńca. Zabija tylko samice i młode, całe mioty. Strzela nawet do ciężarnych samic.

– Skąd pani wie?

– Wszyscy wiedzą. Herhier raz został skazany za zabicie lochy z młodymi, które za nią szły. Na młode jelenki też polował. Okropne. Ale co tam, on to robi w nocy, więc Émeri nigdy go nie przyłapał. Za to żaden prawdziwy myśliwy od dawna nie chce z nim polować. Nawet kłusownicy go odtrącają. Został wyrzucony ze Związku Łowieckiego w Ordebequet.

– Czyli ma dziesiątki wrogów.

– Znaczą głównie wygląda to tak, że nikt go nie odwiedza.

– Myśli pani, że inni myśliwi chcieliby go zabić? O to chodzi? Albo przeciwnicy myślistwa?

– Och, nie. Całkiem co innego go pojmało.

Po dłuższej chwili całkiem dorzecznym wyjaśnieniom kobiecina znów się zestrachowała. Ale najwyraźniej nie bała się już regałów. Był w niej trudny do wyplenienia głęboki lęk, który skupiał uwagę Adamsberga, chociaż jego zdaniem przypadek Herhiera nie wymagał przyjazdu aż z Normandii.

– Skoro nic pani nie wie – rzekł ze znużeniem w głosie – albo nie wolno pani mówić, nie mogę pani pomóc.

Komendant Danglard stanął w drzwiach i dawał mu ponagląjące znaki. Przyszły wieści o ośmioletniej dziewczynce, która uciekła do lasu w Wersalu, rozbiwszy butelkę z sokiem owocowym na głowie ciotecznego dziadka. Człowiek ten zdołał dotrzeć do telefonu, po czym zemdleł. Adamsberg dał do zrozumienia Danglardowi i kobiecinnie, że zamyka sprawę. Zaczynał się letni sezon urlopowy, za trzy dni w brygadzie nie będzie jednej trzeciej ekipy, należy zakończyć, co tylko się da z bieżących dochodzeń. Kobiecina zrozumiała, że ma niewiele czasu. Chociaż ten niewysoki inspektor był dla niej miły i cierpliwy, w Paryżu ludzie się spieszą, wikary ją uprzedzał.

– Lina, moja córka, go widziała – zaczęła w pośpiechu. – Herhiera. Widziała go dwa tygodnie i dwa dni przed zniknięciem. Przyznała się do tego swojemu szefowi i w sumie cały Ordebec wiedział.

Danglard znowu układał w segregatorze teczki z aktami, szerokie czoło przecinała mu bruzda świadcząca o niezadowoleniu. Widział Veyrenca w biurze Adamsberga. Czego on tu szuka? Podpisze? Wstąpi z powrotem do policji? Decyzję miał podjąć tego wieczoru. Danglard podszedł do fotokopiarki i pogłaskał rozciągniętego na niej wielkiego kota, szukając pociechy w jego futerku. Przyczyn swojej antypatii do Veyrenca nie mógł wyrazić na głos. Chodziło bowiem o głuchą uporczywą zazdrość, niemal kobiecą, o przemożną potrzebę odsunięcia go od Adamsberga.

– Musimy się pospieszyć, pani Vendermot. Pani córka go zobaczyła i z jakiegoś powodu pomyślała, że zostanie zabity?

– Tak. Wydzierał się. Było z nim jakichś trzech. To była noc.

– Doszło do kłótni? Z powodu saren i koźląt? W czasie spotkania towarzyskiego? Kolacji myśliwych?

– Och, nie.

– Proszę przyjść jutro albo później – zdecydował Adamsberg, kierując się do drzwi. – Proszę przyjść, kiedy będzie pani mogła mówić.

Ponury Danglard czekał na niego, stojąc wsparty o róg biurka.

– Mamy dziewczynkę? – zapytał Adamsberg.

– Chłopcy znaleźli ją na drzewie. Wspięła się wysoko, na samą górę, jak młody jaguar. W rękach trzyma suwaka, nie chce go wypuścić. Suwak wygląda okej.

– Suwak, Danglard?

– Nieduży gryzoń. Dzieciaki za nimi przepadają.

– A mała? W jakim jest stanie?

– Mniej więcej w takim jak twój gołąb. Wygłodzona, spragniona i umordowana. Już jest otoczona opieką medyczną. Jedna pielęgniarka nie chce wejść do pokoju przez suwaka, który się schował pod łóżkiem.

– Dziecko wyjaśnia, czemu to zrobiło?

– Nie.

Danglard odpowiadał powściągliwie, roztrząsając w duchu swoje troski. Ten dzień nie nadawał się na pogaduszki.

– Mała wie, że dziadek wyszedł z tego cało?

– Tak, wyraźnie jej ulżyło, ale była też zawiedziona. Mieszkała tylko z nim nie wiadomo jak długo, nigdy nie postawiła nogi w szkole. Wcale nie jesteśmy pewni, czy to faktycznie cioteczny dziadek.

– Dobra, posyłamy naszych do Wersalu. Ale powiedz oficerowi dowodzącemu, żeby przypadkiem nie zabijali suwaka tej małej. Niech go wsadzą do klatki i karmią.

– To takie pilne?

– Jasne, Danglard, to może być jedyna własność tego dziecka. Moment... – Adamsberg pobiegł do biura Retancourt, która przymierzała się do obmycia łapek gołębia. –

Zdezynfekowaliście go, komisarzu?

– Pomału – odparła Retancourt. – Musiałam go najpierw nawodnić.

– Świetnie, nie wyrzucajcie sznurka, chcę pobrać próbki. Justin uprzedził technika, zaraz tu będzie.

– Obsrał mnie – poinformowała spokojnie Retancourt. – Czego chce ta kobitka? – spytała, głową wskazując jego biuro.

– Powiedzieć o czymś, o czym nie chce mówić. Wcielenie niezdecydowania. Pójdzie sama albo ją wyprosimy, kiedy będziemy zamykać.

Retancourt z niejaką wzdrganą wzruszyła ramionami, niezdecydowanie bowiem było zjawiskiem obcym jej sposobom działania. Stąd brał się w niej taki potężny dynamizm, który o niebo przewyższał możliwości pozostałych dwudziestu siedmiu funkcjonariuszy brygady.

– A Veyrenc? On też jest niezdecydowany?

– Veyrenc już dawno zdecydował. Gliniarz albo nauczyciel, co wy byście wybrali? Uczenie jest cnotą, która doprowadza do zgryźliwości. Gliniarstwo jest przywarą, która wbija w pychę. A że łatwiej porzucić cnotę niż przywarę, Veyrenc nie ma wyboru. Jadę pogadać z tym rzekomym ciotecznym dziadkiem w wersalskim szpitalu.

– Co robimy z gołębiem? Nie mogę go zabrać do siebie, mój brat ma alergię na pióra.

– Brat mieszka u was?

– Chwilowo. Stracił robotę, podkradł w warsztacie skrzynkę śrub i trochę oleju.

– Możecie wieczorem przynieść go do mnie? Ptaka?

– Załatwione – mruknęła Retancourt.

– Tylko uważajcie, po ogrodzie pętają się koty.

Jego ramienia dotknęła nieśmiało dłoń kobieciny. Adamsberg się odwrócił.

– Tamtej nocy – powiedziała wolno – Lina widziała przejście Dzikiego Hufca.

– Czego?

– Dzikiego Hufca – powtórzyła cicho kobiecina. – I Herbier tam był. I wydierał się. Tamci trzej też.

– To jakieś stowarzyszenie? Coś związanego z myślistwem?

Pani Vendermot spojrzała na Adamsberga z niedowierzeniem w oczach.

– Dzikie Hufce – powiedziała ciuchutko. – Wielki Łów. Nie zna pan?

– Nie – rzekł Adamsberg, wytrzymując jej zdumiony wzrok. – Proszę przyjść kiedy indziej, wszystko mi pani wytłumaczy.

– Nie zna pan nawet jego nazwy? Poczci Hellequina? – wyszeptała.

– Przykro mi – zapewnił Adamsberg, wracając z nią do biura. – Veyrenc, cichy hufiec, znasz tę bandę? – zapytał, wrzucając do kieszeni klucze i komórkę.

– Dziki – poprawiła kobiecina.

– Tak. Córka pani Vendermot widziała z nimi zaginionego.



– I innych – z naciskiem podkreśliła kobiecina. – Jeana Glayeux i Michela Mortembota. Ale czwartego córka nie rozpoznała.

Wyraźne zdziwienie pojawiło się na twarzy Veyrenca, który następnie uśmiechnął się lekko, unosząc wargę. Jak człowiek, któremu niespodziewanie przyniesiono podarunek.

– Pani córka naprawdę go widziała? – zapytał.

– Ano tak.

– Gdzie?

– Tam, gdzie przechodzi u nas. Na chemin de Bonneval w lesie Alance. Zawsze tamtędy przechodził.

– To przy domu córki?

– Nie, mieszkamy ponad trzy kilometry dalej.

– Córka poszła go zobaczyć?

– Nie no, gdzieżby?... Lina to bardzo mądra dziewczyna, rozsądna. Po prostu tam była, i już.

– W nocy?

– Zawsze przechodzi w nocy.

Adamsberg już wyprowadzał kobiecinę, prosząc, by przysłała nazajutrz albo żeby zadzwoniła, kiedy poukłada to sobie w głowie. Veyrenc dyskretnie go zatrzymał, gryząc końcówkę długopisu.

– Jean-Baptiste, naprawdę nigdy o tym nie słyszałeś? – zagadnął. – O Dzikim Hufcu?

Adamsberg pokręcił głową, szybko przeczesując włosy palcami.

– To podpytaj Danglarda – poradził Veyrenc z naciskiem. – To go zainteresuje.

– Dlaczego?

– Bo z tego, co wiem, to zapowiedź wielkiej katastrofy. Może diablo potężnej.

Veyrenc znowu leciutko się uśmiechnął i jakby pod wpływem wtargnięcia tego Dzikiego Hufca podpisał dokumenty.

## IV

Kiedy w gorący wieczór, później, niż planował – taki zatwardziały okazał się cioteczny dziadek dziewczynki – Adamsberg wrócił do domu, jego sąsiad, stary Hiszpan Lucio, hałaśliwie sikał właśnie pod drzewem w malutkim ogródku.

– Cześć, *hombre* – powiedział, nie przerywając sobie. – Czekam na ciebie jeden z twoich komisarzy. Taka gruba kobitka, wysoka i szeroka jak wieża. Twój chłopak ją wpuścił.

– To nie jest gruba kobitka, Lucio, to bogini, bogini wieloczynnościowa.

– A, to ona? – rzekł Lucio, zapinając spodnie. – Ta, o której stale gadasz?

– Tak, bogini. Więc siłą rzeczy nie może wyglądać jak wszyscy. A ty wiesz, co to jest Cichy Hufiec? Znasz tę nazwę?

– Nie, *hombre*.

Komisarz Retancourt i jego syn Zerk – właściwie Armel, lecz Adamsberg jeszcze do niego nie przywykł, ponieważ znał go zaledwie od siedmiu tygodni – oboje z papierosem w zębach, pochylali się w kuchni nad koszykiem wyłożonym watą. Nie obejrzeliby się na Adamsberga, kiedy wszedł.

– Kumasz czy nie? – mówiła Retancourt do młodego, ani trochę się nie certoląc. – Moczysz okruszek sucharka, nie za duży, i delikatnie wkładasz mu do dzioba. Potem parę kropelek wody pipetką, nie za wiele z początku. Do wody dodajesz kroplę z tej buteleczki. To na wzmocnienie.

– Trzyma się? – dopytał Adamsberg, który poczuł się dziwnie obco we własnej kuchni, gdy zajęła ją rosla kobieta i jego dwudziestoosmioletni syn, którego do niedawna nie znał.

Retancourt wyprostowała się z rękami płasko opartymi na biodrach.

– Nie ma pewności, czy przeżyje noc. W sumie przeszło godzinę mi zeszło na odmotywowaniu sznurka z łapek. Werznął mu się aż do kości, ptak musiał przez kilka dni się szamotać. Ale sznurek nie pękł. Rany odkażone, co rano trzeba zmieniać opatrunki. Bandaż jest tutaj – powiedziała, postukując w pudełeczko na stole. – Zaaplikowałam mu produkt na pchły, od tej strony też powinno mu ulżyć.

– Dzięki, Retancourt. Technik wziął sznurek?

– Tak. Nie bez oporu, bo im nie płacą za badanie sznurków zdjętych z gołębi. To samiec. Tak powiedział Voisenet.

Komisarz Voisenet minął się z zoologicznym powołaniem, idąc za stanowczymi nakazami ojca, który bez dyskusji wyprawił go do policji. Voisenet wyspecjalizował się głównie w rybach, zwłaszcza słodkowodnych, biurko miał zasłane czasopismami ichtiologicznymi.

Ale był oblatany w wielu innych dziedzinach biologii, znał się na owadach i nietoperzach, nie pomijając gnu, i to wszystko po części odciągało go od obowiązków zawodowych. Zaalarmowany tym inspektor Brézillon ukarał go upomnieniem, podobnie jak komisarza Mercadeta, który cierpiał na hipersomnię. Tylko że kto w tej brygadzie, zastanawiał się Adamsberg, nie jest na swój sposób pokrecony? Może jedna Retancourt, aczkolwiek jej zdolności i energia również odbiegały od normy.

Po jej wyjściu Zerk stał ze zwieszonymi rękami i wzrokiem utkwionym w drzwi.

– Zrobiła na tobie wrażenie, co? – odezwał się Adamsberg. – Za pierwszym razem na każdym robi. I później też.

– Jest piękna – powiedział Zerk.

Adamsberg ze zdziwieniem popatrzył na syna, uroda bowiem nie była najcenniejszą cechą Violette Retancourt. Ani wdzięk, ani finezja, ani uprzejmość. Pod każdym względem była przeciwieństwem uroczej kruchej delikatności, z jaką kojarzyło się jej imię. Twarz co prawda miała o subtelnych rysach, lecz w parze z szerokimi policzkami i potężną zuchwą oraz byczym karkiem.

– Jak chcesz – zgodził się Adamsberg, nie zamierzając dyskutować o gustach młodego chłopaka, którego jeszcze dobrze nie poznał.

Nie miał nawet pewności co do jego inteligencji. Jest inteligentny czy nie? A może trochę? Jedno tylko uspokajało inspektora: to, że większość ludzi nie zawsze ma pewność co do własnej inteligencji. Nawet on. Nie zastanawiał się nad sobą, dlaczego więc miałby się zastanawiać nad Zerkim? Veyrenc zaręczał, że chłopak ma zdolności, lecz Adamsberg jeszcze nie zauważył do czego.

– Cichy Hufiec, mówi ci to coś? – zapytał, ostrożnie przestawiając koszyk z gołębiem na kredens.

– Jaki hufiec? – zapytał Zerk, który zaczął rozkładać nakrycia, umieszczając widelce po prawej i noże po lewej, jak ojciec.

– A, nie, daj spokój. Zapytamy Danglarda. To część tego, czego uczyłem twojego brata od siódmego miesiąca życia. I uczyłbym ciebie, gdybym cię znał w tym wieku. Trzeba zapamiętać trzy zasady, Zerk, i jesteś uratowany. Jak nie dajesz rady czegoś dokończyć, zwracasz się do Veyrenca. Jak nie dajesz rady czegoś zrobić, zwracasz się do Retancourt. A jak nie wiesz czegoś, pytasz Danglarda. Zapamiętaj dobrze tę trójcę. Ale Danglard dziś będzie mocno naindyczony, nie wiem, czy uda się z niego coś wyciągnąć. Veyrenc wraca do brygady i to mu się nie spodoba. Danglard to luksusowy kwiat i jak wszystko co rzadkie, jest kruchy.

Adamsberg zatelefonował do swego najstarszego kolegi, gdy tymczasem Zerk podawał kolację. Tuńczyka na parze z cukinią i pomidorami, ryż, owoce. Zerk poprosił nowego ojca, żeby mógł przez jakiś czas u niego mieszkać, i stanęło na tym, że w zamian na jego głowie będą wieczorne posiłki. Umowa nie była szczególnie dotkliwa, bo Adamsberg zasadniczo

nie zważał, co ma na talerzu, mógł jeść codziennie makaron z takim samym sosem, podobnie jak wiecznie jednakowo się ubierał: w kurtkę i czarne spodnie niezależnie od pogody.

– Danglard naprawdę wie wszystko? – zapytał młody, marszcząc brwi równie krzaczaste jak u ojca, tworzące dziką gęstwinę nad oczami spoglądającymi z roztargnieniem.

– Nie, wielu rzeczy nie wie. Nie wie, jak znaleźć sobie kobietę, ale od dwóch miesięcy ma przyjaciółkę, to coś niebywałego. Nie wie, jak znaleźć wodę, ale świetnie wywachuje białe wino. Nie wie, jak opanować własne lęki i jak zapomnieć o masie pytań, które gromadzą się w niesłychany stos, a on bez wytchnienia po nim biega jak gryzoń po swojej norce. Poza tym nie umie biegać, patrzeć, jak pada deszcz i jak płynie rzeka, nie umie się nie przejmować życiowymi troskami, co gorsza, on je stwarza z wyprzedzeniem, żeby go nie zaskoczyły. Ale wie wszystko, co na pierwszy rzut oka nie jest użyteczne. Danglard nosi w głowie wszystkie biblioteki świata i jeszcze ma w niej dużo miejsca. To coś kolosalnego, niesłychanego, coś, czego nie potrafię opisać.

– A jeśli na pierwszy rzut oka nie jest użyteczne?

– Na pewno jest użyteczne na drugi albo na piąty rzut oka.

– Aha – rzekł Zerk na pozór usatysfakcjonowany odpowiedzią. – Ale ja nie wiem, co wiem. Jak sądzisz, co wiem?

– To samo co ja.

– Czyli?

– Nie wiem, Zerk. – Adamsberg podniósł rękę na znak, że wreszcie ma połączenie z Danglardem. – Danglard? Wszyscy u ciebie śpią? Możesz tu wpaść?

– Jeśli ci chodzi o gołębia, to nie ma mowy. Jest zapchlony, a ja mam bardzo złe wspomnienia związane z pchłami. I nie podoba mi się pchła głowa widziana pod mikroskopem.

Zerk popatrzył na zegarki ojca. Dwudziesta pierwsza. Violette kazała ptaka karmić i poić co godzinę. Namoczył okruchy sucharka, nabrał wody do pipetki, uzupełnił kroplą środka na wzmocnienie i przystąpił do dzieła. Ptak oczy miał zamknięte, lecz przyjmował pożywienie, które młody wkładał mu do dzioba. Zerk delikatnie unosił gołębia, tak jak Violette mu pokazała. Ta kobieta nim wstrząsnęła. Nigdy by nie pomyślał, że taka istota może chodzić po świecie. Oczami wyobraźni widział jej duże dłonie zręcznie manipulujące gołębiem, pochyloną nad stołem głowę o krótkich jasnych włosach, które kręciły się na szerokim karku porośniętym białym puszkim.

– Zerk zajmuje się gołębiem. I nie ma już pcheł. Retancourt załatwiła ten problem.

– I co?

– Gnębi mnie takie coś, Danglard. Kobięcina w kwiecistej sukience, która była u nas dzisiaj... zauważyłeś ją?

– Mniej więcej. Wyjątkowy przypadek wątlności, ulotności. Gdyby na nią dmuchnąć,

poleciałaby jak niełupka mniszka.

– Niełupka?

– Owoc mniszka lekarskiego, który jest niesiony przez puszysty spadochron. W dzieciństwie nie bawiłeś się dmuchawcami?

– Pewnie, że się bawiłem. Wszyscy się bawili dmuchawcami. Ale nie wiedziałem, że to się nazywa niełupki.

– Tak się nazywa.

– Danglard, a pominąwszy puszysty spadochron, ta kobiecina była przerażona.

– Nie zauważyłem.

– Była, Danglard. Był w niej strach w stanie czystym, strach, który wychynął z samego dna otchłani.

– Powiedziała ci dlaczego?

– Zdaje się, że ma zakaz mówienia o tym. Pod karą śmierci, jak przypuszczam. Ale szeptem dała mi wskazówkę. Jej córka widziała przechodzący Cichy Hufiec. Wiesz, co miała na myśli?

– Nie.

Adamsberg poczuł się okrutnie zawiedziony, niemal upokorzony, jakby nie udało mu się doświadczenie wykonywane na oczach syna, jakby nie dotrzymał słowa. Przechwycił zatroskane spojrzenie Zerka i gestem dał mu do zrozumienia, że to jeszcze nie koniec demonstracji.

– Wygląda na to, że Veyrenc wie, o co biega – ciągnął Adamsberg – ale poradził, żebym skonsultował się z tobą.

– Ach tak? – rzekł Danglard żywszym głosem, bo nazwisko Veyrenca zdawało się poruszać go jak nalot szarańczy. – Co dokładnie usłyszał?

– Że jej córka widziała, jak przechodzi Cichy Hufiec. W nocy. I że z tą bandą Lina, ta córka, widziała też myśliwego i trzech innych gości. Myśliwy zniknął przeszło tydzień temu i kobiecina uważa, że nie żyje.

– Gdzie? Gdzie go widziała?

– Na drodze niedaleko domu. W Ordebecu.

– Aaa! – Danglard się ożywił jak zawsze, kiedy potrzebna była jego wiedza, jak zawsze, kiedy mógł się zanurzyć i z lubością tarzać w jej głębinach. – Dziki Hufiec. Nie Cichy.

– O, przepraszam. Dziki.

– Na pewno tak powiedziała? Poczet Hellequina?

– Tak, jakoś tak to zabrzmiało.

– Wielki Łów?

– Też to mówiła – odparł Adamsberg, posyłając triumfujące mrugnięcie okiem Zerkowi jak ktoś, kto właśnie złowił wielkiego miecznika.

– I ta Lina widziała myśliwego z hufcem?

– Zgadza się. Podobno wrzeszczał. Inni też. Chyba to jakaś niepokojąca grupa, kobiecina z puszystym spadochronem wyglądała na zmartwioną, uważa, że ci ludzie są w niebezpieczeństwie.

– Niepokojąca grupa? – Danglard zachichotał. – To niewłaściwe słowo, inspektorze.

– Tak też mówi Veyrenc. Że ta banda zapowiada jakąś diabło potężną katastrofę.

Adamsberg umyślnie znowu napomknął o Veyrencu – nie po to, aby zranić Danglarda, lecz aby go przyzwyczaić na nowo do obecności wśród nich komisarza o pasiastych włosach, znieczulić na niego, wstrzykując mu jego nazwisko w niewielkich powtarzanych dawkach.

– Tylko wewnętrzna katastrofa – zaznaczył Danglard o ton ciszej. – Nie ma gwałtu.

– Veyrenc nic więcej nie potrafił powiedzieć. Wpadnij na kieliszek. Zerk zaopatrzył barek.

Na żądania Adamsberga Danglard nie lubił odpowiadać natychmiast po prostu dlatego, że zawsze je spełniał, i ten deficyt woli mocno go upokarzał. Przez parę minut coś tam jeszcze mamrotał, gdy tymczasem Adamsberg nalegał, nawykł bowiem do formalnych oporów komendanta.

– Leć, synu – powiedział Adamsberg, odkładając telefon. – Kup białe wino w sklepie tu niedaleko. Nie oszczędzaj, kup najlepsze, Danglarda nie możemy częstować jakimś sikaczem.

– Będę mógł się napić z wami? – spytał Zerk.

Adamsberg popatrzył na syna, nie wiedząc, co odpowiedzieć. Zerk ledwie go znał, miał dwadzieścia osiem lat, nie musiał nikogo pytać o pozwolenie, a jego zwłaszcza.

– Pewnie – machinalnie odparł Adamsberg. – Tylko nie chlaj tyle co Danglard – dodał i ojcowski wydzźwięk tej rady mocno go zaskoczył. – Weź pieniądze z kredensu.

Obaj równocześnie popatrzyli na koszyk. Na dużą kobiałkę na truskawki, którą Zerk opróżnił, by zrobić z niej miękkie łóżko dla gołębia.

– Jak myślisz? – zapytał Adamsberg.

– Drży, ale oddycha – ostrożnie odparł jego syn.

Przed wyjściem przelotnym gestem Zerk musnął palcem ptasie piórka. Przynajmniej do tego ma zdolności, pomyślał Adamsberg, patrząc za odchodzącym synem, zdolności do muskania ptaków, nawet tak pospolitych, brudnych i sponiewieranych jak ten.

## V

– Pójdzie szybko – rzekł Danglard, Adamsberg zaś chwilowo nie wiedział, czy mówi o Dzikim Hufcu czy o winie, chłopak bowiem przyniósł ze sklepu tylko jedną butelkę.

Adamsberg wyjął papierosa z paczki Zerka – ten gest nieuchronnie przypominał mu ich pierwsze spotkanie, które omal nie skończyło się krwawą jatką<sup>3</sup>. Od tej pory znów palił, najczęściej papierosy Zerka. Danglard podniósł pierwszy kieliszek.

– Przypuszczam, że kobiecina dmuchawiec nie chciała o tym mówić na komendzie w Ordebecu?

– Nawet w głowie jej to nie powstało.

– Całkiem normalne, wcale by się nie przejęli. Ty też później będziesz mógł zapomnieć o wszystkim. Coś wiadomo o tym myśliwym, który zniknął?

– Pies na zwierzyńcę, co gorsza, strzela tylko do samic i do młodych. Lokalne koło łowieckie go wywalilo, nikt nie chce z nim polować.

– Czyli zły człowiek? Brutal? Morderca? – pytał Danglard, upijając łyk wina.

– Najwyraźniej.

– Pasuje. Ta kobieta, Lina, mieszka w samym Ordebecu, tak?

– Chyba.

– Nigdy nie słyszałeś o miejscowości Ordebec? Przez jakiś czas mieszkał tam wielki kompozytor.

– To temat nie na dzisiaj.

– Ale pozytywna nuta. Reszta jest bardziej niepokojąca. A ten hufiec? Przeszedł po chemin de Bonneval?

– Kobiecina wymieniła tę nazwę – odparł Adamsberg zaskoczony. – Słyszałeś, jak to mówiła?

– Nie, ale to jeden ze znanych grimweldów, przecina las Alance. Możesz być pewny, że w Ordebecu nie ma nikogo, kto by o nim nie wiedział, i że ludzie często mieli tę historię, chociaż woleliby o niej zapomnieć.

– Grimweld. Nie znam tego słowa.

– Tak się mówi na drogę, którą podąża Poczta Hellequina albo Dzikie Hufiec, jeśli wolisz, albo Wielki Łów. Bardzo rzadko ktoś widzi ten przemarsz. Dość znany jest jeden z ludzi, który też go widział na chemin de Bonneval jak ta Lina. Nazywał się Gauchelin i był księdzem.

Danglard wypił dwa łyki wina jeden po drugim i uśmiechnął się. Adamsberg strzepnął popiół do zimnego kominka i czekał. Ten nieco prowokujący uśmiech, w którym marszczyły

się obwisłe policzki komendanta, nie wróżył nic dobrego – chyba tylko to, że Danglard wreszcie jest zadowolony i w swoim żywiole.

– Działo się to na początku stycznia roku tysiąc dziewięćdziesiątego pierwszego... Dobre wino wybrałeś, Arnel. Ale nie wystarczy nam.

– Kiedy? – zapytał Zerk, który przysunął sobie taboret do kominka i uważnie słuchał komendanta z łokciami wspartymi na kolanach, z kieliszkiem w ręce.

– Pod koniec jedenastego wieku. Pięć lat przed wyruszeniem pierwszej wyprawy krzyżowej.

– Cholera – odezwał się półgłosem Adamsberg, którego ogarnęło niemiłe wrażenie, że został wpuszczony w maliny przez kobiecinę z Ordebecu, choćby i delikatną jak dmuchawiec.

– Tak, tak – zgodził się z nim Danglard. – Dużo wysiłków na nic, inspektorze. Ale nadal chcesz zrozumieć przerażenie tej kobiety, nie?

– Może.

– No to musisz poznać historię Gauchelina. I musimy mieć drugą butelkę – przypomniał.  
– Jest nas trzech.

Zerk skoczył na równe nogi.

– Zaraz wracam – powiedział.

Przed wyjściem znowu musnął pióra gołębia, co nie umknęło Adamsbergowi, który po ojcowsku mechanicznie powtórzył:

– Weź pieniądze z kredensu.

Siedem minut później Danglard, uspokojony obecnością drugiej butelki, nalał sobie kolejny kieliszek, zaczął historię Gauchelina, po czym przerwał, wznosząc oczy do niskiego sufitu.

– Chociaż może kronika Hélinanda z Froidmont z początku trzynastego wieku podaje wyraźniejszy obraz. Dajcie mi chwilę, niech sobie przypomnę, niecodziennie zaglądam do tego tekstu.

– Myśl – rzekł Adamsberg stropiony.

Odkąd zrozumiał, że oddalają się ku mrokom średniowiecza, pozostawiając Michela Herbiera swojemu losowi, opowieść kobieciny i jej przerażenie zaczęły się prezentować pod takim kątem, że nie wiedział, co robić.

Wstał, skromnie nalał sobie do kieliszka i zajrzał do gołębia. Dziki Hufiec już go nie dotyczył, pomylił się co do zwiewnej pani Vendermot. Wcale go nie potrzebowała. Była nieszkodliwą wariatką, której w głowie poprzestawiało się na tyle, że bała się, iż regały mogą na nią runąć, nawet jedenastowieczne.

– Opowiada o tym jego stryj Hellebaud – uściślił Danglard, zwracając się teraz tylko do młodego.

– Stryj Hélinanda z Froidmont? – upewnił się skupiony Zerk.



– Zgadza się, jego stryj. Który mówi tak: „Około południa, kiedyśmy ja i mój sługa, który mnie poprzedzał, jadąc prędzej, aby zarządzić przygotowanie mi noclegu, przybliżali się do tego lasu, sługa posłyszał wielki tumult w lesie, jakby rzenie licznych koni, szcęk broni i pokrzykiwania tłumu ludzi nacierających na siebie. Przerażony sługa na równie przerażonym wierzchowcu zawrócił ku mnie. Kiedym go zapytał, czemu to zrobił, odpowiedział: «Nie mogłem powodować koniem, nie podziałało ani smaganie, ani ostrogi, a i ja byłem taki wystraszony, że nie mógł iść naprzód. Słyszałem bowiem i widziałem rzeczy zdumiewające»”. – Danglard wyciągnął rękę do młodego. – Armelu – rzekł, albowiem kategorycznie odmawiał używania jego przydomka „Zerk” i stanowczo wyrzucał inspektorowi, że tak go nazywa – napełnij mi kieliszek, a dowiesz się, co zobaczyła ta kobieta, ta Lina. Dowiesz się, co ją straszy nocami.

Zerk nalał komendantowi gorliwie jak chłopiec, który się boi, żeby nie doszło do przerwy w opowieści, po czym na powrót usiadł obok Danglarda. Wychował się bez ojca, nigdy mu nie opowiadano historii. Jego matka pracowała nocami jako sprzątaczką w przetwórni ryb.

– Dziękuję, Armelu. I sługa mówi dalej: „«Las jest pełny dusz umarłych i demonów. Słyszałem, jak mówiły i wołały: Mamy już rewolta Arques, dopadniemy arcybiskupa Reims». Na to odpowiedziałem: «Odcisnijmy sobie na czołach znak krzyża i podążajmy naprzód bezpiecznie»”.

– Teraz to znowu słowa stryja Hellebauda.

– Zgadza się. I Hellebaud mówi dalej: „Ruszyliśmy naprzód i kiedyśmy dotarli do lasu, cienie już się kładły na ziemi, a mimo to usłyszałem niewyraźne głosy i szcęk broni, i rzenie wierzchowców, ale nigdzie nie widziałem postaci ani nie rozumiałem słów. Po powrocie do domu dowiedzieliśmy się, że arcybiskup jest w agonii, i nie przeżył dwóch tygodni po tym, jak usłyszeliśmy tamte głosy. Wywnioskowaliśmy zatem, że zawładnęły nim te duchy. Zgodnie z tym, cośmy usłyszeli: że go dopadną”.

– To się nie zgadza z tym, co mówiła matka Liny – wtrącił Adamsberg głucho. – Nie powiedziała, że jej córka słyszała głosy i rzenie, ani że widziała zjawy. Zobaczyła po prostu Michela Herbiera i trzech innych gości z ludźmi z tego hufca.

– A, bo matka nie odważyła się powiedzieć wszystkiego. Poza tym w Ordebecu nie trzeba tego tak precyzować. Jeśli tam ktoś mówi: „Widziałem przechodzący Dzikie Hufiec”, wszyscy doskonale wiedzą, o co biega. Opowiem dokładniej o hufcu, który widzi Lina, i zrozumiecie, że nie ma lekkich nocy. I jednego możemy być pewni, inspektorze: że jej życie w Ordebecu musi być bardzo trudne. Ludzie na pewno jej unikają, omijają ją jak trędowatą. Sądzę, że matka przyjechała pogadać z tobą, żeby chronić córkę, głównie po to.

– A co ona widzi? – zapytał Zerk z papierosem zwisającym z ust.

– Armel, ten hufiec, który przechodzi z takim zgiełkiem, nie jest cały i zdrowy. Konie i jeźdźcy nie mają ciała, brakuje im rąk i nóg. To armia nieboszczyków na poły rozłożonych, wrzeszcząca i okrutna, niemogąca trafić do nieba. Wyobraź to sobie.

– Tak. – Zerk kiwnął głową i ponownie nalał sobie wina do kieliszka. – Da mi pan chwilkę? Jest dziesiąta, muszę się zająć gołębiem. Tak mi kazano.

– Kto ci kazał?

– Violette Retancourt.

– No to rób, co do ciebie należy.

Zerk sumiennie zakrzętnął się około gołębia: rozmoczony sucharek, buteleczka i pipetka. Szło mu to coraz lepiej. Po chwili usiadł z powrotem dość poruszony.

– Nie jest mu lepiej – rzekł ze smutkiem do ojca. – Sukinsyn.

– Znajdę go, wierz mi – powiedział cicho Adamsberg.

– Naprawdę przeprowadzisz dochodzenie w sprawie oprawcy gołębia? – zdziwił się Danglard.

– Ależ oczywiście – odparł Adamsberg. – A czemu nie?

Danglard poczekał, aż Zerk przeniesie wzrok na niego, po czym podjął opowieść o hufcu zjaw. Coraz mocniej go uderzało podobieństwo ojca i syna, ich identyczne spojrzenia, rozmyte, bez błysku i ostrości, oczy z niewidoczną nieuchwytną źrenicą. Tylko u Adamsberga dawało się ją czasami zauważyć, gdy nagle zapalała się w niej iskierka, tak jak promień słońca rozbłyskuje niekiedy na wodorostach podczas odpływu.

– Dziki Hufiec zawsze prowadzi ze sobą kilku żywych mężczyzn albo kobiet, ci ludzie wrzeszczą i lamentują z powodu cierpienia i ognia. Ich właśnie świadek rozpoznaje. Tak jak Lina rozpoznała myśliwego i tych trzech innych. Żywi błagają, żeby jakaś dobra dusza naprawiła ich złe uczynki, bo wtedy zostaną uratowani od męczarni. Tak pisze Gauchelin.

– Nie, Danglard – poprosił Adamsberg. – Daj spokój Gauchelinowi. To wystarczy, mamy ogląd całości.

– Ty prosileś, żebym przyjechał i opowiedział o hufcu – zauważył Danglard z urazą na twarzy.

Adamsberg wzruszył ramionami. Takie opowieści działały na niego usypiająco i zasadniczo wolałby, żeby Danglard poprzestał na krótkim streszczeniu. Jednakże wiedział, z jaką lubością komendant zanurza się w opowieściach – niczym w jeziorze wypełnionym najlepszym na świecie białym winem. Szczególnie czując na sobie zachwycony, pełen podziwu wzrok Zerka. Ta rozrywka rozwiązała przynajmniej dąsy Danglarda, który wyglądał teraz na bardziej zadowolonego z życia.

– Gauchelin mówi tak – ciągnął Danglard z uśmiechem, świadom znużenia Adamsberga: – „Oto zaczął się przemarsz mrowia pieszych. Nieśli na szyi i na ramionach bydło, odzienie, najróżniejsze przedmioty i utensylia, które zbójcy zwykle zabierają ze sobą”. Ładny tekst, prawda? – zapytał inspektora ze znaczącym uśmiechem.

– Bardzo ładny – zgodził się Adamsberg, nie myśląc o tym.

– Oszczędny w słowach i pełen wdzięku. Nie to co wiersze Veyrenca, ciężkawe i toporne jak spod siekiery.

– On tu nie jest winny. Jego babka lubiła Racine’a. Przez całe dzieciństwo codziennie mu go czytała, tylko Racine’a, nic innego. Bo uratowała jego tragedię z pożaru w szkole klasztornej.

– Lepiej by zrobiła, gdyby uratowała podręczniki savoir-vivre’u, kurtuazji i gdyby tego uczyła wnuka.

Adamsberg milczał, nie odrywając wzroku od Danglarda. Proces przyzwyczajania będzie długi. Na razie wszystko wskazywało na pojedynek między Veyrenkiem a Danglardem, a dokładniej – i stąd cały kłopot – między dwiema tęgimi głowami w brygadzie.

– Ale dajmy temu spokój – podjął Danglard. – Gauchelin pisze: „Wszyscy lamentowali i zachęcali, aby iść szybciej. Kapłan rozpoznał w tym pochodzie kilku swych niedawno zmarłych sąsiadów i słyszał, jak się skarżą na męczarnie, które musieli znosić z powodu swych niecznych uczynków”. Zobaczył też, i tu się przybliżamy do twojej Liny, zobaczył też „Landriego. W interesach i na rozprawach sądowych rozstrzygał wedle swego widzimisię i zależnie od otrzymanych podarunków zmieniał wyrok. Był raczej na usługach chciwości i oszustwa niż sprawiedliwości”. I dlatego Landri, wice-hrabia Ordebec, został schwytany przez Dziki Hufiec. Złe rozsądzanie było w tamtych czasach przestępstwem równie ciężkim jak przelew krwi. Inaczej niż dzisiaj, kiedy wszyscy mają to gdzieś.

– Właśnie – przytaknął Zerk, który jak się zdawało, zupełnie bezkrytycznie odnosił się do komendanta.

– Niemniej – kontynuował Danglard – choćby świadek nie wiadomo jak się starał, wróciwszy do domu po tym strasznym widziadłe, choćby dał na nie wiadomo ile mszy, żywi, których widział w rękach jeźdźców, umierają w ciągu tygodnia po wizji. W najlepszym razie po trzech tygodniach. I ten element historii kobieciny trzeba zapamiętać, inspektorze: wszyscy „pojmani” przez hufiec to dranie, czarne charaktery, wyzyskiwacze, nieuczciwi sędziowie albo mordercy. A o ich złych uczynkach współcześni na ogół nie wiedzą. Są bezkarni. Dlatego hufiec się nimi zajmuje. Kiedy dokładnie Lina widziała przemarsz?

– Przeszło trzy tygodnie temu.

– No to nie ma wątpliwości – rzekł spokojnie Danglard, wpatrując się w kieliszek. – Owszem, facet nie żyje. Odszedł razem z La Mesnie Hellequin.

– Z La Mesnie? – powtórzył Zerk.

– Z domownikami po normandzku. A Hellequin to ich senior, pan.

Adamsberg podszedł do kominka, znowu lekko zaciekawiony, i oparł się o ceglana kolumnienkę. Interesowało go, że hufiec wskazuje zabójców chodzących bezkarnie. Uzmysłował sobie nagle, że goście, których nazwiska ujawniła Lina, raczej nie mieli lekko w Ordebecu. Że inni na pewno ich obserwowali, kombinowali jak koń pod górkę, zastanawiali się, jakie popełnili przestępstwo. Można mówić, że w coś się nie wierzy, ale człowiek i tak w to wierzy. Zabójcza myśl wgryza się gdzie trzeba. Bezgłośnie posuwa się

przez zakamarki umysłu, szpera, krąży. Kiedy ją odepchnąć, cichnie, a potem wraca.

– Jak umierają ci „pojmani”? – zapytał.

– To zależy. Od nagłej gorączki albo zamordowani. Jeśli nie pokona ich szybko postępująca choroba albo nie zginą w wypadku, wykonawcą nieodwołalnej woli hufca staje się ktoś z żyjących. Czyli zabójstwo, ale zabójstwo na zamówienie pana Hellequina. Rozumiesz?

Dwa kieliszki wina, które Adamsberg wypił – co mu się zdarzało rzadko – rozpuściły jego lekkie niezadowolenie. W tej chwili na przykład jakby uważał, że spotkanie kobiety zdolnej zobaczyć ten Straszny Hufiec jest doświadczeniem rzadkim i rozrywkowym. I że faktyczne skutki takiej wizji mogą być potworne. Dolał sobie jeszcze pół kieliszka i podebrał papierosa z paczki syna.

– To legenda specyficzna dla Ordebecu? – zapytał.

Danglard pokręcił głową.

– Nie. La Mesnie Hellequin przechodzi przez całą Europę Północną. Przez kraje skandynawskie, Flandrię, później przez północną Francję i Anglię. Ale podąża zawsze tymi samymi szlakami. Od tysiąca lat przemierza chemin de Bonneval.

Adamsberg przysunął sobie krzesło i usiadł z wyciągniętymi nogami, zamykając męskie kółko przed kominkiem.

– Niemniej... – zaczęła i na tym skończyła, jak często mu się zdarzało, z braku myśli dość klarownej, aby ją wyrazić słowami.

Danglard nigdy nie zdołał przywyknąć do zaćmień umysłowych inspektora, do braku spójności i wizji całości problemu.

– Niemniej – podjął Danglard zamiast niego – to tylko historia o nieszczęśliwej kobiecie cierpiącej na zaburzenia, które wywołują wizje. I o matce tak przestraszonej, że wierzy w to i prosi o pomoc policję.

– Niemniej ta kobieta zapowiada kilka zgonów. Załóżmy, że Michel Herbier nie wyjechał, założmy, że zostanie odnalezione jego ciało. Co wtedy?

– Ha, wtedy twoja Lina będzie w bardzo złej sytuacji. Kto zaręczy, że nie zabiła Herbiera? I że nie opowiada tej historii, by zamydlić ludziom oczy?

– Jak to: zamydlić? – rzekł Adamsberg z uśmiechem. – Naprawdę myślisz, że jeźdźcy Dzikiego Hufca mogą być podejrzanymi, którzy zainteresują gliniarzy? Uważasz, że Lina sprytnie podsuwa nam jako winnego gościa, który od tysiąca lat przemierza na koniu okolicę? Kogo niby aresztujemy? Wodza Hennequina?

– Hellequina. I on jest seniorem. Być może potomkiem Odyna. – Danglard pewną ręką nalał wina do kieliszka. – Daj sobie spokój, inspektorze. Zostaw beznogich jeźdźców tam, gdzie są, i Linę razem z nimi.

Adamsberg pokiwał głową, a Danglard opróżnił kieliszek. Po jego wyjściu Adamsberg przez chwilę krążył po pokoju zapatrzony w dal.

– Pamiętasz? – odezwał się wreszcie. – Kiedy pierwszy raz tu przyszedłeś, żarówka była spalona.

– Dalej jest.

– Może by ją wymienić?

– Powiedziałeś, że to ci nie przeszkadza, że żarówki świecą albo nie.

– To prawda. Ale zawsze przychodzi chwila, kiedy trzeba uczynić krok. Zawsze przychodzi chwila, gdy mówi się, że trzeba wymienić żarówkę, gdy mówi się, że jutro zadzwoni się do kapitana żandarmerii w Ordebecu. I wtedy nie pozostaje nic innego, jak to zrobić.

– Ale komendant Danglard ma rację. Ta kobieta ma nierówno pod sufitem. Co chcesz zrobić z tym jej Dzikim Hufcem?

– Jej hufiec wcale mi nie przeszkadza, Zerk. Nie lubię tylko, kiedy ktoś przychodzi i zapowiada mi nagły zgon w taki czy inny sposób.

– Rozumiem. To ja się zajmę żarówką.

– Poczekasz do jedenastej, żeby go nakarmić?

– Zostanę całą noc, żeby go karmić co godzinę. Przedrzemię się na krześle. – Zerk wierzchem palców dotknął ptaka. – Nie jest za ciepły mimo wysokiej temperatury.

## VI

Piętnaście po szóstej rano Adamsberg poczuł, że ktoś nim potrząsa.

– Otworzył oczy! Chodź zobaczyć. Szybko.

Zerk ciągle nie wiedział, jak się zwracać do Adamsberga. „Ojcze”? Zbyt urzędowo. „Tato”? W jego wieku trudno do tego przywyknąć. „Jean-Baptiste”? Przyjacielsko i niestosownie. Tymczasem więc nijak się do niego nie zwracał, przez co niekiedy tworzyły się kłopotliwe luki w wygłaszanych przezeń zdaniach. Dziury. Ale te dziury znakomicie podsumowywały jego dwudziestośmioletnią nieobecność.

Zeszli obaj na dół i pochylił się nad kobiałką. Ptak miał się lepiej, bez dwóch zdań. Zerk przystąpił do zdejmowania opatrunków z łapek i przemywania ran, Adamsberg tymczasem nastawiał kawę.

– Jak go nazwiemy? – zapytał Zerk, owijając gołębiowi łapki czystą cieniutką gazą. – Skoro żyje, trzeba na niego jakoś wołać. Nie można stale mówić „gołąb”. Może Violette, jak ta twoja piękna komisarz?

– Nie pasuje. Nikt nie zdołałby złapać Retancourt i związać jej łapek.

– To nazwijmy go Hellebaud, jak ten facet z opowieści komendanta. Myślisz, że zajrzał do tych tekstów, zanim przyszedł?

– Tak, musiał je sobie przypomnieć.

– Nawet jeżeli, to jak zdołał je zapamiętać?

– Nie próbuj tego zgłębiać, Zerk. Bo gdybyśmy zajrzeli do głowy Danglarda, gdybyśmy pochodzili w niej, chyba wystraszylibyśmy się bardziej niż największego zgiełku Dzikiego Hufca.

Zaraz po przyjściu na komendę Adamsberg zajrzał do spisu telefonów i zadzwonił do kapitana Louisa Nicolasa Émeriego z posterunku żandarmerii w Ordebecu. Przedstawił się i wyczuł, że po drugiej stronie linii zapanowało niejakie wahanie. Dobiegały go szeptane pytania, ostrzeżenia, pomrukiwania, hurgot krzesel. Często gdy Adamsberg dzwonił na posterunek żandarmerii, wzbudzał na chwilę popłoch, zawsze bowiem się zastanawiano, czy odebrać rozmowę, czy też wykręcić się od niej pod jakimkolwiek pretekstem. Louis Nicolas Émeri wziął ostatecznie słuchawkę.

– Słucham, inspektorze – powiedział nieufnie.

– Kapitanie, chodzi mi o człowieka, który zniknął, tego, któremu opróżniono zamrażarkę.

– O Herbiera?

– Tak. Macie jakieś wieści?

– Żadnych. Sprawdziliśmy dom i wszystkie zabudowania. Ani śladu człowieka.

Głos przyjemny, trochę za bardzo modulowany, zdecydowany i grzeczny.

– Jest pan zainteresowany sprawą z konkretnego powodu? – podjął kapitan. – Zdziwiłbym się, gdyby zwracał pan sobie głowę tak pospolitym przypadkiem zaginięcia.

– Nie zwracam sobie głowy. Zastanawiałem się tylko, co zamierzacie zrobić.

– Zastosować się do prawa, panie inspektorze. Nikt nie złożył wniosku o wszczęcie poszukiwań, to i człowiek nie trafił na listę osób zaginionych. Odjechał na skuterze, więc nie mam prawa go szukać. Wolna wola – dodał z niejaką wyniosłością. – Regulaminowa robota wykonana, nie było wypadku drogowego, jego pojazdu nigdzie nie zauważono.

– Co myślicie o jego wyjeździe, kapitanie?

– W sumie niezbyt mnie dziwi. Herbiera tu nie lubili, a wielu nawet go nienawidziło. Sprawa z zamrażarką może świadczyć, że ktoś urzeczywistnił pogroźki przez te jego bestialskie polowania, słyszał pan o tym?

– Tak. Samice i młode.

– Możliwe, że Herbiera ogarnął strach, więc wziął nogi za pas i tyle go widzieli. Albo dopadł go kryzys, wyrzuty sumienia, sam opróżnił zamrażarkę i zostawił wszystko.

– No... Czemu nie?

– I tak w okolicy nie miał żadnych znajomych. Równie dobrze mógł gdzie indziej zacząć życie od nowa. Dom nie jest jego, wynajmował go. A odkąd przeszedł na emeryturę, miał problemy z opłatami. Bez skargi właściciela mam związane ręce. Wyniósł się cichaczem, tak myślę.

– Całkiem możliwe, kapitanie. Jest u was chemin de Bonneval?

– Tak. A co?

– Skąd dokąd prowadzi?

– Zaczyna się w miejscu zwanym Les Illiers prawie trzy kilometry stąd, dalej biegnie przez część lasu Alance. Od La Croix des Bois zmienia nazwę.

– Jest uczęszczana?

– Za dnia można jej używać. Ale w nocy nikt nią nie chodzi. Wie pan, stare legendy...

– Nie rozejrzeliście się tam przypadkiem?

– Jeśli to sugestia, panie inspektorze, to i ja coś zasugeruję. Otóż zdaje mi się, że odwiedził pana ktoś z mieszkańców Ordebecu. Mylę się?

– Macie słuszność, kapitanie.

– Kto?

– Nie mogę powiedzieć. Zaniepokojona osoba.

– Łatwo sobie wyobrazić, co panu nagadała. O gromadzie strasznych upiorów, którą zobaczyła Lina Vendermot, o ile można to nazwać „zobaczeniem”. I w ich towarzystwie widziała jakoby Herbiera.

– Owszem – przyznał Adamsberg.

– Chyba pan w to nie wejdzie, inspektorze? Wie pan, czemu Lina zobaczyła Herbiera z tym cholernym hufcem?

– Nie.

– Bo go nienawidzi. To dawny przyjaciel jej ojca, może jedyny. Proszę posłuchać dobrej rady, inspektorze: niech pan o tym zapomni. Tej dziewczynie od dziecka brakuje piątej klepki i wszyscy o tym wiedzą. I wszyscy się jej wystrzegają, jej i całej tej zwariowanej rodziny. Ale to nie ich wina. W gruncie rzeczy należy im raczej współczuć.

– Wszyscy wiedzą, że widziała hufiec?

– Oczywiście. Lina powiedziała rodzinie i szefowi.

– Jej szef to kto?

– Lina jest prawnikiem, współpracowniczką w kancelarii Deschamps i Poulain.

– Kto rozgadał?

– Wszyscy. Tutaj od trzech tygodni mówi się tylko o tym. Zdrowi na umyśle się naśmiewają, poszkodowani na umyśle się boją. Zapewniam, że doskonale byśmy się obeszli bez zabaw Liny w straszenie ludności. W ciemno mogę się założyć, że od trzech tygodni nikt nie postawił nogi na chemin de Bonneval. Nawet zdrowi na umyśle. A ja tym bardziej.

– Dlaczego, kapitanie?

– Proszę nie sądzić, że się czegoś boję – zapewnił i Adamsbergowi wydało się, że w jego słowach pobrzmiwa duma dawnego marszałka cesarstwa – ale nie mam ochoty, by później opowiadano, że kapitan Émeri wierzy w Dziki Hufiec. I panu to samo radzę, jeśli zechce pan posłuchać. Tę sprawę trzeba schować pod korzec. Ale z przyjemnością powitam pana tutaj, jeśli kiedyś kwestie zawodowe skierują pana na drogę do Ordebecu.

Dwuznaczna i dość trudna wymiana zdań, pomyślał Adamsberg, zakończywszy połączenie. Émeri pokpiwał sobie, acz dobrodusznie. Pozwalał mu przyjechać, już będąc poinformowany o wizycie w Paryżu jednego z mieszkańców Ordebecu. Jego rezerwa była zrozumiała: mieć wizjonerkę na swoim terenie to żaden dar niebios.

Komenda powoli zapełniała się ludźmi, Adamsberg bowiem najczęściej zjawiał się przed czasem. Okazała postać Retancourt na chwilę zasłoniła drzwi i światło i Adamsberg patrzył, jak policjantka idzie do swojego biurka krokiem pozbawionym wdzięku.

– Gołąb rano otworzył oczy – powiedział. – Zerk karmił go przez całą noc.

– Dobra nowina – odparła krótko Retancourt, która nie była osobą uczuciową.

– Jeśli przeżyje, będzie się wabił Hellebaud.

– Elbo? Bez sensu.

– Nie, Hellebaud przez „h” na początku i „aud” na końcu. To dawne imię. Czyjś stryja czy bratanka.

– Aha – skwitowała komisarz, włączając komputer. – Justin i Noël chcą się z panem widzieć. Zdaje się, że Momo Łysa Pała znów zaczął działać, ale tym razem szkody są duże. Auto jak zwykle kompletnie spalone, tyle że ktoś w nim spał. Według pierwszych analiz



starszy mężczyzna. Nieumyślne pozbawienie życia, tym razem nie wykpi się półrocznym wyrokiem. Wszczęli dochodzenie, ale chcą... jak by to powiedzieć... ukierunkowania go przez pana.

Retancourt z naciskiem wymówiła słowo „ukierunkowanie” z czymś na kształt ironii w głosie. Z jednej strony bowiem doceniała, że Adamsberg nigdy nie jest „ukierunkowany”, z drugiej zaś generalnie odnosiła się z dezaprobatą do sposobu, w jaki inspektor dawał się nieść z wiatrem dochodzeń. Ów konflikt w metodzie działania od początku istniał w stanie uspionym, ona zaś i Adamsberg nie podejmowali żadnych prób załatwienia tego jakoś. Co nie przeszkadzało Adamsbergowi żywić do Retancourt instynktownej miłości, jaką poganin darzyłby największe drzewo w lesie. Jedyne, które zapewnia prawdziwe schronienie.

Inspektor podszedł do stołu, przy którym Justin i Noël wpisywali ostatnie dane o samochodzie spalonym wraz z człowiekiem. Momo Łysa Pała właśnie puścił z dymem jedenaste auto.

– Mercadet i Lamarre zostali przed blokiem, w którym gnieździ się Momo w Cité des Buttes – wyjaśnił Noël. – Samochód spłonął w Piątej dzielnicy, przy rue Henri-Barbusse. Jak zwykle drogi mercedes.

– Ten spalony człowiek... wiadomo, kim jest?

– Jeszcze nie. Nic nie zostało z dokumentów ani z tablic rejestracyjnych. Chłopcy badają silnik. Zamach na bogacza, Momo Łysa Pała jak nic. Nigdy nie podpalił poza tą dzielnicą.

– Nie. – Adamsberg pokręcił głową. – Tego nie zrobił Momo. Tracimy czas.

Tracenie czasu samo w sobie nie przeszkadzało Adamsbergowi. Nieczuły na kąsanie niecierpliwości, nie kwapił się do nadążania za rytmem często konwulsyjnym podwładnych, podobnie jak podwładni nie potrafili towarzyszyć jemu w niespiesznym podążaniu naprzód. Adamsberg nie stosował jakiegś jednej metody, a tym bardziej teorii, lecz wydawało mu się zawsze, że co się tyczy czasu, to w prawie stałych jego odstępach trafiają się niekiedy najrzadsze perełki. Niczym muszelki wślizgują się w szpary w skałach, z dala od fal pełnego morza. W każdym razie on tam właśnie zawsze je znajdował.

– Momo Łysa Pała jak nic – upierał się Noël. – Ten starszy facet musiał czekać na kogoś w samochodzie. Było ciemno, mógł się osunąć we śnie. W najlepszym razie Momo Łysa Pała go nie zauważył. W najgorszym podpalił wszystko. Samochód i pasażera.

– To nie Momo.

Adamsberg wyraźnie pamiętał twarz chłopaka, upartą i inteligentną, drobną pod masą czarnych kręconych włosów. Nie wiedział, dlaczego nie zapomniał Mo, czemu go lubi. Słuchając kolegów, sprawdzał przez telefon połączenia kolejowe z Ordebekiem, ponieważ samochód miał w naprawie. Kobiecina się nie pokazała, przypuszczał zatem, że skoro źle się spisała, wróciła poprzedniego dnia do Normandii. Niewiedza inspektora na temat Dzikiego Hufca z pewnością wywarła wpływ na strzępki jej odwagi. Niewątpliwie bowiem trzeba mieć odwagę, aby przyjść do gliniarza i opowiadać mu o tysiącletniej armii upiorów.

– Inspektorze, spalił już dziesięć samochodów, dorobił się ksywy. Podziwiają go w całej dzielnicy. Pnie się, ciągnie go coraz wyżej. Dla niego mercedesy, które uważa za wrogów, i tych, którzy je prowadzą, dzieli tylko jeden krok.

– Milowy krok, Noël, którego ten chłopak nigdy nie zrobi. Poznałem go w czasie dwóch tymczasowych aresztowań. Momo nigdy by nie podłożył ognia, gdyby nie sprawdził samochodu.

W Ordebecu nie było stacji, należało wysiąść w Cérenay i stamtąd pojechać dalej autobusem. U celu będzie nie wcześniej jak około piątej – dość czasochłonna wyprawa, żeby zrobić sobie jeden krótki spacer. W długi letni dzień spokojnie przejdzie pięciokilometrowy odcinek chemin de Bonneval. Jeżeli zabójca chciał wykorzystać szajbę tej Liny, właśnie tam mógł porzucić ciało. Ten wypad do lasu Adamsberg odbierał już nie tylko jako niewyraźny jasno obowiązkiem, do którego się poczuwał wobec kobieciny, lecz jako zbawienną ucieczkę. Wyobrażał sobie zapach drogi, cienie, dywan z opadłych liści pod nogami. Mógłby wysłać któregokolwiek z sierżantów, a nawet przekonać kapitana Émeriego, żeby tam się udał. Jednakże myśl, by zbadać to osobiście, nasunęła mu się łagodnie w ciągu przedpołudnia, nie wnosząc żadnych wyjaśnień, dając za to mgliste przecucie, że paru mieszkańców Ordebecu ma akurat paskudną passę.

Zamknął komórkę i przeniósł uwagę na obu komisarzy.

– Skupcie się porządnie na tym człowieku, który spłonął – powiedział. – Przy reputacji, jaką Momo się cieszy w tym sektorze Piątej dzielnicy, łatwo zwalić na niego morderstwo, posługując się jego metodami, które nie są zbyt skomplikowane. Trochę benzyny i krótki lont, tyle wystarczy mordercy. Każe czekać człowiekowi w samochodzie, wraca, kryjąc się w cieniu, i podkłada ogień. Poszukajcie, kim jest ten człowiek, czy dobrze widział i słyszał. Poszukajcie też tego, kto prowadził samochód i z kim pasażer czuł się bezpieczny. To nie powinno zająć dużo czasu.

– Mimo to sprawdzamy alibi Moma?

– Tak. Ale pošlijcie do analizy próbki benzyny, niech sprawdzą jej liczbę oktanową. Momo używa paliwa do skuterów mocno rozcieńczonego olejem. Porównajcie skład, jest w aktach. Nie szukajcie mnie dziś po południu – dodał, podnosząc się z miejsca. – Wyjeżdżam, nie będzie mnie do wieczora.

Dokąd? pytał wzrokiem chudy Justin.

– Spotkam się w lesie z paroma starymi jeźdźcami. To nie potrwa długo. Powiedźcie innym. Gdzie Danglard?

– Przy dystrybutorze kawy – odparł Justin, palcem wskazując wyższe piętro. – Zaniósł kota do miski, dziś jego kolej.

– A Veyrenc?

– W przeciwnym końcu budynku – rzekł Noël ze złośliwym uśmiechem.

Adamsberg znalazł Veyrencia w biurze najbardziej oddalonym od dużej wspólnej sali. Stał oparty o ścianę.

– Jestem w trakcie asymilacji – powiedział, wskazując stos teczek z aktami. – Rozglądam się, coście zmajstrowali pod moją nieobecność. Widzę, że kot zgrubiał, Danglard też. Jest mu lepiej.

– Jak ma nie grubieć? Całe dni spędza w pobliżu Retancourt, wyciągnięty na fotokopiarce.

– Mówisz o kocie. Gdyby nikt go nie nosił do miski, może zdecydowałby się pójść sam.

– Próbowaliśmy, Veyrenc. W ogóle nie jadł, po czterech dniach przerwaliśmy eksperyment. On się porusza bez problemu. Jak tylko Retancourt wychodzi, znakomicie potrafi zejść z tego swojego postumentu i wyłożyć się na jej krzesło. A Danglard znalazł sobie nową dziewczynę w czasie konferencji w Londynie.

– A, to dlatego. Ale kiedy mijał mnie dziś rano, cały się najeżył i spał. Pytałeś go o hufiec?

– Tak. Bardzo stara sprawa.

– Bardzo – potwierdził Veyrenc z uśmiechem.

*Gdzieś w starych zakamarkach umarłe sprawy śpią,  
Nie próbuj ich obudzić, nie daj otworzyć się drzwiom,  
za którymi sobie tkwią...*

– Nie budzę, jadę na spacer po chemin de Bonneval.

– To grimweld?

– Tak, prowadzi przez Ordebec.

– Powiedziałaś Danglardowi o wypadzie?

Veyrenc równocześnie stukał na klawiaturze komputera.

– Tak, nastroszył się z niezadowolenia. Bardzo mu się podobało, kiedy opowiadał mi o hufcu, ale nie podoba mu się, że za nim idę.

– Powiedział ci o „pojmanyh”?

– Tak.

– No to wiedz, jeśli tego szukasz, że bardzo rzadko się zdarza, by pojmanyh porzucono na grimweldzie. Znajduje się ich zwyczajnie albo w domu, albo na placu pojedynkowym, albo w jakiejś studni, albo w pobliżu opuszczonego miejsca kultu. Bo jak wiesz, opuszczony kościół przyciąga demony. Ledwie zostawi się takie miejsce, a zaraz zagnieżdża się w nim zło. I pojmani przez hufiec wracają po prostu do demona.

– Logiczne.

– Zobacz – powiedział Veyrenc, wskazując monitor. – To mapa lasu Alance.

- Tutaj – stwierdził Adamsberg, wiodąc palcem wzdłuż linii prostej – musi być droga.
- A tu masz kaplicę Świętego Antoniego w Alance. A po przeciwnej stronie, na południu, stoi krzyż. W te miejsca możesz zajrzeć. Zabierz ze sobą krzyżyk, żeby cię chronił.
- Mam w kieszeni kamień rzeczny.
- W zupełności wystarczy.

## VII

W Normandii było jakieś sześć stopni mniej, toteż gdy Adamsberg wysiadł na niemal pustym dworcu autobusowym, poruszył trochę jak zwierzę głową na rześkim wietrze, by owiał mu kark i miejsce za uszami, poniekąd niczym koń opędzający się od bąków. Okrążył Ordebec od północy i pół godziny później stanął na chemin de Bonneval, o czym informowała stara drewniana tabliczka namalowana ręcznie. Dróżka okazała się wąska wbrew temu, co sobie wyobrażał niewątpliwie dlatego, że myśl o przejściu setek zbrojnych narzuciła mu wizję szerokiego imponującego traktu pod sklepieniem z koron ogromnych buków. W rzeczywistości była bardzo skromna, utworzona z dwóch kolein rozdzielonych wyższym trawiastym pasem, po bokach biegły rowy odwadniające zarośnięte jeżynami, młodymi wiązami i leszczynami. Dużo jeżyn już dojrzało – bardzo wcześnie z powodu nienormalnych upałów – i Adamsberg nazrywał ich po drodze, zagłębiając się w las. Posuwał się wolno, przepatrując pobocza, bez pośpiechu pogryzając owoce trzymane w dłoni. Wokół latało mnóstwo much, które obsiadały mu twarz, aby spijać pot.

Co trzy minuty przystawał, by uzupełnić zapas jeżyn, ciernie szarpały mu wtedy starą czarną koszulę. W połowie drogi przystanął nagle, przypomniawszy sobie, że nie zostawił żadnej wiadomości Zerkowi. Tak przywykł do samotności, że uprzedzanie innych o nieobecności wymagało od niego wysiłku. Wybrał jego numer.

– Hellebaud stanął na nogach – powiadomił go chłopak. – Sam zjadł ziarenka. Tylko że nasrał później na stół.

– Tak to jest, kiedy życie wraca. Na razie rozłóż folię na stole. Znajdziesz na strychu. Wrócę dopiero w nocy, Zerk, jestem na chemin de Bonneval.

– Widzisz ich?

– Nie, jest jeszcze za jasno. Patrzą, czy nie znajdę tu ciała myśliwego. Od trzech tygodni nikt tędy nie szedł, pełno tu jeżyn, wcześnie dojrzały. Jeśli zadzwoni Violette, nie mów jej, gdzie jestem, to by się jej nie spodobało.

– Jasne – powiedział Zerk, Adamsberg zaś pomyślał, że jego syn jest subtelniejszy, niż się wydaje. Okruch po okruchu gromadził informacje o nim.

– Wymieniłem żarówkę w kuchni – dodał Zerk. – Na schodach też nie świeci. Wymienić?

– Pewnie, tylko nie dawaj za mocnej. Nie lubię, jak widać wszystko.

– Jeśli spotkasz hufiec, zadzwoń.

– Raczej nie dam rady. Jego przejście na pewno zakłóca sieć. Zderzenie dwóch różnych czasów.

– Jasne – zgodził się chłopak, po czym zakończyli rozmowę.

Adamsberg przeszedł jeszcze jakieś osiemset metrów, przepatrując pobocza. Bo Herhier nie żył, co do tego nie miał wątpliwości, i był to jedyny punkt wspólny z tą Vendermot, która by uleciała, gdyby na nią dmuchnąć.

Na drodze pojawiła się postać, Adamsberg zmrużył więc oczy, zwalniając kroku. Bardzo wysoka postać siedząca na pniu drzewa, taka stara i pokrzywiona, że obawiał się, iż ją nastraszy.

– Hello – powiedziała staruszka, kiedy się zbliżył.

– Hello – odpowiedział Adamsberg zdziwiony. „Hello” było jednym z nielicznych znanych mu słów po angielsku, oprócz „yes” i „no”.

– Zeszło panu trochę od dworca.

– Zbierałem jeżyny – wyjaśnił Adamsberg, zastanawiając się, jak głos tak pewny może wychodzić z tak mdłego ciała. Mdłego, lecz okazałego. – Wie pani, kim jestem?

– Nie do końca. Lionel widział, jak pan wysiadał z pociągu z Paryża i wsiadał do autobusu. Powiedział mi to Bernard, a ja dodałam a do b i proszę: jest pan. W dzisiejszych czasach i przy tym, co tu się dzieje, ani chybi jest pan policjantem z miasta. Powietrze jest złe. Niech pan zwróci uwagę, że Michel Herhier to żadna strata.

Staruszka hałaśliwie pociągnęła nosem i przejechała pod nim grzbietem dużej dłoni, wycierając kroplę.

– I czekała pani na mnie?

– Ależ nie, młodzieńcze, czekam na psa. Zadurzył się w suce z gospodarstwa Les Longes, tu zaraz niedaleko. Jak go nie zabiorę do niej od czasu do czasu, dostaje wariacji. Renoux, gospodarz w Les Longes, jest wściekły, mówi, że nie chce gromady kundli na podwórku. Ale cóż poradzić? Nic się nie robi. A miałam właśnie letnią grypę i już dziesięć dni, jak nie mogłam go tu zabrać.

– I nie boi się pani sama na tej drodze?

– A czego?

– Dzikiego Hufca – spróbował Adamsberg.

– Pomyśl pan tylko – rzekła kobieta, kręcąc głową. – Po pierwsze, to nie noc, a nawet gdyby, ja go i tak nie widzę. Nie każdemu jest to dane.

Adamsberg nad głową postawnej kobiety widział ogromną jeżynę, lecz nie śmiał z tego powodu jej przeszkadzać. Dziwne, pomyślał. Ledwie człowiek wejdzie do lasu, zaraz instynktownie odżywa w nim duch zbieracki. Spodobałoby się to Mathiasowi, jego przyjacielowi prehistorykowi. Jeśli się bowiem zastanowić, fascynujące jest samo zbieranie. Bo jeżyna tak ogólnie to niespecjalny owoc.

– Nazywam się Léone – powiedziała kobieta, wycierając kolejną kroplę spod okazałego nosa. – Ale wołają mnie Léo.

– Jean-Baptiste Adamsberg, inspektor brygady kryminalnej w Paryżu. Cieszę się, że panią poznałem – dodał grzecznie. – Pójdę dalej.

– Jeśli szukasz pan Herbiera, to tam go nie znajdziesz. Gnije w swojej czarnej krwi o dwa kroki od kaplicy Świętego Antoniego.

– Martwy?

– Tak, od dawna. Opłakiwać nikt go tu nie będzie, ale ładne to nie jest. Ten, kto to zrobił, nie patyczkował się, twarzy w ogóle nie widać.

– Znaleźli go żandarmi?

– Nie, młodzieńcze, ja. Często zanoszę bukiet do kaplicy, nie lubię na długo zostawiać Świętego Antoniego. Święty Antoni to patron zwierząt. Masz pan jakiegoś zwierzaka?

– Chorego gołębia.

– A widzisz pan, to dobrze się składa. Jak pan zajdziesz do kaplicy, trzeba o nim pomyśleć. Święty Antoni pomaga też odnajdywać zgubione rzeczy. Na starość stale coś gubię.

– Nie wstrząsnęło to panią? Te zwłoki tam?

– To nie to samo, kiedy człowiek czegoś się spodziewa. Wiedziałam, że go zabili.

– Z powodu hufca?

– Z powodu mojego wieku, młodzieńcze. Tutaj żaden ptak nie zniesie jajka, żebym o tym nie wiedziała albo nie wyczuła tego. O, możesz pan być pewny, że ostatniej nocy lis porwał kurę z gospodarstwa tego Deveneux. Ma trzy łapy i kikut ogona.

– Gospodarz?

– Lis. Widziałam jego łajno. Ale wierz mi pan, radzi sobie. Zeszłego roku zadurzyła się w nim sikorka bogatka. Pierwszy raz widziałam coś takiego. Przesiadywała mu na grzbiecie, a on jej ani tknął. Tylko ona, żadna inna. Dużo jest na świecie różnych szczegółów, zauważyłeś pan? A że żaden szczegół nie powtarza się w tym samym kształcie i uruchamia inne szczegóły, wszystko się zmienia i zmienia. Gdyby Herber żył, w końcu by zabił lisa i przy okazji sikorkę. A przy tym rozpętałyby się wojna przy wyborach samorządowych. Ale nie wiem, czy sikorka wróciła tego roku. Pech.

– Żandarmi są na miejscu? Powiadomiła ich pani?

– Niby jak? Muszę czekać na psa. Jak się pan spieszysz, można do nich zadzwonić.

– To chyba nie najlepszy pomysł – stwierdził Adamsberg po chwili. – Żandarmi nie lubią, żeby chłopcy z Paryża wtrącali się w ich sprawy.

– To czemuś pan tu jest?

– Bo przyjechała do mnie pewna kobieta stąd. Dlatego wpadłem.

– Stara Vendermotowa? Jasne, że boi się o dzieciaki. Tak samo jak jasne jest, że lepiej by zrobiła, gdyby milczała. Ale ta historia tak ją martwi, że nie mogła się powstrzymać przed szukaniem pomocy.

Z krzaków wypadło nagle z ujadaniem wielkie płowe psisko o zwisających uszach i położyło łeb na chudych długich nogach swojej pani, mrużąc ślepia jakby w podziękowaniu.

– Hello, Pasik – powiedziała, wycierając dłonią nos, podczas gdy pies swój nos wycierał o jej szarą spódnicę. – Widzisz pan, jaki zadowolony?

Léo wyjęła z kieszeni kostkę cukru i podała zwierzakowi do pyska. Potem Pasik oszalały z ciekawości zaczął obskakiwać Adamsberga.

– Już dobrze, Pasik – powiedział inspektor, klepiąc go po szyi.

– Naprawdę wabi się Pasibrzuch. Od małego to leniuch jakich mało. Ludzie stale mówią, że umie tylko polegać wszędzie i nic innego. A ja twierdzę, że lepsze to niż gryzienie wszystkich wokoło.

Staruszka podniosła się z pnia, prostując całe przygarbione ciało, i podparła się na dwóch laskach.

– Jeśli wraca pani do domu, żeby zadzwonić na posterunek, pozwoli pani, że będę jej towarzyszył? – zapytał Adamsberg.

– Ależ proszę, bardzo lubię towarzystwo. Tyle że nie chodzę za szybko, zajmie nam z pół godziny na skrót przez las. Dawniej, za życia Ernesta, przerobiłam gospodarstwo na zajazd. Noclegi ze śniadaniem. W tamtych czasach stale byli u nas ludzie, i to młodzi. Wesoło było, wszędzie ruch. Musiałam z tym skończyć dwanaście lat temu, tak że teraz smutno u mnie. Toteż kiedy trafi mi się towarzystwo, nigdy nie odmawiam. Gadanie do siebie jest do kitu.

– Podobno Normandczycy nie lubią dużo mówić – zaryzykował Adamsberg, ruszając za staruszką, od której szedł lekki zapach dymu z ogniska.

– Nie tyle nie lubią mówić, ile nie lubią odpowiadać. To nie to samo.

– To jak się zadaje pytania?

– Jakoś sobie radzimy. Pójdiesz pan ze mną do zajazdu? Pies teraz jest głodny.

– Odprowadzę panią. O której odjeżdża wieczorny pociąg?

– Wieczorny pociąg, młodzieńcze, odjechał już dobry kwadrans temu. Jest też pociąg z Lisieux, ale ostatni autobus odjeżdża za dziesięć minut, na pewno pan nie zdążysz.

Adamsberg nie przewidywał noclegu w Normandii, nie zabrał żadnych rzeczy, miał tylko kilka banknotów, dowód i klucze. Dziki Hufiec uziemił go tutaj. Nie przejmując się hufcem, staruszka o dwu laskach żywo dreptała między drzewami. Przypominała pasikonika, gdy zwinnie przeskakiwała nad wystającymi korzeniami.

– W Ordebecu jest pewnie jakiś hotel?

– To nie hotel, tylko nora – stwierdziła staruszka gromkim głosem. – I teraz w remoncie. Przypuszczam, że przenocujesz pan u jakichś znajomych.

Adamsberg przypomniał sobie normandzką powściągliwość w zadawaniu pytań, która kiedyś stwarzała mu trudności w miejscowości Haroncourt<sup>4</sup>. Chłopcy z Haroncourt, tak samo jak Léone, obchodzili tę przeszkodę, stwierdzając fakt, jakikolwiek był, aby sprowokować odpowiedź.

– Przypuszczam, że gdzieś zamierzasz pan przenocować – oznajmiła Léo. – Chodźże, Pasik. Zawsze musi obsikiwać każde drzewo po drodze.



– Mój sąsiad też tak robi – powiedział Adamsberg, mając na myśli Lucia. – Nie, nie znam tu nikogo.

– Oczywiście możesz pan się przespać na sianie. Akurat mamy nienormalne upały, ale mimo wszystko z rana jest wilgotno. Przypuszczam, że pan jesteś z innego regionu.

– Z Béarn.

– To będzie gdzieś na wschód.

– Na południowy zachód, blisko Hiszpanii.

– I już pan tu byłeś, myślę.

– Mam przyjaciół w kawiarni w Haroncourt.

– W Haroncourt w departamencie Eure? W kawiarni niedaleko targowiska?

– Tak. Mam tam przyjaciół. Zwłaszcza Roberta.

Léo stanęła jak wryta, z czego Pasik natychmiast skorzystał, aby wybrać sobie nowe drzewo. Zaraz ruszyła dalej i szła jakieś pięćdziesiąt metrów, mamrocząc pod nosem.

– Ten Robert to syn kuzynostwa – rzekła w końcu, nie mogąc się otrząsnąć ze zdumienia.

– Porządny człowiek.

– Dał mi dwa poroża jelenia. Trzymam je w biurze.

– Ha, skoro to zrobił, znaczy, że zyskałeś pan jego szacunek. Nie daje się poroży pierwszemu lepszemu przyjezdnemu.

– Mam nadzieję.

– Ludzie dobrze mówią o Robercie Binecie?

– Tak.

Adamsberg przebył jeszcze jakieś sto metrów w ślad za staruszką. Teraz między drzewami dawało się zauważyć zarys drogi.

– Skoroś pan jest przyjacielem Roberta, to zmienia postać rzeczy. Mógłbyś pan przenocować U Léo, jeśli to nie za bardzo odbiega od planów. U Léo, znaczy u mnie. Tak się nazywał zajazd.

Adamsberg usłyszał wyraźne zaproszenie kobiety, która się nudziła, acz jeszcze nie wiedział, co robi. Jednakże jak powiedział Veyrencowi, decyzje są podejmowane na długo przed tym, zanim zostaną ogłoszone. Nie miał na tę noc schronienia, a szorstka staruszka dość mu się podobała. Nawet jeżeli czuł się poniekąd złapany w sidła, jak gdyby Léo wszystko z góry zorganizowała.

Pięć minut później znalazł się przed zajazdem U Léo, starym długim parterowym domem, który nie wiadomo jakim cudem trzymał się na dźwigarach od co najmniej dwustu lat. Wnętrze zaś wyglądało, jakby nic się w nim nie zmieniło od dziesięcioleci.

– Siadaj pan na ławie – powiedziała Léo – zadzwonimy do Émeriego. To nie jest zły człowiek, przeciwnie. Od czasu do czasu zadziera nosa, bo jego przodek był marszałkiem za Napoleona, ale w sumie jest lubiany. Tylko ma skrzywienie zawodowe. Jak podejrzewa się każdego, jak stale kogoś się karze, trudno stawać się lepszym. Z panem też tak się dzieje, jak

przypuszczam.

– Niewątpliwie.

Léo przysunęła taboret do dużego staromodnego telefonu.

– Nareszcie – westchnęła, wybierając numer. – Policja to zło konieczne. W czasie wojny to było po prostu zło. Ani chybi było w niej trochę takich, co później odeszli z Dzikim Hufcem. Napalimy sobie, robi się chłodno. Umiesz pan rozniecić ogień, jak przypuszczam. Drewnię znajdziesz pan za drzwiami po lewej. Hello, Louis, mówi Léo.

Kiedy Adamsberg wrócił z naręczem szczap, Léo rozmawiała już w najlepsze. Było jasne, że z nią Émeri nie ma szans. Zdecydowanym ruchem podała inspektorowi drugą słuchawkę.

– No przecie zawsze zanoszę kwiatki do Świętego Antoniego, dobrze o tym wiesz. Powiedz no, Louis, nie będziesz mnie chyba nękał pod pretekstem, że znalazłam jego zwłoki, nie? Gdybyś ruszył tyłek, sam byś go znalazł, a ja bym uniknęła kłopotu.

– Nie martw się, Léo, wierzę ci.

– Jego skuter też tam jest wbity w kępę leszczyn. Moim zdaniem ktoś się z nim umówił, a on schował tam maszynę, żeby mu nie ukradli.

– Pojadę na miejsce, Léo, a potem wpadnę do ciebie. O ósmej nie będziesz jeszcze spała?

– O ósmej kończę kolację. I nie lubię, kiedy ktoś mi przeszkadza w jedzeniu.

– O ósmej trzydzieści.

– Nie pasuje mi, mam gościa, krewniak z Haroncourt przyjechał. Nie wypada, żeby oglądał żandarmów w wieczór przyjazdu. Poza tym jestem zmęczona. Łażenie po lesie to już nie na mój wiek.

– No właśnie dlatego się zastanawiam, czemuś polazła aż do kaplicy.

– Mówiłam ci. Zanieść kwiatki.

– Zawsze mówisz ćwierć tego, co wiesz.

– Reszta by cię nie zainteresowała. Lepiej byś się pospieszył i pojechał tam, zanim zwierzęta go zeżrą. A jak chcesz do mnie wpaść, to jutro.

Adamsberg odłożył słuchawkę i wrócił do rozpalania ognia.

– Louis Nicolas nie może nic zrobić wbrew mnie – wyjaśniła Léone. – Uratowałam mu życie, jak był jeszcze siusiumajtkiem. Głupi smarkacz, wleciał na głowę do stawu Jeanlin, zdążyłam go złapać za spodenki na siedzeniu. Ze mną nie może się zgrywać na cesarskiego marszałka.

– Pochodzi stąd?

– Urodził się tutaj.

– To jak mógł dostać tu przydział? Nie wysłała się gliniarzy w ojczyste strony.

– Wiem, młodzieńcze. Ale miał jedenaście lat, jak wyjechał z Ordebecu, a jego rodzice właściwie nikogo tu nie znali. Długo mieszkał koło Tulonu, potem gdzieś w okolicy Lyonu, tak że dostał dyspensę. W zasadzie nikogo stąd nie pamięta. I jest protegowanym hrabiego, tak że poszło łatwo.

– Tutejszego hrabiego?

– Rémy’ego, hrabiego Ordebecu. Jadasz pan zupę, jak przypuszczam.

– Chętnie – powiedział Adamsberg, podstawiając talerz.

– Marchewkowa. Potem będzie smażone mięso w śmietanie.

– Émeri mówi, że Lina to kompletna wariatka.

– Bzdura – rzekła Léone, unosząc wielką łyżkę do niedużych ust. – To bystra dzielna dziewczucha. No i wcale się nie pomyliła. Herbier nie żyje, bez dwóch zdań. I teraz Louis Nicolas uczepi się jej. Jak amen w pacierzu.

Adamsberg tak jak Léo chlebem wyczyścił talerz z zupy, po czym przyniósł garnek z drugim daniem. Wołowinę z fasolą pachnącą dymem z ogniska.

– A że nie bardzo tu cenią ją i jej braci – ciągnęła Léone, dość gwałtownie nakładając mięso na talerze – zrobi się niezła chryja. Nie myśl pan, że tutejsi nie są mili, ale ludzie zawsze się boją tego, czego nie potrafią zrozumieć. Dlatego przez ten jej dar i przez braci, którzy są nie bardzo przystosowani, nie ma tu dobrej reputacji.

– Z powodu Dzikiego Hufca.

– Przez to i przez inne rzeczy. Ludzie powiadają, że Vendermotowie mają diabła w domu. Tutaj, tak samo jak gdzie indziej, nie brakuje pustych łbów, które szybko się napełniają byle czym, najlepiej tym co najgorsze. Tego właśnie wszyscy pragną: najgorszego. Bo strasznie się nudzą.

Léone ruchem podbródka przytaknęła własnym słowom i odkroiła spory kęs mięsa.

– Ma pani własne zdanie na temat Dzikiego Hufca, jak przypuszczam – odezwał się Adamsberg, stosując podobny jak Léone sposób, aby zadać pytanie.

– Zależy, jak się na to patrzy. W Ordebecu są ludzie, którzy myślą, że pan Hellequin jest w służbie demona. Ja za bardzo w to nie wierzę, ale skoro jedni ludzie mogą przetrwać, bo są święci, jak Święty Antoni, dlaczego inni nie mieliby przetrwać dlatego, że są źli? Bo w La Mesnie są sami źli. Wiedziałeś pan o tym?

– Tak.

– I dlatego są pojmani. Zdaniem drugich biedna Lina ma wizje, choruje na głowę. Chodziła po lekarzach, ale nic nie znaleźli. Inni mówią, że jej brat dodaje borowika szatańskiego do jajecznicy z grzybami i po borowikach Lina ma halucynacje. Znasz pan borowika szatańskiego, jak przypuszczam. Czerwona nóżka.

– Tak.

– Aha – rzekła Léone lekko zawiedziona.

– Wywołuje tylko mocny ból brzucha.

Léo wyniosła talerze do ciemnej kuchenki i w milczeniu zaczęła zmywać, skupiona na pracy. Adamsberg wycierał naczynia.

– Mnie tam jest obojętne – podjęła Léone, osuszając duże dłonie. – Tylko Lina widzi hufiec, to pewne. Czy to prawdziwy hufiec czy fałszywy, nie mnie oceniać. Ale teraz, gdy

Herbier nie żyje, ludzie będą jej grozili. W gruncie rzeczy dlatego pan tu jesteś.

Staruszka wzięła laski i wróciła do stołu. Z szuflady wyjęła sporych rozmiarów pudełko cygar. Jednym przejechała pod nosem, polizała koniuszek i uważnie je zapaliła, popychając otwarte pudełko w stronę Adamsberga.

– Przyjaciel mi je przysyła, on dostaje z Kuby. Spędziłam dwa lata na Kubie, cztery w Szkocji, trzy w Argentynie i pięć na Madagaskarze. Otwieraliśmy z Ernestem restauracje tu i tam, widzieliśmy kawał świata. Kuchnia palce lizać. Bądź pan tak miły, wyjmij calvadosa z dolnej szafki i polej do kieliszków. Napije się pan ze mną, jak przypuszczam.

Adamsberg wykonał polecenie. Zaczynał się czuć bardzo swobodnie w źle oświetlonym niedużym pokoju, z cygarem, kieliszkiem, ogniem i rosłą starą Léo wymiętą jak zużyta szmata, z psem pochrapującym na podłodze.

– A czemu ja tu jestem, Léo? Mogę tak się do pani zwracać?

– Żeby chronić Linę i jej braci. Nie mam dzieci, a ona jest mi trochę jak córka. Jeśli będą kolejni zmarli, znaczy, jeśli ci, których widziała z hufcem, także poumierają, zrobi się paskudnie. Coś podobnego wydarzyło się w Ordebecu niedługo przed rewolucją. Chłopak nazywał się François-Benjamin, zobaczył czterech ludzi pojmanych przez La Mesnie. Ale potrafił wymienić tylko trzy z czterech imion. Tak samo jak Lina. I dwaj z tych ludzi umarli jedenaście dni później. Ludzie tak się przestraszyli... no bo nie wiedzieli, kto był czwarty... no więc tak się przestraszyli, że wymyślili coś takiego: powstrzymają La Mesnie przed odbieraniem życia, jeśli zniszczą tego, kto widział armię. Zadźgali François-Benjamin widłami, a potem spalili na rynku.

– Trzecia osoba nie umarła?

– Umarła. I czwarta też, w takiej kolejności, jak François-Benjamin wymieniał. Czyli na nic się nie zdało zadźganie go. – Léo upiła łyk calvadosu, z zadowoleniem głośno przełknęła, następnie mocno zaciągnęła się cygarem. – I nie mam ochoty, żeby to samo przydarzyło się Linie. Niby czasy się zmieniły. To znaczy po prostu, że jesteśmy dyskretniejsi. To znaczy, że nie pójdą w ruch widły, nie będzie stosu, ale inaczej zostanie to zrobione. Tutaj każdy, kto ma na sumieniu jakiś zły uczynek, czeka teraz przerażony, możesz pan być pewien. Przerażony, że zostanie pojmany, przerażony, że ludzie się o tym dowiedzą.

– Jakiś ciężki zły uczynek? Morderstwo?

– Niekoniecznie. Grabież, oszczerstwo albo niesprawiedliwy wyrok. Uspokoiliby ich, gdyby uciszeli Linę i jej bajanie. Bo widzisz pan, coś takiego przerywa związek z hufcem. Tak mówią. Jak dawniej. Nie zmieniliśmy się, inspektorze.

– Od czasów tego François-Benjamin pierwsza Lina zobaczyła Dziki Hufiec?

– Ależ nie, inspektorze – odparła spowita kłębem dymu Léo swym chrapliwym głosem, jakby udzielała reprimendy uczniowi, który ją zawiódł. – Jesteśmy w Ordebecu. Tutaj jest co najmniej jeden pośrednik na pokolenie. Pośrednik to ten, kto widzi hufiec, kto stwarza

połączenie między nim a żywymi. Zanim Lina się urodziła, pośrednikiem był Gilbert. Podobno położył dłoń na jej główce nad chrzcielnicą i w ten sposób przekazał jej dar. A jak się ma dar, nie można uciec przed nim, bo hufiec zawsze sprowadzi taką osobę na grinvelde. Albo na grimweld, jak mówią na wschodzie.

– Ale tego Gilberta nie zabito, tak?

– Nie – przyznała Léo, wydmuchując ogromne kółko dymu. – Różnica jest taka, że tym razem Lina zrobiła jak François-Benjamin: widziała czterech, a mogła wymienić tylko trzech: Herbiera, Glayeux i Mortembota. O czwartym natomiast milczy. Dlatego nie ma siły, jeżeli Glayeux i Mortembot też zejdą, strach ogarnie całe miasteczko. Skoro nie wiadomo, kto będzie następny, nikt nie będzie czuł się bezpieczny. Już podanie nazwisk Glayeux i Mortembota narobiło cholernego zamieszania.

– Dlaczego?

– Przez plotki, które krążą o nich od dawna. To źli ludzie.

– Czym się zajmują?

– Glayeux wytwarza witraże do wszystkich kościołów w regionie, ma bardzo zręczne ręce, ale nie jest miły. Czuje się lepszy od prostych chłopów i bez żenady daje to do zrozumienia. A jego ojcem był kowal z Charmeuil-Othon. Przy czym gdyby nie ci chłopci, którzy chodzą na msze, on by nie miał zamówień na witraże. Mortembot ma pepinię przy drodze do Livarot, to mruk. Nietrudno zrozumieć, że odkąd rozeszła się ta pogłoska, nie mają lekko. Klienci przestali przyjeżdżać do szkółki, ludzie ich unikają. Jak się dowiedzą, że Herber nie żyje, będzie dużo gorzej. Dlatego mówię, że Lina lepiej by zrobiła, gdyby milczała. Ale z pośrednikami jest zawsze ten problem. Czują się zobligowani do mówienia, żeby dać szansę pojmanym. Rozumiesz pan, kim są „pojmani”, jak przypuszczam.

– Tak.

– Pośrednicy mówią, na wypadek gdyby pojmani mogli się jakoś wykupić. Tak że Lina jest w niebezpieczeństwie, a pan mógłbyś ją ochronić.

– Nic nie mogę zrobić, Léo, to śledztwo Émeriego.

– Ale Émeri nie przejmuje się Liną. Cała historia z Dzikim Hufcem denerwuje go i odpycha. On wierzy, żeśmy się zmienili, że ludzie są rozsądni.

– Najpierw zacznij poszukiwanie zabójcy Herbiera. A dwaj pozostali jeszcze żyją. Lina więc na razie nie jest zagrożona.

– Może być – przyznała Léo, dmuchając na ogryzek cygara.

Aby dostać się do pokoi gościnnych, należało wyjść z domu, każdy bowiem miał prowadzące na zewnątrz drzwi, które okropnie skrzypiały. Adamsbergowi przypomniały w tym drzwi Tuilota Julię, te drzwi, które nie pozwoliłyby go obwinić, gdyby odważył się przez nie przejść. Léo wskazała mu pokój laską.

- Trzeba je trochę podnieść, żeby nie zgrzytały za głośno. Dobranoc.
- Nie wiem, jak się pani nazywa.
- Policjant zawsze chce znać nazwisko. A pan jak się nazywasz? – zagadnęła Léo, wypluwając drobinki tytoniu przyklejone do języka.
- Jean-Baptiste Adamsberg.
- Nie krępuj się pan, w tym pokoju jest cała kolekcja dziewiętnastowiecznej pornografii. Jeden przyjaciel zapisał mi ją w spadku, rodzina się go wyrzekła. Możesz pan oglądać książki, rzecz jasna, ale ostrożnie z przewracaniem kartek, są stare i papier się kruszy.

## VIII

Rankiem Adamsberg wciągnął spodnie i cichutko wyszedł przed dom, bosy idąc po mokrej trawie. Była godzina wpół do siódmej, rosa jeszcze nie obeschła. Znakomicie spał na starym wełnianym materacu z wyleżanym pośrodku wgłębieniem, w które się wpasował niczym ptak w gniazdo. Przez kilka minut chodził po łące, póki nie znalazł tego, czego szukał: giętkiego patyka, którego rozgnieciony koniec w kształcie miotełki mógł posłużyć jako namiastka szczoteczki do zębów. Akurat obdzierał z kory patyk, gdy Léo wystawiła głowę przez okno.

– Hello, kapitan Émeri dzwonił za panem. Nie wygląda mi na zadowolonego. Chodź pan, póki kawa gorąca. Łatwo się przeziębic, siedząc bosy na dworze.

– Jak się dowiedział, że tu jestem? – zapytał Adamsberg, idąc w jej kierunku.

– Mów, że nie łyknął historyjki z krewniakiem. Pewnie powiązał to z paryżaninem, który wczoraj wysiadł z autobusu. Powiedział, że nie podoba mu się gliniarz siedzący mu na karku ani to, że go ukrywam. Jakbyśmy spiskowali niczym w czasie wojny. Wiesz pan, on może panu narobić kłopotów.

– Powiem mu prawdę. Przyjechałem zobaczyć, jak właściwie wygląda grimweld – rzekł Adamsberg, odkrawając grubą kromkę chleba.

– Właśnie. I nie było hotelu.

– Otóż to.

– Przez to wezwanie na posterunek nie złapiesz pan pociągu o ósmej pięćdziesiąt. Następny będzie o czternastej trzydzieści pięć z Cérenay. Uwaga, trzeba doliczyć pół godziny na dojazd autobusem. Jak pan wyjdiesz stąd, trzeba skrócić w prawo, potem jeszcze raz w prawo i przejść jakieś osiemset metrów do centrum. Żandarmeria jest zaraz za skwerkiem. Zostaw pan kubek, sprzątnę.

Adamsberg polami przeszedł około kilometra, po czym stanął przed dyżurką posterunku żandarmerii, osobliwie przemalowanego na jasnożółty kolor niczym domek letniskowy.

– Inspektor Jean-Baptiste Adamsberg – przedstawił się grubemu brygadierowi. – Kapitan mnie oczekuje.

– Bardzo dobrze – odparł dyżurny, obrzucając go nieco lęklwym wzrokiem, wzrokiem człowieka, który nie chciałby się znaleźć na jego miejscu. – Pójdzie pan korytarzem do samego końca. Drzwi są otwarte.

Adamsberg przystanął w progu, przez kilka sekund obserwując kapitana Émeriego, który spacerował po pokoju podenerwowany, spięty, lecz bardzo elegancki w dopasowanym mundurze. Przystojny mężczyzna po czterdziestce, o regularnych rysach twarzy, gęstych

blond włosach i bez widocznego brzuszka pod służbową koszulą z naramiennikami.

– O co chodzi? – zapytał Émeri, odwracając się do Adamsberga. – Kto panu pozwolił wejść?

– Pan, kapitanie. Wezwał mnie pan rano, kazał przyjść jak najszybciej.

– Adamsberg? – Émeri szybko obrzucił wzrokiem inspektora, który nie dość, że był ubrany w nieforemne ciuchy, to jeszcze nie miał jak się ogolić ani uczesać.

– Przepraszam za zarost – powiedział Adamsberg, ściskając mu dłoń. – Nie planowałem nocować w Ordebecu.

– Proszę usiąść, inspektorze – rzekł Émeri, nie odrywając spojrzenia od Adamsberga.

Nijak to znane – z dobrej lub złej strony – nazwisko nie pasowało mu do człowieka tak niskiego i niepozornego, który poczynając od śniadej twarzy, a kończąc na czarnym odzieniu wydawał mu się rozmamłany, niewyrazisty, a co najmniej niepasujący do roli. Poszukał jego wzroku, lecz nie do końca udało mu się go znaleźć, zatrzymał się więc na uśmiechu, równie przyjemnym jak odległym. Zaczepna przemowa, którą miał przygotowaną, częściowo się pogubiła w jego niepewności, jakby się roztrzaskała – nie o przeszkodę w postaci muru, lecz o totalny brak przeszkody. A on nie wiedział, jak zaatakować czy choćby tylko uchwycić totalny brak przeszkody. Pierwszy krok zrobił Adamsberg.

– Léo powiedziała mi o pańskim niezadowoleniu, kapitanie – zaczął, starannie dobierając słowa. – Ale to jakieś nieporozumienie. Wczoraj w Paryżu było trzydzieści sześć stopni, a ja właśnie przyskrzytniłem staruszka, który zabił swoją żonę miękiszem chleba.

– Miękiszem chleba?

– Dwie porządne garście ugniecionego miękiszu wepchnął jej do gardła. I w związku z tym nasza mnie chęć, żeby położyć w chłodzie po grimweldzie. Pan rozumie, jak przypuszczam.

– Może.

– Nazbierałem i zjadłem mnóstwo jeżyn. – Tu Adamsberg spostrzegł, że z dłoni jeszcze mu nie zniknęły ślady po owocach. – Nie przewidziałem, że natknę się na Léone, która przy drodze czekała na psa. Ona też nie przewidziała, że koło kaplicy znajdzie zwłoki Herbiera. I z szacunku dla pańskich uprawnień nie poszedłem obejrzeć miejsca zbrodni. Wczoraj nie było już pociągu, Léo zaoferowała mi gościnę. Nie spodziewałem się, że zapalę prawdziwe hawańskie cygaro przy znakomitym calvadosie przed kominkiem, a to właśnie zrobiliśmy. Bardzo dzielna kobieta, jak sama by powiedziała, ale jest kimś więcej.

– Wie pan, czemu ta bardzo dzielna kobieta pali autentyczne kubańskie cygara? – zapytał Émeri, po raz pierwszy się uśmiechając. – Wie pan, kim ona jest?

– Nie powiedziała mi, jak się nazywa.

– Nie dziwi mnie to wcale. Léo to Léone Marie de Valleray, hrabina Ordebec. Kawy, inspektorze?

– Poproszę.



Léo, hrabina Ordebec. Mieszkająca w starym zapuszczonym gospodarstwie, utrzymująca się kiedyś z dochodów z zajazdu. Léo pałaszująca zupę wielką łyżką, spluwająca drobinami tytoniu. Kapitan Émeri wracał z dwoma kubkami, uśmiechając się szczerze tym razem, ukazując „dobrą stronę swej natury”, którą opisała Léo, bezpośrednio i życzliwą.

– Zdziwiony?

– Dosyć. Ona jest biedna. Powiedziała mi, że hrabia Ordebec miał fortunę.

– Była pierwszą żoną hrabiego, ale pobrali się sześćdziesiąt lat temu. Wielka młodzieńcza miłość. W hrabiowskiej rodzinie wybuchł skandal jak wszyscy diabli i były takie naciski, że dwa lata później ogłoszono rozwód. Podobno długo jeszcze się spotykali. Ale później rozsądek wziął górę i każde poszło swoją drogą. Zostawmy Léo – rzekł Émeri, przestając się uśmiechać. – Kiedy znalazł się pan wczoraj na chemin de Bonneval, nic pan nie wiedział? Znaczy: kiedy wczoraj rano zadzwonił pan do mnie z Paryża, nie wiedział pan, że Herber nie żyje i że zginął koło kaplicy?

– Nie.

– Założmy. Często pan to robi? Znaczy, wychodzi pan z pracy, żeby pod byle pretekstem połączyć po lesie?

– Często.

Émeri łyknął kawy i podniósł głowę.

– Naprawdę?

– Tak. W dodatku z samego rana miałem ten miękisz chleba.

– A co na to pańscy ludzie?

– Wśród moich ludzi, kapitanie, jest chory na hipersomnię, który ni stąd, ni zowąd pada, zoolog wyspecjalizowany w rybach, zwłaszcza rzecznych, bulimiczka, która co rusz znika, żeby porobić zapasy, stara czapla biegła w baśniach i legendach, umysłowy gigant nierozstający się z białym winem i tym podobni. Nie mogą sobie pozwolić na zbytnią służbistość.

– I przy tym wszystkim robota idzie?

– A jakże.

– Co panu powiedziała Léo, kiedy ją pan spotkał?

– Przywitała mnie, już wiedziała, że jestem gliniarzem i przyjechałem z Paryża.

– Nic dziwnego, ona ma dużo lepszego nosa niż jej pies. Chociaż oburzyłyby się, że nazywam to nosem. Ma swoją teorię na temat połączonych skutków różnych drobiazgów. Efekt motyla, który porusza skrzydłami w Nowym Jorku, a potem w Bangkoku dochodzi do wybuchu. Nie mam pojęcia, skąd się wzięła ta historia.

Adamsberg pokręcił głową, również nie wiedząc.

– Léo przykłada wagę do skrzydeł motyla – ciągnął Émeri. – Mówi, że najważniejsze, to

zauważyć je w chwili, kiedy się poruszają. A nie kiedy później wszystko wybuchło. I do tego ma talent, trzeba przyznać. Lina widzi przechodzący Dzikie Hufce. To właśnie są skrzydła motyla. Jej szef opowiada o tym, Léo się dowiadyje, matkę ogarnia strach, wikary jej podaje pańskie nazwisko... nie myślę się, prawda?... matka wsiada do pociągu, jej opowieść urzeka pana, w Paryżu jest trzydzieści sześć stopni, kobieta zostaje uduszona miękiszem chleba, chłód grimweldu kusi pana, Léo czyha na drodze i prosi, oto siedzi pan tutaj.

– Co niekoniecznie jest wybuchem.

– Ale śmierć Herbiera jest. To wybuch snu Liny w rzeczywistości. Jakby sen wywabił wilka z lasu.

– Pan Hellequin wskazał ofiary i ktoś z żywych czuje się upoważniony do zabicia ich. Tak pan uważa? Że wizja Liny spowodowała pojawienie się zabójcy?

– Nie tylko wizja, Ordebec od tysiąca lat jest przesiąknięty tą legendą. Można iść o zakład, że w głębi ducha trzy czwarte mieszkańców boi się przejścia martwych jeźdźców. Każdy by się przeraził, gdyby Hellequin wskazał jego nazwisko. Ale nikt by się nie przyznał. Zapewniam pana, że wszyscy unikają grimweldu nocą z wyjątkiem paru młodych, którzy chodzą tam dla popisu. Tutaj spędzenie nocy na chemin de Bonneval to rodzaj rytuału inicjacyjnego dla udowodnienia, że jest się już mężczyzną. Takie średniowieczne otręśiny, jeśli pan woli. Ale żeby ktoś wierzył w to do tego stopnia, by stać się wykonawcą dzieła Hellequina... nie. Niemniej z jednym muszę się zgodzić: strach przed armią legł u podłoża śmierci Herbiera. Powiedziałem: „śmierci”, a nie: „zabójstwa”.

– Léo mówiła o strzale z broni myśliwskiej.

Émeri pokiwał głową. Teraz, gdy niemal się rozwiały jego bojowe zamiary, służbistość zniknęła zarówno z jego postawy, jak i z twarzy. Zmiana była uderzająca i Adamsberg pomyślał o mniszku lekarskim. Zamknięty wieczorem żółty kwiat jest stulony i zniechęcający, za dnia natomiast pyszni się okazałością i wabi. Tyle że w odróżnieniu od starej Vendermotowej dorodny kapitan nie miał w sobie nic z delikatnego kwiatu. Adamsberg nie mógł sobie przypomnieć nazwy nasionka ze spadochronem i nie dosłyszał pierwszych słów Émeriego.

– ...na pewno jego strzelba, marki Darne, z przyciętą lufą. Ten drań lubił duży rozrzut, żeby trafić matkę i młode za jednym zamachem. Ślady wskazują, że strzał padł z bardzo bliska, mógł trzymać broń przed sobą, lufą do czoła, i pociągnąć za spust.

– Dlaczego?

– Z przyczyn, które wymieniłem. Z powodu pojawienia się Dzikiego Hufca. Można odgadnąć przebieg wydarzeń. Herbier dowiadyje się o przepowiedni. Jest zepsuty do cna i wie o tym. Opada go strach, wszystko mu się sypie. Sam opróżnia zamrażarki, jakby się wypierał polowań, i odbiera sobie życie. Bo podobno kto sam wymierzy sobie sprawiedliwość, ten nie trafi do piekła hufca Hellequina.

– Czemu uważa pan, że trzymał broń lufą do czoła? Lufa nie dotykała głowy?

– Nie. Strzał padł z odległości co najmniej dziesięciu centymetrów.  
– Bardziej logicznie by było, gdyby przystawił lufę do czoła.  
– Niekoniecznie. Zależy, co chciał widzieć przed samą śmiercią. Może otwór lufy wycelowanej w siebie. Na razie mamy odciski tylko jego palców na lufie.  
– Można więc także podejrzewać, że jakiś gość wykorzystał przepowiednię Liny, żeby się pozbyć Herbiera, fingując jego samobójstwo.

– Ale trudno sobie wyobrazić, że gość posuwa się aż do opróżnienia zamrażarek. Tutaj mamy więcej myśliwych niż obrońców zwierząt. Zwłaszcza że dziki robią wielkie szkody. Nie, Adamsberg, ten czyn to wyparcie się zbrodni, ekspiacja.

– A skuter? Czemu miałby go ukrywać w leszczynie?

– Wcale go nie ukrywał. Po prostu wepchnął w krzaki, żeby nie stał na widoku. Odruchowo, jak przypuszczam.

– Czemu w ogóle miałby się zabijać koło kaplicy?

– Właśnie. W legendzie często pojmanyh znajduje się w pobliżu opuszczonych miejsc kultu. Wie pan, kim jest „pojmany”?

– Tak – ponownie zapewnił Adamsberg.

– No, a one są w pobliżu miejsc nawiedzonych, czyli miejsc Hellequina. Herbier odbiera tam sobie życie, uprzedza los i unika kary dzięki skrusze.

Adamsberg za długo już siedział na krześle, z niecierpliwości czuł mrowienie w nogach.

– Mogę pochodzić po biurze? Nie umiem długo wysiedzieć.

– Ja też – podchwycił Émeri z wyraźnym zadowoleniem człowieka, który u drugiej osoby odkrywa własną udrękę. – W końcu coś mi się zawiązuje w brzuchu, z nerwów elektryczność zbiera się w kulkach. I cała masa takich kulek tłucze mi się po żołądku. Podobno mój przodek, marszałek cesarstwa Davout, był nerwusem. Muszę pochodzić godzinę, dwie dziennie, żeby rozładować tę baterię. Może byśmy pogadali, chodząc ulicami? Ładne są, zobaczy pan.

Kapitan poprowadził kolegę wąskimi zaułkami, między starymi murami ulepionymi z gliny i niskimi domami o zniszczonych belkach, porzuconymi stodołami i pochylonymi jabłoniemi.

– Léo tak nie uważa – mówił Adamsberg. – Nie wątpi, że Herbier został zabity.

– Wyjaśnia to jakoś?

Adamsberg wzruszył ramionami.

– Nie. Zdaje się, że to wie, bo wie, i tyle.

– Taki z nią właśnie kłopot. Jest taka bystra, że z wiekiem zaczęła uważać, że ma zawsze rację. Co prawda gdyby ją zdekapitować, Ordebec straciłby dużą część swojej mądrości. Ale im jest starsza, tym trudniej się z nią dogadać. Podoba się jej reputacja, którą się cieszy, i chętnie ją podtrzymuje. Naprawdę nie podała żadnych szczegółów?

– Nie. Powiedziała, że odejście Herbiera to żadna strata. Że nie wstrząsnęło nią, kiedy go

znalazła, bo wiedziała, że nie żyje. Więcej opowiadała o lisie i sikorce niż o tym, co zobaczyła koło kaplicy.

– O bogatce, która wybrała trzynogiego lisa?

– Tak, zgadza się. Mówiła też o swoim psie, o suce z pobliskiego gospodarstwa, o Świętym Antonim, o Linie i jej rodzinie, o tym, jak pana wyłowiła ze stawu.

– Fakt – przyznał Émeri z uśmiechem. – Zawdzięczam jej życie i to jest moje pierwsze wspomnienie. Ludzie ją nazywają moją „matką wodną”, bo dała mi nowe życie po wyciągnięciu ze stawu Jeanlin, jak Wenus. Od tamtego dnia moi rodzice wielbili Léo, a mnie przykazali, że mam dbać, aby włos z głowy jej nie spadł. To się stało w środku zimy i Léo wyszła ze mną ze stawu przemarznięta do szpiku kości. Podobno przez trzy dni nie mogła się rozgrzać. Później dostała zapalenia płuc i wszyscy myśleli, że już po niej.

– Nie powiedziała mi o przeziębieniu. Ani o tym, że wyszła za hrabiego.

– Nigdy się nie przechwała, po cichutku narzuca swoje przekonania, a to już dużo. Nikt w okolicy nie odważyłby się zastrzelić jej trzynogiego lisa. Z wyjątkiem Herbiera. Łapę i ogon stracił w jednej z tych jego diabelskich zasadzek. Ale Herbier nie zdążył go wykończyć.

– Ponieważ Léo zabiła Herbiera, zanim on wykończył lisa.

– Jak najbardziej byłaby do tego zdolna – przyznał Émeri dość wesoło.

– Zamierza pan dać ochronę kolejnemu pojmanemu? Temu szklarzowi?

– On nie jest szklarzem, tylko witrażystą.

– Tak, Léo mówi, że jest bardzo zdolny.

– Glayeux to wredny gość, który nikogo się nie boi. On się nie przejmuje Dzikim Hufcem. Jeśli nieszczęśliwie ogarnie go strach, nikt nic na to nie poradzi. Nie powstrzyma się faceta, który postanowił się zabić.

– A jeżeli pan się myli, kapitanie? Jeżeli Herbiera ktoś zabił? Tego Glayeux też ktoś może zabić. Właśnie o tym mówię.

– Ale pan się uparł!

– Pan też, kapitanie. Bo nie ma pan innego wytłumaczenia. Samobójstwo byłoby mniejszym złem.

Émeri zwolnił kroku, w końcu przystanął i wyjął papierosy.

– A dokładniej, inspektorze?

– Zniknięcie Herbiera zgłoszono ponad tydzień temu. Oprócz sprawdzenia domu bez dalszych czynności nic więcej pan nie zrobił.

– Takie jest prawo, Adamsberg. Jeżeli Herbier chciał wyjechać, nie uprzedzając nikogo, nie miałem prawa go niepokoić.

– Nawet po przejściu Dzikiego Hufca?

– Ten rodzaj obłądu nie wchodzi w zakres dochodzenia żandarmerii.

– Ależ wchodzi. Zakłada pan, że hufiec jest źródłem wszystkiego. Że Herbiera zabito albo

że sam się zabił. Wiedział pan, że Lina go wskazała, i nic pan nie zrobił. A kiedy ciało zostaje znalezione, jest za późno, by liczyć na to, że zbierze się dowody.

– Myśli pan, że mi to wytkną, hę?

– Tak.

Émeri zaciągnął się papierosem, wydmuchnął dym tak, jakby westchnął, po czym oparł się o stary mur biegnący wzdłuż ulicy.

– Zgoda – przyznał. – Wytkną mi to. A może nie. Nie można uważać, że ktoś jest odpowiedzialny za czyjąś samobójczą śmierć.

– I dlatego tak pan przy tym obstaje. Wina jest lżejsza. Ale jeśli to było zabójstwo, siedzi pan po szyję w bagnie.

– Nic na to nie wskazuje.

– Czemu nie zrobił pan nic, żeby odnaleźć Herbiera?

– Z powodu Vendermotów. Z powodu Liny i tych jej szurniętych braci. Nie bardzo się dogadujemy, nie chciałem wchodzić w ich gierki. Ja reprezentuję porządek prawny, a oni szaleństwo. Jedno nie może pasować do drugiego. Musiałem parę razy zapuszkować Martina za kłusowanie nocą. Najstarszego, Hippolyte’a, również. Wziął na muszkę grupkę myśliwych, kazał im się rozebrać, pobierał strzelby i wszystko wrzucił do rzeki. Nie stać go było na grzywnę, więc zarobił dwadzieścia dni pułda. Oni chętnie by zobaczyli moje potknięcie. Dlatego nie kiwnąłem palcem. Nie ma mowy, żebym wlaźł w ich pułapkę.

– W jaką pułapkę?

– Bardzo prostą. Lina Vendermot twierdzi, że miała wizję, potem Herbier znika. Ja wszczynam poszukiwania Herbiera, a oni natychmiast wnoszą skargę o nadużycie władzy i zamach na wolność. Lina skończyła prawo, zna je dobrze. Przypuśćmy, że obstaje przy swoim i nadal szukam Herbiera. Skarga dociera aż do moich najwyższych przełożonych. Pewnego pięknego dnia Herbier zjawia się w jak najlepszej formie, dołącza do innych i też wnosi skargę na mnie. Dostaję naganę albo przeniesienie.

– Po co w takim razie Lina miałaby podawać nazwiska dwóch innych zakładników hufca?

– Dla uzyskania wiarygodności. Jest sprytna jak łasica, chociaż stwarza wrażenie niegroźnej tęgiej poczciwiny. Hufiec często zabiera kilku żywych naraz, Lina dobrze o tym wie. Wskazanie paru pojmanych pozwala zamydląć oczy. Tak to wszystko widziałem. Byłem przekonany, że mam słusność.

– Ale nie miał pan.

– Nie. – Émeri zgasił papierosa na murze, a niedopałek wsunął między dwa kamienie. – Będzie dobrze – dodał. – On się zabił.

– Nie sędzę.

– Cholera, czego ty ode mnie chcesz? – zdenerwował się Émeri i podniósł głos. – Nie znasz tej historii, nic nie wiesz o ludziach stąd, przyjeżdżasz z tej swojej stolicy bez uprzedzenia i wydajesz rozkazy.

– To nie moja stolica. Jestem Bearneńczykiem.

– I co z tego?

– I nie wydaję rozkazów.

– Powiem ci, co teraz będzie, Adamsberg. Wsiądziesz do pociągu, ja zamknę dochodzenie w sprawie samobójstwa i za trzy dni nikt o tym nie będzie pamiętał. No chyba że postanowisz zrujnować mi karierę swoimi podejrzeniami morderstwa. Opartymi wyłącznie na powietrzu.

Na powietrzu, na wietrze, który hula mu w głowie jako nieustający przeciąg między jednym a drugim uchem, matka zawsze mu to powtarzała. A w przeciągu żadna myśl nie może się zagnieździć, ba, nawet przez chwilę nie zostaje w jednym miejscu. Na wietrze lub pod wodą, na jedno wychodzi. Wszystko faluje i pochyla się. Adamsberg o tym wiedział, toteż sam sobie nie ufał.

– Nie zamierzam łamać ci kariery, Émeri. Mówię tylko, że na twoim miejscu przydzieliłbym ochronę kolejnemu. Szklarzowi.

– Witrażyście.

– Tak. Daj mu ochronę.

– Jeśli to zrobię, jestem skończony. Nie rozumiesz? To będzie znaczyło, że nie wierzę w samobójstwo Herbiera. A wierzę. Jeśli chcesz znać moje zdanie, Lina miała wszelkie powody, by popchnąć gościa do samobójstwa. I w tej sprawie, owszem, mógłbym przeprowadzić dochodzenie. W sprawie nakłaniania do samobójstwa. Młodzi Vendermotowie mają motywów aż nadto, żeby marzyć o posłaniu Herbiera do diabła. Ich ojciec i on byli taką parą brutalni, że prześcigali się w okrucieństwie.

Émeri ruszył dalej z rękami w kieszeniach, pozbawiając mundur nienagannego kształtu.

– Przyjaciele?

– Nierozłączni. Podobno stary Vendermot zarobił w Algierii kulkę, która utkwiała mu w głowie, i stąd się brały te jego napady agresji. I z Herbierem sadystą nawzajem podbijali sobie bębenek, co do tego nie ma wątpliwości. Tak że sterroryzowanie Herbiera, popchnięcie do samobójstwa byłoby piękną zemstą ze strony Liny. Jak powiedziałem, dziewczyna jest sprytna. Zresztą jej bracia również, ale wszyscy są stuknięci.

Dotarli do najwyższego położonego wyniesienia w Ordebecu, skąd widać było całe miasteczko i pola. Kapitan wskazał ręką jakiś punkt na wschodzie.

– Dom Vendermotów – wyjaśnił. – Okiennice są otwarte, wstali już. Doniesienie Léo może poczekać, zajdę pogadać z nimi. Kiedy Liny nie ma, łatwiej braci nakłonić do mówienia. Zwłaszcza tego, który jest z gliny.

– Z gliny?

– Nie przesłyszałeś się. Z kruchej gliny. Posłuchaj mnie: wsiądź do pociągu i zapomnij o nich. Na chemin de Bonneval jedno na pewno jest prawdziwe: ta droga doprowadza ludzi do szaleństwa.

## IX

Na wzniesieniu Adamsberg wybrał sobie murek w słońcu i przysiadł na nim ze skrzyżowanymi nogami. Zdjął buty i skarpetki i kontemplował pofalowane pagórki, krowy stojące na łąkach niczym posągi, jakby stanowiły punkty orientacyjne. Bardzo możliwe, że Émeri ma słuszość, bardzo możliwe, że Herhier palnął sobie w łeb przerażony nadejściem czarnych jeźdźców. Ale wycelowanie w siebie z broni oddalonej o parę centymetrów było jakieś nienaturalne. Pewniejsze i bardziej prawdopodobne byłoby włożenie lufy do ust. No chyba że – idąc za analizą Émeriego – Herhier pragnął takiego pokutnego gestu, chciał zadać sobie śmierć w taki sam sposób, w jaki zadawał ją zwierzętom: celując między oczy. Czy ten gość był zdolny do takiej przemiany, do wyrzutów sumienia? A szczególnie do tego, by odczuwać aż taki strach przed karą ze strony Dzikiego Hufca? Tak. Gromada czarnych jeźdźców, okaleczonych i cuchnących, nękała ziemię Ordebecu od dziesięciu stuleci. Wydrażyła w niej otchłanie, w które każdy, nawet o najzdrowszym rozsądku, mógł wpaść nagle i pozostać tam uwięziony.

Z wiadomości od Zerka dowiedział się, że Hellebaud sam się napił. Adamsberg potrzebował kilku sekund, aby sobie przypomnieć, że to imię gołębia. Dalej było kilka wiadomości z brygady: badanie potwierdziło obecność miękiszu chleba w przełyku ofiary, Tuilot Lucette, lecz ani drobiny nie było w żołądku. Morderstwo bez dwóch zdań. Dziewczynka była leczona w szpitalu w Wersalu, miała ze sobą suwaka, a fałszywy cioteczny dziadek już doszedł do siebie i pozostawał pod baczna obserwacją. Retancourt przysłała wiadomość bardziej alarmującą, wypisaną dużymi literami. Momo Łysa Pała przesłuchany, dowody obciążające wystarczą do aktu oskarżenia, spalony starzec zidentyfikowany, wielka awantura, zadzwonić pilnie.

Te kulki elektryczności, o których mówił Émeri. Adamsberg potarł szyję, wybierając numer Danglarda. Była jedenasta, komendant na pewno zjawił się już w pracy. Może nie nadawał się na razie do działań operacyjnych, ale był obecny.

– Czemu jeszcze tam siedzisz? – zapytał Danglard swoim porannym bardzo ponurym tonem. – Z rana wyszedłem po ciebie na pociąg.

– Znaleźli wczoraj zwłoki myśliwego.

– Widziałem. Ale to nie nasza sprawa. Wyrwij się z tego cholernego grimweldu, zanim cię wciągnie. Mamy tu nowości. Émeri jest w stanie sam sobie poradzić.

– I chce sobie poradzić. Porządny gość, chętny do współpracy, ale wyprawia mnie następnym pociągiem. Optuje za samobójstwem.

– Dla niego dobra nowina. Pewnie załatwia mu sprawę.

– Jasne. Ale stara Léo, u której spałem, jest pewna, że to morderstwo. Ona jest w Ordebecu tym, czym gąbka jest dla wody. Wchłania wszystko, i to od osiemdziesięciu ośmiu lat.

– A kiedy na nią naciskasz, mówi to?

– Na co naciskam?

– Na tę Léo. Jak na gąbkę.

– Nie, jest ostrożna. To nie kumoszka, Danglard. Ona funkcjonuje zgodnie z efektem motyla, który porusza się w Nowym Jorku i powoduje wybuch w Bangkoku.

– Ona ci to powiedziała?

– Nie, Émeri.

– Cóż, pomylił się. W Brazylii motyl trzepocze skrzydłami, a w Teksasie przechodzi tornado.

– Coś to zmienia?

– Tak. Przez oddalanie się od znaczenia słów najczystsze teorie przemieniają się babskie gadanie. I już nikt nic nie wie. Od przybliżenia do niedokładności i proszę, prawda się rozmywa, a jej miejsce zajmuje obskurantyzm.

Danglardowi humor powoli się poprawiał, jak zawsze, gdy miał okazję snuć wywody, a nawet zaprzeczać czemuś dzięki swojej wiedzy. Komendant nie był człowiekiem skłonny do gadania przez okrągły dzień, lecz milczenia sobie nie cenił, powstawała bowiem wtedy zbyt duża przestrzeń sprzyjająca szerzeniu się jego melancholii. Czasami wystarczyło kilka odpowiedzi, by wyrwać Danglarda ze strefy cienia. Adamsberg odsuwał chwilę, gdy poruszy temat Moma Łysej Pały, Danglard także, co nie było dobrym znakiem.

– Na pewno istnieje kilka wersji tej historii z motylem.

– Nie – stanowczo odparł Danglard. – To nie umoralniająca powiastka, tylko naukowa teoria dotycząca przewidywalności. Sformułował ją Edward Lorenz w tysiąc dziewięćset siedemdziesiątym drugim roku w kształcie, który podałem. Motyl jest w Brazylii, a tornado w Teksasie, tego nie wolno zmieniać.

– Świetnie, Danglard, ale już to zostawmy. Co Momo opowiada na przesłuchaniu?

– Zgarnęliśmy go rano. Wykorzystana benzyna może być tą, której on używa.

– Są identyczne?

– Nie, oleju było mniej. Ale to paliwo do skuterów. Mo nie ma alibi na noc spalenia auta, nikt go nie widział. Twierdzi, że jakiś facet umówił się z nim w parku, żeby pogadać o jego bracie. Mo czekał jakoby dwie godziny, potem wrócił do domu.

– To nie wystarczy do aresztowania, Danglard. Kto tak zdecydował?

– Retancourt.

– Bez twojej zgody?

– Za zgodą. Wokół samochodu są odciski adidasów ze śladami benzyny. Te buty znaleźliśmy rano u Mo zawinięte w plastikowy worek. Tu nie ma żadnych wątpliwości. Mo



głupio powtarza, że to nie jego adidasy. Jego obrona to kompletna klapa.

– Są jego odciski palców na worku i butach?

– Czekamy na wyniki. Mo mówi, że odciski będą, bo miał worek w rękach. Znalazł go jakoby w szafie i oglądał, co w nim jest.

– Jego rozmiar?

– Tak. Czterdzieści trzy.

– To nic nie znaczy. Najpowszechniejszy rozmiar męski.

Adamsberg znowu przejechał ręką po karku, aby złapać elektryczną kulkę, która po nim wędrowała.

– Gorzej – ciągnął Danglard – że ten stary nie zsunął się w fotelu, śpiąc w samochodzie. Siedział wyprostowany, kiedy buchnął ogień. Czyli podpalacz musiał go widzieć. Oddaliśmy się od nieumyślnego zabójstwa.

– Nowe? – zapytał Adamsberg.

– Co nowe?

– Adidasy.

– Nowe, a co?

– Powiedz, komendancie, dlaczego Mo miałyby iść podpalać samochód w nowych butach, a jeśli nawet to zrobił, dlaczego później się ich nie pozbył? A co z rękami? Zbadaliście je, czy są na nich ślady benzyny?

– Technik lada chwila się zjawi. Przyszedł rozkaz, żeby uruchomić wszystkie możliwe środki. Wystarczy jedno nazwisko, żeby zrozumieć, w cośmy wdepnęli. Ten stary, który się spalił, to Antoine Clermont-Brasseur.

– Jeszcze tego brakowało – rzekł Adamsberg po krótkiej chwili.

– Właśnie – przyznał z powagą Danglard.

– I Mo miałyby trafić na niego przypadkiem?

– Jakim przypadkiem? Niszcząc Clermonta-Brasseura, trafia kapitalizm w samo serce. Może taki cel miał nasz Mo.

Adamsberg pozwolił, aby przez kilka chwil Danglard perorował sam, on zaś jedną ręką próbował naciągnąć skarpetki i buty.

– Sędzia jeszcze nie wie?

– Czekamy na analizę odcisków palców.

– Danglard, cokolwiek wyjdzie w analizie, wstrzymajcie się ze stawianiem zarzutów. Poczekajcie na mnie.

– Niby jak? Jeśli sędzia się dowie, żeśmy zwlekali przy nazwisku takim jak Clermont-Brasseur, w ciągu godziny będziemy mieli ministra na karku. Zastępca prefekta już dzwonił z pytaniem o pierwsze wnioski. Chce, żeby mordercę zapuszkować w ciągu dnia.

– Kto teraz dzierży stery grupy Clermont?

– Ojciec miał dwie trzecie udziałów. Do jego dwóch synów należy reszta. To

w uproszczeniu. W rzeczywistości ojciec miał te dwie trzecie w sektorze budownictwa i metalurgii. Jeden syn jest większościowym udziałowcem w branży informatycznej, a drugi w nieruchomościach. Ale w całości stary grał pierwsze skrzypce i ani myślał dopuścić synów do samodzielnych rządów. Od jakiegoś roku chodziły plotki, że stary coraz częściej popełnia błędy i że Christian, starszy syn, rozważa zarząd powierniczy, żeby chronić grupę. Stary się wściekł i postanowił ożenić się w przyszłym miesiącu ze swoją gosposią, kobietą z Wybrzeża Kości Słoniowej młodszą o czterdzieści lat, która od dziesięciu lat dba o niego i sypia w jego łóżku. Kobieta ma syna i córkę, których stary Antoine zamierzał później adoptować. Może tylko prowokował, ale determinacja starca może być sto razy silniejsza od młodzieńczego zapału.

– Sprawdziłeś alibi obu synów?

– Całkowita odmowa – wycedził Danglard przez zęby. – Są zbyt wstrząśnięci, żeby przyjmować policję, poproszono nas, byśmy poczekali.

– Danglard, którego technika przysłała nam laboratorium?

– Enza Lalonde’a. Świetny fachowiec. Nie rób tego, inspektorze. Dywan zaczyna się już palić na obu końcach.

– Czego nie robić?

– Niczego.

Adamsberg schował telefon, potarł kark i zamachnął się ręką w stronę wzgórz, aby wyrzucić kulkę elektryczności. I chyba podziałało. Dość szybko pokonał uliczki Ordebecu, idąc w niezasnurowanych butach prosto do kabiny telefonicznej, którą zauważył po drodze między zajazdem Léo a rynkiem miasteczka. Do kabiny osłoniętej przed wzrokiem osób postronnych, otoczonej wysokimi baldachami dzięki marchwi. Zadzwoił do laboratorium i poprosił do telefonu Enza Lalonde’a.

– Proszę się nie martwić, inspektorze – zaczął się tłumaczyć Lalonde. – Będę u was najpóźniej za czterdzieści pięć minut. Już jadę.

– Nie, nie, właśnie nie jedźcie. Chwilowo nie możecie wyjść z laboratorium, później nie będziecie mogli uruchomić samochodu, następnie utkniecie w korku i najlepiej, gdybyście mieli jakąś kolizję. Świetnie by było, gdybyście rozbili reflektor gdzieś o przydrożny słupek. Albo wgnietli zderzak. Możecie improwizować, zdaje się, że umiecie to robić.

– Coś nie tak, inspektorze?

– Potrzebuję czasu. Pobierzcie próbki jak najpóźniej, potem oświadczycie, że badanie nie poszło jak trzeba i wynik jest niewiarygodny. Będziecie musieli je powtórzyć jutro.

– Panie inspektorze – odezwał się Lalonde po chwili milczenia – czy ma pan świadomość, czego ode mnie żąda?

– Tylko kilku godzin, nic więcej. Na polecenie przełożonego i dla dobra śledztwa. Oskarżony pójdzie do pierdła, cokolwiek wyjdzie. Możecie chyba dać mu dzień więcej?

– No nie wiem...

– Bez urazy, Lalonde. Dajcie mi doktora Romaina i zapomnijcie o tej rozmowie. Romain zajmie się tym bez problemu.

– No dobra, inspektorze, biorę to na siebie – powiedział Lalonde po kolejnej chwili milczenia. – Ale przysługa za przysługę. Tak się składa, że mnie przypadł ten sznurek z łapek gołębia. Niech pan też da mi więcej czasu, jestem zawałony robotą.

– Ile tylko chcecie. Ale znajdźcie coś.

– Na włóknach zostały drobinki skóry. Gościu otarł sobie palce. Może nawet do krwi. Musi pan szukać kogoś z niewidocznym rozcięciem w załamaniu palca wskazującego. Za to sznurek może powiedzieć nam coś więcej. Nie jest zwyczajny.

– Znakomicie – pochwalił Adamsberg, czując, że młody Enzo Lalonde próbuje zatuszować swoją strachliwość. – Aha, i w żadnym razie nie dzwońcie do mnie do brygady ani na komórkę.

– Zrozumiałem, panie inspektorze. I jeszcze jedno: mogę dostarczyć wyniki dopiero jutro, ale nigdy ich nie sfałszuję. Tego niech pan nie żąda. Jeśli gościu jest winny, nic na to nie poradzę.

– Nie ma mowy o fałszowaniu. I tak zresztą znajdziecie na jego palcach ślady benzyny. Takiej samej jak na butach, bo je obracał w rękach, i jak w miejscu spalenia samochodu. Facet będzie siedział, możecie być pewny.

I wszyscy będą zadowoleni, podsumował Adamsberg, odwieszając słuchawkę, po czym dolną częścią koszulki wytarł ślady swoich palców na aparacie. A życie Moma Łysej Pały potoczy się swoim torem, już wytyczonym, już przypieczętowanym.

## X

Drzwi do jadalni były szeroko otwarte, Adamsberg zlany potem wpadł do niedużego ciemnego pomieszczenia i stanął jak wryty. Na posadzce spoczywało rozciągnięte długie chude ciało Léone, głowa tonęła w kałuży krwi. Obok Pasik skowyczał, leżąc na boku, z grubą łapą na brzuchu staruszki. Adamsberg poczuł się, jakby kawał muru zwałił mu się na kark, przetoczył przez grzbiet i rozsypał u stóp.

Przyklękawszy obok Léone, przyłożył jej palce do szyi, do nadgarstków, lecz nigdzie nie wyczuł pulsu. Léone się nie przewróciła, ktoś ją zabił, okrutnie roztrzaskał jej głowę o posadzkę. Poczul, że skowyczy wraz z psem, wali pięścią w ziemię. Ciało było jeszcze ciepłe, napaść miała miejsce zaledwie kilka minut wcześniej. Może sam spłoszył zabójcę, biegnąc tutaj, żwir bowiem chrzęścił głośno. Otworzył tylne drzwi, szybko obrzucił wzrokiem pustą okolicę, następnie pobiegł do sąsiadów po numer telefonu na posterunek żandarmerii.

Czekał na przyjazd sił porządkowych, siedząc po turecku obok Léo. Tak jak pies łapę, on położył na niej dłoń.

– Gdzie jest Émeri? – zapytał brygadiera, który wszedł do pokoju w towarzystwie kobiety, z pewnością lekarki.

– U szajbusów. Zaraz będzie.

– Karetka – rozkazała lekarka nagłoco. – Żyje. Ale niewiele brakuje. Śpiączka.

Adamsberg poderwał głowę.

– Nie wyczułem pulsu – powiedział.

– Jest bardzo słaby – przyznała lekarka, kobieta około czterdziestki, atrakcyjna i stanowcza.

– Kiedy to się stało? – zapytał sierżant, wypatrując szefa.

– Kilka minut temu – odparła lekarka. – Nie więcej jak pięć. Przewróciła się i uderzyła głową o ziemię.

– Nie, ktoś walił jej głową o posadzkę – sprostował Adamsberg.

– Ruszał ją pan? – spytała lekarka. – Kim pan jest?

– Nie ruszałem jej i jestem gliniarzem. Proszę obejrzeć psa, pani doktor, nie może wstać. Bronił Léo i morderca mu przywalił.

– Zbadałam już psa, nic mu nie jest. Znam Pasika. Kiedy nie chce stanąć, nikt go do tego nie zmusi. Nie ruszy się, dopóki nie zabierzemy jego pani. A i wtedy niekoniecznie.

– Pewnie zasłała – niepotrzebnie podpowiedział gruby brygadier. – Albo zaplątała się w krzesło. I upadła.

Adamsberg pokręcił głową, rezygnując z dyskusji. Léone została pobita, pobita z powodu tego brazylijskiego motyla, którego poruszenie skrzydeł zobaczyła. Który to był? Gdzie? Samo miasteczko Ordebec dostarczało kilkadziesiąt tysięcy szczegółów dziennie, kilkadziesiąt tysięcy uderzeń motyli skrzydeł. I tyleż zdarzeń łańcuchowych. W tym zabójstwo Michela Herbiera. I pośród tej ogromnej masy motyli skrzydeł jedna para zatrzepotała na oczach Léo, która ją dostrzegła lub usłyszała. Tylko która? Znalezienie pary motyli skrzydeł w miejscowości liczącej dwa tysiące mieszkańców było utopią w porównaniu z szukaniem igły w stogu siana. Tego bowiem Adamsberg nigdy nie uważał za niewykonalne. Wystarczyłoby spalić siano i igła by się znalazła.

Karetka zajechała przed wejście, rozległo się trzaskanie drzwi, Adamsberg podniósł się i wyszedł. Zaczekał, aż sanitariusze powoli wsuną nosze do karetki, grzbietem dłoni musnął włosy staruszki.

– Wróć, Léo – obiecał. – Będę tu. Brygadierze, poproście kapitana Émeriego, żeby kazał jej pilnować dzień i noc.

– Tak jest, panie inspektorze.

– Nikt nie może mieć wstępu do jej pokoju.

– Tak jest, panie inspektorze.

– To na nic – zimno oświadczył lekarz, zajmując miejsce w karetce. – Nie dożyje do wieczora.

Krokiem jeszcze wolniejszym niż zwykle Adamsberg wrócił do domu, którego pilnował gruby brygadier. Włożył ręce pod wodę, aby zmyć krew Léone, osuszył je ścierką, w którą poprzedniego wieczoru wycierał naczynia, starannie rozwiesił ją na oparciu krzesła. Niebiesko-białą ścierkę w motywy pszczół.

Mimo że jego panią zabrano, pies nie ruszył się z miejsca. Skowyczał ciszej, jęcząc przy każdym oddechu.

– Zabierzcie go – powiedział Adamsberg do brygadiera. – Dajcie mu cukru. Nie zostawiajcie tu zwierzaka.

W pociągu błoto i liście wysychały mu na podeszwach i spadały w licznych czarniawych grudkach na podłogę, na co z niezadowoleniem spozierała kobieta siedząca naprzeciwko. Adamsberg podniósł taką grudkę ukształtowaną w bieżniku podeszwy i wsunął do kieszeni koszulki. Ta pani nie może wiedzieć, pomyślał, że obcuje ze świętymi szczątkami, pozostałościami z chemin de Bonneval zdeptanej kopytami Dzikiego Hufca. Pan Hellequin wróci, aby znów uderzyć w Ordebec – pozostało mu jeszcze trzech żywych do pojmania.

## XI

Od dwóch lat Adamsberg nie widział Moma Łysej Pały, który miał pewnie teraz ze dwadzieścia trzy lata – za stary, aby nadal bawić się zapałkami, za młody, aby poniechać walki. Policzki pokrywał mu zarost, lecz z tą nutką męskości Momo wcale nie wyglądał bardziej imponująco.

Chłopaka posadzono w sali przesłuchań bez światła dziennego, bez wentylacji. Adamsberg przyglądał mu się przez szybę – siedział zgarbiony na krześle, ze spuszczonego wzrokiem. Przesłuchanie prowadzili komisarze Noël i Morel. Noël krążył wokół niego, bawiąc się od niechcienia jo-jo, które mu odebrał. Momo Łysa Pała wygrał niemało mistrzostw w tej dyscyplinie.

– Kto przydzielił Noël'a? – spytał Adamsberg.

– Dopiero co zmienił poprzednika – wyjaśnił zakłopotany Danglard.

Przesłuchanie trwało od rana, a komendant Danglard dotąd nic nie zrobił, aby je przerwać. Mo od początku trzymał się jednej wersji: czekał sam w parku na przedmieściu Fresnay, znalazł te nowe adidas w szafie, wyjął je z worka. Jeśli miał benzynę na rękach, to właśnie z tych butów. Nie wie, kim był Antoine Clermont-Brasseur, nie ma pojęcia.

– Dostał coś do jedzenia? – zapytał Adamsberg.

– Tak.

– Do picia?

– Dwie cole. Cholera, inspektorze, co pan sobie myśli? Przecież go nie torturujemy.

– Prefekt dzwonił osobiście – wtrącił Danglard. – Do wieczora Mo musi się przyznać.

Polecenie ministra spraw wewnętrznych.

– Gdzie są te osławione adidas?

– Tu – odparł Danglard, wskazując stół. – Jeszcze śmierdzą paliwem.

Adamsberg obejrzał buty, nie dotykając ich, i pokiwał głową.

– Nasiąknięte po same sznurówki.

Szybkim krokiem do pomieszczenia wszedł sierżant Estalère, za nim Mercadet z telefonem w ręce. Gdyby nie niewytłumaczalna protekcja Adamsberga, młodego Estalère'a już dawno by nie było w brygadzie – siedziałby w jakimś małym komisariacie z dala od stolicy. Wszyscy koledzy w większym lub mniejszym stopniu uważali, że Estalère sobie nie radzi, niektórzy mieli go nawet za kompletnego kretyna. Szeroko otwierał zielone oczy na świat, jakby starał się niczego nie przegapić, lecz wciąż nie dostrzegał rzeczy oczywistych. Inspektor traktował go jak rosnący pęd, zapewniając, że jego potencjał kiedyś się objawi. Codziennie młody sierżant ogromnie się przykładał, aby się uczyć i rozumieć. Od dwóch lat

jednak nikt jeszcze nie zauważył, aby ów pęd jakoś się wzmocnił. Estalère chodził krok w krok za Adamsbergiem niczym wędrowiec wpatrzony w kompas, absolutnie bezkrytyczny, i jednocześnie wielbił komisarz Retancourt. Kontrastowość w postępowaniu tych dwojga wprawiała go ustawicznie w zakłopotanie, Adamsberg bowiem kroczył krętymi ścieżkami, Retancourt natomiast zmierzała prosto do celu zgodnie z praktyczną logiką bawołu, który jak po sznurku kroczy do wodopoju. Nierzadko zatem młody sierżant przystawał na rozstajach, nie mogąc zdecydować, którą drogą pójść. W takich chwilach maksymalnego pogubienia szedł zaparzyć kawę dla całej brygady. To robił na medal, zapamiętawszy preferencje każdego, nawet najdrobniejsze.

– Panie inspektorze – wysapał Estalère – w laboratorium zdarzyła się katastrofa. – Przerwał, by zerknąć do notatki. – Próbkę zebrane z Mo nie nadają się do użytku. Doszło do zanieczyszczenia w miejscu przechowywania.

– Inaczej mówiąc – wtrącił Mercadet, chwilowo całkowicie rozbudzony – ktoś z techników zalał kawę płytki.

– Herbatą – sprostował Estalère. – Enzo Lalonde musi jeszcze raz pobrać próbki, ale wyniki będą dopiero jutro.

– A to pech – mruknął Adamsberg.

– Ponieważ jednak ostatnie ślady benzyny mogą zniknąć, prefekt kazał skuć ręce Mo, żeby niczego nie dotykał.

– Prefekt już wie o zanieczyszczeniu próbek?

– Co godzinę wydzwania do laboratorium – odparł Mercadet. – Ten gość od kawy przeżywa ciężkie chwile.

– Od herbaty. Gość od herbaty.

– Wychodzi na jedno, Estalère – zauważył Adamsberg. – Danglard, zadzwoń do prefekta i powiedz mu, że nie musi się zneść nad technikiem. Będzie miał zeznanie Mo dziś przed dwudziestą drugą.

Adamsberg wszedł do sali przesłuchań, trzymając adidas czubkami palców, i gestem dał znak Noëlowi, że ma wyjść. Mo uśmiechnął się z ulgą na jego widok, lecz inspektor pokręcił głową.

– Nie, Mo. To koniec twoich wyczynów jako przywódcy bandy. Rozumiesz, komu tym razem podłożyłeś ogień? Wiesz, kto to jest?

– Powiedzieli mi. Gostek od budowy i od hut. Clermont.

– Który swoje wyroby sprzedaje, Mo. Na całym świecie.

– Tak, sprzedaje.

– Inaczej mówiąc, spaliłeś jeden z filarów gospodarki kraju. Ni mniej, ni więcej. Chwytasz?

– To nie ja, panie inspektorze.

– Nie o to pytam. Pytam, czy chwytasz.

– Tak.

– Co chwytasz?

– Że to jeden z filarów gospodarki kraju – odparł Mo ze zduszonym szlochem.

– Innymi słowy, podłożyłeś ogień pod kraj po prostu. W tej chwili firma Clermont-Brasseur jest zdezorientowana, na giełdach europejskich zapanował niepokój. Czy to jasne? Nie, nie opowiadaj mi tu swoich historyjek o tajemniczym spotkaniu, parku, nieznanach adidasach. Chcę wiedzieć, czy zabiłeś Clermonta-Brasseura przypadkiem czy też celowałeś w niego. Zabójstwo nieumyślne albo z premedytacją, to ogromna różnica.

– Panie inspektorze, proszę.

– Nie ruszaj rękami. Celowałeś w niego? Chciałeś wejść do historii? Jeśli tak, to ci się udało. Włóż te rękawiczki i adidas. Jeden mi wystarczy.

– To nie moje.

– Włóż jednego – powtórzył Adamsberg, podnosząc głos.

Noël, który słuchał za szybą, wzruszył ramionami niezadowolony.

– W ekstrakugach doprowadza chłopaka do łez. A potem się mówi, że największy brutal w brygadzie to ja.

– Przestań, Noël – powiedział Mercadet. – Mamy rozkazy. Ogień Moma dosięgnął nawet Pałacu Sprawiedliwości. Musimy mieć przyznanie się do winy.

– A od kiedy to inspektor tak grzecznie słucha rozkazów?

– Od kiedy góra ma na niego oko. Chyba normalne, że chce ratować skórę, nie?

– Jasne, że normalne. Ale nie w jego wypadku – rzekł Noël, zabierając się. – Jestem wręcz rozczarowany.

Adamsberg wyszedł z sali przesłuchań i podał adidas Estalère'owi. Spostrzegł niepewne spojrzenia kolegów, w szczególności komendanta Danglarda.

– Zajmijcie się nim dalej, Mercadet, ja mam do załatwienia sprawę w Normandii. Teraz, kiedy Mo stracił do mnie zaufanie, pęknie dość szybko. Podłączcie tam wentylator, to ręce nie będą mu się tak pociły. A jak tylko technik powtórzy analizy, przyślijcie mi wyniki.

– Wydawało mi się, że jesteś przeciwny oskarżeniu chłopaka – zauważył Danglard tonem niezbyt życzliwym.

– Ale później zobaczyłem jego oczy. On to zrobił, Danglard. To smutne, ale zrobił. Nie wiadomo jeszcze tylko, czy dobrowolnie czy nie.

Danglard bardziej niż cokolwiek innego potępiał w Adamsbergu ów sposób traktowania własnych przeczuć jako faktów potwierdzonych. Adamsberg zaś utrzymywał, że przecucia są faktami, elementami materialnymi, które mają taką samą wartość jak analiza laboratoryjna. Że mózg to gigantyczne laboratorium zdolne porządkować i analizować dane, jak na przykład spojrzenie, po czym wysnuwać niemal pewne wnioski. Ta fałszywa logika doprowadzała Danglarda do szaleńczego.

– Nie chodzi o to, żeby widzieć albo nie widzieć, ale żeby wiedzieć – powiedział.



– I wiemy, Danglard. Mo złożył starca w ofierze na ołtarzu swoich przekonań. Dziś w Ordebecu ktoś stłukł starszą panią, jak rozbija się szklankę na podłodze. Nie mam nastroju do oszczędzania morderców.

– Rano uważałeś, że Momo wpadł w pułapkę. Rano mówiłeś, że na pewno pozbyłby się butów, a nie zostawiał je w szafie, podając na tacy oskarżycielom.

– Mo uważał się za wielkiego spryciarza. Na tyle wielkiego, że zaopatrzył się w nowe adidasy i chciał nam wmówić, że ktoś go wrabia. Ale nikt go nie wrabia, Danglard.

– To ci powiedział jego wzrok?

– Na przykład.

– A jakie dowody zebrałeś w jego wzroku?

– Pychę, okrucieństwo, a teraz jeszcze błady strach.

– Zmierzyłeś to wszystko? Przeanalizowałeś?

– Już mówiłem, Danglard – odparł Adamsberg podejrzenie łagodnym głosem – że nie mam nastroju do dyskusji.

– Ohyda – mruknął sucho Danglard.

Adamsberg wybierał na komórce numer szpitala w Ordebecu. Dał znak ręką Danglardowi, jakby go obojętnie odprawiał.

– Wracaj do domu, komendancie. To najlepsze, co możesz zrobić.

Wokół nich zebrało się siedmiu członków brygady, przysłuchując się zwadzie. Estalère miał zgnębną minę.

– I wy wszyscy też, jeśli się boicie, że ciąg dalszy nie przypadnie wam do gustu. Do przesłuchania Mo potrzebuję dwóch ludzi. Mercadeta i Estalère’a.

Splawiona grupka rozeszła się w milczeniu z zaskoczeniem lub dezaprobatą na twarzy. Danglard, dygoczący z gniewu, oddalił się wielkimi krokami na tyle szybko, na ile pozwalał jego szczególnie sposób chodzenia bazujący na dwóch okazałych nogach, które wydawały się równie godne zaufania jak dwie częściowo stopione świece. Zszedł spiralnymi schodami, które wiodły do piwnicy, wyjął butelkę białego wina ukrytą za wielkim piecem centralnego ogrzewania i napił się duszkiem. Szkoda, powiedział sobie. Ten jeden raz wytrzymał aż do siódmej wieczór, nie pijąc. Usiadł na skrzynce, która w piwnicy pełniła funkcję krzesła, starał się uspokoić oddech, by okiełznać złość, a przede wszystkim zapanować nad bólem z powodu rozczarowania. Był w stanie bliskim paniki – a tak lubił Adamsberga, tak bardzo liczył na uwodzicielskie szlaki, którymi błądzi jego umysł, na jego obojętność i... owszem, również na jego łagodność, dosyć pospolitą i niemal niezmienną. Tyle że czas płynął i powtarzające się sukcesy zepsuły pierwotną naturę Adamsberga. Pewność siebie i przekonanie o nieomyślności wrosły mu w świadomość, wnosząc zarazem nowe materiały: ambicję, butę, nieugiętość. Osławiona Adamsbergowa obojętność obracała się i zaczynała pokazywać swe ciemne oblicze.

Danglard niepokieszony odstawił butelkę do schowka. Słyszał, jak drzwi budynku co rusz

trzaskają, agenci zgodnie z rozkazem powoli opuszczali komendę, licząc, że jutro będzie lepszy dzień. Posłuszny Estalère został z Momem w towarzystwie komisarza Mercadeta, który prawdopodobnie przysypiał już obok niego. Cykl czuwania i snu trwał u Mercadeta około trzech i pół godziny. Wstydzący się swej ułomności komisarz nie mógł się sprzeciwić inspektorowi.

Danglard podniósł się ociężale, myślami podążając do obiadokolacji z pięciorgiem swoich dzieci, byle tylko wyrzucić z głowy echa tamtej sprzeczki. Moje dzieci, pomyślał zaciekle, przytrzymując się poręczy w drodze po schodach na górę. Tam jest jego życie, a nie z Adamsbergiem. Może złożyć wypowiedzenie, czemu nie miałyby wyjechać do Londynu, gdzie mieszka jego kochanka, z którą tak rzadko się widuje? To niemal postanowienie natchnęło go poczuciem dumy, dodając nieco dynamiczności jego zmartwionemu umysłowi.

Zamknięty w swoim biurze Adamsberg nasłuchiwał trzaskania drzwi wejściowych, w miarę jak stropieni agenci opuszczali to miejsce zatrute napięciem i urazą. Zrobił, co należało zrobić, i niczego sobie nie wyrzucał. Popisał się odrobiną grubiaństwa w sposobie działania, lecz z braku czasu nie miał wyboru. Zaskoczył go napad gniewu Danglarda. Ciekawe, że stary przyjaciel nie wsparł go jak prawie zawsze. Zwłaszcza że Danglard nie wątpił w winę Mo. Zawiodła go wyrafinowana inteligencja. Tyle że ataki lęku często przysłaniały komendantowi prostą prawdę, po drodze wszystko zniekształcając, zamykając mu dostęp do tego co oczywiste. Choć nie na długo.

Około dwudziestej Adamsberg usłyszał szuranie nóg Mercadeta, który prowadził do niego Mo. Za godzinę los młodego podpalacza będzie przypieczętowany, a jutro on będzie musiał stawić czoło reakcjom kolegów. Jediną osobą, której się obawiał, była Retancourt. Niemniej nie było nad czym się zastanawiać. Cokolwiek Retancourt i Danglard o tym pomyślą, z całą pewnością dobrze wyczytał w oczach Mo, a to określiło nieuchronną drogę postępowania. Wstał, by otworzyć drzwi, chowając komórkę do kieszeni. Tam, w Ordebecu, Léo wciąż żyła.

– Siadaj – powiedział do Mo, który wszedł ze spuszczoną głową, aby ukryć wzrok.

Adamsberg słyszał, że płacze, nerwy mu puszczały.

– Nic nie powiedział – zameldował Mercadet służbowym tonem.

– Długo to już nie potrwa – rzekł Adamsberg, kładąc rękę na ramieniu chłopaka, aby usiadł. – Mercadet, załóżcie mu kajdanki i idźcie odpocząć na górze.

Na górze, czyli w niedużym pomieszczeniu z dystrybutorem napojów i kocią miską, gdzie komisarz rozłożył sobie na podłodze materace, na których odbywał cykliczne drzemki. Mercadet przy tej okazji zanosił kota do miski i spał razem z nim. Zdaniem Retancourt, odkąd komisarz i kot założyli tę spółkę, poprawiła się jakość snu Mercadeta, a drzemki się skróciły.

## XII

Telefon zadzwonił u kapitana Émeriego w środku kolacji. Odebrał zirytowany. Pora kolacji była dla niego luksusową dobroczynną chwilą wytchnienia, której strzegł niemal obsesyjnie w życiu względnie skromnym. W trzypokojowym mieszkaniu służbowym największy pokój był jadalnią, w której stół obowiązkowo musiał być nakryty białym obrusem. Na owym obrusie błyszczały dwa srebrne naczynia uratowane ze spadku po marszałku Davoucie, bombonierka i miska na owoce, obydwie oznaczone cesarskimi orłami i inicjałami przodka. Gosposia Émeriego dyskretnie odwracała pobrudzony obrus na drugą stronę, aby oszczędzić sobie prania, nie czując ani krzty respektu dla starego diuka d'Eckmühl.

Émeri nie był głupi. Wiedział, że hołd oddawany przodkowi rekompensuje mu życie, które uważał za przeciętne, i charakter, którego cechą nie było osławione zuchwalstwo marszałka. Jako człowiek lękliwy uchylił się od kariery wojskowej na wzór ojca, a z sił zbrojnych wybrał Żandarmerię Narodową, jeśli zaś chodzi o podboje, zadowalał się kobiecym ciałem. Siebie oceniał surowo, wyjątkiem była szczęśliwa pora kolacji, kiedy pozwalał sobie na pobłażliwość. Przy tym stole odnajdywał w sobie prezencję i pewność siebie i ta codzienna dawka narcyzmu go regenerowała. Wszyscy wiedzieli, że z wyjątkiem spraw naprawdę pilnych nie należy mu przeszkadzać w porze wieczornego posiłku. Dlatego głos brygadiera Blériota w słuchawce brzmiał niezbyt pewnie:

– Bardzo przepraszam, panie kapitanie, ale uznałem, że powinienem pana poinformować.

– Léo?

– Nie, jej pies. W tej chwili ja go pilnuję. Doktor Chazy powiedziała, że nic mu nie jest, ale w sumie inspektor Adamsberg miał rację.

– Do rzeczy, brygadierze – niecierpliwie ponaglił go Émeri. – Kolacja mi stygnie.

– Pasik przez cały dzień się nie podniósł, a wieczorem zwymiotował krwią. Zawiozłem go do weterynarza, który stwierdził obrażenia wewnętrzne. Jego zdaniem Pasik otrzymał cios w brzuch, prawdopodobnie kopniaka. A to by znaczyło, że Adamsberg miał rację i Léo została napadnięta.

– Odczepcie się od Adamsberga, potrafimy sami wyciągać wnioski.

– Przepraszam, panie kapitanie, to dlatego, że on od razu tak powiedział.

– Weterynarz jest pewny diagnozy?

– Na sto procent. Jest gotowy złożyć zeznanie.

– Wezwijcie go na jutro z samego rana. Dowiadywaliście się, co z Léo?

– Nie wybudziła się ze śpiączki. Doktor Anchois liczy, że krwiak mózgu się wchłonie.

– Naprawdę na to liczy?

- Nie. Zasadniczo nie liczy.
- Jesteście po kolacji, Blériot?
- Tak, panie kapitanie.
- To przyjdźcie do mnie za pół godziny.

Émeri rzucił telefon na biały obrus i z ponurą miną usiadł przed talerzem. Z brygadierem Blériotem, starszym od niego, łączyły go paradoksalne stosunki. Gardził nim, w ogóle nie liczył się z jego zdaniem. Blériot był prostym brygadierem, spasionym, posłusznym i nieokrzesanym. A równocześnie jego przyjazne usposobienie – dobrodusze, myślał Émeri – cierpliwość, którą można było pomylić z tępotą, dyskrecja czyniły z niego użytecznego niegroźnego powiernika. Émeri na przemian kierował nim jak psem i traktował go jak przyjaciela, przyjaciela do zadań specjalnych: wysłuchiwanie go, pocieszania, dodawania mu otuchy. Pracował z nim od sześciu lat.

- Niedobrze będzie, Blériot – powiedział do brygadiera, otwierając mu drzwi.
  - Z Léone? – zapytał Blériot, siadając na empirowym krześle, na którym zwykle zajmował miejsce.
    - Z nami. Ze mną. Spieprzyłem początek śledztwa.
  - Zważywszy, że marszałek Davout słynął z dosadnego języka, nabytego jakoby w rewolucyjnych latach, Émeri nie starał się wysławiać zbyt elegancko.
    - Widzisz, Blériot, jeśli Léo została napadnięta, znaczy, że Herbiera zamordowano.
    - Czemu pan to łączy, kapitanie?
    - Wszyscy to robią. Zastanów się. Co ludzie mówią?
    - Że dużo wiedziała na temat śmierci Herbiera, bo przecież Léo zawsze dużo wie o wszystkim i o wszystkich. Ale nie jest plotkarką.
      - Ma za to rozum, ma pamięć. Niestety nic mi nie powiedziała. A może to by uratowało jej życie. – Émeri otworzył bombonierkę wypełnioną lukrecjami i popchnął ją w stronę Blériota. – Oberwie nam się, brygadierze. Gostka, który rozkwasza starszą panią na ziemi, wypada traktować poważnie. Inaczej mówiąc, dzikus, demon. A ja od iluś dni pozwalam mu chodzić wolno. Co jeszcze mówią w mieście?
        - Już powiedziałem, kapitanie. Nie wiem.
        - Łżesz, Blériot. Co mówią o mnie? Że nie spisałem się w robocie, tak?
        - Przejdzie im. Ludzie gadają, a potem zapominają.
        - Nie, Blériot, gadają, bo mają rację. Herbier zniknął jednaście dni temu, dziewięć dni temu powiadomiono mnie o tym. Postanowiłem to zignorować, bo myślałem, że Vendermotowie chcą mnie wciągnąć w pułapkę. Przecież wiesz. Chroniłem siebie. A kiedy znaleziono zwłoki, uznałem, że sam się zabił, bo tak mi było wygodnie. Upierałem się jak ostatni osioł i nie kiwnąłem palcem. Jeśli więc teraz ludzie powiedzą, że ponoszę

odpowiedzialność za śmierć Léo, będą mieli słuszność. Wkrótce po śmierci Herbiera jeszcze były szanse na wytropienie zabójcy.

– Nie można było tego zgadnąć.

– Ty nie mogłeś. Ja tak. A teraz już nie znajdziesz żadnych śladów. Zawsze to samo. Człowiek próbuje się chronić, a tylko bardziej się odsłania. Zapamiętaj to sobie.

Émeri poczęstował brygadiera papierosem i przez chwilę obaj palili w milczeniu.

– Czemu to takie ważne, kapitanie? Co się może stać?

– Może nam po prostu spaść na głowę Generalny Inspektorat Żandarmerii.

– Przeciwno panu?

– No pewnie. Tobie nic nie grozi, nie pełnisz funkcji kierowniczej.

– Niech pan poszuka pomocy. W jedności siła.

– Gdzie mam jej szukać?

– U hrabiego. On ma długie ramię, sięgnie do stolicy. I do Generalnego Inspektoratu.

– Wyjmij karty, Blériot, zagramy ze dwie partyjki, to nam dobrze zrobi.

Blériot rozdał karty z ociężałością, która charakteryzowała każdy jego ruch, i Émeri poczuł się nieco pokrzepiony.

– Hrabia jest bardzo przywiązany do Léo – zauważył Émeri, układając swoje karty.

– Podobno żadnej innej nie kochał.

– Ma prawo myśleć, że ponoszę odpowiedzialność za to, co się stało. I posłać mnie do diabła.

– Nie wolno wymawiać tej nazwy, kapitanie.

– Dlaczego? – zapytał Émeri ze śmiechem. – Wierzysz, że diabeł jest w Ordebecu?

– Mimo wszystko... Pan Hellequin przeszedł.

– Wierzysz w to, biedaku.

– Nigdy nic nie wiadomo, kapitanie.

Émeri się uśmiechnął i położył kartę. Blériot przebił ją ósemką.

– Nie masz dziś głowy do gry.

– Prawda, kapitanie.

## XIII

– Panie inspektorze... – rzekł błagalnie raz jeszcze Mo.

– Cicho – przerwał mu Adamsberg. – Masz sznurek na szyi i niewiele czasu.

– Ja nie zabijam, nigdy nikogo. Tylko karaluchy w domu.

– Cicho bądź, do licha – powtórzył Adamsberg, do słów dołączając nakazujący gest.

Mo umilkł zaskoczony. Coś się zmieniło w postawie inspektora.

– Teraz lepiej – rzekł Adamsberg. – Jak słyszałeś, nie mam dziś nastroju, żeby mordercy biegali na wolności.

Przed oczami stanął mu widok Léo, który wzbudził natychmiast mrowienie w karku. Adamsberg przejechał ręką po szyi i cisnął kulkę na ziemię. Mo spoglądał na niego z przemożnym wrazeniem, że inspektor złapał niewidzialnego żuka. Instynktownie zrobił to samo, sprawdzając swój kark.

– Też masz kulkę? – zapytał Adamsberg.

– Jaką kulkę?

– Elektryczności. Mniej emocji wystarczy, żeby ją mieć.

Mo pokręcił głową, nic nie rozumiejąc.

– W twoim przypadku, Mo, mamy do czynienia z mordercą cynicznym, wyrachowanym i o wielkiej mocy. Z zupełnym przeciwieństwem impulsywnego okrutnego czubka, który atakuje w Ordebecu.

– Nie znam – mruknął Mo.

– Nieważne. Ktoś działając w rękawiczkach, zlikwidował Antoine’a Clermonta-Brasseur. Nie będę ci tłumaczył, dlaczego stary przedsiębiorca stał się kłopotliwy, bo nie ma na to czasu i to nie twój problem. Musisz natomiast wiedzieć, że ty za to zapłacisz. Tak było ustalone od początku operacji. Za dobre sprawowanie wyjdiesz z pudła za dwadzieścia dwa lata, jeżeli wcześniej nie podpalisz celi.

– Za dwadzieścia dwa lata?

– Nie żyje Clermont-Brasseur, a nie jakiś kawiarniarz. Sprawiedliwość nie jest ślepa.

– Ale jeśli pan wie, że to nie ja, może pan im powiedzieć i nie pójde do pierdła.

– Marzenia ściętej głowy, Mo. Klan Clermontów-Brasseurów nigdy nie dopuści, żeby na kogoś z rodziny padło podejrzenie. Nie można ich nawet zaprosić na zwykłe przesłuchanie. A cokolwiek się stało, nasi rządzący będą chronili klan. Że ani ty, ani ja nie jesteśmy ich wagi, to za mało powiedziane. Ty jesteś niczym, oni są wszystkim. Tak to można sformułować. I wybrali właśnie ciebie.

– Nie ma dowodów – szepnął Mo. – Nie można mnie skazać bez dowodów.

– Oczywiście, że można, Mo. Dość tego, tracimy tylko czas. Mogę ci zaproponować dwa lata zamiast dwudziestu dwóch. Piszesz się na to?

– Jak to?

– Uciekniesz stąd i gdzieś się zaszyjesz. Ale rozumiesz, jeżeli do jutra cię nie znajdą, będę musiał się gęsto tłumaczyć.

– Tak.

– Zabrałeś broń i komórkę Mercadetowi... wiesz, temu komisarzowi, który ma szramę na policzku i takie malutkie dłonie... no więc zabrałeś mu jedno i drugie, kiedy zasnął w sali przesłuchań. On stale zasypia.

– Ale on nie zasnął.

– Nie dyskutuj. Zasnął, zabrałeś mu broń i telefon, ukryłeś w ciuchach, w spodniach z tyłu. Mercadet niczego nie zauważył.

– A jeżeli przysięgnie, że cały czas miał broń przy sobie?

– Nie przysięgnie, bo ja mu ją zabiorę, tak samo jak komórkę. Z tego telefonu zadzwoniłeś do wspólnika, żeby czekał na zewnątrz. Przystawiłeś mi broń do głowy, zmusiłeś mnie, żebym ci zdjął kajdanki i założył sobie. Potem jeszcze kazałeś mi otworzyć tylne wyjście z komendy. Posłuchaj uważnie: na ulicy jest dwóch wartowników po obu stronach drzwi. Wyjdiesz, trzymając mnie na muszce. Ostro. Tak ostro, żeby nie próbowali interweniować. Dasz radę tak zrobić?

– Może.

– Dobrze. Powiem chłopakom, żeby ani drgnęli. Musisz wyglądać na zdeterminowanego, zdecydowanego na wszystko. Rozumiemy się?

– A jeżeli nie będę wyglądał na dość zdecydowanego?

– Wtedy stawką będzie twoje życie. Postaraj się. Na rogu ulicy jest znak drogowy, zakaz parkowania. W tym miejscu skręcasz w prawo, przywalasz mi w podbródek, ja padam na ziemię. A ty wiejesz prosto ile sił w nogach. Przed rzeźnikiem jakieś trzydzieści metrów stąd zobaczysz samochód z włączonym silnikiem, zapali światła. Wtedy rzuć gnata i wskakuj do wozu.

– A komórka?

– Zostawisz tutaj. Zniszczę ją później.

Mo oniemiały spoglądał na Adamsberga spod ciężkich powiek.

– Czemu pan to robi? Będą gadali, że nie poradził pan sobie nawet ze zwykłym żulikiem z przedmieścia.

– Moja sprawa, co o mnie będą gadali.

– Będą pana podejrzewali.

– Nie, jeśli dobrze odegrasz swoją rolę.

– To nie zasadzka?

– Dwa lata paki, osiem miesięcy, jeśli będziesz się dobrze sprawował. Bo jeżeli dotrę do

prawdziwego mordercy, będziesz musiał jednak odpowiedzieć za napaść z bronią w ręku na funkcjonariusza na służbie i za ucieczkę. Dwa lata. Nic lepszego nie mogę ci zaproponować. Bierzesz?

– Tak – wyszeptał Mo.

– Ale uwaga. Możliwe, że postawią mury obronne tak wysokie, że w życiu nie dopadnę zabójcy. W takim wypadku będziesz musiał wiać dalej, za ocean.

Adamsberg spojrział na zegarek. Jeżeli Mercadet nie sprzeniewierzył się swoim zwyczajom, powinien teraz spać. Inspektor otworzył drzwi i zawołał Estalère'a.

– Pilnuj mi tego gościa, zaraz wracam.

– Powiedział coś?

– Prawie. Liczę na ciebie, nie spuszczań go z oka.

Estalère się uśmiechnął. Bardzo lubił, gdy Adamsberg mówił o jego oku. Kiedyś inspektor go zapewnił, że ma znakomite oczy, może zobaczyć wszystko.

Adamsberg przemknął po cichutku na piętro, pamiętając, by nie stanąć na dziewiątym stopniu, o który wszyscy się potykali. Lamarre i Morel siedzieli w dyżurce, nie mógł zwrócić ich uwagi. W sali z dystrybutorem Mercadet był na posterunku – spał na materacach przykryty kotem, który wyciągnął się na jego łódkach. Przed zaśnięciem uprzejmiem odpiął kaburę, tak że jego broń była w zasięgu ręki. Adamsberg pogłaskał kota po łebku i bezgłośnie zabrał magnum. Bardziej musiał się postarać, aby wyjąć telefon z przedniej kieszeni spodni Mercadeta. Dwie minuty później odprawił Estalère'a i na powrót zamknął się z Mo.

– Gdzie ja się przyczaję? – zapytał Mo.

– W miejscu, w którym gliny nigdy nie będą cię szukały. Czyli u gliniarza.

– Gdzie?

– U mnie.

– Cholera – rzekł Mo.

– Trudno, jak się nie ma, co się lubi, trzeba brać, co dają. Nie miałem czasu, żeby się zorganizować.

Adamsberg szybko posłał wiadomość do Zerka, który odpowiedział, że Hellebaud rozłożył skrzydła, że jest gotów do odlotu.

– Już pora – powiedział Adamsberg, wstając.

Z kajdankami na rękach, przytrzymywany przez Mo, który przyciskał mu broń do szyi, Adamsberg otworzył dwoje okratowanych drzwi prowadzących na podwórze, na którym parkowały samochody brygady. Kiedy szli w kierunku bramy, Mo położył Adamsbergowi dłoń na ramieniu.

– Panie inspektorze, nie wiem, co powiedzieć.

– Zostaw to na później, skup się teraz.

– Dam pana imię swojemu pierwszemu synowi, przysięgam przed Bogiem.



- Idźże, do cholery. Ma być ostro.
- Panie inspektorze, jeszcze coś.
- Twoje jo-jo?
- Nie, moja matka.
- Zostanie powiadomiona.

## XIV

Danglard pozmywał po kolacji i wyciągnął się na starej brązowej kanapie z kieliszkiem białego wina w zasięgu ręki, podczas gdy dzieci kończyły odrabiać zadania domowe. Pięcioro dzieci, które dorastały, pięcioro dzieci, które wyfruną z domu, o czym lepiej było nie myśleć tego wieczoru. Jedyne najmłodszy chłopiec, który nie był jego synem i ustawicznie prezentował mu tajemnicę błękitnych oczu odziedziczonych po innym ojcu, był jeszcze dzieckiem i Danglard utrzymywał go na tym etapie rozwoju. Nie zdołał ukryć przygnębienia po powrocie z pracy i starszy z bliźniaków zaczął go natarczywie wypytywać. Danglard, niezbyt odporny na nalegania, zrelacjonował scenę, w której starł się z inspektorem, powiedział o kąśliwym tonie Adamsberga i o tym, jak przyjaciel stacza się stopień po stopniu ku mierności. Syn powątpiewająco wydał wargi, to samo zrobił jego brat i teraz tamto dubeltowe wydęcie ust pałętało się po zasmuconej głowie komendanta.

Słyszał, jak jedna z bliźniaczek powtarza lekcję z Woltera o człowieku szydzącym z tych, którzy odchodzą zwabieni iluzją i kłamstwem. Poderwał się nagle, opierając się na jednym łokciu. Przedstawienie. Uczestniczył w przedstawieniu. W kłamstwie, iluzji. Czuł, jak umysł mu przyspiesza, co znaczyło, że odnalazł właściwe tory. Wstał i odsunął kieliszek. Jeżeli się nie myli, Adamsberg właśnie teraz go potrzebuje.

Dwadzieścia minut później, sapiąc, wchodził do budynku komendy. Nic niezwykłego nie zauważył, nocna zmiana drzemała przy włączonych jeszcze wentylatorach. Zajrzał szybko do biura Adamsberga, zauważył otwarte okratowane drzwi i w miarę swoich możliwości pobiegł do tylnej bramy. Ciemną ulicą dwaj wartownicy prowadzili inspektora. Adamsberg wydawał się oszołomiony, idąc, wspierał się na ramionach sierżantów. Danglard zaraz ich zmienił.

– Złapcie mi tego drania – polecił Adamsberg sierżantom. – Chyba uciekł wozem. Zaraz przyślę wam posiłki.

Danglard bez słowa doprowadził Adamsberga do biura, po drodze zamknął obydwie kraty. Inspektor nie chciał usiąść, tylko opadł na podłogę między dwoma jelenimi porożami, głowę wsparł na ścianie.

– Lekarza? – zapytał Danglard sucho.

Adamsberg pokręcił głową.

– W takim razie wody. To się zawsze przydaje rannym.

Danglard zorganizował posiłki, zarządził najwyższy stan gotowości w całym kraju, drogi, dworce, lotniska, i wrócił do biura Adamsberga ze szklanką wody, pustą szklanką oraz butelką białego wina.

– Jak cię dorwał? – zapytał, podając mu wodę, i przystąpił do odkorkowania wina.

– Zabrał gnata Mercadetowi. Nic nie mogłem zrobić. – Adamsberg opróżnił szklanekę i wyciągnął ją, podstawiając pod butelkę Danglarda.

– Wino nie jest zalecane w takim przypadku jak twój.

– Ani jak twój, Danglard.

– W sumie dałeś się podejść jak złotodziób.

– W sumie tak.

Jeden z wartowników zapukał i wszedł, nie czekając. Na małym palcu zwisało mu magnum, które podawał inspektorowi.

– Był w rynsztoku – powiedział.

– A telefon?

– Nie ma. Rzeźnik, który akurat sprawdzał rachunki, mówi, że jakiś samochód odjechał z wizgiem opon pięć minut po tym, jak stanął przed sklepem. Wsiadł do niego mężczyzna.

– Mo – westchnął Danglard.

– Tak – potwierdził wartownik. – Opis pasuje.

– Mamy numery rejestracyjne? – zapytał Adamsberg, nie okazując ani krzty zdenerwowania.

– Nie. Rzeźnik nie wyszedł ze sklepu. Co robimy?

– Raport. Piszemy raport. To zawsze dobra odpowiedź.

Drzwi się zamknęły i Danglard nalał inspektorowi pół szklanki wina.

– Jesteś w takim szoku – mówił troskliwie – że nie mogę ci nalać więcej.

Adamsberg pomacał kieszonkę koszulki i wyjął z niej pociętego papierosa, którego podebrał Zerkowi. Wolno go zapalił, starając się unikać wzroku Danglarda, który jakby chciał mu się wwiercić w mózg niczym cieniutka długa śruba. Co w ogóle Danglard robi tu o tej porze? Mo naprawdę mocno mu przyłożył, Adamsberg potarł teraz obolały i z pewnością zaczerwieniony podbródek. Bardzo dobrze. Poczł skaleczenie i nieco krwi pod palcami. Znakomicie, wszystko szło jak najlepiej. Pominąwszy Danglarda i jego długą śrubę – tego właśnie się obawiał. Niewiedza komendanta nigdy nie trwała długo.

– Opowiedz – powiedział Danglard.

– Co tu opowiadać? Wpadł w szal, przystawił mi broń do gardła, nic nie mogłem zrobić. Wyszedł od tyłu.

– Jak powiadomił współnika?

– Z telefonu Mercadeta. Przy mnie wysłał wiadomość. Jak załatwimy sprawę z raportem? Żeby ukryć, że Mercadet spał?

– Właśnie, jak załatwimy z raportem? – powtórzył Danglard, powoli z naciskiem wymawiając słowa.

– Zmienimy godziny. Napisze się, że Mo o dziewiątej był jeszcze w sali przesłuchań. To, że agent się zdrzemnie w godzinach nadliczbowych, nie wywoła żadnych konsekwencji.

Myślę, że koledzy wykażą się solidarnością.

– Wobec kogo? – zapytał Danglard. – Wobec Mercadeta czy wobec ciebie?

– A co miałem zrobić, Danglard? Pozwolić, żeby mnie podziurawił?

– Coś ty? Było aż tak ostro?

– A było, było. Mo dosłownie się wściekł.

– Jasne – przytaknął Danglard i łyknął wina.

Adamsberg zaś w jego przenikliwym spojrzeniu wyczytał swoją porażkę.

– No dobra – powiedział.

– No dobra – potwierdził Danglard.

– Ale za późno. Przychodzisz za późno, farsa została już odegrana. Bałem się, że zrozumiesz wcześniej. Zwlekałeś – dodał z zawodem w głosie.

– To prawda. Pozbyłeś się mnie na całe trzy godziny.

– Akurat tyle czasu potrzebowałem.

– Odbiło ci, Adamsberg.

Adamsberg napił się ze szklanki, którą przetoczył potem od policzka do policzka.

– Mnie to nie przeszkadza – oznajmił.

– I pociągasz mnie za sobą.

– Nie. Nie musiałeś mnie przejrzeć. Masz jeszcze sposobność wyjść na głupka. Twój wybór, komendancie. Wyjdź stąd albo zostań.

– Zostanę, jeśli podasz choć jeden element przemawiający na jego korzyść. Coś innego niż wzrok.

– Nie ma mowy. Jeśli zostajesz, to bezwarunkowo.

– Bo?

– Bo życie jest mało ciekawe.

Danglard pohamował odruch buntu i zacisnął palce na szklance. Ten gniew jest jednak mniej bolesny, uznał, niż kiedy myślał, że Adamsberg zleciał ze swoich chmur. Przez chwilę zastanawiał się w milczeniu. Dla formy – i wiedział o tym.

– Dobra – powiedział w końcu.

Najkrótsze słowo, jakie znalazł, aby wyrazić swą kapitulację.

– Pamiętasz adidas? – zapytał Adamsberg. – Sznurówki?

– Rozmiar Mo. No i?

– Mówię o sznurówkach, Danglard. Końce zmoczyły się w benzynie, co najmniej kilka centymetrów.

– I co?

– To adidas dla młodych, sznurówki mają wyjątkowo długie.

– Wiem, moje dzieci noszą takie same.

– A jak twoje dzieci je wiążą? Zastanów się dobrze, Danglard.

– Owijają sznurówkę na kostce i wiążą z przodu.

– Właśnie. Była moda na rozwiązane sznurówki, teraz jest moda na bardzo długie, które się owija w kostce i wiąże z przodu. Wtedy końce sznurówek nie ciągną się po ziemi. Chyba że ktoś starszy, kto się nie zna, włożył te adidas i nie wiedział, jak należy je zasnurować.

– Cholera.

– Właśnie. Ktoś starszy, kto się nie zna, powiedzmy, pięćdziesięcio-, sześćdziesięciolatek, powiedzmy, jeden z synów Clermonta-Brasseura, kupił młodzieżowe adidas. I zawiązał je zwyczajnie, z przodu, jak za swoich czasów. I końce ciągnęły się w benzynie. Kazałem Mo włożyć te buty. Pamiętasz?

– Tak.

– I zawiązał je po swojemu, na kostce do tyłu i potem z przodu. Gdyby on podłożył ogień, benzyna byłaby na podszewkach, owszem. Ale nie na końcach sznurówek.

Danglard nalał sobie do ledwie opróżnionej szklanki.

– To jest ten twój element?

– Tak. Na wagę złota.

– Zgadza się. Ale komedię zacząłeś odgrywać przed nami wcześniej. Wiedziałeś wcześniej.

– Mo nie jest mordercą. Nigdy nie zamierzałem pozwolić, żeby go wrobiono.

– Którego z synów Clermonta podejrzewasz?

– Christiana. To zimny gad, odkąd skończył dwudziesty rok.

– Nie pozwolą ci. Złapią Mo, gdziekolwiek się ukrył. To ich jedyna szansa. Kto przyjechał po niego samochodem?

Adamsberg wychylił wino do dna, nie odpowiadając.

– Jaki ojciec, taki syn – skwitował Danglard, podnosząc się ciężko.

– Już mamy jednego chorego gołębia, możemy mieć dwa.

– Nie możesz długo trzymać go u siebie.

– Tego nie przewiduję.

– Bardzo dobrze. Co robimy?

– Jak zwykle – odparł Adamsberg, wydostając się spomiędzy jelenich poroży. – Raport, piszemy raport. Jesteś w tym najlepszy, Danglard.

W tej chwili zadzwoniła komórka inspektora, na wyświetlaczu ukazał się nieznany numer. Adamsberg zerknął na zegarki, pięć po dziesiątej, i zmarszczył brwi. Danglard już się zabierał za fałszywy raport, martwiąc się o swoje wiekuiste wsparcie dla Adamsberga, nawet w skrajnych okolicznościach, w jakich znaleźli się teraz.

– Adamsberg, słucham – rzekł inspektor ostrożnie.

– Mówi Louis Nicolas Émeri – usłyszał głuchy głos kapitana. – Obudziłem cię?

– Nie, jeden z moich podejrzanych właśnie zwiął.

– Świetnie – odparł Émeri, nie rozumiawszy.

– Léo umarła?

- Nie, jeszcze się trzyma. Ale ja nie. Już po mnie.
- Oficjalnie?
- Jeszcze nie. Kolega z inspektoratu mnie ostrzegł. Załatwią to jutro. Hieny, skurwysyny jedne.
- Przewidywaliśmy to, Émeri. Zawieszenie czy przeniesienie?
- Czasowe zawieszenie w oczekiwaniu na raport.
- A tak, raport.
- Hieny, skurwysyny jedne – powtórzył kapitan.
- Czemu dzwonisz do mnie?
- Wolę zdechnąć, niż pozwolić, żeby kapitan z Lisieux przejął śledztwo. Nawet Święta Teresa bez wahania rzuciłaby go Dzikiemu Hufcowi.
- Moment, Émeri. – Adamsberg zasłonił dłonią telefon. – Danglard, kapitan w Lisieux?
- Dominique Barrefond, prawdziwy gnój.
- Co zamierzasz, Émeri? – spytał Adamsberg, na powrót przykładając telefon do ucha.
- Chcę, żebyś ty przejął sprawę. W końcu jest twoja.
- Moja?
- Od początku, zanim jeszcze się okazało, że jest sprawa. Odkąd przyszedłeś na chemin de Bonneval, kiedy nic jeszcze o niej nie wiedziałeś.
- Poszedłem tam zaczerpnąć powietrza. Najadłem się jeżyn.
- Nie do mnie taka gadka. To twoja sprawa – oświadczył Émeri. – I jeżeli ty ją poprowadzisz, będę mógł ci pomóc, bo ty mnie nie zdepczesz. A ten skurwysyn z Lisieux zrobi ze mnie miazgę.
- Dlatego mi to wciskasz?
- Dlatego i dlatego, że to twoja sprawa, nikogo innego. Twój los w obliczu Dzikiego Hufca.
- Nie wyjeżdżaj mi tu z patosem, Émeri.
- Tak jest. Jedzie do ciebie.
- Kto?
- Pan Hellequin.
- Nie wierzysz w to ani przez sekundę, myślisz tylko o własnej skórze.
- Tak.
- Przykro mi, Émeri, ale przecież wiesz, że nie mogę tego przejąć. Nie mam żadnego pretekstu.
- Nie mówię o pretekście, mówię o chodach. Ja będę miał chody. Hrabiego Ordebec. Postaraj się o jakieś ze swojej strony.
- Czemu miałbym to robić? Żeby mieć zgrzyty z glinami z Lisieux? I bez tego mam masę zgrzytów tutaj, Émeri.
- Ale nie jesteś na celowniku.

– Skąd wiesz? Mówiłem ci, że podejrzany mi zwiął. Z mojego biura, z gnatem jednego z moich ludzi.

– Dodatkowy powód, żeby odnieść sukces gdzie indziej.

Ma rację, pomyślał Adamsberg. Ale kto może stawić czoło panu Dzikiego Hufca?

– Podejrzany, który ci uciekł, to ten ze sprawy Clermonta-Brasseur? – podjął Émeri.

– Zgadza się. Jak widzisz, okręt nabiera wody i będę bardzo zajęty wybieraniem jej.

– Interesują cię spadkobiercy Clermonta?

– Bardzo. Ale są niedostępni.

– Nie dla hrabiego Ordebec. On sprzedał stalownie VLT staremu Antoine’owi. W latach pięćdziesiątych zjedli razem beczkę soli w Afryce. Hrabia to przyjaciel. Kiedy Léo wyciągnęła mnie za majtki ze stawu, była jeszcze z nim.

– Nie zawracaj sobie głowy Clermontami. Znamy podpalacza.

– Tym lepiej. Po prostu czasami człowieka korci, żeby posprzątać okolicę, bo wtedy widać wyraźniej. Zwykle względy higieniczne, bez żadnych konsekwencji.

Adamsberg odsunął telefon od ucha i skrzyżował ręce. Jego palce napotkały grudkę ziemi, którą wsunął do kieszeni koszulki. Nie dalej jak w południe.

– Daj mi się zastanowić – powiedział.

– Ale szybko.

– Ja nigdy nie myślę szybko, Émeri.

A nawet w ogóle nie myślisz, uzupełnił Danglard, lecz nie powiedział tego na głos. Ucieczka Mo była czystym szaleństwem.

– Ordebec, hę? – zagadnął. – Od bladego świtu będziesz miał cały rząd przeciw sobie i chcesz do tego jeszcze dodać Dzikiego Hufca?

– Praprawnuk marszałka Davouta złożył właśnie broń. Miejsce czeka, aż ktoś je zajmie. Zaszczytne, nie?

– Od kiedy to zważasz na zaszczyty?

Adamsberg w milczeniu składał swoje rzeczy.

– Odkąd obiecałem Léo, że wrócę.

– Ona jest w śpiączce, ma to w nosie, nawet cię nie pamięta.

– Ale ja pamiętam.

A w sumie, myślał Adamsberg, wracając piechotą do domu, możliwe, że Émeri ma słuszość. Że to jego, Adamsberga sprawa. Zboczył trochę, by podejść na brzeg Sekwany, i tam wrzucił do wody telefon Mercadeta.

## XV

O drugiej nad ranem Danglard skończył raport. O szóstej trzydzieści do Adamsberga zadzwonił sekretarz generalny dyrektora prefektury, później dyrektor we własnej osobie, następnie sekretarz ministra, a na koniec, o dziewiątej piętnaście, minister spraw wewnętrznych. Akurat wtedy do kuchni wszedł Mo ubrany w za duży na niego tiszert Zerka, nieśmiało szukając jakiejś stawy. Zerk z gołębiem ułożonym na jednej ręce wstał, aby zagrzać kawę. Okiennice od strony ogrodu były pozamykane, a na przeszklonych drzwiach Zerk pinezkami przypiął kawałek kwiecistej tkaniny, dość brzydkiej – z powodu upału, wyjaśnił Luciowi. Mo miał zakaz podchodzenia do okien na piętrze. Dwoma gestami Adamsberg polecił im zamilknąć i poprosił, by wynieśli się z kuchni.

– Nie, panie ministrze, nie ma szans uniknąć kary... Tak, wszystkie posterunki żandarmerii zostały powiadomione wczoraj o dwudziestej pierwszej czterdzieści... Tak, przejścia graniczne również... Nie sądzę, żeby to było konieczne, panie ministrze, komisarz Mercadet w niczym nie zawinił...

– Polecą głowy, inspektorze, muszą polecieć, wie pan, prawda? Clermontowie-Brasseurowie są oburzeni niedbalstwem pańskich podwładnych. Ja również, inspektorze. Doniesiono mi, że trzymacie chorego w brygadzie. W brygadzie, która jest rzekomo wzorem doskonałości!

– Chorego, panie ministrze? Na co?

– Na hipersomnię. Niezgułę, który pozwolił się rozbroić. Spanie na służbie uważa pan za normalne? Stwierdzam niedopełnienie obowiązków, inspektorze, kolosalne.

– Źle pana ministra poinformowano. Komisarz Mercadet należy do najwytrzymalszych ludzi w ekipie. Poprzedniej nocy spał tylko dwie godziny, a wczoraj wieczorem pełnił służbę w godzinach nadliczbowych. W sali przesłuchań były prawie trzydzieści cztery stopnie.

– Kto pilnował z nim zatrzymanego?

– Sierżant Estalère.

– Dobry funkcjonariusz?

– Znakomity.

– Dlaczego więc wyszedł? W raporcie nie ma na ten temat ani słowa.

– Miał przynieść napoje chłodzące.

– Błąd, kardynalny błąd, polecą głowy. Odświeżanie zatrzymanego, tego Mohameda Issama Benatmane'a, to z pewnością nie najlepszy sposób, by zmusić go do mówienia.

– Napoje miały być dla funkcjonariuszy, panie ministrze.

– Należało wezwać kolegę, żeby je przyniósł. Błąd, kardynalny błąd. Nie zostaje się



w pojedynkę z zatrzymanym. Pana też to dotyczy, inspektorze. Wpuścił go pan do swojego biura i został z nim sam, bez żadnego wsparcia. W dodatku okazało się, że nie umie pan sobie poradzić z dwudziestoletnim bandytą. Nieobliczalny błąd.

– Tak jest, panie ministrze.

Kropelkami kawy Adamsberg z roztargnieniem rysował zygzakowate kształty na ceratowym obrusie nakrywającym stół, kreśląc ścieżki między odchodami Hellebauda. Przez chwilę myślał o niezwykłej odporności ptasich odchodów na zmywanie. Węszył w tym jakąś tajemnicę chemiczną, której Danglard nie potrafił wyjaśnić, był za słaby w naukach przyrodniczych.

– Christian Clermont-Brasseur zażądał natychmiastowego zwolnienia pana oraz tych dwóch gamoniów i korci mnie, żeby to zrobić. Niemniej uważamy, że na razie jest nam pan potrzebny. Ma pan tydzień, Adamsberg, ani dnia dłużej.

Adamsberg zwołał zebranie całej swojej ekipy w dużej sali konferencyjnej, zwanej Salą Kapituły wedle erudycyjnej nomenklatury Danglarda. Przed wyjściem z domu powiększył skaleczenie na podbródku, pocierając go drucianką do naczyń, która zostawiła na skórze twarzowe paski. Bardzo dobrze, uznał Zerk, który jeszcze bardziej uwidoczniał wyboczyne za pomocą rzucającego się w oczy środka dezynfekcyjnego.

Głupio się czuł, że nadaremno posyła agentów w pościg za Mo, który siedział u niego w kuchni przy stole, lecz w tej sytuacji nie miał wyboru. Przydzielił zadania i każdy w milczeniu studiował swoją marszrutę. Przebiegł wzrokiem po obliczach dziewiętnąściora podwładnych oszołomionych nowymi okolicznościami. Jedna Retancourt miała minę jakby lekko rozbawioną, co odrobinę go zaniepokoiło. Stropiony wyraz twarzy Mercadeta znowu przywrócił mrowienie w karku. Zaraził się kulką elektryczności, przestając z kapitanem Émerim, i wcześniej czy później będzie musiał mu ją zwrócić.

– Tydzień? – powtórzył sierżant Lamarre. – Kto to widział? Jeśli się zaszył gdzieś w lasach, miesiącami możemy go szukać.

– Tydzień dla mnie – uściślił Adamsberg, nie wspominając o równie niepewnym losie Mercadeta i Estalère'a. – Jeżeli mi się nie uda, prawdopodobnie komendant Danglard zostanie powołany na szefa brygady i będziecie dalej nad tym pracowali.

– Nie przypominam sobie, żebym zasnął w sali przesłuchań – powiedział Mercadet głosem zduszonym poczuciem winy. – Wszystko przeze mnie. Ale nie pamiętam. Jeżeli zaczynam zasypiać, nie zdaję sobie z tego sprawy, znaczy, że nie nadaję się do służby.

– Winnych jest więcej, Mercadet. Wy usnęliście, Estalère wyszedł z sali, nie przeszukano Mo, a ja zamknąłem się z nim sam w biurze.

– Nawet jeżeli znajdziemy go w tydzień, wyleją pana dla przykładu – zauważył Noël.

– Możliwe. Ale mamy jeszcze wyjście ewakuacyjne. A mnie pozostają góry. Czyli to nic

takiego. Pierwsze, co nas czeka w najbliższej przyszłości: spodziewajcie się nieoczekiwanej inspekcji budynku w ciągu dnia. Czyli najwyższy stopień ostrożności w rozmieszczeniu widocznych elementów wyposażenia. Mercadet, idźcie się przespać teraz, macie być całkowicie rozbudzony, jak tu wylądują. Jak się obudzicie, pochowajcie materace. Voisenet, wynieście swoje pisma ichtiologiczne, Froissy, żeby mi w szafkach nawet ślad po jedzeniu nie został, schowajcie też akwarele. Danglard, wyczyść swoje schowki, Retancourt, zajmij się przetransportowaniem kota i misek do któregoś samochodu. Co jeszcze? Niczego nie możemy pominąć.

– Sznurek? – zapytał Morel.

– Jaki sznurek?

– Ten z łapek gołębia. Odesłali go z laboratorium, jest na stole z próbkami i wynikami badania. Jeśli zaczną pytać, lepiej teraz nie mówić nic o ptaku.

– Zabieram sznurek – oznajmił Adamsberg, mimochodem odnotowując na twarzy Froissy strach, który ją ogarnął na myśl, że się pozbędzie swoich zapasów prowiantu. – A swoją drogą jedno jest dobre w tym całym zamieszaniu: choć raz inspektor Brézillon jest z nami. Z jego strony nie będzie nękania.

– Motyw? – zapytał Mordent.

– Clermontowie-Brasseurowie położyli interes jego ojca, import minerałów z Boliwii. Podłe zagranie drapieźców, którego im nie wybaczy. Pragnie jednego: żeby „przesłuchać te psy jak należy”, to jego słowa.

– Nie ma żadnej podstawy do przesłuchania – zauważyła Retancourt. – Clermontowie nic nie zrobili.

– Chciałem tylko, żebyście mieli pojęcie, w jakim stanie ducha jest szef – wyjaśnił Adamsberg. I znowu w oczach Retancourt spostrzegł lekką ironię. No chyba że się pomylił.

– Do roboty. – Wstał, zrzucając na ziemię kulkę elektryczności. – Sprzątanie lokalu. Mercadet, zostańcie, idźcie ze mną.

Siedząc naprzeciw Adamsberga, Mercadet wyłamywał swe małe dłonie. Facet uczciwy, skrupulatny, z talentem do cyferek, wrażliwy również, Adamsberg zaś popychał go na skraj depresji, zniechęcał go.

– Wolę zostać zwolniony teraz – powiedział Mercadet, z godnością pocierając sińce pod oczami. – Ten typ mógł pana zabić. Skoro zasypiam nieświadomie, chcę odejść. Już wcześniej nie można było na mnie polegać, a teraz stałem się zagrożeniem, nie panuję nad sobą.

– Komisarzu – zaczął Adamsberg, nachylając się nad stołem – powiedziałem, że zasnęliście wtedy. Ale wyście nie zasnęli. Mo nie zabrał wam broni.

– Miło, że mnie pan wspiera, inspektorze. Ale jak się obudziłem na górze, nie miałem ani

broni, ani komórki. Mo je miał.

– Miał, bo ja mu je dałem. Dałem mu, ponieważ zabrałem wam. Na górze, w sali z dystrybutorem. Rozumiecie, o co biega?

– Nie – odparł Mercadet z oszołomieniem na twarzy.

– To byłem ja, Mercadet. Musiałem umożliwić Mo ucieczkę, zanim przyjdzie nakaz aresztowania. Mo nigdy nikogo nie zabił. Nie miałem wyboru, dlatego was wrobiłem.

– Mo panu nie groził?

– Nie.

– Pan otworzył kraty?

– Tak.

– Szlag by to trafił.

Adamsberg odchylił się na oparcie krzesła, czekając, aż Mercadet przetrawi informacje, co normalnie przebiegało u niego dość szybko.

– W porządku – powiedział Mercadet, podnosząc głowę. – Już wolę to niż świadomość, że odpłynąłem w sali przesłuchań. A jeśli nie zabił starego, tylko to można było zrobić.

– A teraz trzeba trzymać język za zębami, Mercadet. Jeden Danglard się domyślił. Ale wy, Estalère i ja za tydzień wylatujemy z roboty. Nie zapytałem was o zdanie.

– Tylko to można było zrobić – powtórzył Mercadet. – Choć raz to moje spanie na coś się przyda.

– Na pewno. Gdyby was nie było na komendzie, nie wiem, co bym wymyślił.

Skrzydła motyla. Mercadet zamyka oczy w Brazylii, a Mo ucieka w Teksasie.

– To dlatego zatrzymał mnie pan wczoraj po godzinach?

– Tak.

– Oj, to dobrze. Bo zupełnie zgłupiałem.

– Ale wylecimy, komisarzu.

– Chyba że dopadnie pan któregoś syna Clermonta.

– Tak widzicie rzeczy? – zapytał Adamsberg.

– Może. Chłopak taki jak Mo zawiązałby sznurówki na kostce do tyłu i z przodu. Nie mogłem zrozumieć, czemu końce zmoczyły się w benzynie.

– Brawo.

– Pan to zauważył?

– Tak. A czemu w pierwszej kolejności myślicie o jego synach?

– Niech pan sobie wyobrazi, jakie by ponieśli straty, gdyby ojciec ożenił się ze swoją gosposią i adoptował jej dzieci. Podobno synowie nie mają diabolicznego geniuszu starego Antoine'a i wdali się w nierozsądne operacje. Zwłaszcza Christian. Człowiek zepsuty, hazardzista, potrafił w jeden wieczór przepuścić dobowe wydobycie szybu naftowego. – Mercadet z westchnieniem pokręcił głową. – I nie wiemy nawet, czy to on prowadził samochód – skwitował, wstając.

- Komisarzu, w tej sprawie trzeba zachować całkowite milczenie. Na zawsze.
- Mieszkam sam, inspektorze.

Adamsberg po wyjściu Mercadeta krążył przez chwilę po biurze, poprawił jelenie poroża pod ścianą. Brézillon i jego nienawiść do tych padalców Clermontów-Brasseurów. Szefowi może się spodobać pomysł dotarcia do nich za pośrednictwem hrabiego Ordebec. A w takim wypadku pojawi się szansa, żeby jemu, Adamsbergowi, przekazać sprawę normandzką. I wtedy będzie musiał stawić czoło Dzikiemu Hufcowi. Ta perspektywa niesamowicie go nęciła, historia, która wyłaniała się z pradawnych czasów. Wspomniał pewien wieczór i młodziutkiego człowieka przechylnego przez balustradę mostu, wpatzonego w wodę, która wartko spływała w dół. Czapkę trzymał w ręce, a jego problemem, jak wyjaśnił Adamsbergowi, była przemożna pokusa, by wrzucić tę czapkę do wody, chociaż mu na niej zależało. I chłopak usiłował pojąć, dlaczego tak bardzo pragnie to uczynić, skoro nie życzy sobie tego. Ostatecznie odbiegł stamtąd z czapką w garści, jakby musiał się wyrwać z miejsca, które go przyciągało. Teraz Adamsberg lepiej rozumiał głupią historyjkę z czapką na moście. Kawalkada czarnych koni przemykała mu przez myśli, szepcząc mgliste natarczywe zaproszenie, aż czuł, że przeszkadza mu cierpki realizm spraw polityczno-finansowych klanu Clermontów-Brasseurów. Jedynie twarz Mo, gałązki pod olbrzymimi stopami, dawała mu energię do pracy. Tajemnice Clermontów, nużąco pragmatyczne, nie były niespodzianką, co jeszcze wzmagало smutek z powodu okrutnej śmierci starego przedsiębiorcy. W odróżnieniu od nich tajemnica z Ordebecu posyłała mu melodię niezrozumiałą i pełną dysonansów, złożoną z chimer i złudzeń kompozycję, która wabiła go niczym woda spływająca pod mostem.

Nie mógł sobie pozwolić na zbyt długi pobyt poza komendą w ten niespokojny dzień, wsiadł zatem do samochodu, by pojechać do Brézillona. Dopiero stojąc na drugim czerwonym świetle, zorientował się, że wziął wóz, w którym Retancourt ukryła kota i jego miski. Zwolnił, żeby nie wylała się woda z naczynia. Komisarz nigdy by mu nie wybaczyła, gdyby kot uległ odwodnieniu.

Brézillon powitał go niecierpliwym uśmiechem, wymownie poklepując po ramieniu. Taką atmosferę rzadko stwarzał, choć nie przeszkodziła mu w zagajeniu jak zwykle:

– Dobrze wiecie, Adamsberg, że niezbyt pochwalam wasze metody. Nieprzepisowe, mgliste zarówno dla przełożonych, jak i dla podwładnych, pozbawione faktografii koniecznej do wytyczenia ścieżki dochodzenia. Ale one mogą się przysłużyć w sprawie, która nas łączy, zważywszy, że musimy tym razem znaleźć ukryte przejście.

Adamsberg grzecznie wysłuchał tego wstępu, albowiem niełatwo było przerwać monolog starszego inspektora Brézillona, i dopiero potem przedstawił znakomity element faktograficzny, jakim były sznurówki od adidasów niewłaściwie zawiązane przez

podpalacza.

– No proszę, pięknie – skomentował Brézillon, zgniatając samym kciukiem niedopałek, co było charakterystycznym dla niego gestem. – Lepiej byście wyłączyli swoją komórkę, zanim pociągniemy to dalej. Jesteście na podsłuchu od ucieczki podejrzanego, bo jakoś nie kwapicie się do szukania tego Mohameda. Innymi słowy, zwierzęcia wybranego na ofiarę – sprecyzował, kiedy Adamsberg wyłączył telefon. – Zgadzą się, nie? Nigdy nie uważałem, żeby taki nic nieznaczący młodzik mógł przypadkiem spalić jednego z naszych magnatów finansowych. Dali wam tydzień, wiem, i jakoś nie widzę, żebyście do czegoś doszli w tak krótkim czasie. Z jednej strony dlatego, że jesteście powolny, z drugiej dlatego, że na drodze macie same zapory. Niemniej gotów jestem wesprzeć was w każdy możliwy legalny sposób, który pozwoli przypuścić atak na braci. Rozumie się samo przez się, Adamsberg, że tak jak wszyscy idę na całość, jeśli chodzi o winę Araba, i że cokolwiek się przytrafi klanowi Clermontów, nie zgadzam się na ten skandal. Znajdźcie sposób.

## XVI

O siedemnastej Adamsberg wrócił na komendę, na rękę niosąc przewieszzonego jak wielka szmata kota, którego ułożył na ciepłej pokrywie fotokopiarki. Nic nie wzbudziło zainteresowania ekipy z inspektoratu, która faktycznie zjawiła się dwie godziny wcześniej i przeczesała lokal, nie opuszczając żadnego pomieszczenia i nie udzielając informacji. Tymczasem spływały raporty z posterunków żandarmerii i policji, a Mo był ciągle nieuchwytny. Wielu agentów wciąż jeszcze było poza komendą, przetrząsając mieszkania wszystkich jego znajomych. Na wieczór przewidziano zakrojoną na szeroką skalę operację przeszukania wszystkich lokali w Cité des Buttes, gdzie mieszkał Momo i gdzie liczba rocznie spalonych samochodów znacznie przewyższała średnią. Czekano na posiłki z trzech paryskich komisariatów niezbędne do otoczenia dzielnicy.

Adamsberg skinął na Veyrencia, Morela i Noëla i przysiadł bokiem na biurku Retancourt.

– Tu macie adres dwóch synów Clermonta, Christiana i Christopa. „Dwóch Christów”, jak ich nazywają.

– Których reputacja nie dorównuje reputacji Chrystusa – zauważyła Retancourt.

– Ojciec ich przeceniał.

Veyrenc uzupełnił:

*Z płaczem tedy patrzy na swe dzieci zhańbione,  
Żałując, że w gruzach legły cnoty zniszczone.*

– Liczysz, że Clermontowie nas wpuszczą? – zapytał.

– Nie. Liczę, że będziecie chodzili ich tropem dzień i noc. Mieszkają razem w wielkiej rezydencji złożonej z dwóch apartamentów. Stale zmieniajcie samochody i prędkość, a ty, Veyrenc, ufarbuj sobie włosy.

– Noël nie jest najlepszy w śledzeniu – zauważył Morel. – Widać go z daleka.

– Ale jest nam potrzebny. Noël jest zły i zajadły, umie się przyssać na dobre. Tego też potrzebujemy.

– Dzięki – rzekł Noël bez ironii, wysoko bowiem cenił swoje wady.

– Tu są ich zdjęcia – ciągnął Adamsberg, puszczając w obieg kilka odbitek. – Są dość podobni, ale jeden jest gruby, drugi chudy. Sześćdziesiąt i pięćdziesiąt osiem lat. Ten chudy to starszy, Christian, którego nazwiemy Zbawca Jeden. Piękna szpakowata czupryna, zawsze dość długa. Elegancki, błyskotliwy, dowcipniś w drogich ciuchach. Spalony mercedes należał do niego. Niski tłuścioch jest powściągliwy, skromniejszy i prawie łyсы. To Christophe, dla nas Zbawca Dwa. Jeden światowiec, drugi pracuś. Co nie znaczy, że któryś

jest lepszy. Nadal nie wiemy, co robili w wieczór podpalenia auta ani kto prowadził samochód.

– Co jest? – wtrąciła się Retancourt. – Zostawiamy Mo?

Adamsberg zerknął na nią i ujrzał taką samą jak wcześniej podejrzliwość, nieodgadnioną i rozbawioną.

– Szukamy Mo, komisarzu, nawet teraz i wieczorem też, dostaniemy wsparcie. Ale mamy problem z końcami sznurówek.

– Kiedy pan o tym pomyślał? – zapytał Noël, gdy Adamsberg wyłożył kwestię niewłaściwie zawiązanych sznurówek.

– W nocy – skłamał Adamsberg bez mrugnięcia.

– To czemu wczoraj kazał mu pan włożyć jeden but?

– Żeby sprawdzić rozmiar.

– Dobrze – powiedziała Retancourt, wkładając w to słowo cały swój sceptycyzm.

– To nie uniewinnia Mo – podjął Adamsberg. – Ale mocno nam miesza.

– Bardzo mocno – przytaknął Noël. – Jeśli jeden z Christów podłożył ogień pod ojca, pogrążając Mo, okrętem mocno wstrząśnie.

– Okręt już jest dziurawy – skomentował Veyrenc i dodał:

*Ledwie na pokładzie stopę postawili*

*Podwodne rafy kadłub przedziurawiły.*

Po niedawnym powrocie do brygady komisarz Veyrenc zdążył wygłosić kilkadziesiąt złych rymowanek. Nikt jednak nie zwracał już na to uwagi, traktując je jako powszedni dźwięk, taki jak chrapanie Mercadeta czy miauczenie kota, dokładający się do codziennego hałasu w tle.

– Jeżeli jeden z Christów to zrobił – uściślił Adamsberg – przy czym nie twierdzimy, że tak było, i nie wierzymy w to, ale w takim wypadku na jego ubraniu powinny zostać resztki oparów benzyny.

– Cięższe niż powietrze – potwierdził Veyrenc.

– Tak samo na teczce albo na torbie, której użył do podmiany butów – zauważył Morel.

– A może i na kłamce drzwi domu, kiedy wrócił – dodał Noël.

– Albo na kluczu.

– Nie będzie śladów, jeśli wszystko wyczyścił – zwrócił uwagę Veyrenc.

– Trzeba sprawdzić, czy któryś wyrzucił jakieś ubranie. Albo oddał je do czyszczenia.

– Reasumując, inspektorze – odezwała się Retancourt – każe nam pan śledzić dwóch Christów, jakby chodziło o morderców, prosząc równocześnie, żeby ich nie uważać za przestępców.

– Zgadza się – przytaknął Adamsberg z uśmiechem. – Mo jest winny i szukamy go. Ale

do Christów przysysacie się jak pijawki.

– Po prostu dla samej urody tego czynu – rzekła Retancourt.

– Odrobina urody czynu nigdy nie zawadzi. Trochę piękna zrekompensuje nam wieczorne przeszukanie Cité des Buttes, w którym nie będzie ani krzty sztuki. Retancourt i Noël zajmą się starszym synem, Christianem Zbawcą Jeden. Morel i Veyrenc chodzą za Christophe'em Zbawcą Dwa. Zapamiętajcie te kody, mają mnie na podsłuchu.

– Trzeba ekipę nocną na zmianę.

– Froissy, która zajmie się mikrofonami wielokierunkowymi, plus Lamarre, Mordent i Justin. Samochody macie parkować w sporej odległości. Rezydencja jest strzeżona.

– A jeśli nas zauważą?

Adamsberg zastanawiał się przez kilka sekund, po czym bezsilnie pokręcił głową.

– Nie dajmy się zauważyć – zakończył Veyrenc.



## XVII

Kiedy wracając do domu, Adamsberg szedł przez ogródek, zatrzymał go sąsiad Lucio.

- *Hola, hombre* – zawołał na powitanie.
- *Hola*, Lucio.
- Porządne piwo dobrze ci zrobi. Przy tym upale.
- Nie teraz, Lucio.
- I przy wszystkich twoich przebojach.
- Jasne, *hombre*.

Adamsberg nigdy nie lekceważył zapowiedzi Lucia, toteż czekał w ogródku, aż stary Hiszpan wróci z dwoma chłodnymi piwami. Przez to, że Lucio regularnie sikał pod bukiem, Adamsberg odnosił wrażenie, że u podstawy pnia trawa marnieje. No chyba że to był skutek upałów.

Stary otworzył obie butelki – kufli nigdy nie przynosił – i podał mu jedną.

- Dwaj goście tu węższą – rzekł Lucio między jednym a drugim łykiem.
- Tutaj?
- Tak. Jakby nigdy nic. Jak dwaj goście, którzy przechodzą ulicą. A im bardziej wyglądasz jakby nigdy nic, tym bardziej wyglądasz na takiego, który czegoś chce. Zastrane gnoje. Zastrany gnój nigdy nie chodzi jak wszyscy z podniesioną albo spuszczoną głową. Jemu oczy latają wszędzie, jakby spacerował po zabytkowej ulicy. Ale nasza ulica nie jest zabytkowa, he, *hombre*?
- Nie jest.
- To zastrane gnoje, a interesuje ich twój dom.
- Rozpoznanie.
- I odnotowanie wyjść i przyjść twojego syna. Może chcą wiedzieć, kiedy dom jest pusty.
- Zastrane gnoje – mruknął Adamsberg. – Faceci, którzy kiedyś skończą uduszeni miękiszem chleba.

– Czemu chcesz ich dusić miękiszem chleba?

Adamsberg rozłożył ręce.

– No to coś ci powiem – podjął Lucio. – Jeżeli zastrane gnoje próbują wejść do ciebie, znaczy, że masz kłopoty.

Adamsberg dmuchnął w szyjkę butelki, która zagwizdała cicho – czego nie uzyskasz z kufła, słusznie wyjaśniał Lucio – i usiadł na starej drewnianej skrzynce, którą sąsiad ustawił pod bukiem.

– Zrobiłeś jakieś głupstwo, *hombre*?

– Nie.

– Do kogo się dobierasz?

– Do ziem zakazanych.

– Bardzo nierozsądne, *amigo*. W razie czego, gdybyś miał coś albo kogoś do ukrycia, wiesz, gdzie jest mój klucz ratunkowy.

Tak, Adamsberg wiedział. Pod wiadrem żwiru za szopą.

– Lepiej byś go wziął, żeby mieć przy sobie. Twoja decyzja, *hombre* – dodał Lucio, odchodząc.

>Nakrycia stały na ceracie poznaczonej odchodami Hellebauda, Zerk i Momo czekali z kolacją na powrót Adamsberga. Zerk ugotował makaron z tuńczykiem w sosie pomidorowym, wariant ryżu z tuńczykiem i pomidorami, który podał kilka dni wcześniej. Adamsbergowi przemknęło przez głowę, że powinien go poprosić o lekką modyfikację jadłospisu, lecz zaraz z tego zrezygnował – nie było sensu krytykować nieznanego syna z powodu głupiego tuńczyka. A tym bardziej przy obcym w końcu Mo. Zerk kładł kawałeczki ryby koło swojego talerza, a Hellebaud dziobał je energicznie.

– Ma się o wiele lepiej – zauważył Adamsberg.

– Tak – potwierdził Zerk.

Adamsberga nigdy nie krępowały chwile ciszy w grupie, nie odczuwał kompulsywnej potrzeby przerywania ich za wszelką cenę. Mak, powiadano, może się siać i siać, a jemu to obojętne. Jego syn wydawał się ulepiony z tej samej gliny, Mo zaś był zbyt onieśmielony, żeby się odzywać niepytany. Należał jednak do tych, których sianie maku wprawia w zakłopotanie, toteż nieśmiało zapytał inspektora:

– Pan jest diabolistą?

Adamsberg spojrział na niego nierozumiejącym wzrokiem, z trudem przeżuując kęs. Nie ma nic bardziej łykowatego i suchego od tuńczyka na parze – o tym właśnie myślał, kiedy Mo zadał pytanie.

– Nie rozumiem, Mo.

– Lubi pan grać w diabolo?

Adamsberg polał sobie znowu danie sosem pomidorowym i uznał, że bycie diabolistą albo granie w diabolo musi znaczyć coś w stylu „bawić się z diabłem” w języku młodzieży z dzielnicy Mo.

– Czasem tak trzeba – odparł.

– Ale nie gra pan zawodowo?

Adamsberg przerwał przeżuwanie i łyknął wody.

– Chyba nie mówimy o tym samym. Co rozumiesz przez „diabolo”?

– Grę – wyjaśnił Mo, rumieniąc się. – Kauczukowy element w kształcie klepsydry, którą

się obraca na sznurku z dwoma kijkami – dodał, demonstrując gesty gracza.

– A, diabolo – przytaknął Adamsberg. – Nie, nie gram w to. Ani w jo-jo.

Mo, zawiedziony nieudaną próbą, z powrotem wsadził nos w talerz, szukając czegoś innego, czego mógłby się ucześcić.

– To naprawdę dla pana ważne? Znaczy ten gołąb?

– Mo, tobie też spętano nogi.

– Kto? – zapytał Momo.

– Wielcy tego świata, którzy się tobą zajmują. – Adamsberg uchylił odrobinę zasłonkę przypiętą pinezkami do drzwi, poprzyglądał się ogródkowi o zmierzchu, Luciowi, który zasiadł na skrzynce z gazetą. – Trzeba to przemyśleć – powiedział, zaczynając okrężyć stół. – Dwa zaszranie gnoje kręciły się dziś w okolicy. Nie martw się, Mo, mamy trochę czasu, ci goście nie przyszli ze względu na ciebie.

– Gliny?

– Raczej gwardia z kręgów ministerialnych. Chcą się dowiedzieć, co mam właściwie w głowie w związku z Clermontami-Brasseurami. Niepokoją się sprawą sznurówek. Później ci to wytłumaczę, Mo. To ich jedyny czuły punkt. Twoje zniknięcie wprowadziło ich w popłoch.

– Czego tu szukają? – zapytał Zerk.

– Chcą sprawdzić, czy nie mam dokumentów, które by świadczyły o nieoficjalnym dochodzeniu w sprawie Clermontów-Brasseurów. Czyli zamierzają wejść do domu pod naszą nieobecność. Mo nie może tu zostać.

– Wywieziemy go jeszcze dzisiaj?

– Na wszystkich drogach są zapory, Zerk. Trzeba to przemyśleć – powtórzył.

Zerk zaciągnął się papierosem, marszcząc brwi.

– Jeśli czają się na ulicy, nie da się Mo zapakować do auta.

Adamsberg nadal krążył wokół stołu, odnotowując przy okazji w swoim synu umiejętność szybkiego działania, a nawet pragmatyzm.

– Przejdziemy przez dom Lucia i stamtąd na ulicę z tyłu.

Inspektor znieruchomiał, usłyszawszy szelest trawy deptanej na zewnątrz. Zaraz też rozległo się pukanie do drzwi. Mo już stał z talerzem w ręce, cofnął się w stronę schodów.

– Retancourt – oznajmił donośny głos pani komisarz. – Można wejść?

Kciukiem Adamsberg wskazał Mo schody do piwnicy i otworzył drzwi. Dom był stary, toteż Retancourt schyliła się, by nie uderzyć głową w nadproże. Kuchnia z nią w środku od razu wydała się ciasniejsza.

– To ważne – rzekła Retancourt.

– Jadłś kolację, Violette? – zapytał Zerk, który na widok komisarz wyraźnie się rozpromienił.

– Nieważne.

– Zaraz odgrzeję – powiedział Zerk i natychmiast stanął przy kuchence.

Drepczący po stole gołąb podszedł na odległość dziesięciu centymetrów od ręki Retancourt.

– Chyba mnie poznaje, co? Widać, że doszedł do siebie.

– Tak, ale nie fruwa. Nie wiadomo, czy to uraz fizyczny czy psychiczny – wyjaśniał z powagą Zerk. – Próbowałem go wypuścić w ogrodzie, ale tylko dziobał, jakby zapomniał, że może latać.

– Dobra – rzekła Retancourt, siadając na najsolidniejszym krześle. – Zmodyfikowałam pański plan śledzenia braci Clermont.

– Nie podobał się wam?

– Nie. Zbyt klasyczny, za długi, ryzykowny i bez nadziei na efekty.

– Możliwe – zgodził się Adamsberg, który wiedział, że od poprzedniego dnia podejmował wszystkie decyzje w pośpiechu i bez stosownego zastanowienia. Krytyką ze strony Retancourt nigdy nie czuł się dotknięty. – Macie inny pomysł?

– Wkręcić się do domu. Nie widzę innego rozwiązania.

– Też klasyka – odparł Adamsberg – ale niewykonalna. Rezydencja jest nie do sforsowania.

Zerk postawił przed Retancourt talerz odgrzanego makaronu z tuńczykiem. Adamsberg podejrzewał, że Violette zje całą rybę i nawet tego nie poczuje.

– Nie masz trochę wina do tego? – zapytała. – Nie przeszkadzaj sobie, wiem, gdzie jest, przyniosę z piwnicy.

– Nie, ja pójdę – pośpiesznie powiedział Zerk.

– Prawie nie do sforsowania, owszem, dlatego postawiłam wszystko na jedną kartę.

Adamsberga przebiegł dreszcz.

– Powinniście byli skonsultować to ze mną, komisarzy.

– Powiedział pan, że jest na podsłuchu – odparła Retancourt, pakując do ust okazałą porcję ryby z makaronem, co jej w ogóle nie przeszkadzało w mówieniu. – À propos, przyniosłam panu dziewiczy telefon i kartę. Należała do pasera z La Garenne zwanego „Ostry”, ale nikogo nie obchodzi, paser nie żyje. Mam też prywatną wiadomość, którą wieczorem dostarczono na komendę. Od szefa.

– Co wyście zrobili, Retancourt?

– Nic takiego. Poszłam do rezydencji Clermontów i wyjaśniłam odźwiernemu, że dowiedziałam się o wolnej posiadzie. Nie wiem dlaczego, ale chyba zrobiłam na nim wrażenie, bo nie odprawił mnie od razu.

– Nie wątpię – przyznał Adamsberg. – Pewnie jednak zapytał, skąd macie tę informację.

– Jasne. Podałam mu nazwisko Clary de Verdier, powiedziałam, że jest przyjaciółką córki Christophe’a Clermonta.

– Sprawdź to.

– Może – zgodziła się komisarz, nalewając sobie wina z butelki, którą Zerk odkorkował. –

Bardzo dobra kolacja, Zerk. Mogą sprawdzać, co chcą, bo informacja jest prawdziwa. I naprawdę mają tam wolną posadę. W takich wielkich rezydencjach jest tyle personelu, że zawsze jest jakieś poślednie zajęcie, zwłaszcza że Christian Zbawca Jeden ma reputację bardzo twardego wobec pracowników. Zmieniają się tam bez przerwy. Ta Clara była przyjaciółką mojego brata Bruna i kiedyś jej pomogłam w sprawie o napad z bronią w rękę. Zadzwoiłam do niej, potwierdzi wszystko, jeśli będzie trzeba.

– Bez wątpienia – przytaknął Adamsberg lekko oszołomiony.

Należał do najpierwszych wielbicieli nienormalnego talentu Retancourt w działaniu i rozwiązywaniu problemów, dostosowującego się do wszelkich zadań, celów i terenów, lecz zawsze czuł się trochę ogłuszony, kiedy się z nim konfrontował.

– Tak że – ciągnęła Retancourt, wycierając sos chlebem – jeśli nie widzi pan przeszkód, zaczynam jutro.

– Dokładniej proszę, komisarzu. Odźwierny was wpuścił?

– A pewnie. Przyjął mnie pierwszy sekretarz Christiana Zbawcy Jeden, niemiły kacyk, który na pierwszy rzut oka nie bardzo miał ochotę przyjąć mnie do pracy.

– Co to za praca?

– Zarządzanie domową księgowością na komputerze. Nie wdając się w szczegóły: dość obcesowo zademonstrowałam swoje zalety i ostatecznie facet mnie zatrudnił.

– Na pewno nie miał wyboru – spokojnie rzekł Adamsberg.

– Przypuszczam, że nie miał. – Retancourt dopiła wino i głośno odstawiała szklankę na stół. – Ten obrus nie jest zbyt czysty – zauważyła.

– Sprawka gołębia. Zerk czyści tu, jak może, ale odchody wżerają się w ceratę. Zastanawiam się, co takiego jest w ptasim łajnie.

– Kwas albo coś w tym guście. To jak robimy? Mam brać tę robotę czy nie?

>W środku nocy Adamsberg się przebudził i zszedł na dół do kuchni. Zapomniał o wiadomości od szefa przyniesionej przez Retancourt i poniewierającej się na stole. Przeczytał ją, uśmiechnął się i spalił kartkę w kominku. Brézillon powierzał mu sprawę w Ordebecu.

Będzie miał do czynienia z Dzikim Hufcem.

O wpół do siódmej obudził Zerka i Mo.

– Pan Hellequin przychodzi nam z pomocą – powiedział i Zerkowi te słowa zabrzmiały trochę jak deklaracja złożona w kościele.

– Violette też – zauważył Zerk.

– Też, ale ona zawsze to robi. Przydzielono mi sprawę w Ordebecu. Przygotujcie się do wyjazdu w ciągu dnia. Przedtem wypucujcie cały dom, łazienkę przetrzyjcie chlorem, upierzcie pościel Mo, powycierajcie wszystko, czego mógł dotknąć. Zabierzemy go wozem

policyjnym i tam zadekujemy. Zerk, odbierz mój samochód z warsztatu. I kup klatkę dla Hellebauda. Weź pieniądze z kredensu.

– Na ptasich piórach zostają odciski palców? Hellebaudowi się nie spodoba pucowanie szmatą.

– Nie, jego nie czyścić.

– On też z nami jedzie?

– Jedzie, jeżeli ty jedziesz. Jeżeli się zgodzisz. Będę cię tam potrzebował, żebyś dostarczał jedzenie chłopakowi w kryjówce.

Zerk kiwnął głową.

– Nie wiem jeszcze, czy pojedziesz ze mną czy moim samochodem.

– Musisz to przemyśleć?

– Tak. I muszę myśleć szybko.

– To nie takie proste – przyznał Zerk, w pełni doceniając trudność tego zadania.

## XVIII

Na kolejnym zebraniu członkowie brygady zgromadzili się w Sali Soborowej, pod wentylatorami, które chłodziły całą mocą. Była niedziela, lecz w sytuacji nadzwyczajnej rozkazy z ministerstwa anulowały dni wolne i urlopy, dopóki nie zostanie rozwiązana sprawa Mohameda. Choć raz Danglard był w pracy od samego rana, przez co obnosił minę faceta, który nawet nie próbował się opierać, kiedy życie go pokonywało. Wszyscy wiedzieli, że twarz mu się rozchmurzy dopiero około południa. Adamsberg zdążył poudawać, że czyta raporty z przeszukań w Cité des Buttes, które bez efektu prowadzono do drugiej dwadzieścia nad ranem.

– Gdzie Violette? – zapytał Estalère, roznosząc pierwszą kolejkę kaw.

– Infiltruje Clermontów-Brasseurów. Zatrudniła się u nich.

Noël z podziwem gwizdnął przeciągle.

– Żeby mi nikt nie pisnął słówka. I nie wolno się z nią kontaktować. Oficjalnie jest na stażu w Tulonie, na dwutygodniowym przyspieszonym kursie informatycznym.

– Jak jej się udało tam wejść? – zapytał Noël.

– Taką miała intencję i skonkretyzowała ją.

– Stymulujący przykład – zauważył Voisenet tęsknym głosem. – Gdyby tak dało się konkretyzować intencje...

– Zapomnijcie o tym, Voisenet – powiedział Adamsberg. – Retancourt nie może być wzorem dla nikogo, bo używa niepowtarzalnych zdolności.

– Co do tego wątpliwości nie ma – potwierdził Mordent z poważną miną.

– Odwołujemy więc działania monitorujące. Przechodzimy do czego innego.

– Ale nadal szukamy Mo, tak? – dociekał Morel.

– Oczywiście, to priorytetowe zadanie. Ale kilka osób musi być dyspozycyjnych. Przenosimy się do Normandii. Przydzielono nam sprawę w Ordebecu.

Danglard poderwał głowę i twarz mu się napięła z przykrości.

– Zrobiłeś to, inspektorze? – spytał.

– Nie ja. Kapitan Émeri podpadł. Miał dwa morderstwa i jedno uznał za samobójstwo, drugie za wypadek. Został odsunięty.

– A czemu nam to wpadło? – zapytał Justin.

– Ponieważ byłem na miejscu, kiedy znaleziono pierwsze ciało i kiedy zaatakowano drugą ofiarę. Ponieważ kapitan Émeri nalegał. Ponieważ może stamtąd uda nam się przedostać do fortecy Clermontów-Brasseurów.

Adamsberg kłamał. Nie wierzył w moc hrabiego Ordebec. Émeri kusił go taką

możliwością, aby dać mu pretekst. Adamsberg jechał tam, ponieważ starcie się z Dzikim Hufcem wręcz przemożnie go pociągało. A kryjówka dla Mo będzie tam znakomita.

– Nie widzę związku z Clermontami – stwierdził Mordent.

– Mieszka tam stary hrabia, który może otworzyć nam drzwi. Robił kiedyś interesy z Antoine’em Clermontem.

– Założmy – rzekł Morel. – A jak to tam wygląda? O co chodzi?

– Zamordowano mężczyznę i usiłowano zamordować staruszkę. Nie daje się jej szans na przeżycie. Zapowiedziano też śmierć jeszcze trzech osób.

– Zapowiedziano?

– Tak. Bo te zbrodnie mają bezpośredni związek z czymś w rodzaju cuchnącej hordy, to taka bardzo stara historia.

– Hordy czego?

– Uzbrojonych nieboszczyków. Od wieków włóczą się w okolicy i zabierają ze sobą żywych, którzy zawinili.

– Super – orzekł Noël. – W pewnym sensie wykonują za nas robotę.

– Z naddatkiem, bo ich zabijają. Danglard, wytłumacz im szybko, czym jest Dzikie Hufiec.

– Ja się nie zgadzam, żebyśmy się do tego mieszały – burknął komendant. – Na pewno w taki czy inny sposób maczałeś palce w przejęciu tej sprawy. A mnie się to nie podoba, i już.

Danglard uniósł ręce w geście odmowy, zastanawiając się, skąd mu się bierze ta niechęć do sprawy w Ordebecu. Dwa razy śnił mu się Poczec Hellequina, odkąd z takim upodobaniem opowiedział o nim Zerkowi i Adamsbergowi. Bez upodobania natomiast śnił te sny, w których walczył z mglistą myślą, że zmierza ku własnej zgubie.

– Opowiedz jednak – zachęcił Adamsberg, z uwagą przyglądając się koledze. Dostrzegł strach, który spowodował, że Danglard się wycofał. U Danglarda, autentycznego ateisty wyzutego z mistycyzmu, przesąd mógł mimo wszystko utorować sobie dość szerokie ścieżki, postępując naprzód zawsze otwartymi drogami jego trwoźnych myśli.

Komendant wzruszył ramionami, udając pewność siebie, i wstał zgodnie ze swym zwyczajem, aby przedstawić agentom średniowieczne uwarunkowania.

– Tylko się streszczaj, Danglard – poprosił Adamsberg. – Nie musisz cytować starych tekstów.

Daremne zalecenie – prezentacja Danglarda potrwała czterdzieści minut, odciągając myśli agentów od ciężących im realiów sprawy Clermonta. Jedna Froissy zniknęła na kilka chwil, aby podjąć sucharków z pasztetem. Kilka osób wyrozumiale pokiwało wtedy głową. Wiedzano, że właśnie dorzuciła do swojego schowka cały zestaw delikatnych pasztetów – jak na przykład pasztet z zająca z bocznikami – i ten i ów miał na nie chrapkę. Kiedy Froissy wróciła do stołu, elokwencja Danglarda skupiała całkowicie uwagę członków brygady, a szczególnie zatrważająco niezwykły opis hufca Hellequina – zatrważająco



niezwykły w dosłownym znaczeniu słów, to znaczy wzbudzający strach.

– To ta Lina zabiła myśliwego? – zapytał Lamarre. – Wykończy wszystkich, których rozpoznała w wizji?

– Jest w pewnym sensie posłuszna? – dodał Justin.

– Niewykluczone – wtrącił się Adamsberg. – W Ordebecu mówią, że cała rodzina Vendermotów ma szajbę. Ale tam wszyscy mieszkańcy doświadczają wpływu hufca. Zbyt długo krąży po okolicy i to nie są jego pierwsze ofiary. Nikt nie czuje się dobrze z tą legendą, a wielu naprawdę się obawia. Jeśli kolejna wskazana ofiara zejdzie, w miasteczku zawrze. A jeszcze gorzej jest z czwartą ofiarą, bo jej nazwisko nie jest znane.

– Tak że wielu może sobie wyobrazać siebie w tej roli – zauważył Mordent, robiąc notatki.

– Ci, którzy czują się winni czegoś?

– Nie, ci, którzy są naprawdę winni – podkreślił Adamsberg. – Oszuści, łajdacy, zabójcy, których nikt nie podejrzewał i nie ukarał. Ich przejście Hellequina może przerazić bardziej niż nalot glin. Bo tam ludzie są przekonani, że Hellequin wie, że Hellequin widzi.

– W przeciwieństwie do tego, co się myśli o glinach – podsumował Noël.

– Załóżmy – odezwał się Justin, jak zwykle dbały o precyzję – że ktoś się boi, że będzie czwartą ofiarą wskazaną przez tego Hellequina. Czwartym „pojmanym”, jak pan powiedział. Trudno zrozumieć, czemu miałyby służyć zabijanie innych „pojmanyh”.

– To ma sens – wyjaśnił Danglard – bo wedle jednej z tradycji, z którą nie wszyscy się zgadzają, ten, kto wykonuje zamierzenia Hellequina, może uniknąć tego, co jemu jest pisane.

– W zamian za przysługę – skomentował Mordent, który jako kolekcjoner baśni i legend, zawsze notował szczegóły nieznanej mu dotąd historii.

– Taki nagrodzony kolaborant.

– Owszem, tak też mówią – potwierdził Danglard. – Ale to dość świeży pomysł, z dziewiętnastego wieku. Inna groźna hipoteza jest taka: ktoś, komu nawet nie przyjdzie do głowy, że jest „pojmany”, wierzy w oskarżenia Hellequina i chce wypełnić jego wolę. Żeby „sprawiedliwości stało się zadość”.

– Co ta Léo mogła wiedzieć?

– Trudno zgadnąć. Była sama, kiedy znalazła ciało Herbiera.

– Jaki jest plan? – zapytał rzeczowo Justin. – Jak się dzielimy?

– Nie ma planu. Już od jakiegoś czasu nie miałem kiedy robić planów.

Nigdy nie miałeś kiedy, skomentował w duchu Danglard, w którym awersja do operacji Ordebec wzmagała agresję.

– Wyjeżdżam z Danglardem, jeżeli się zgodzi, i w razie potrzeby będę wzywał niektórych z was.

– Czyli my nadal zajmujemy się Mo.

– Zgadza się. Znajdźcie mi chłopaka. Bądźcie w stałym kontakcie ze wszystkimi posterunkami w kraju.

Adamsberg zakończył zebranie i pociągnął Danglerda ze sobą.

– Jedź, zobaczysz, w jakim stanie jest Léo – powiedział. – I wtedy będziesz miał twardy powód, żeby zastąpić drogę Dzikemu Hufcowi. Szaleńcowi, który spełnia życzenia pana Hellequina.

– To nierozsądne. – Danglerd pokręcił głową. – Ktoś musi dopilnować, żeby tutaj wszystko się kręciło.

– Czego ty się boisz, Danglerd?

– Nie boję się.

– Boisz.

– No dobra – ustąpił Danglerd. – Wydaje mi się, że zapłacę własną skórą w Ordebecu. I tyle. Że to będzie moja ostatnia sprawa.

– Kurde, Danglerd, dlaczego?

– Dwa razy mi się to śniło. Zwłaszcza jeden koń, który ma trzy nogi.

Danglerda przeszedł dreszcz, aż go prawie zemdlilo.

– Chodź, usiądź – rzekł Adamsberg, lekko ciągnąc kolegę za rękaw.

– Dosiada go czarny jeździec – kontynuował Danglerd – uderza mnie, ja padam nieżywy, i tyle. Wiem, wiem, nie wierzymy w sny.

– No więc?

– No więc to ja wszystko rozpętałem, kiedy ci opowiedziałem o Dzikim Hufcu. Gdyby nie to, pozostałbyś przy swoim Cichym Hufcu i na tym by się skończyło. Ale otworzyłem zakazaną puszkę. Dla przyjemności, żeby się pochwalić erudycją. I rzuciłem hufcowi wyzwanie. Dlatego Hellequin mnie tam dopadnie. On nie lubi żartów.

– Wyobrażam sobie, że nie lubi. Wyobrażam sobie, że to nie żartowniś.

– Nie natrząsaj się, inspektorze.

– Nie mówisz poważnie, Danglerd. Chyba nie do tego stopnia?

Danglerd wzruszył obwisłymi ramionami.

– Pewno, że nie. Ale budzę się i zasypiam z tą myślą.

– Pierwszy raz boisz się czegoś innego niż siebie. Czyli masz teraz dwóch wrogów. To za dużo, Danglerd.

– Co sugerujesz?

– Wyjazd po południu. Zjemy kolację w restauracji? Z dobrym winem?

– A jeśli się tam wykończę?

– Trudno.

Danglerd się uśmiechnął i podniósł odmieniony wzrok na inspektora. „Trudno”. Pasowała mu taka odpowiedź, ucięła jego lamentowanie, jakby Adamsberg wcisnął wyłącznik, odcinając jego obawy.

– O której? – zapytał.

Adamsberg popatrzył na zegarki.

– Przyjdź do mnie za dwie godziny. Poproś Froissy, żeby ci dała dwie nowe komórki, i poszukaj jakiejś dobrej restauracji.

Kiedy inspektor wrócił, dom był wysprzątny na wysoki połysk, klatka Hellebauda gotowa, torby prawie zamknięte. Zerk upychał właśnie w bagażu Mo papierosy, książki, kredki, krzyżówki. Mo przyglądał się temu, jakby gumowe rękawiczki, które nałożył, nie pozwalały mu się ruszać. Adamsberg wiedział, że status poszukiwanego, tropionego zwierza w pierwszych dniach paraliżuje naturalne ruchy ciała. Po miesiącu człowiek stara się chodzić bezgłośnie, po trzech miesiącach nie śmie oddychać.

– Kupiłem mu też nowe jo-jo – wyjaśnił Zerk. – Nie tak dobre jak jego, ale nie mogłem za długo być poza domem. Lucio mnie zastąpił, rozsiadł się w kuchni z tym swoim radiem. Wiesz, czemu on stale chodzi z trzeszczącym radiem? W ogóle nie słyhać, co mówią.

– On lubi słyszeć dźwięk ludzkich głosów, ale nie lubi tego, co mówią.

– Gdzie będę? – nieśmiało zapytał Mo.

– W takiej budzie w połowie z betonu, w połowie z desek, na uboczu miasteczka. Jej lokatora niedawno zamordowano, więc żandarmeria ją opieczętowała. Lepszego schronienia nie znajdziesz.

– A co zrobimy z pieczęciami? – spytał Zerk.

– Zerwiemy je i potem założymy od nowa. Pokażę ci. Tak czy owak, żandarmeria nie ma już powodu tam się pojawiać.

– Czemu gościa zamordowali? – zainteresował się Mo.

– Dopadł go taki lokalny cuchnący gigant, niejaki Hellequin. Nie martw się, do ciebie nic nie ma. Czemu kupiłeś kredki, Zerk?

– Gdyby chciał rysować...

– Aha. Będziesz chciał rysować, Mo?

– Raczej nie.

– Aha – powtórzył Adamsberg. – Mo jedzie ze mną w samochodzie służbowym. W bagażniku. Droga potrwa jakieś dwie godziny, w środku będzie gorąco. Będziesz miał wodę. Wytrzymasz?

– Tak.

– Będziesz słyszał głos jeszcze kogoś, komendanta Danglarda. Nie przejmuj się, on wie o twojej ucieczce. A raczej domyślił się i nic na to nie mogłem poradzić. Ale nie wie jeszcze, że zabieram cię ze sobą. Wywacha to niedługo, Danglard to błyskotliwy gość, niemal wszystko przewiduje i odgaduje, nawet mordercze zamiary pana Hellequina. Zawiozę cię do tej pustej chałupy, zanim wjadę do Ordebecu. Zerk, ty przyjedziesz drugim autem z resztą

rzeczy. Umiesz się posługiwać aparatem, więc na miejscu powiemy, że odbywasz nieformalny staż fotograficzny, a równocześnie realizujesz zamówienie jako freelancer, przez co musisz krążyć po okolicy. Powiedzmy dla szwedzkiego czasopisma. Trzeba jakoś wytłumaczyć, że chwilami znikasz. Chyba że masz lepszy pomysł?

– Nie mam – odparł zwięźle Zerk.

– Co mógłbyś fotografować?

– Pejzaże? Kościoły?

– Za proste. Wymyśl coś innego. Temat, który by tłumaczył twoje przebywanie na polach i w lesie, jeśli natkniesz się na kogoś. Będziesz chodził do Mo.

– Kwiatki? – podpowiedział Mo.

– Zgniłe liście? – zaproponował Zerk.

Adamsberg postawił przy drzwiach torby podróżne.

– Czemu chcesz fotografować zgniłe liście?

– Ty chcesz, żebym coś fotografował.

– Ale dlaczego mówisz: „zgniłe liście”?

– Bo to dobre. Wiesz, ile życia tętni w zgniłych liściach? Na powierzchni tylko dziesięciu centymetrów kwadratowych zgniłych liści? Owady, robaki, larwy, gazy, zarodki grzybów, ptasie łajno, korzonki, mikroorganizmy, nasiona... Robię reportaż o życiu w zgniłych liściach dla „Svenska Dagbladet”.

– Co to za Svenska?

– Szwedzkie pismo. Sam tak chciałeś.

– Ano tak – przyznał Adamsberg, patrząc na zegarki. – Idźcie z Mo i bagażami do Lucia. Ja zaparkuję za jego domem i jak tylko Danglard się zjawi, uprzedzę cię, że jedziemy.

– Jestem bardzo zadowolony, że tam jadę – oświadczył Zerk z krztyną naiwności, która często się pojawiała w jego wypowiedziach.

– Ha, powiedz to Danglardowi. On jest zupełnie niezadowolony.

Dwadzieścia minut później Adamsberg wyjeżdżał z Paryża autostradą zachodnią, po prawej mając komendanta, który wachlował się mapą Francji, a w bagażniku skulonego Mo z poduszką pod głową.

Po trzech kwadransach jazdy inspektor zadzwonił do Émeriego.

– Dopiero wyjeżdżam – powiedział. – Dotrę nie wcześniej jak za dwie godziny.

– Cieszę się. Skurwysyn z Lisieux wpadł w szewską pasję.

– Zamierzam się zatrzymać w zajeździe Léo. Widzisz w tym coś niewłaściwego?

– Nic a nic.

– Świetnie, uprzedzę ją.

– Nie usłyszysz cię.

– Mimo to uprzedzę ją.

Adamsberg schował telefon do kieszeni i wcisnął mocniej pedał gazu.

– Musimy jechać tak szybko? – zapytał Danglard. – Nic nas przecież nie goni.

– Jedziemy szybko, bo jest gorąco.

– Czemu okłamałeś Émeriego co do godziny przyjazdu?

– Nie zadawaj za dużo pytań, komendancie.

## XIX

Pięć kilometrów przed Ordebekiem Adamsberg zwolnił, przejeżdżając przez wioskę Charny-la-Vieille.

– Słuchaj, Danglard, mam coś do załatwienia, zanim wjadę do samego Ordebecu. Sugeruję, żebyś poczekał tutaj, podjadę po ciebie za jakieś pół godzinki.

Danglard pokiwał głową.

– W ten sposób niczego się nie dowiem, nie będę umoczony.

– No właśnie.

– Miło, że chcesz mnie chronić. Ale kiedy kazałeś mi napisać sfałszowany raport, wciągnąłeś mnie po szyję w swoje machlojki.

– Nikt cię nie prosił, żebyś wtykał w nie nos.

– Takie mam zadanie: umieszczają barierki na twojej drodze.

– Nie odpowiedziałeś mi, Danglard. Wysadzić cię tutaj?

– Nie. Jadę z tobą.

– Nie spodoba ci się ciąg dalszy.

– I bez tego nie lubię Ordebecu.

– Niesłusznie, urocze miejsce. Kiedy się wjeżdża, widać wysoki kościół na wzgórzu, a w dole miasteczko, domy z drewna i gliny, spodoba ci się tu. Pola dookoła są pomalowane na wszystkie odcienie zieleni, a na tej zieleni poustawiano mnóstwo nieruchomych krów. Nie widziałem ani jednej krowy, która by się ruszała. Zastanawiam się dlaczego.

– Bo trzeba im się długo przyglądać.

– Jasne.

Adamsberg wypatrzył miejsca opisane przez panią Vendermot, dom jej sąsiadów Hébrardów, lasek Bigard, stare wysypisko śmieci. Nie zatrzymując się, minął skrzynkę na listy Herbiera, przejechał jeszcze jakieś sto metrów i skręcił w lewo w kamienistą polną drogę.

– Wejdziemy od tyłu, przez zagajnik.

– Gdzie wejdziemy?

– Do domu, w którym mieszkał pierwszy nieboszczyk, ten myśliwy. Załatwiamy to szybko i po cichutku.

Adamsberg jechał jeszcze kawałek dróżką ledwie przejezdną, po czym zaparkował pod osłoną drzew. Wysiadł, szybko podszedł do bagażnika i otworzył go.

– Już dobrze, Mo, zaraz ci będzie chłodniej. Chata jest trzydzieści metrów stąd przez las.

Danglard w milczeniu pokręcił głową na widok chłopaka gramolącego się z bagażnika.

Sądził, że Mo został wywieziony gdzieś w Pireneje albo nawet za granicę z fałszywymi papierami, skoro Adamsberg aż tak daleko się posunął. Tymczasem było znacznie gorzej. Ciągnięcie ze sobą Mo wydawało mu się jeszcze bardziej lekkomyślne.

Adamsberg zerwał pieczęcie, postawił bagaże Mo i szybko obszedł dom. Jasny pokój, malutka prawie czysta sypialnia i kuchnia, z której widać było zielen z ustawionymi na niej sześcioma czy siedmioma krowami.

– Ładnie tu – rzekł Mo, który tylko raz w życiu widział wieś, i to bardzo krótko, a morza nigdy. – Drzewa, niebo i pola. O kurde, to krowy? Te tam? – dodał, przysuwając się blisko szyby.

– Cofnij się, Mo, odejdz od okna. Tak, to krowy.

– Ja cię...

– Nigdy nie widziałeś krów?

– W realu nigdy.

– Będziesz miał dużo czasu, żeby im się napatrzeć, a nawet zobaczysz, jak się poruszają. Ale masz się trzymać metr od okna. Wieczorem oczywiście nie włączaj światła. A jak będziesz chciał zafajczyć, siadaj na podłodze, żarzącego się papierosa widać z bardzo daleka. Możesz grać jedzenie, kuchenki nie widać z okna. I możesz się myć, nie odcieli wody. Zerk niedługo przyjedzie z zapasami.

Mo chodził po swoich nowych włościach, nie okazując szczególnych obaw na myśl o odosobnieniu, wzrok wciąż uciekał mu w stronę okna.

– Nigdy nie spotkałem gostka takiego jak Zerk – powiedział. – Nigdy nie spotkałem gostka, który by mi kupował kredki. Oprócz matki. Ale pan go wychował, więc normalne, że taki jest.

Adamsberg uznał, że to nieodpowiednia chwila na tłumaczenie chłopakowi, iż o istnieniu syna dowiedział się ledwie kilka tygodni wcześniej, i że nie warto rozwiewać jego złudzeń, opowiadając mu, jak to z absolutną beztroską zostawił jego matkę. Dziewczyna do niego napisała, on ledwie rzucił okiem na list, o niczym nie miał pojęcia.

– Bardzo dobrze wychowany – potwierdził Danglard, który z ojcostwa nigdy sobie nie żartował i uważał, że na tym gruncie Adamsberg wypada zdecydowanie poniżej wszelkiej krytyki.

– Opieczętuje z powrotem dom. Komórki używaj tylko w sytuacjach awaryjnych. Nawet gdybyś się nudził jak mops, do nikogo nie dzwoń, pamiętaj, wszyscy twoi znajomi są na podsłuchu.

– Będzie dobrze, panie inspektorze. Tu jest na co patrzeć. I te krowy!... Naliczyłem co najmniej dwanaście. W pace miałbym dziesięciu gostków na karku i ani kawałka okna. Patrzenie na krowy i byki w samotności to naprawdę cud.

– Nie ma tu byków, Mo, nigdy się ich nie dopuszcza do krów poza pokrywaniem. To same krowy.

– Aha.

Adamsberg sprawdził, że w lesie nikt się nie kręci, po czym pożegnał się z Mo i bezgłośnie otworzył drzwi. Ze swojej torby wyjął pistolet na wosk i spokojnie zapieczętował drzwi. Danglard z obawą na twarzy rozglądał się po okolicy.

– Wcale mi się to nie podoba – mruknął.

– Później, Danglard.

Znalazłszy się na głównej drodze, Adamsberg zadzwonił do kapitana Émeriego, aby go uprzedzić, że dojeżdża do Ordebecu.

– Najpierw wstąpię do szpitala – powiedział.

– Ona cię nie pozna, Adamsberg. Może wpadniecie do mnie na kolację?

Adamsberg zerknął na Danglarda, który pokręcił głową. Kiedy dopadał go dołek – a teraz niewątpliwie go dopadł, tym głębszy, że bez powodu – komendant wspomagał się w ten sposób, że co dzień fundował sobie coś skromnego, acz pożądanego, na przykład nowy garnitur, starą książkę albo wyrefinowany posiłek w restauracji, tak że każda faza depresji robiła groźne dziury w jego budżecie. Pozbawienie Danglarda kolacji w restauracji Pod Biegnącym Dzikim, którą starannie wybrał, oznaczałoby zdmuchnięcie świeczuszki, którą zapalił sobie na ten dzień.

– Obiecałem synowi kolację Pod Biegnącym Dzikim. Dołącz do nas, Émeri.

– Bardzo dobry lokal, ale żałuję – odparł sucho Émeri. – Liczyłem, że ugoszczę was u siebie.

– Kiedy indziej, Émeri – obiecał Adamsberg. – Chyba dotknąłem jakiejś czulej struny – skomentował, zakończywszy rozmowę, lekko zdziwiony, ponieważ jeszcze nie wiedział, że kapitana łączy z jego salonem w stylu empirowym wymagająca pępowina.

Adamsberg spotkał się z Zerkiem przed szpitalem, jak ustalili. Chłopak zdążył zrobić zakupy i Adamsberg objął go na krótko, wsuwając mu przy okazji do torby pistolet na wosk, pieczęć i plan otoczenia domu Herbiera.

– Jaki jest ten dom? – zapytał.

– Czysty. Żandarmi uprzątnęli całą dziczyznę.

– Co mam zrobić z ptaszkiem?

– Już się wprowadził, czeka na ciebie.

– Nie mówię o Mo, tylko o Hellebaudzie. Ładnych parę godzin jest w aucie, a nie lubi tego.

– Zabierz go ze sobą – zdecydował Adamsberg po krótkim zastanowieniu. – Niech zostanie z Mo, dotrzyma mu towarzystwa, Mo będzie miał do kogo mówić. Zamierza oglądać krowy, ale one tutaj się nie ruszają.

– Komendant był z tobą, kiedy odstawileś ptaszka na miejsce?



- Tak.
- Jak to przyjął?
- Raczej źle. Nadal uważa, że to wykroczenie i szaleństwo.
- Tak? Przeciwnie, to bardzo rozsądne – rzekł Zerk, podnosząc siatki z zakupami.

## XX

– Wygląda na taką malutką, nie? – powiedział cicho Adamsberg do Danglarda, ze zdziwieniem odkrywając nowe oblicze Léone na poduszce. – A w życiu jest bardzo wysoka. Na pewno wyższa ode mnie, tylko że chodzi przygarbiona. – Usiadł na brzegu łóżka i przyłożył obydwie dłonie do jej policzków. – Léo, wróciłem. To ja, inspektor z Paryża. Jedliśmy razem kolację. Była zupa i wołowina, a potem piliśmy calvadosa przy kominku i paliliśmy hawańskie cygara.

– W ogóle się nie porusza – odezwał się lekarz, który akurat wszedł do pokoju.

– Kto ją odwiedza? – spytał Adamsberg.

– Córka Vendermotów i kapitan. Nie reaguje, leży jak kłoda. Z klinicznego punktu widzenia powinna dawać oznaki życia. A tu nic. Wyszła już ze śpiączki, krwiak w mózgu dość dobrze się wchłonął, serce pracuje zadowalająco, chociaż jest trochę sterane przez cygara. Jej stan techniczny pozwala na otwarcie oczu, na mówienie. Ale nic z tego, co gorsza, jest spokojna znacznie poniżej normy. Jakby maszyna zapadła w stan hibernacji. A ja nie mogę znaleźć, co się zepsuło.

– Długo może być w takim stanie?

– Niedługo. W jej wieku, przy braku ruchu i odżywiania nie przetrzyma tego. To kwestia kilku dni. – Lekarz krytycznie przyglądał się dłoniom Adamsberga na twarzy starej Léo. – Proszę nie potrząsać jej głową – powiedział.

– Léo – powtórzył Adamsberg – to ja. Jestem tu, zostanę. Ulokuję się w twoim zajęździe z paroma kolegami. Pozwolisz? Nie nabałaganimy.

Wziął grzebień z szafki nocnej i zaczął ją czesać, jedną rękę cały czas trzymając na jej twarzy. Danglard, nastawiając się na długie oczekiwanie, usiadł na jedynym krześle w pokoju. Adamsberg niełatwo zrezygnuje z tej starszej pani. Lekarz wzruszył ramionami i wyszedł, a po czterdziestu minutach zajrzał tam znowu, zaintrygowany, że policjant tak intensywnie usiłuje przywrócić Léone do przytomności. Danglard również nie odrywał oczu od Adamsberga, którego twarz rozjaśniła się od światła pojawiającego się w niej w rzadkich chwilach wielkiego skupienia, jakby inspektor połknął lampę, której blask przebijał spod jego śniadej skóry.

Nie odwracając się, inspektor wyciągnął jedną rękę w stronę lekarza, zabraniając mu mówić. Twarz Léone pod jego dłonią nadal była zimna, lecz wargi odrobinę się poruszyły. Skinął na Danglarda, aby się przybliżył. Znowu ruch warg, a potem dźwięk.

– Danglard, usłyszałeś „hello”? Powiedziała „hello”, prawda?

– Tak to zabrzmiało.

– Ona tak się wita. Hello, Léo. To ja. – Adamsberg zamknął jej dłoń w swojej, potrząsnął nią lekko. – Hello. Słyszę cię, Léo.

– Pasik.

– Pasik ma się dobrze, jest u sierżanta Blériota.

– Pasik.

– Ma się dobrze. Czeka na ciebie.

– Cukier.

– Tak, sierżant daje mu codziennie cukier – zapewnił Adamsberg, chociaż tego nie wiedział. – Jest przyzwoicie traktowany, dobrze się nim zajmują.

– Hello – powtórzyła staruszka.

I to było wszystko. Zamknęła usta, Adamsberg zaś zrozumiał, że to wszystko, na co było ją stać.

– Gratuluję – powiedział lekarz.

– Nie ma czego – odparł Adamsberg bez zastanowienia. – Mógłby pan do mnie zadzwonić, jeśli tylko okaże chęć nawiązania kontaktu?

– Proszę zostawić mi wizytówkę, ale nie można liczyć na zbyt wiele. Może to był jej ostatni podryg.

– A pan nic, tylko chce ją pochować przed czasem – zauważył Adamsberg, idąc do drzwi.

– Chyba nie ma gwałtu, prawda?

– Jestem geriatrą, znam swój zawód – odrzekł lekarz i zacisnął usta.

Adamsberg zanotował jego nazwisko wypisane na identyfikatorze – Jacques Anchois – i opuścił szpital. Do samochodu szedł w milczeniu, kluczyki przekazał Danglardowi.

– Gdzie jedziemy? – zapytał komendant, uruchamiając silnik.

– Nie lubię tego lekarza.

– Ma usprawiedliwienie. Żadna przyjemność nazywać się Anchois.

– Pasuje do niego. Uczuć w nim tyle co w ławicy ryb.

– Nie powiedziałeś, gdzie jedziemy – przypomniał Danglard, który jechał przed siebie uliczkami.

– Widziałeś ją, Danglard. Jak jajko rzucone na ziemię i zgniecione.

– Tak, mówiłeś.

– Jedziemy do niej, do starego zajazdu. Skręć w prawo.

– Ciekawe, że mówi „Hello” na powitanie.

– To po angielsku.

– Wiem – stwierdził Danglard bez nacisku.

Żandarmi z Ordebecu uwinęli się szybko i dom Léo po przeszukaniu uporządkowano. Podłoga była umyta, a jeśli nawet zostało trochę krwi, wchłonęły ją stare czerwone płytki. Adamsberg zajął pokój, w którym spał wcześniej, Danglard natomiast wybrał sobie lokum w drugim końcu budynku. Rozpakowując nieliczne rzeczy, komendant obserwował

Adamsberga przez okno. Inspektor siedział po turecku na środku podwórza pod pochyloną jabłonią, z łokciami opartymi o uda i spuszczoną głową, i wyglądało na to, że nie zamierza ruszyć się stamtąd. Od czasu do czasu sięgał do karku i jakby łapał coś, co mu dokuczało.

Niedługo przed dwudziestą, kiedy słońce chyliło się już ku zachodowi, Danglard podszedł i jego cień padł u stóp inspektora.

– Już czas – powiedział.

– Na Niebieskiego Dzika – rzekł Adamsberg, podnosząc głowę.

– Nie jest niebieski. Nazywa się Pod Biegnącym Dzikim.

– Dzik biega? – zapytał Adamsberg, wyciągając rękę do komendanta, aby pomógł mu wstać.

– Do trzydziestu pięciu kilometrów na godzinę, jak mi się zdaje. Niewiele wiem o dzikach. Tylko to, że się nie pocią.

– To jak sobie radzą? – zapytał Adamsberg, otrzepując spodnie i nie interesując się odpowiedzią.

– Tarzają się w błocie dla ochłody.

– Po tym się poznaje zabójcę. Ubłocona dwustukilowa bestia, która się nie poci. Robi swoje bez mrugnięcia.

## XXI

Danglard zarezerwował okrągły stolik i usiadł przy nim z satysfakcją. Pierwszy posiłek w Ordebecu, w starej restauracji o niskiej powale, wyznaczał przerwę w jego obawach. Zerk punktualnie dołączył do nich i lekkim mrugnięciem dał do zrozumienia, że w drewnianej chacie wszystko gra. Adamsberg ponownie zadzwonił do Émeriego, ponawiając zaproszenie, i w końcu kapitan je przyjął.

– Ptaszkowi bardzo się spodobał pomysł z gołębiem – powiedział Zerk do Adamsberga cichym naturalnym głosem. – Kiedy wychodziłem, gadali ze sobą jak starzy znajomi. Hellebaud strasznie lubi, jak Ptaszek bawi się jo-jo. Kiedy szpula opada na ziemię, dziobie ją jak najęty.

– Mam wrażenie, że Hellebaud schodzi ze swojej naturalnej ścieżki. Zaraz tu przyjdzie kapitan Émeri. To bojowy drągal w mundurze jak spod igły. Zwracaj się do niego „panie kapitanie”.

– Jasne.

– Jest potomkiem marszałka Davouta, gościa z czasów napoleońskich, który nigdy nie przegrał, i bardzo jest czuły na tym punkcie. Żebyś nie palnął jakiejś gafy.

– Bez obaw.

– O, już są. Ten gruby brunet z nim to brygadier Blériot.

– Mam do niego mówić „panie brygadierze”.

– Zgadza się.

Ledwie podano przystawki, Zerk zaczął jeść przed innymi – tak samo ongiś robił Adamsberg, zanim Danglard wpoił mu podstawy savoir-vivre’u. Zerk podobnie jak on bardzo hałaśliwie przeżuwał, będzie musiał mu zwrócić uwagę. W Paryżu tego nie dostrzegł, ale tu, w dość sztywnej atmosferze zaczynającej się kolacji, miał wrażenie, że słyhać wyłącznie jego syna.

– Jak ma się Pasik? – zapytał Adamsberg brygadiera Blériota. – Dziś Léo zdołała odezwać się do mnie. Martwi się o psa.

– Odezwała się? – zdumiał się Émeri.

– Tak. Siedziałem z nią prawie dwie godziny i odezwała się. Lekarz, ten, który nazywa się Dorade czy jakoś tak, nawet się nie ucieszył. Pewnie moja metoda mu się nie spodobała.

– Anchois – podszeptał Danglard.

– I czekałeś tyle czasu, żeby mi to powiedzieć? – obruszył się Émeri. – Co powiedziała, do kroćset?

– Bardzo niewiele. Kilka razy się przywitała. Potem jeszcze „Pasik” i „cukier”. Tyle.

Zapewniłem ją, że brygadier codziennie daje cukier psu.

– Tak robię – zapewnił Blériot – chociaż jestem przeciwny temu. Ale Pasik co rano o szóstej staje przed cukiernicą. Ma wewnętrzny zegar uzależnionych.

– Świetnie. Źle bym się czuł, gdybym okłamał Léo. A skoro zaczęła mówić – ciągnął Adamsberg, zwracając się do Émeriego – na wszelki wypadek należy postawić straż przed jej pokojem.

– Człowieku, czy ty wiesz, ilu ja mam ludzi? Jego – wskazał Blériota – i jeszcze pół człowieka, który służy częściowo w Ordebecu, a częściowo w Saint-Venon. Pół człowieka pod każdym względem. W połowie bystry, w połowie osioł, w połowie spokojny, w połowie choleryk, w połowie czysty i w połowie flejtuch. Co mam zrobić z takimi siłami?

– Można by zainstalować kamerę w jej pokoju – podsunął brygadier.

– Dwie kamery – rzekł Danglard. – Jedną, która rejestruje każdą wchodzącą osobę, i drugą nakierowaną na łóżko Léo.

– Świetny pomysł – zgodził się Émeri. – Ale technicy muszą przyjechać z Lisieux i nie liczcie na to, że uda się to załatwić wcześniej niż jutro przed piętnastą.

– A jeśli chodzi o ochronę dwóch pozostałych pojmanych, tego szklarza i szkółkarza, to można ściągnąć dwóch ludzi z Paryża. Najpierw do szklarza.

– Rozmawiałem o tym z Glayeux, absolutnie się nie zgadza na żaden nadzór. Znam bestię, czułby się bardzo upokorzony, gdyby ktoś pomyślał, że robią na nim wrażenie wymysły córki Vendermotów. To nie jest gość, który ugina karku.

– Odważny?

– Raczej porywczy, zadziorny, doskonale wykształcony, zmotywowany i pozbawiony skrupułów. Bardzo utalentowany do witraży, tu nic nie można mu zarzucić. Nie jest człowiekiem sympatycznym, już ci wspominałem, sam zresztą ocenisz. Nie mówię o tym dlatego, że jest homoseksualistą, ale jest homoseksualistą.

– W miasteczku o tym wiedzą?

– Nie kryje się z tym, jego partner mieszka tu, pracuje w gazecie. Przeciwnieństwo Glayeux, bardzo uprzejmy, wysoko ceniony.

– Mieszkają razem?

– Ach, nie. Glayeux mieszka z Mortembotem, szkółkarzem.

– Dwie następne ofiary hufca mieszkają pod jednym dachem?

– Od lat. To kuzyni, nierozłączni od dziecka. Ale Mortembot nie jest homoseksualistą.

– Herbier też był homoseksualistą? – zapytał Danglard.

– Myślisz o morderstwach o podłożu homofobicznym?

– Nie można wykluczyć.

– Herbier nie był homoseksualistą, na sto procent. Raczej bestialskim hetero ze skłonnością do gwałtu. I nie zapominajcie, że to Lina wskazała „pojmanych”. Nie widzę żadnych powodów, by przypuszczać, że ma coś przeciwko homoseksualistom. Lina... jak by

to powiedzieć... pod względem erotycznym prowadzi raczej swobodne życie.

– Piersi jak malowane – wtrącił brygadier. – Do schrupania.

– Wystarczy, Blériot – zmitygował go Émeri. – Takie komentarze niczego nie wnoszą.

– Wszystko się liczy – zauważył Adamsberg, który w tej chwili, tak jak jego syn, zapomniał o stosownym zachowaniu przy stole i zamoczył chleb w sosie. – Powiedz, Émeri, skoro ofiary wskazane przez hufiec mają być złymi ludźmi, czy to pasuje do szklarza i jego przyjaciela?

– Nie tylko idealnie pasuje, ale w dodatku jest powszechnie wiadome.

– Co im się zarzuca?

– Dwa epizody dotąd niewyjaśnione. W żadnym nie udało mi się zamknąć dochodzenia, byłem wściekły. Może przejdziemy na kawę do saloniku, który tu mają? Wolno mi w nim palić, dochrapałem się tego przywileju. – Podnosząc się, kapitan znowu obrzucił wzrokiem Zerka, byle jak odzianego w za długi tiszert, jakby się zastanawiał, co tu właściwie porabia syn Adamsberga. – Chłopak pracuje z tobą? – zapytał, kierując się do saloniku. – Chce zostać gliną czy co?

– Nie, musi zrobić reportaż o zgniłych liściach, korzysta z okazji. Dla szwedzkiego czasopisma.

– O zgniłych liściach? Na pewno? Czy o innej jakiejś zgniliznie?

– Nie, nie, o liściach, takich w lesie.

– Chodzi o mikrośrodoisko rozkładających się roślin – wtrącił Danglard, przychodząc z pomocą koledze.

– A, rozumiem – rzekł Émeri, sadowiąc się na krześle z zupełnie prostym oparciem, podczas gdy pozostali czterej panowie zajmowali miejsca na kanapach.

Zerk poczęstował wszystkich papierosami, a Danglard zamówił kolejną butelkę. Podczas kolacji irytująco cierpiał, dzieląc dwie butelki na pięć osób.

– Wokół Mortembota i Glayeux doszło swego czasu do dwóch nagłych zgonów – wyjaśniał Émeri, napełniając kieliszki. – Siedem lat temu kolega z pracy Glayeux spadł z rusztowania w kościele w Louverain. Obaj znajdowali się na wysokości dwudziestu metrów, odnawiali witraże w nawie głównej. Cztery lata temu matka Mortembota zmarła w magazynie sklepu. Straciła równowagę na stołku i przytrzymała się metalowego regału, który zwałił się na nią razem z doniczkami z kwiatami i workami pełnymi ziemi. Dwa wypadki, którym nic nie można zarzucić. I podobieństwa obydwu: upadek. W jednym i drugim wszcząłem śledztwo.

– Na jakiej podstawie? – zapytał Danglard, z ulgą popijając wino.

– Zasadniczo tylko dlatego, że Glayeux i Mortembot to dwa skurwysyny, każdy w swoim rodzaju. Dwa szczury rynsztokowe, co widać z daleka.

– Zdarzają się sympatyczne szczury rynsztokowe – zauważył Adamsberg. – Toni i Marie na przykład.

– Kto to?

– Dwa zakochane szczury, ale zapomnij o nich.

– Z tym że oni nie są sympatyczni, Adamsberg. Za forszę i sukces duszę by sprzedali. I głowę dam, że to zrobili.

– Sprzedali duszę panu Hellequinowi – odezwał się Danglard.

– A czemu nie? Nie ja jeden tutaj tak uważam. Kiedy spaliło się gospodarstwo w Le Buisson, ani centyma nie dali na zbiórce na rzecz poszkodowanych. Tacy już są. Uważają wszystkich w Ordebecu za kmiotków niegodnych ich uwagi.

– Na jakiej podstawie wszcząłeś pierwsze dochodzenie?

– Na podstawie motywu, który miał Glayeux, żeby się pozbyć kolegi. Mały Tétard... tak się nazywał... był dużo młodszy od niego, ale stawał się coraz lepszy w tym, co robił, znakomity nawet. Okoliczne gminy coraz częściej dawały mu zlecenia, bo władze wołały jego od Glayeux. Było jasne, że młodzik szybko wygryzie Glayeux. Miesiąc przed upadkiem włodarze miasta Coutances... znacie katedrę w Coutances?

– Tak – zapewnił Danglard.

– No więc w Coutances powierzyli mu restaurację witraży w transepcie. To nie byle co. Gdyby ta robota dobrze wyszła młodemu, byłby wylansowany. A Glayeux w zasadzie przegrany i upokorzony. Ale Tétard spadł z rusztowania. I Coutances musiało wziąć naszego Glayeux.

– Oczywiście – mruknął Adamsberg. – Co dało zbadanie rusztowania?

– Nie postawiono go właściwie, desek podestów nie dopasowano jak należy do rurek, w mocowaniach były luzy. Glayeux i Tétard pracowali przy różnych witrażach, więc na różnych podestach. Glayeux na czas prac miał klucz do kościoła, więc mógł w nocy po prostu poluzować kilka sznurów, przesunąć jedną deskę tak, żeby ledwie wisiała, i załatwione.

– I nie udowodnisz tego.

– Właśnie – przyznał Émeri z goryczą. – Nie można było nawet oskarżyć Glayeux o błąd w sztuce, bo rusztowanie stawiał Tétard z jakimś krewniakiem. Zabrakło też dowodów na Mortembota, kuzyna Glayeux. Nie było go w magazynie, kiedy jego matka spadła, układał wtedy towar w sklepie. Tylko że przewrócić stołek z daleka to żadna sztuka. Wystarczy przywiązać sznurek do nogi i w stosownej chwili pociągnąć. Kiedy Mortembot usłyszał łoskot, pobiegł do magazynu z pracownikiem. Ale sznurka nie było.

Émeri spojrzał wyczekująco na Adamsberga, jakby rzucał mu wyzwanie i zachęcał go do znalezienia rozwiązania.

– Nie zawiązał – powiedział Adamsberg. – Przełożył tylko sznurek za nogę stołka. Potem wystarczyło pociągnąć za jeden koniec i już miał cały sznurek w rękach. To zajmuje ledwie kilka sekund, jeśli sznurek dobrze się ślizga.

– No właśnie. I nie zostawia żadnego śladu.



– Nie mogą wszyscy zostawiać gdzieś miękiszu chleba.

Émeri dolał sobie kawy – już zrozumiał, że wiele stwierdzeń Adamsberga lepiej zostawiać bez odpowiedzi. Uwierzył w reputację tego policjanta, lecz nie przesądzając niczego, zaczynał widzieć całkiem jasno, że Adamsberg chadza niezupełnie normalnymi ścieżkami. Albo że sam nie jest normalny. Spokojny w każdych okolicznościach facet, który tak jak Émeri liczył, nie wykoługuje go w tym dochodzeniu.

– Mortembot nie dogadywał się z matką?

– Nic o tym nie wiem. Był jej raczej posłuszny. Ale matka była oburzona, że syn mieszka z kuzynem, bo Glayeux jest homoseksualistą, co przynosiło jej wstyd. Stale suszyła mu o to głowę, domagała się, żeby wrócił do domu, inaczej pozbawi go części spadku. Mortembot przytakiwał, żeby mieć święty spokój, niczego jednak nie zmieniał w swoim życiu. I sceny zaczynały się od nowa. Forsy, sklepu, swobody, tego pragnął Mortembot. Pewnie uznał, że jej czas już minął, i podejrzewam, że Glayeux go zachęcił. To była kobieta nie do zdarcia, mogła dożyć setki, cały czas prowadząc sklep. Maniacko dbała o jakość, co było czuć. Ludzie mówią, że po jej śmierci spadła jakość roślin. Sprzedawane są fuksje, które nie przetrzymują jednej zimy. A przecież żeby fuksja umarła, trzeba się mocno starać. Gość byle jak pędzi sadzonki, tak mówią.

– Aha – przytaknął Adamsberg, który w życiu nie miał do czynienia z sadzonkami.

– Jednego i drugiego przypierałem do muru ile weszło, trzymałem ich bez snu i tak dalej. Glayeux cały czas nic, tylko szydził, okazywał pogardę, czekał, aż wszystko minie. Mortembot był na tyle wredny, że nawet nie udawał żalu po matce. Stał się jedynym właścicielem pepiniery i wszelkich przyległości, to bardzo duży biznes. Flegmatyczny z niego typ, ociężały, dobroduszny, nie reagował na żadne prowokacje czy groźby. Nic nie mogłem zrobić, ale dla mnie obaj to mordercy z najbardziej interesownych i cynicznych. I gdyby pan Hellequin istniał, to owszem, na pewno takich właśnie ludzi chciałby zabrać ze sobą.

– Jak przyjęli groźbę ze strony Dzikiego Hufca?

– Tak samo jak dochodzenie. Mają to gdzieś, a Linę uważają za szurniętą histeryczkę. Ba, za morderczynię.

– Co także nie jest niemożliwe – zauważył Danglard, który siedział z półprzymkniętymi oczami.

– Poczekajcie, aż zobaczycie rodzinę. Nie zdziwcie się, bo trzej bracia też są szurnięci. Już ci mówiłem, Adamsberg, wytłumaczeń mają tyle, że można przebierać jak w ulęgawkach. Ojciec lał ich równo. Ale jeśli chcesz, żeby wszystko szło dobrze, nie podchodź nigdy znienacka do Antonina.

– Jest niebezpieczny?

– Przeciwnie. Jak tylko ktoś się zbliży, ogarnia go strach i cała rodzina skupia się wokół niego. Święcie wierzy, że jego ciało w połowie składa się z gliny.

– Mówiłeś o tym.

– Z kruchej gliny. Antonin wierzy, że się pokruszy, jeśli otrzyma zbyt mocny cios. Kompletny szajbus. Poza tym wygląda normalnie.

– Pracuje?

– Dorywczo na komputerze, nie wychodząc z domu. Nie dziw się też, jeśli nie zrozumiesz wszystkiego, co mówi najstarszy, Hippolyte, na którego wszyscy wołają Hippo, tak że kojarzy się go z hipopotamem. W sumie to do niego pasuje ze względu i na gabaryty, i na wagę. A czasem go napada coś takiego, że mówi wspak.

– Przetawia sylaby?

– Nie, mówi od tyłu, litera po literze. – Émeri urwał, aby się zastanowić, po czym jakby zrezygnował z przemyśleń, z saszetki wyjął kartkę i długopis. – Założmy, że chce powiedzieć: „Co słyhać, inspektorze?”. Wyjdzie coś takiego.

Émeri podał kartkę Adamsbergowi, który zaczął jej się przyglądać zdumiony. Danglard rozwarł szeroko powieki obudzony nowym doświadczeniem intelektualnym.

– Trzeba być geniuszem, żeby coś takiego robić – powiedział Adamsberg, marszcząc brwi.

– On jest geniuszem. Wszyscy w tej rodzinie to geniusze. Swego rodzaju. Dlatego tak się ich tutaj szanuje, że nikt nie zbliża się za bardzo. Trochę jakby byli istotami nadprzyrodzonymi. Niektórzy są zdania, że należałoby się ich pozbyć, inni powiadają, że lepiej ich nie tykać, bo mogłoby być bardzo groźnie. Hippolyte, chociaż taki utalentowany, nigdy nie szukał zajęcia. Zajmuje się domem, warzywnikiem, sadem, drobiem. Panuje tam poniekąd autarkia.

– A trzeci brat?

– Martin jest mniej imponujący, ale nie ufaj pozorom. Jest szczupły i wysoki, jak krewetka brunatna, ma długie kończyny. Na łąkach i w lesie zbiera najróżniejsze owady do zjedzenia, szarańczę, gąsienice, motyle, mrówki, wszystko. Wstrętne.

– Zjada je na surowo?

– Nie, gotuje. Jako danie główne albo jako przyprawę. Ohyda. Ale w okolicy ma grupkę klientów, amatorów konfitur z mrówek, które mają własności lecznicze.

– Cała rodzina to je?

– Zwłaszcza Antonin. Martin właśnie ze względu na niego zaczął zbierać owady, żeby stwardniała jego glina. Czyli w języku Hippolyte’a „anilg”.

– A dziewczyna? Pominąwszy to, że widzi Dziki Hufiec?

– Nic godnego uwagi prócz tego, że bez problemu rozumie to, co mówi wspak jej brat Hippo. W sumie nie tak trudno jest mówić w ten sposób, ale trzeba jednak mieć cholerny łeb.

– Można ich odwiedzać?

– Są bardzo gościnni dla tych, którzy zgodzą się do nich zajść. Otwarci, raczej weseli,

nawet Antonin. Ci, którzy się ich boją, twierdzą, że ta serdeczność to podstęp, żeby zwabić do siebie ludzi, a jak już raz tam wejdiesz, po tobie. Nie lubią mnie z powodów, które już znasz, i dlatego, że uważam ich za szurniętych, ale jeśli nie wypowiesz mojego nazwiska, wszystko powinno być okej.

– Kto był inteligentny? Ojciec, matka?

– Żadne z nich. Widziałeś matkę w Paryżu, jeśli się nie mylę. Bardzo pospolita kobieta. Jest cichutka, pomaga w zaopatrzeniu domu. Jeżeli chcesz jej sprawić przyjemność, przyjdź z kwiatkami. Uwielbia to, bo ten brutalny oprawca, jej mąż, nigdy jej nie ofiarował bukietu. Później je suszy, zawieszając główkami w dół.

– Dlaczego „oprawca”?

– Najpierw ich odwiedź. Ale przedtem – dodał z uśmiechem – przejdź się po chemin de Bonneval, weź grudkę ziemi i włóż do kieszeni. Mówią tu, że to chroni przed mocami Liny. Nie zapominaj, że ta dziewczyna to otwarte drzwi w murze, który oddziela umarłych od żywych. Z grudką ziemi jesteś chroniony. Ale ponieważ nic nie jest proste, nie podchodź do niej bliżej niż na metr, bo podobno wyczuwa... znaczy nosem wyczuwa, że masz ziemię przy sobie. A tego nie lubi.

Idąc obok Danglarda do samochodu, Adamsberg dotknął kieszeni spodni i zastanowił się, jaki dobry duch już dużo wcześniej podszeptał mu, aby podnieść grudkę ziemi z chemin de Bonneval. I dlaczego zabrał ją ze sobą.

## XXII

Adamsberg czekał przed kancelarią adwokacką Deschamps i Poulain przy wysoko położonej uliczce Ordebecu. Wydawało się, że gdziekolwiek wyżej się jest w miasteczku, zewsząd widać krowy zastygłe jak posągi w cieniu jabłoni. Lina lada chwila miała do niego wyjść, nie zdąży więc zobaczyć, jak choćby jedno zwierzę się poruszy. Może jeśli o to chodzi, bardziej by się opłacało obserwować jedną krowę, zamiast omiatać wzrokiem całe pole.

Nie chciał przyspieszać biegu spraw, wzywając Linę na posterunek żandarmerii, zaprosił ją więc Pod Niebieskiego Dzika, gdzie można było dyskretnie porozmawiać pod niskimi sufitymi z belek. Przez telefon jej głos był ciepły, pozbawiony obaw czy zażenowania. Wpatrzony w jedną krowę Adamsberg usiłował wyrzucić z głowy pragnienie, by zobaczyć piersi Liny dręczące go, odkąd brygadier Blériot tak spontanicznie wygłosił ich pochwałę. Usiłował również wyrzucić z głowy pytanie, czy Lina żyje w takiej swobodzie seksualnej, jak twierdził Émeri, żeby z łatwością przespał się z nią. Ordebecka ekipa, złożona wyłącznie z mężczyzn, prezentowała się w jego mniemaniu dość smutno. Nikt by się jednak nie pochwalił, gdyby się przespał z kobietą otwierającą czarną listę podejrzanych.

Jego telefon numer dwa poinformował, że przyszła wiadomość, Adamsberg odwrócił się więc w ocienioną stronę, aby ją przeczytać. Retancourt. Nareszcie. Myśl o Retancourt nurkującej samotnie w czeluściach rezydencji Clermontów-Brasseurów mocno go trapiła poprzedniego wieczoru, przed zaśnięciem we wgłębieniu wełnianego materaca. Tyle koleni pływa w morskich odmętach. Retancourt nurkowała swego czasu i bez emocji zdarzało jej się dotykać szorstkiej skóry koleni. Ale kolonie-ludzie były inaczej groźne niż kolonie-ryby, których pospolita nazwa – rekiny – akurat wyleciała mu z głowy.

Noc zbrodni: Zbawca 1 + Zb. 2 + ojciec na gali Federacji Przemysłu Stalowego. Popili, dowiedzieć się. Mercedesa prowadził Zb. 2. Zb. 1 wrócił wcześniej sam swoim wozem. Poinformowany potem. Nie było czyszczenia garniturów Zb. 1 i Zb. 2. Obejrzone: czyste, brak zapachu paliwa. Jeden garnitur Zb. 1 czyszczony, ale nie ten, w którym był wtedy. Zal. zdj. garniturów z tamtego wieczoru + zdjęcia braci. Antypatyczni wobec personelu.

Adamsberg wyświetlił zdjęcia granatowego garnituru w drobne prążki, należące do Christiana Zbawcy 1, oraz marynarki, którą miał na sobie Christophe Zbawca 2, stylizujący się na właściciela jachtu. Którym swoją drogą niewątpliwie był. Niekiedy kolonie mają jachty, aby wypoczywać na nich po długich morskich włóczęgach i wrąbaniu jednego czy dwóch kalmarów. Następnie była fotografia z półprofilu Christiana, bardzo eleganckiego,

tym razem z krótką fryzurą, oraz jego brata, otyłego i bez wdzięku.

Mecenas Deschamps opuścił biuro przed współpracownicą, uważnie rozejrzał się na prawo i lewo, zanim przeszedł przez wąską uliczkę i skierował się prosto ku Adamsbergowi szybkim nienaturalnym krokiem, pasującym do głosu, który inspektor usłyszał z rana w telefonie.

– Inspektor Adamsberg – rzekł Deschamps, ściskając mu dłoń. – Przybywa pan więc z pomocą. Bardzo mnie to cieszy. Martwię się o Caroline. Bardzo.

– O Caroline?

– O Linę, jeśli pan woli. W kancelarii to Caroline.

– A Lina też się martwi? – zapytał Adamsberg.

– Jeśli nawet, to nie okazuje tego. Oczywiście cała ta historia to dla niej nic przyjemnego, ale nie sądzę, żeby Lina miała świadomość, jakie może to mieć skutki dla niej i dla jej rodziny. Takie napiętnowanie kogoś, zemsta czy Bóg wie co. Bardzo to kłopotliwe, bardzo. Podobno dokonał pan wczoraj cudu i sprawił, że Léone przemówiła.

– Tak.

– Będę niedyskretny, jeśli zapytam, co powiedziała?

– Nie, panie mecenasie. „Hello”, „Pasik” i „cukier”.

– W czymś to panu pomogło?

– Nie.

Adamsbergowi się wydało, że mały Deschamps przyjął odpowiedź z ulgą, może dlatego, że Léo nie wymówiła imienia Liny.

– Myśli pan, że jeszcze coś powie?

– Lekarz postawił na niej krzyżyk. To ona? – zapytał Adamsberg, widząc, że otwierają się drzwi kancelarii.

– Tak. Proszę nie brać jej zbyt mocno w obroty. Wie pan, ma ciężkie życie, bardzo, półtorej pensji na pięć gęb do wykarmienia i skromna pensyjka matki. Ledwie wiążą koniec z końcem. Przepraszam – opamiętał się – nie to chciałem powiedzieć. Proszę nie doszukiwać się w tym żadnych aluzji – dodał adwokat i odszedł pospiesznie, trochę jakby uciekał.

Adamsberg uściskał dłoń Liny.

– Dziękuję, że zgodziła się pani ze mną spotkać – rzekł z zawodowego obowiązku.

I spuścił wzrok w obawie, że rozmówczyni przyłapie go na wiadomym kompulsywnym pragnieniu. Kobiety zauważają to od razu. Lina nie była wcieleniem urody, co to, to nie. Biust miała za duży przy za cienkich nogach, lekki brzusek, plecy zaokrąglone, zęby troszkę wystające. Ale owszem, brygadier miał słuszność: człowiek miał ochotę schrupać jej piersi i wraz z nimi całą resztę, jędrną skórę, krągłe ramiona, trochę za szeroką pogodną twarz o wysokich kościach policzkowych, teraz zarumienionych, bardzo normandzką,

wszystko obsypane złocistymi piegami.

- Nie znam Niebieskiego Dzika – powiedziała Lina.
- Naprzeciwko targu kwiatowego, dwa kroki stąd. Nie bardzo drogo i pysznie.
- Naprzeciwko targu kwiatowego jest Biegący Dzik.
- O, to to, Biegący.
- Ale nie Niebieski.
- Nie Niebieski.

Idąc obok niej uliczkami, Adamsberg zdał sobie sprawę, że pragnienie, aby ją schrupać, przewyższa pragnienie, aby się z nią przespać. Ta kobieta niesamowicie pobudzała jego apetyt, nagle zaczęła mu przypominać ogromny kawał baby drożdżowej z bakaliami na miodzie, miękkiej, jeszcze ciepłej, którą w dzieciństwie pożarł u ciotki w Alzacji.

Wybrał stolik przy oknie, zastanawiając się, jak zdoła należycie przeprowadzić przesłuchanie z ciepłym kawałem baby drożdżowej na miodzie, w kolorze włosów Liny, które opadały jej grubymi splotami na ramiona. Tych ramion inspektor nie widział dobrze, ponieważ Lina narzuciła na nie długi szal z niebieskiego jedwabiu – dziwne w środku lata.

Adamsberg nie przygotował sobie pierwszego zdania, wołał bowiem najpierw ją zobaczyć i później improwizować. I teraz, gdy miał przed sobą Linę, na której mienił się świetliście jasny puszek, nie potrafił jej połączyć z czarnym widziadłem Dzikiego Hufca, zobaczyć w niej tej, która widzi potworność i przekazuje ją. A taka przecież była.

Złożyli zamówienie, po czym przez chwilę oboje czekali w milczeniu, skubiąc chleb. Adamsberg zerknął na nią. Jej twarz nadal była pogodna i skupiona, Lina jednak nie starała się mu pomóc. Był gliniarzem, ona rozpętała burzę w Ordebecu, on ją podejrzewał, ona wiedziała, że uważa się ją za wariatkę – takie były fakty. Przesunął się nieco w bok, przenosząc spojrzenie na drewniany bar.

- Może padać – powiedział wreszcie.
- Tak, niebo się zaciąga na zachodzie. Może popada w nocy.
- Albo wieczorem. Wszystko zaczęło się od pani, panno Vendermot.
- Proszę mówić mi Lina.
- Wszystko zaczęło się od pani, Lino. Nie mówię o deszczu, tylko o burzy, która krąży nad Ordebekiem. Ale gdzie ta burza się zatrzyma, nikt jeszcze nie wie, nikt też nie wie, ile zabierze ofiar ani czy nie zawróci i nie spadnie na panią.
- Nic się nie zaczęło ode mnie – rzekła Lina z napięciem w głosie, naciągając mocniej szal. – Wszystko się zaczęło od Poczty Hellequina. Przeszedł tędy, a ja go widziałam. Co poradzę? Było czterech pojmanych, będzie czterech nieboszczyków.
- Ale pani o tym powiedziała.
- Kto widzi Dziki Hufiec, musi powiedzieć, musi. Nie rozumie pan? Skąd pan pochodzi?
- Z Béarn.
- A, to nie, nie rozumie pan. To hufiec z północnych równin. Kto był widziany, może

próbować się ochronić.

– Ma pani na myśli pojmanych?

– Tak. I dlatego trzeba mówić. Rzadko się zdarza, żeby pojmany się uwolnił, ale i tak bywało. Glayeux i Mortembot nie zasługują na to, żeby żyć, ale jeszcze jest szansa, żeby wyszli z tego cało. Do tej szansy mają prawo.

– Ma pani osobisty powód, żeby ich nienawidzić?

Lina zaczęła z odpowiedzią, aż podano im zamówienie. Najwyraźniej była głodna albo miała ochotę coś zjeść, w każdym razie wpatrywała się w talerz rozognionym wzrokiem. Adamsbergowi wydało się logiczne, że kobieta tak apetyczna dysponuje porządnym apetytem.

– Osobistego nie mam – odparła, przystępując do konsumpcji. – Wiadomo, że obaj to mordercy. Ludzie starają się nie mieć z nimi kontaktu, więc wcale się nie zdziwiłam, kiedy ich zobaczyłam w rękach La Mesnie.

– Herbierem też się pani nie zdziwiła?

– Herbier był wstrętnym człowiekiem. Stale musiał do czegoś strzelać. Ale on miał w głowie nie po kolei. Glayeux i Mortembot z głową mają w porządku, zabijają, jeżeli im się opłaca. Na pewno są gorsi od Herbiera.

Adamsberg zmusił się, by jeść szybciej niż zazwyczaj i dotrzymać kroku Linie. Nie chciał zostać ze zjedzoną połową, gdy ona już skończy.

– Ale podobno żeby zobaczyć Dziki Hufiec, też trzeba mieć w głowie nie po kolei. Albo kłamać.

– Może pan tak myśleć. Widzę go i nic na to nie poradzę. Widzę go na drodze, jestem na tej drodze, chociaż mój dom stoi trzy kilometry dalej.

Lina obtaczała teraz ziemniaka na widelcu w sosie śmietanowym, wkładając w tę czynność zaskakująco dużo energii i napięcia. Z łapczywością wręcz krępującą.

– Można też powiedzieć, że to wizja – podjął Adamsberg. – I w tej wizji umieszcza pani ludzi, których pani nienawidzi. Herbiera, Glayeux, Mortembota.

– Wie pan, byłam u lekarzy – mówiła Lina, z lubością energicznie przeżuując kęs. – Przez dwa lata w szpitalu w Lisieux przechodziłam całą serię badań fizjologicznych i psychiatrycznych. Bardzo ich interesowało to zjawisko, oczywiście z powodu Świętej Teresy. Szuka pan wiarygodnego wyjaśnienia, ale ja też go szukałam. I nie ma go. W badaniach nie wyszły niedobory litu albo innych substancji, które powodują, że tu czy tam widzi się Matkę Boską i słyszy się głosy. Lekarze uznali, że jestem zrównoważona, opanowana i nawet bardzo rozsądna. I zostawili mnie mojemu losowi, nie wysnuwając żadnych wniosków.

– A jakie wnioski należało wysnuć? Że Dziki Hufiec istnieje, że faktycznie maszeruje po chemin de Bonneval i że pani naprawdę go widzi?

– Panie inspektorze, nie mogę zaręczyć, że istnieje. Ale jestem pewna, że go widzę. Od

niepamiętnych czasów zawsze był ktoś, kto w Ordebecu widział przemarsz hufca. Może jest tam zawieszona jakaś dawna chmura, kłęb dymu, zamęt, wspomnienie. Może ja przez to przechodzę, tak jak przechodzi się przez mgłę.

– A jaki jest pan Hellequin?

– Piękny – szybko odpowiedziała Lina. – Twarz poważna, promieniejąca, blond włosy, brudne, opadające do ramion zbroi. Ale jest straszny. Znaczy – dodała dużo ciszej i z wahaniem – straszny jest dlatego, że skórę ma nienormalną.

Urwała i w pośpiechu dojadła danie, znacznie wyprzedzając Adamsberga. Następnie opadła na oparcie krzesła, po obfitym posiłku znacznie pogodniejsza i rozluźniona.

– Smakowało? – zapytał Adamsberg.

– Pycha – odparła szczerze. – Nigdy tu nie byłam. Nie stać nas.

– Zamówimy sery i deser – dodał Adamsberg, pragnąc, by kobieta rozluźniła się zupełnie, choć nie wiedział, czy tak będzie lepiej dla przesłuchania czy też dla schrupania jej piersi.

– Najpierw niech pan to dokończy – powiedziała uprzejmie. – Pan za szybko nie je. A podobno policjanci wszystko muszą robić szybko.

– Szybko nie umiem niczego robić. Nawet kiedy biegnę, posuwam się wolno...

– Dowód – wpadła mu w słowo Lina – to że kiedy pierwszy raz zobaczyłam hufiec, od nikogo jeszcze o nim nie słyszałam.

– Ale podobno w Ordebecu wszyscy o nim wiedzą, nawet jeśli nikt im o tym nie mówił. Wygląda na to, że każdy dowiaduje się o istnieniu hufca, przychodząc na świat, wraz z pierwszym oddechem, z pierwszym łykiem mleka.

– Nie u moich rodziców. Oni zawsze żyli dość odizolowani. Pewnie już panu powiedziano, że mój ojciec nie był człowiekiem, z którym utrzymuje się stosunki.

– Tak.

– I to jest prawda. Kiedy opowiedziałam matce, co zobaczyłam... a bardzo wtedy płakałam, krzyczałam... pomyślała, że zachorowałam, dostałam „choroby nerwowej”, jak się mówiło w jej czasach. Nigdy nie słyszała o Poczcie Hellequina, tak samo jak mój ojciec. On zresztą często późno wracał z polowania i szedł właśnie po chemin de Bonneval. A nikt, kto zna tę historię, po ciemku tamtędy nie chodzi. Nawet ci, którzy w nią nie wierzą, omijają tę drogę.

– Kiedy był ten pierwszy raz?

– Miałam jedenaście lat. Dokładnie dwa dni po tym, jak siekiera rozłupała na dwoje głowę mojego ojca. Wezmę bezę z kremem angielskim – powiedziała do kelnerki. – Tylko żeby było dużo płatków migdałowych.

– Siekiera? – zdumiał się lekko oszołomiony Adamsberg. – Tak umarł pani ojciec?

– Zaszlachtowany jak wieprz, dosłownie – przytaknęła Lina, ze spokojem dołączając gest do słów: krawędzią dłoni uderzyła o stół. – Jeden cios w głowę, jeden w mostek.

Adamsberg odnotował ów brak emocji i dopuścił do siebie myśl, że jego baba drożdżowa



na miodzie może być pozbawiona miękkości.

– Później długo miałam koszmary. Lekarz przepisywał mi tabletki uspokajające. Nie chodziło o ojca rozciętego na pół, tylko strasznie się bałam, że znowu ujrzę tych jeźdźców. Rozumie pan, oni są zgnili, jak twarz pana Hellequina. Popsuci – dodała z lekkim wzdrygnięciem. – Ludziom i zwierzętom brakuje kończyn, potwornie hałasują, ale jeszcze gorsze są krzyki żywych, których zabierają ze sobą. Na szczęście przez następne osiem lat to się nie powtórzyło, więc sądziłam, że mi przeszło, że w dzieciństwie zwyczajnie dostałam „choroby nerwowej”. Ale zobaczyłam hufiec znowu, kiedy miałam dziewiętnaście lat. Widzi pan, inspektorze, to nie jest zabawna historia, nie wymyśliłabym czegoś takiego dla przechwałki. To okropne fatum, przez które dwa razy chciałam się zabić. Potem jeden psychiatra z Caen zdołał mnie przekonać, że mimo wszystko powinnam żyć z tym hufcem. On mi zawadza, dokucza, ale już nie przeszkadza funkcjonować. Sądzi pan, że mogę zamówić jeszcze trochę migdałów?

– Oczywiście – zapewnił Adamsberg, podnosząc dłoń, by przywołać kelnerkę.

– Nie wyjdzie za drogo?

– Policja płaci.

Lina się zaśmiała, wymachując łyżeczką.

– A to dopiero! Choć raz policja!

Adamsberg patrzył na nią nierozumiejącym wzrokiem.

– No przecież zwykły obywatel zawsze płaci policji: mandaty, grzywny... A tu proszę, odwrotnie. Taki żart.

– A, tak – zgodził się Adamsberg z uśmiechem.

– Nie, za późno. – Lina pokręciła głową. – Kiedy trzeba tłumaczyć żart, robi się to żalosne.

– Przykro mi, nie mam zbyt lotnego umysłu. Słaby jestem w ciętych ripostach, tak że nie zawsze załapuję dowcipy innych. Miałaby pani coś przeciwko, gdybyśmy jeszcze porozmawiali o pani ojcu?

– To nie jest mój ulubiony temat.

– Ustalono, kto go zabił?

– Nie.

– Podejrzewano kogoś?

– Pewnie.

– Kogo?

– Mnie – wyjaśniła Lina, odzyskując uśmiech. – Kiedy usłyszałam krzyk, pobiegłam na górę i znalazłam go całego we krwi w sypialni. Mój brat Hippo, który miał wtedy osiem lat, widział mnie z siekierą i powiedział to żandarmom. Nie chciał mi zaszkodzić, odpowiadał na pytania.

– Jak to: z siekierą?

– Podniosłam ją. Żandarmi myśleli, że wytarłam trzonek, bo znaleźli na nim tylko moje odciski palców. Ostatecznie dzięki pomocy Léo i hrabiego dali mi spokój. Okno w pokoju było otwarte, morderca łatwo mógł uciec przez nie. Mojego ojca nikt nie lubił, tak samo jak nie lubiano Herbiera. Ilekroć dostawał ataku szału, ludzie mówili, że to przez pocisk, który obrócił mu się w głowie. W dzieciństwie nie rozumiałam tego.

– Ja też nie rozumiem. Co mu się obróciło?

– Pocisk. Matka zapewnia, że przed wojną algierską, kiedy za niego wyszła, był mniej więcej przyzwoitym człowiekiem. Potem oberwał tym pociskiem, którego nie dało się wyjąć z głowy. Uznano, że jest niezdolny do walki, i przeniesiono go do wywiadu. Został oprawcą, ot co. Zostawię pana na chwilkę, zapalę sobie na zewnątrz.

Adamsberg poszedł za nią i wyjął z kieszeni pogniecionego papierosa. Widział z bliska jej włosy miodowe niczym baba, bardzo gęste jak na Normandkę. I piegi na ramionach, kiedy zsunął jej się szal, który szybko naciągnęła.

– Bił panią?

– A pana ojciec bił?

– Nie. Był szewcem.

– To nie ma nic do rzeczy.

– Nie.

– Nigdy mnie nie tknął. Za to z braci robił miazgę. Kiedy Antonin był jeszcze niemowlęciem, złapał go za nóżkę i rzucił na schody. Po prostu. Czternaście złamań. Przez rok był w gipsie. Martin nie chciał jeść. Po kryjomu wrzucał jedzenie do środka metalowej nogi stołu. Kiedyś ojciec to zauważył, kazał mu haczykiem od wędki wydobyć wszystko i zjeść. Oczywiście było to zepsute. Takie rzeczy robił.

– A najstarszy? Hippo?

– Miał jeszcze gorzej.

Lina przydeptała niedopałek i starannie przesunęła go do studzienki odpływowej. Adamsberg wyjął komórkę – drugą, tę tajną – która zawibrowała mu w kieszeni. „Przyjeżdżam wieczorem, podaj adres. LVB”.

Veyrenc. Veyrenc przyjedzie, aby mu sprzątnąć sprzed nosa babę drożdżową z bakaliami, zabierze mu taki smakowity kąsek z tą swoją delikatną buźką i ustami jak u dziewczyny.

„Nie trzeba, wszystko OK”, odpowiedział Adamsberg.

„Nie wszystko OK. Podaj adres”.

„Telefon nie wystarczy?”

„Podaj adres, do cholery”.

Adamsberg wrócił do stołu i niechętnie wpisał adres domu Léo. Na chwilę spochmurniał. Na zachodzie gromadzą się chmury, będzie padało wieczorem.

– Kłopoty?

– Kolega przyjeżdża – odparł Adamsberg, chowając komórkę do kieszeni.

– No więc stale chodziliśmy do Léo – podjęła Lina bez związku. – Ona nas wykształciła, ona i hrabia. Mówią, że Léo nie wyjdzie z tego, że maszyna się zepsuła. Podobno pan ją znalazł. I podobno coś mówiła.

– Przez chwilę – odparł Adamsberg, wyciągając rękę.

Wyjął z kieszeni długopis i na papierowej serwetce napisał: „maszyna”. Słowo, którego użył już ten lekarz o rybim nazwisku. Słowo, które ściągnęło mu chmurę przed oczy, a w tej chmurze być może była myśl, lecz nie wiedział jeszcze jaka. Poskładał serwetkę i podniósł oczy na Linę, zamglone oczy faceta, który dopiero co wstał.

– Widziała pani swojego ojca w hufcu? Kiedy miała pani jedenaście lat?

– Widziałam „pojmanego”, tak, mężczyznę. Ale tam był ogień i dużo dymu, ten człowiek przyciskał dłonie do twarzy i strasznie wrzeszczał. Nie jestem pewna, czy to był on. Ale przypuszczam, że tak. W każdym razie poznałam jego buty.

– A za drugim razem też był jakiś „pojmany”?

– Stara kobieta. Znaliśmy ją dobrze, w nocy rzucała kamykami w okiennice. Stale mamrotała pod nosem złorzeczenia, była typem osoby, której boją się wszystkie dzieci w okolicy.

– Oskarżona o morderstwo?

– Nic o tym nie wiem, nie sędzę. Może męża, odszedł dość wcześnie.

– Umarła?

– Dziewięć dni po pojawieniu się hufca, spokojnie, we własnym łóżku. Później La Mesnie długo nie przechodziła, aż zobaczyłam ją dopiero miesiąc temu.

– A czwarty pojmany? Nie rozpoznała go pani? Mężczyzna, kobieta?

– Mężczyzna, ale nie jestem pewna. Bo skoczył na niego koń i włosy mu się paliły, rozumie pan. Nie widziałam wyraźnie. Mam dość gadania o hufcu, mam dość wracania do dzieciństwa. Koniec.

Przyłożyła dłoń do okrągłutkiego brzucha, jakby palcami oceniała posiłek, który spożyła tak szybko.

Było wpół do piątej, gdy Adamsberg pieszo dotarł do zajazdu Léo, czując ociężałość w ciele z powodu walki z pragnieniami. Od czasu do czasu wyjmował papierową serwetkę, przyglądał się słowu „maszyna” i chował ją z powrotem. Zupełnie nic mu nie mówiło. Jeżeli była w nim jakaś myśl, to ukryta gdzieś głęboko, wciśnięta pod głąz pod wodą, zasłonięta kępami wodorostów. Przyjdzie taki dzień, gdy wyrwie się na swobodę, rozkołysana wypłynie na powierzchnię. Adamsberg nie znał innego sposobu myślenia. Czekanie, zarzucenie sieci na wodę, zagłębienie w nią.

W zajeździe Danglard z zakasnymi rękawami pichcił, perorując, pod baczny spojrzeniem Zerka.

– Bardzo rzadko się zdarza – mówił – żeby mały palec u nogi się udał. Zazwyczaj jest zeszepeczony, wykrzywiony, podkurczony, nie wspominając o paznokciu, który karłowacieje. Teraz, kiedy jedna strona jest zrumieniona, możesz poobrać kawałki.

Adamsberg oparł się o framugę drzwi i patrzył, jak jego syn wykonuje polecenia komendanta.

– Od butów tak się robi? – zapytał Zerk.

– Ewolucja, chłopie. Człowiek mniej chodzi, ostatni palec zanika, niedługo w ogóle go nie będzie. Kiedyś, za jakieś kilkaset tysięcy lat, zostanie z niego tylko kawałeczek paznokcia z boku stopy. Jak u konia. Buty oczywiście mocno się do tego przyczyniają.

– To tak samo jak z zębami mądrości. Nie mają miejsca, żeby wyrosnąć.

– Właśnie. Mały palec to poniekąd ząb mądrości stopy.

– Albo ząb mądrości jest małym palcem w ustach.

– Tak, tylko że jeśli tak mówisz, jest to mniej zrozumiałe.

Adamsberg wszedł, nalał sobie kawy do kubka.

– Jak poszło? – zapytał Danglard.

– Napromieniowała mnie.

– Szkodliwe fale?

– Nie, złocene. Jest trochę za tęga, zęby ma wysunięte do przodu, ale mnie napromieniowała.

– To niebezpieczne – skomentował Danglard z dezaprobatą.

– Chyba nigdy ci nie mówiłem o babie drożdżowej z bakaliami na miodzie, którą w dzieciństwie jadłem u ciotki. A to właśnie taka baba. Na metr sześćdziesiąt pięć.

– Pamiętaj, że ta Vendermotówna to chora wariatka.

– Możliwe. Nie wygląda ani na chorą, ani na wariatkę. Jest równocześnie pewna siebie i dziecinna, gadatliwa i ostrożna.

– I można założyć, że palce u stóp ma brzydkie.

– Skarłałe – uzupełnił Zerk.

– Mnie to obojętne.

– Skoro tak cię wzięło, to już nie nadajesz się do dochodzenia – z niezadowoleniem zauważył Danglard. – Zajmiesz się kolacją, a ja cię zmienię.

– Nie, o siódmej idę do braci. Veyrenc przyjeżdża dziś wieczór, komendancie.

Danglard najpierw wlał pół szklanki wody do kawałków kurczaka, przykrył mięso i zmniejszył gaz.

– Gotujesz tak na wolnym ogniu przez godzinę – wyjaśnił Zerkowi, po czym zwrócił się do Adamsberga: – Nie potrzebujemy Veyrenca. Czemu go ściągasz?

– Sam się wprosił. Bez powodu. Danglard, jak sądzisz, dlaczego kobieta narzuca szal na ramiona w taką pogodę?

– Na wypadek deszczu – powiedział Zerk. – Chmurzy się na zachodzie.

- Żeby ukryć jakiś defekt – rzekł Danglard. – Krostę albo znak diabła.
  - Mnie to obojętne – powtórzył Adamsberg.
  - Ci, którzy widują Dziki Hufiec, inspektorze, nie są dobrymi słonecznymi istotami. To dusze mroczne, złowróźbne. Napromieniowany czy nie, nie zapominaj o tym. Adamsberg nie odpowiedział, tylko wyjął znowu papierową serwetkę.
  - Co to? – zapytał Danglard.
  - Słowo, które nic mi nie mówi. Maszyna.
  - Kto je napisał?
  - Ależ ja, Danglard.
- Zerk pokiwał głową, jakby doskonale to rozumiał.

## XXIII

Lina wprowadziła go do dużego pokoju, w którym trzech czujni mężczyźni czekali, stojąc obok siebie wzdłuż długiego stołu. Adamsberg poprosił Danglarda, aby mu towarzyszył i osobiście stwierdził promieniowanie. Bez trudu zidentyfikował średniego z braci, Martina, wysokiego chudego bruneta podobnego do suchej gałęzi, tego, który musiał zjeść zepsute pożywienie ukryte w nodze stołowej. Hippolyte, najstarszy z braci, mężczyzna około czterdziestki, był blondynem o szerokiej twarzy dość podobnym do siostry, lecz pozbawionym właściwego jej skrzenia. Wysoki, krzepki, wyciągnął do Adamsberga lekko zniekształconą dużą dłoń. Przy końcu stołu Antonin z obawą we wzroku patrzył, gdy do niego podchodzili. Wąty brunet jak jego brat Martin, lecz o bardziej proporcjonalnej budowie, ręce przyciskał do wpadniętego brzucha w geście obrony. Był najmłodszy – właśnie on uważał się za zbudowanego z gliny. Mógł mieć około trzydziestu pięciu lat, może na tyle wyglądał z powodu wąskiej twarzy, w której spoglądające z lękiem oczy wydawały się za duże. Z fotela w kącie pokoju matka kiwnęła tylko głową. Kwiecistą sukienkę zastąpiła starą popielatą bluzką koszulową.

– Émeriego byśmy nie wpuścili – wyjaśnił Martin, szybko urywając wymachując kończynami jak u długiego pasikonika. – Ale panowie to co innego. Czekaliśmy na was z aperitifem.

– To bardzo miłe – rzekł Danglard.

– Jesteśmy mili – zapewnił Hippolyte, powolniejszy, rozstawiając szklanki na stole. – Który z was to Adamsberg?

– Ja – rzekł Adamsberg, siadając na starym krześle, którego nogi wzmocniono sznurkiem.

– A to mój zastępca, komendant Danglard.

Spostrzegł zaraz, że wszystkie krzesła są tak samo wzmocnione – niewątpliwie po to, aby któreś nie złamało się pod Antoninem. Z tego samego powodu z pewnością obito kauczukowymi taśmami ramy drzwi. Dom był duży, umeblowany skąpo, bieda waliła po oczach: uszkodzone płyty gipsowe, sprzęty ze sklejk, nieszczelne drzwi, ściany niemal gołe. W pomieszczeniu coś tak ćwierkało, że Adamsberg instynktownie wsadził palec do ucha, jakby znowu go nawiedziły szumy sprzed kilku miesięcy. Martin czym prędzej podszedł do zamkniętego wiklinowego koszyka.

– Wyniosę na dwór – powiedział. – Tak hałasują, że to przeszkadza, jak ktoś nienawykły.

– To świerszcze – wyjaśniła Lina po cichu. – W koszyku jest ich ze trzydzieści.

– Martin naprawdę je będzie jadł?

– Chińczycy jedzą – zapewnił Hippolyte – a Chińczycy zawsze byli sprytniejsi od nas, i to

od dawna. Martin robi je jak paszteciki z farszem, jajkiem i pietruszką. Ja wolę, jak robi je w cieście.

– Ciało świerszczy utwardza glinę – dodał Antonin. – Słońce też, ale trzeba uważać, żeby nie przesuszyć.

– Émeri mówił mi o tym. Dawno ma pan ten problem z gliną?

– Od szóstego roku życia.

– Chodzi tylko o mięśnie czy również o ścięgna, nerwy?

– Nie, o kości, i to miejscami. Ale mięśnie są przymocowane do kości, więc gorzej pracują z glinianymi. Dlatego nie jestem zbyt silny.

– A, rozumiem.

Hippolyte otworzył nienapoczętą butelkę i nalał porto do szklanek – do musztardówek zmatowiałych albo źle powycieranych. Jedną zaniósł matce, która nie ruszyła się ze swego kąta.

– Śydeik ejeiwordzyw – powiedział z szerokim uśmiechem.

– Kiedyś wyzdrowieje – przetłumaczyła Lina.

– Jak pan to robi? – wtrącił się Danglard. – To przestawianie liter?

– Wystarczy w głowie przeczytać słowo od tyłu. Jak pan ma na imię i nazwisko?

– Adrien Danglard.

– Neirda Dralgnad. Brzmi ładnie. Dralgnad. Widzi pan, że to nietrudne.

I choć raz Danglard poczuł, że pokonała go inteligencja zdecydowanie wyższa niż jego, a przynajmniej jakaś jej część o niewiarygodnych rozmiarach. Pokonała go i na krótko wprowadziła w smutek. Wydało mu się, że talent Hippolyte'a unicestwia jego kulturę klasyczną, zwietrzała, wyczerpana z kreatywności. Wychylił porto duszkiem. Cierpki alkohol, na pewno z najtańszych.

– Czego oczekuje pan od nas, inspektorze? – zapytał Hippolyte z tym swoim szerokim uśmiechem, który wydawał się atrakcyjny, a nawet wesoły, aczkolwiek dostrzegało się w nim nutkę smutku. Może dlatego, że Hippolyte'owi zostało kilka zębów mlecznych, przez co całość uzębienia tworzyła mocno nieregularną linię. – Mamy powiedzieć, cośmy robili w noc śmierci Herbiera? Kiedy to właściwie było?

– Dwudziestego siódmego lipca.

– O której?

– Tego dokładnie nie wiadomo, ciało zostało znalezione dużo później. Sąsiedzi widzieli, jak Herber wyjeżdżał około szóstej po południu. Z domu do kaplicy liczymy jakiś kwadrans, przez ostatnie trzydzieści metrów musiał prowadzić skuter. Morderca czekał tam, było więc jakieś piętnaście po szóstej. I owszem, muszę wiedzieć, gdzie byliście wtedy.

Czwórka rodzeństwa popatrzyła po sobie, jakby zadano im absolutnie głupie pytanie.

– A czego to dowiedzie? – zapytał Martin. – Jeśli pana okłamiemy, co pan z tym zrobi?

– Jeśli mnie okłamiacie, niewątpliwie zrobi mi się z tego podejrzenie.

– A skąd będzie pan wiedział?

– Jestem gliniarzem, stale słyszę kłamstwa. Z czasem człowiek oczywiście uczy się je rozpoznawać.

– Po czym?

– Po spojrzeniu, ruchu rzęs, skróceniu gestów, wibracjach w głosie, tempie mówienia. Jakby dana osoba zaczynała nagle utykać, zamiast chodzić normalnie.

– Na przykład jeśli nie patrzę panu w oczy, to kłamię? – dopytywał Hippolyte.

– Albo przeciwnie – odparł Adamsberg z uśmiechem. – Dwudziestego siódmego lipca był wtorek. Chciałbym, żeby pierwszy opowiedział mi o tym dniu Antonin.

– Okej – rzekł najmłodszy z Vendermotów, przestając przyciskać ręce do brzucha. – Prawie w ogóle nie wychodzę. Znaczący dlatego, że na zewnątrz jest dla mnie niebezpiecznie. Pracuję w domu dla portali handlujących starzyzną i antykami w sieci. Dużo tego nie ma, ale zawsze coś. We wtorki nigdy nie wychodzę. To dzień targowy, do późnego popołudnia wszędzie jest tłok.

– Nie wyszedł wtedy – wtrącił Hippolyte, napełniając jedyną pustą szklanekę na stole, Danglardową. – Ja też nie. An onwep ycsyszw ymśilyb jatut.

– Mówi, że na pewno wszyscy byliśmy tutaj – przetłumaczyła Lina. – Ale to nieprawda, Hippo. Ja zostałam do późna w kancelarii, żeby skończyć z aktami. Mieliśmy obszerne pismo procesowe do skończenia na trzydziestego. Wróciłam przed kolacją, przygotowałam ją. Martin po południu wpadł do kancelarii z miodem. Miał swoje koszyki.

– To prawda – przyznał Martin, który naciągał sobie długie palce, by trzaskało w stawach.

– Poszedłem na zbiór do lasu, zeszło mi pewnie do siódmej. Później już nie ma sensu szukać, owady wracają do swoich dziur.

– Ot adwarp – zgodził się Hippo.

– Po kolacji, jak nie ma nic w telewizji, często gramy w domino albo w kości – ciągnął Antonin. – Przyjemnie jest – dodał prostodusznie. – Ale wtedy Lina nie mogła z nami zagrać, pracowała nad tym pismem.

– Zeb jein ein tsej kat ołim.

– Weź przestań, Hippo – nagle poprosiła Lina. – Pan inspektor nie przyszedł, żeby się z tobą bawić.

Adamsberg popatrzył po nich wszystkich, spojrział na matkę okopaną na krześle, na promieniejącą siostrę, która karmiła ich i utrzymywała, i na trzech braci, genialnych głupków.

– Pan inspektor wie, że Herbiera wykończyli, bo to był gnój, i że był najlepszym kumplem naszego ojca. Umarł, bo La Mesnie postanowiła go pojmać. A my, gdybyśmy chcieli, mogliśmy go zabić dużo wcześniej. Jednego tylko nie rozumiem: dlaczego pan Hellequin pojmał naszego ojca trzydzieści jeden lat temu, a Herbiera tyle czasu później. Ale my nie jesteśmy od tego, żeby osądzać zamiary Hellequina.



– Lina mówi, że nie było nawet podejrzanego o zamordowanie waszego ojca. Pan też nikogo nie podejrzewał, Hippo? Chociaż zastał pan Linę z siekierą w ręce?

– Morderca przychodzi nie wiadomo skąd – odparł Hippo, zdeformowaną dłonią kreśląc w powietrzu krąg – z czarnych dymów. Nigdy go nie poznamy, tak samo jak nigdy się nie dowiemy, kto zabił Herbiera i trzech pozostałych pojmanych.

– Oni umrą?

– Na pewno – potwierdził Martin, podnosząc się z miejsca. – Przepraszam, ale to pora masażu Antonina. Kiedy wybija wpół do ósmej. Później to niedobrze. Ale proszę kontynuować, możemy spokojnie słuchać.

Kiedy Antonin ostrożnie zdejmował koszulę, Martin przyniósł z lodówki słoik żółtawej mikstury.

– To głównie sok z glistnika i kwas mrówkowy – wyjaśnił. – Trochę szczypie. Bardzo dobrze wchłania jego glinę.

Martin zaczął delikatnie rozsmarowywać masę na kościstym torsie brata i po paru wymienionych spojrzeniach Adamsberg zrozumiał, że nikt z tej rodziny nie wierzy naprawdę, iż Antonin w połowie zbudowany jest z gliny. Ale udawali, że tak jest, chronili brata i dbali o niego. O brata, który połamał się na tysiąc kawałków, kiedy w niemowlęctwie ojciec rzucił go na schody.

– Jesteśmy mili – powtórzył Hippolyte, dłonią przyglądając długie blond loki, dość przybrudzone. – Ale nie będziemy płakali po ojcu ani po tych bydlakach, których Lina zobaczyła z La Mesnie. Widział pan moje ręce, panie inspektorze?

– Tak.

– Urodziłem się z sześcioma palcami u każdej dłoni. Z jednym małym palcem więcej.

– Hippo to niesamowity gość – rzekł Antonin z uśmiechem.

– To rzadkie, ale się zdarza – powiedział Martin, który przystępował teraz do masażu lewego ramienia brata, kładąc masę w konkretnych miejscach.

– Sześć palców u każdej ręki to znak diabła – dodał Hippo, uśmiechając się jeszcze szerzej. – Ludzie tutaj zawsze tak mówili. Jak można wierzyć w takie bzdury?

– Wierzycie w Dziki Hufiec – zauważył Danglard, wzrokiem pytając, czy może sobie znowu dolać porto, które było prawdziwą gorzałą.

– Wiemy, że Lina widzi hufiec, to co innego. A jeśli go widzi, to widzi. Ale nie wierzymy w znaki diabła i inne takie bzdury.

– Wierzycie za to w zmarłych, którzy jeżdżą konno po chemin de Bonneval.

– Komendancie Dralgnadzie – rzekł Hippolyte – zmarli mogą wracać, niekoniecznie muszą być przysyłani przez Boga albo diabła. Zresztą Hellequin jest ich panem. A nie diabeł.

– To prawda – wtrącił Adamsberg, który nie chciał, aby Danglard wdał się w polemikę na temat hufca. Od kilku minut nieuważnie śledził rozmowę, bezskutecznie bowiem starał się

wykoncypować, jak będzie brzmiało jego nazwisko wymawiane wspak.

– Ojciec strasznie się wstydził moich sześciopalcych dłoni. Zakrywał je rękawiczkami z jednym palcem, kazał mi jeść na klęczkach, żebym nie trzymał rąk na stole. Niedobrze mu się robiło, kiedy na nie patrzył, czuł się upokorzony, że zmajstrował takiego syna.

Znowu uśmiechy rozjaśniły twarze rodzeństwa, jakby smutna sprawa z szóstym palcem bardzo wszystkich bawiła.

– Opowiedz – poprosił Antonin, ucieszony perspektywą, że po raz kolejny usłyszy tę świetną historię.

– Pewnego wieczoru, kiedy miałem osiem lat, położyłem obie dłonie na stole bez rękawiczek i ojciec wpadł w złość straszniejszą niż gniew Hellequina. Złapał siekierę. Tę samą, która później rozplątała go na dwoje.

– Pocisk obrócił mu się w głowie – wtrąciła naraz matka jęk-liwie.

– Tak, mam, na pewno to była wina pocisku – przyznał Hippo niecierpliwie. – Złapał mnie za prawą rękę i odrąbał mi palec. Lina mówi, że zemdlałem, że mama krzyczała, że na stole było pełno krwi, że mama rzuciła się na niego. Chwycił moją lewą rękę i załatwił palec u niej.

– Pocisk się obrócił.

– Bardzo mocno się obrócił, mam – powiedział Martin.

– Mama wzięła mnie na ręce i pobiegła do szpitala. Wykrwawiłbym się po drodze, gdyby nie zauważył jej hrabia. Wracał z jakiegoś bardzo eleganckiego przyjęcia, prawda?

– Z bardzo eleganckiego – potwierdził Antonin, wkładając koszulę. – I ekstrakugiem zawiózł mamę i Hippa do szpitala. Hrabia jest dobry, to mam na myśli, i jego nigdy La Mesnie nie pojma. Codziennie zawoził mamę do szpitala, żeby odwiedziła Hippa.

– Lekarz nie pozszywał go dobrze – rzekł Martin z urazą. – Jak dzisiaj odcinają szósty palec, prawie nic nie widać. A Anchois... bo on już wtedy tu był... Anchois to konował. Spaskudził mu rękę.

– To nic, Martin – powiedział Hippolyte.

– My będziemy jeździli na leczenie do Lisieux, nigdy do Anchois.

– Niektórzy z tych, co poddali się amputacji szóstego palca – ciągnął Martin – żałują tego później do końca życia. Opowiadają, że stracili swoją tożsamość, pozbywając się dodatkowego palca. Hippo mówi, że jemu to nie robi różnicy. W Marsylii jest dziewczyna, która wygrzebała swoje palce ze szpitalnego śmietnika i trzyma je odtąd w słoiku. Wyobrażacie sobie? Uważamy, że mama tak samo zrobiła, ale ona nie chce nam powiedzieć.

– Głupek – skwitowała jego matka.

Martin wytarł ręce w ścierkę i odwrócił się do Hippolyte'a z takim samym jak wcześniej pociągającym uśmiechem.

– Opowiedz, co było dalej – poprosił.

– Proszę – nalegał Antonin. – Opowiedz.

- Może lepiej nie – ostrożnie rzekła Lina.
- Grebsmada ezom w śmycz mikat ein ejutsug. To mimo wszystko glina.
- Mówi, że może pan w czymś takim nie gustuje – przetłumaczyła Lina.
- Grebsmada to moje nazwisko?
- Tak.
- Przypomina serbski. Wydaje mi się, że mniej więcej tak brzmiało.
- Hippo miał psa – powiedział Antonin. – To był tylko jego zwierzak, nigdy się nie rozstawali, byłem o niego zazdrosny. Wabił się Łój.
- Idealnie wytresował zwierzaka.
- Opowiedz, Hippo.
- Dwa miesiące po tym, jak ojciec odciął mi palce, kazał mi za karę siedzieć na ziemi w kącie. To było tego wieczoru, kiedy zmusił Martina, żeby zjadł wszystko, co schował w stołowej nodze, a ja stanąłem w jego obronie. Wiem, wiem, mam, znowu pocisk się obrócił.
- Tak, kochanie, obrócił się.
- Parę razy za jednym zamachem, mam.
- Hippo siedział w kącie – podjęła Lina – z głową wtuloną w Łoja. Potem coś szepnęła psu do ucha i Łój skoczył jak furia. Naszemu ojcu do gardła.
- Chciałem, żeby go zabił – wyjaśnił spokojnie Hippolyte. – Wydałem mu takie polecenie. Ale Lina dała mi znak, żebym odpuścił, więc kazałem Łojowi zostawić ojca. I zjeść to, co pozostało z nogi stołowej.
- Łojowi nie zaszkodziło – zaznaczył Antonin – a Martina przez cztery dni bolał brzuch.
- Później – kontynuował Hippolyte bardziej ponurym głosem – kiedy ojciec wyszedł ze szpitala z pozszywanym gardłem, wziął strzelbę i zastrzelił Łoja, gdy byliśmy w szkole. Zwłoki położył przed drzwiami, żebyśmy je po powrocie zobaczyli z daleka. Wtedy przyszedł po mnie hrabia. Uznał, że tutaj nie jestem bezpieczny, i przez kilka tygodni trzymał mnie u siebie na zamku. Kupił mi szczeniaka. Ale nie dogadywaliśmy się z jego synem.
- Jego syn to kawał drania – oznajmił Martin.
- Ynderw kejong – potwierdził Hippolyte.
- Adamsberg spojrział na Linę pytająco.
- Wredny gnojek – przetłumaczyła z wahaniem.
- Kejong, dobre określenie – uznał Danglard z miną wyrażającą zadowolenie intelektualne.
- Przez tego akjong wróciłem do domu i mama ukryła mnie pod łóżkiem Liny. Mieszkałem tu w ukryciu, ale mama nie wiedziała, jak sobie poradzić. W końcu Hellequin znalazł rozwiązanie: rozciął ojca na pół. I zaraz potem Lina zobaczyła to pierwszy raz.
- Dziki Hufiec? – upewnił się Danglard.

– Tak.

– Jak by to było wspak?

Hippolyte zdecydowanie pokręcił głową.

– Nie, nie, nie wolno wymawiać tej nazwy wspak.

– Rozumiem – rzekł Adamsberg. – A ile dni po pana powrocie z zamku umarł wasz ojciec?

– Trzyńście.

– Od ciosu siekierą w głowę.

– I w mostek – zaznaczył wesoło Hippolyte.

– Bestia dokonała żywota – potwierdził Martin.

– To przez ten pocisk – szepnęła matka.

– W sumie Lina nie powinna była wymagać ode mnie, żebym odwołał Łoja – skwitował Hippolyte. – Wszystko by się załatwiło tamtego wieczoru.

– Nie możesz mieć jej tego za złe – zauważył Antonin, ostrożnie wzruszając ramionami. – Jest po prostu miła.

– Wszyscy jesteśmy mili – oświadczył Hippolyte, kiwając głową.

– I co myślisz, komendancie? – zapytał Adamsberg, gdy szli powoli drogą prowadzącą do zajazdu Léo.

– Potencjalnie rodzina zabójców – odparł Danglard powoli. – Zżyta, chroniona przed światem zewnętrznym. Sami obłąkani, wściekli, ciężko doświadczeni, wybitnie uzdolnieni i szalenie sympatyczni.

– Mówię o promieniowaniu. Zauważyłeś? Z tym że przy braciach dość się hamowała.

– Zauważyłem – przyznał Danglard półgębkiem. – Miód w piersiach i w ogóle. Ale to paskudne promieniowanie. Podczerwień albo ultrafiolet, albo czarne światło.

– Mówisz tak z powodu Camille. Ale Camille teraz całuje mnie tylko w policzki. To takie sztampowe odmierzone pocałunki, które dają do zrozumienia, że już nigdy się nie prześpimy. To nieludzkie, Danglard.

– Lekka kara za krzywdę.

– To co mam zrobić? Latami siedzieć pod jabłonką, czekając na Camille?

– Jabłonka nie jest obowiązkowa.

– Nie dostrzegać bajecznych piersi tej kobiety?

– To jest coś – ustąpił Danglard.

– Moment – powiedział Adamsberg, przystając. – Wiadomość od Retancourt. Naszej opancerzonej koleżanki, która nurkuje w koleniastych przepaściach.

– W otchłaniach – poprawił Danglard, nachylając się do wyświetlacza telefonu. – I nie ma słowa „koleniasty”. Zresztą w pancerzu się nie nurkuje.

Zb. 1 wrócił b. późno w wieczór podpalenia, nic nie wiedział. Zachowanie prawie normalne. Potwierdzałoby, że nie brał w tym udziału. Ale był podenerwowany.

„Jak podenerwowany?”, wystukał Adamsberg.

– Pisze się przez jedno „d”. Podenerwowany.

– Nie wkurzaj mnie, Danglard.

„Zwolnij pokojówkę”.

„Dlaczego?”

„Długo by tłumaczyć, bez znaczenia”.

„Mimo to wytłumacz”.

„Zb. 1 dał cukier labradorowi po powrocie”.

– Co ci ludzie mają, Danglard, że stale dają cukier psom?

– Chcą być kochani. Kontynuuj.

„Labrador odmawia. Pokojówka zabiera zwierze, żeby dać mu cukier. Znowu odmowa. Pokojówka krytykuje cukier. Zb. 1 wywalił ją od razu. Wniosek: podenerwowany”.

„Bo pokojówce nie udało się dać psu cukru?”

„Bez znaczenia. Już mówiłam. Koniec”.

Zerk zmierzał ku nim długim krokiem z aparatem fotograficznym przewieszonym przez ramię.

– Hrabia wstąpił, chce cię zobaczyć po kolacji, o dziesiątej.

– Coś pilnego?

– Nie powiedział. Raczej rozkazał.

– Co to za gość?

– Od razu widać, że hrabia. Leciwy, elegancki, łysy. I ubrany w starą roboczą bluzę z niebieskiego płótna. Panie komendancie, dogotowałem kurczaka.

– Dodałeś śmietanę i zioła jak należy?

– Tak, na sam koniec. Zaniósłem go Ptaszkowi, bardzo mu smakował. Przez cały dzień kredkami rysował krowy.

– I co, dobrze rysuje?

– Średnio. Ale trudno jest narysować krowę. Trudniej niż konia.

– Zjemy tego kurczaka, Danglard, i idziemy.

## XXIV

Było już ciemno, gdy Adamsberg zatrzymał samochód przed bramą hrabiowskiego zamku postawionego na wzgórzu na wprost miasteczka Ordebec. Danglard niebawem zwinnie wygramolił się z auta i zaraz stanął naprzeciw budowli, oburącz trzymając się prętów bramy. Adamsberg wyczytał z jego twarzy dość czysty zachwyty, stan pozbawiony melancholii, który Danglard osiągał bardzo rzadko. Zerknął na zamczysko z jasnego kamienia, które dla kolegi było zapewne odpowiednikiem jego baby drożdżowej z bakaliarni na miodzie.

– Mówiłem, że spodoba ci się ta okolica. Stary ten zamek?

– Pierwsi panowie Ordebecu wymieniani są już na początku jedenastego wieku. Ale szczególnie w bitwie pod Orleanem w tysiąc czterysta dwudziestym ósmym roku wyróżnił się hrabia Valleray, który dołączył do francuskich oddziałów pod komendą hrabiego Dunois, zwanego Janem, bastarda Ludwika, diuka orleańskiego.

– Tak, tak, Danglard, a zamek?

– No właśnie ci tłumaczę. Syn Valleraya, Henryk, zbudował go po wojnie stuletniej, pod koniec piętnastego wieku. Całe lewe skrzydło, które tu widzisz, i wieża zachodnia pochodzą z tamtej epoki. Za to główną część zamku przebudowano w siedemnastym wieku, a te szerokie niskie prześwitki są efektem przebudowy w osiemnastym wieku.

– Może zadzwonimy?

– Co najmniej trzy, cztery psy ujadają jak najęte. Dzwonimy i czekamy na eskortę. Nie wiem, co ludzie mają z tymi psami.

– I z cukrem – dodał Adamsberg, pociągając za łańcuszek.

Rémy François de Valleray hrabia Ordebec czekał na nich zwyczajnie w bibliotece, nadal ubrany w płócienną niebieską bluzę, w której przypominał robotnika rolnego. Danglard jednak odnotował, że każdy z rzuconych kieliszków już ustawionych na stole wart jest jak nie tyle co jego miesięczna pensja. I że po kolorze sądząc, alkohol, którym mieli zostać poczęstowani, kosztuje tyle co podróż z Paryża. Bez porównania z portem, które pili u Vendermotów w musztardówkach i które żywym ogniem paliło go w żołądku. W bibliotece było pewnie z tysiąc woluminów, a na ścianach od góry do dołu wisiąco ze czterdzieści obrazów, niepomniecznie radujących wzrok komendanta Danglarda. W sumie wystrój stosowny dla hrabiowskiej siedziby, której właściciel jeszcze się nie spłukał do reszty, aczkolwiek niesłychany bałagan pozbawiał pomieszczenie wszelkiego dostojności. Na podłodze, stołach i półkach poniewierały się buty z cholewami, woreczki z ziarnem, lekarstwa, plastikowe torby, śruby, niedopalone świece, pudełka gwoździ, jakieś papiery.

– Panowie – rzekł hrabia, odstawiając laskę i wyciągając dłoń – dziękuję, że odpowiedzieliście na moje zaproszenie.

Hrabią był niewątpliwie. Głos, gesty dość rozkazujące, wyniosłe spojrzenie, a nawet przyrodzone prawo do występowania w chłopskiej bluzie. A równocześnie bez trudu widać w nim było starego Normandczyka ze wsi, rumianego, z brudem pod paznokciami, z rozbawieniem w oczach i sekretnym wejrzeniem w głąb siebie. Napęłił kieliszki jedną ręką, drugą opierając się na lasce, po czym gestem zaprosił ich, by zajęli miejsca.

– Mam nadzieję, że posmakuje panom ten calvados, taki dostaje ode mnie Léo. Wejdz, Denisie. Proszę poznać mojego syna. Denisie, panowie są z brygady kryminalnej z Paryża.

– Nie sądziłem, że ci przeszkodzę – rzekł przybyły, bez uśmiechu witając ich końcami palców. Palce miał białe o wymanikiurowanych paznokciach, ciało dobrze zbudowane, ale tęgie, szpakowate włosy gładko zaczesane do tyłu.

Czyli osławiony kejong według Vendermotów, który skrócił pobyt małego Hippolyte’a w zamku, kiedy się w nim schronił. Faktycznie, zauważył Adamsberg, ten człowiek miał dość kejongowską twarz, obwisłe policzki, cienkie wargi, oczy rozbiegane, odpychające, a w każdym razie trzymające na dystans. Nalał sobie do kieliszka bardziej przez kurtuazję niż z chęci pozostania. Całym sobą dawał do zrozumienia, że goście wcale go nie interesują, a ojciec o tyle, o ile.

– Wpadłem tylko, by powiedzieć, że samochód Maryse jutro będzie naprawiony. Trzeba kazać Georges’owi, żeby go odebrał, ja przez cały dzień będę na licytacji.

– Nie znalazłeś Georges’a?

– Nie, bydlak pewnie śpi pijany w sztok w stajni, nie będę nim potrząsał pod końskimi brzuchami.

– Dobrze, dopilnuję tego.

– Dziękuję – odparł Denis, odstawiając kieliszek.

– Nie wyganiam cię.

– Ale ja wychodzę. Zostawiam cię z gośćmi.

Hrabia skrzywił się lekko, kiedy drzwi się zamknęły.

– Panowie wybaczą – rzekł. – Jestem w nie najlepszych stosunkach z pasierbem, zwłaszcza że on wie, o czym chcę panom powiedzieć, i bardzo mu się to nie podoba. Chodzi o Léo.

– Bardzo lubię Léo – oświadczył Adamsberg bez zastanowienia.

– Wierzę. A znał ją pan tylko kilka godzin. Pan ją znalazł nieprzytomną. I panu udało się zmusić ją do mówienia. A gdyby nie te kilka słów, doktor Anchois by ją odłączył, stwierdziwszy śmierć mózgu.

– Miałem drobną wymianę słów z tym lekarzem.

– Wcale mnie to nie dziwi. Bywa z niego wielki kejong, ale nie zawsze.

– Lubi pan słowa Hippolyte’a, panie hrabio?

– Proszę mnie nazywać Valleray, wszyscy na tym zyskamy. Znam Hipa od kołyski. I uważam to określenie za całkiem adekwatne.

– Od kiedy zaczął mówić wspak?

– Miał trzynaście lat. To wyjątkowy człowiek, tak samo jak jego bracia i siostra. W Linie jest niezwykła promienistość.

– Nie uszło to uwagi inspektora – powiedział Danglard, na którego po widoku zamku dogłębnie kojąco działał wyśmienity smak trunku.

– A pan tego nie dostrzegł? – zdziwił się Valleray.

– Nie – przyznał Danglard.

– Doskonale. Jak calvados?

– Znakomity.

Hrabia zamoczył kostkę cukru w kieliszku i zupełnie niewytwornie zaczął ją ssać. Adamsberg przelotnie poczuł się tak, jakby ze wszystkich stron osaczały go kostki cukru.

– Zawsze piliśmy tego calvadosa z Léo. Muszą panowie wiedzieć, że byłem do szaleństwa zakochany w tej kobiecie. Poślubiłem ją i moja rodzina, w której jest wielu kejongów, proszę mi wierzyć, zmusiła mnie, żebym z niej zrezygnował. Byłem młody, słaby, uległem i rozwiedliśmy się dwa lata później... Zdziwi panów pewnie – podjął – choć tym się nie przejmuję, ale jeśli Léo przeżyje napaść tego parszywego mordercy, poślubię ją ponownie. Już postanowiłem. Jeśli ona się zgodzi. I tutaj wkracza pan, inspektorze.

– Mam go dopaść.

– Nie, ma pan uzdrowić Léo. Proszę nie sądzić, że to kaprys starca. Myślę o tym od ponad roku. Liczyłem na zrozumienie syna, ale nie ma szans. Zrobię to zatem bez jego zgody.

Hrabia podniósł się z trudem, o lasce podszedł do ogromnego kamiennego kominka i dorzucił do niego dwa grube polana. Starzec miał jeszcze krzepę, w każdym razie wystarczającą, aby się zdecydować na niebywały ślub prawie dziewięćdziesięciolatków, i to ponad sześćdziesiąt lat po pierwszym.

– Nie szokuje panów takie małżeństwo? – zapytał, wracając do nich.

– Przeciwnie – odparł Adamsberg. – Chętnie nawet przyjdę na ślub, jeśli mnie pan zaprosi.

– Będzie pan na nim, jeżeli ją pan z tego wyciągnie. I zrobi to pan. Léo zadzwoniła do mnie godzinę przed napadem. Była zachwycona wieczorem, który spędziła z panem, jej opinia mi wystarczy. Musiał być w tym palec losu, jeśli pan pozwoli na taką uproszczoną ocenę. Wszyscy jesteśmy tu trochę przesądni, bo przecież żyjemy blisko chemin de Bonneval. I pan, tylko pan zdołał ją wyciągnąć z afazji, skłonić do mówienia.

– Powiedziała raptem trzy słowa.

– Wiem jakie. Jak długo był pan przy niej?

– Chyba około dwóch godzin.

– Przez dwie godziny mówił pan do niej, czesał ją, trzymał dłoń na jej policzku. Wiem.



A teraz proszę, żeby był pan przy niej dziesięć godzin, piętnaście nawet, jeśli będzie trzeba. Dopóki nie ściągnie jej pan do siebie. Uda się to panu, inspektorze. – Hrabia przerwał, wolno powiódł wzrokiem po ścianach biblioteki. – Jeśli się uda, dam panu to. – Niedbale machnął laską, wskazując nieduży obrazek zawieszony blisko drzwi. – Dla pana jak ułał.

Danglard zerwał się i przyjrzał obrazkowi. Drobny jeździec na tle górskiego krajobrazu.

– Proszę podejść bliżej, komendancie – rzekł Valleray. – Poznaje pan to miejsce, Adamsberg?

– To chyba szczyt Gourgs Blancs.

– Zgadza się. Niedaleko od pana stron rodzinnych, jeśli się nie mylę?

– Jest pan dobrze poinformowany.

– Oczywiście. Jeśli chcę się czegoś dowiedzieć, zazwyczaj dopinam swego. To korzyści z uprzywilejowanej pozycji, potężne. Wiem również, że chce pan się dobrać do grupy Clermontów-Brasseurów.

– Nie, panie hrabio. Nikt nie może się dobrać do Clermontów, ani ja, ani nikt inny.

– Koniec szesnastego wieku? – zapytał Danglard nachylony nad obrazkiem. – Szkoła François Cloueta? – dodał ciszej, mniej pewnie.

– Tak, a nawet, jeśli ktoś lubi marzyć, dzieło samego mistrza, który choć raz zrzucił brzemień portrecisty. Nie mamy jednak wiarygodnych danych, które by potwierdzały, że odbył podróż w Pireneje. Aczkolwiek w tysiąc pięćset siedemdziesiątym namalował Joannę d’Albret, królową Nawarry. Być może w jej stolicy w Pau.

Danglard speszony wrócił na swoje miejsce, do pustego już kieliszka. Obrazek był rarytasem wartym fortunę, Adamsberg zaś wydawał się nieświadom tego.

– Proszę sobie nalać, komendancie. Mam niejakie problemy z poruszaniem. Mnie też proszę nalać. Nieczęsto taka nadzieja wkracza do mojego domu.

Adamsberg nie patrzył na obrazek ani na Danglarda, ani na hrabiego. Myślał o słowie „maszyna”, które wychynęło nagle z jakichś głębin, zderzając się z doktorem Anchois, potem z młodym człowiekiem z gliny i z widokiem palców Martina rozsmarowujących maść po skórze brata.

– Nie mogę – powiedział. – Nie mam takich zdolności.

– Ależ ma pan – zapewnił hrabia, stukając laską w nawoskowany parkiet i odkrywając, że wzrok Adamsberga, który wydawał mu się dotąd zamglony, jakby jeszcze bardziej się zagubił.

– Nie mogę – powtórzył Adamsberg nieobecny głosem. – Mam na głowie śledztwo.

– Porozmawiam z pańskimi przełożonymi. Nie może pan zostawić Léo.

– Nie.

– A zatem?

– Ja nie mogę, ale może ktoś inny. Léo żyje, Léo jest świadoma, ale ma wszystko popsute. Znam człowieka, który naprawia takie uszkodzenia, uszkodzenia, których nie da się nazwać.

– Jakiś szarlatan? – zapytał hrabia, unosząc siwe brwi.

– Uczony. Ale z nadludzkim talentem stosuje w praktyce swoją wiedzę. Uruchamia zatrzymane obwody, dotlenia mózg, naprawia kocięta, żeby mogły ssać matkę, odblokowuje niepracujące płuca. Ekspert od funkcjonowania ludzkiej maszyny. Mistrz. To byłaby nasza jedyna szansa, panie hrabio.

– Valleray.

– To byłaby nasza jedyna szansa, Valleray. On mógłby ją z tego wyciągnąć. Ale nie rękę.

– W jaki sposób to robi? Stosuje leki?

– Dłońmi.

– To jakiś magnetyzer?

– Nie. Naciska zawory, ustawia właściwie organy, pociąga za dźwignie, odtyka filtry i na koniec uruchamia silnik<sup>5</sup>.

– Niech go pan sprowadzi – rzekł hrabia.

Adamsberg przeszedł się po komnacie, pod nogami skrzypiał mu stary parkiet. Pokręcił głową.

– Niemożliwe – powiedział.

– Przebywa za granicą?

– Przebywa w więzieniu.

– A niech to!

– Musielibyśmy uzyskać specjalną przepustkę.

– Kto może ją wydać?

– Sędzia nadzorujący wykonywanie wyroków. W przypadku naszego lekarza to stary sędzia de Varnier, uparty jak osioł. Nie zechce nawet wysłuchać prośby. Wypuścić więźnia z Fleury, żeby wykorzystał swój talent przy łóżku staruszki w Ordebecu? Nie, do takiej sytuacji nadzwyczajnej nigdy nie dopuści.

– Raymond de Varnier?

– Tak – odparł Adamsberg, nadal krążąc po bibliotece i ani jednym spojrzeniem nie obdarzając obrazka ze szkoły Cloueta.

– Żaden problem, to przyjaciel.

Adamsberg odwrócił się do hrabiego, który uśmiechał się z uniesionymi brwiami.

– Raymond de Varnier niczego mi nie odmówi. Sprowadzimy pańskiego specja.

– Trzeba będzie podać powód solidny, wiarygodny i możliwy do sprawdzenia.

– Od kiedy to nasi sędziowie potrzebują powodów? Już za Ludwika Świątego nie dbali o nie. Proszę mi tylko zanotować nazwisko tego lekarza i miejsce, gdzie odbywa karę. Zadzwoń z rana do Varniera, możemy liczyć, że jutro wieczorem człowiek tu dojedzie.

Adamsberg spojrział na Danglarda, który z aprobatą pokiwał głową. Adamsberg zły był na siebie, że tak późno to do niego dotarło. Już kiedy doktor Anchois bez uszanowania mówił o Léo jak o zepsutej maszynie, powinien był pomyśleć o przebywającym w więzieniu

lekarzu, który sam używał tego określenia. I pewnie to zrobił, lecz nie uświadomił sobie tego. Nawet kiedy z ust Liny padło słowo „maszyna”. Aczkolwiek coś tam w nim drgnęło, skoro zapisał je na serwetce. Hrabia podał mu bloczek, na którym Adamsberg zanotował konieczne informacje.

– Jest jeszcze jeden problem – powiedział, zwracając mu bloczek. – Jeśli wylecę, więcej naszego człowieka nie wypuszczą. Tymczasem jeśli ją z tego wyciągnie, będzie potrzebowała kilku seansów. A ja mogę wylecieć za cztery dni.

– Wiem.

– O wszystkim?

– O wielu rzeczach, które pana dotyczą. Boję się o Léo i o Vendermotów. Pan tu przyjeżdża, więc się dowiaduję. Wiem, że pan wyleci, jeśli nie złapie pan mordercy Antoine’a Clermonta-Brasseura, a ten człowiek zwiął z pańskiej komendy, ba! z pańskiego biura, co gorsza, kiedy osobiście pan za niego odpowiadał.

– Zgadza się.

– Jest pan zresztą podejrzany, inspektorze. Wiedział pan o tym?

– Nie.

– Cóż, lepiej niech pan się pilnuje. Kilku dżentelmenów z ministerstwa ma wielką ochotę wszcząć dochodzenie w pańskiej sprawie. Niewiele brakuje, by zaczęli uważać, że pan umożliwił ucieczkę temu młodzianowi.

– To bez sensu.

– Oczywiście – zgodził się Valleray z uśmiechem. – Na razie człowiek jakby zapadł się pod ziemię. A pan szpera wokół rodziny Clermontów.

– Brak dostępu, Valleray. Nie szperam.

– Ale przecież chciał pan przesłuchać obu synów Antoine’a. Christiana i Christophe’a.

– I nie pozwolono mi. Więc dałem sobie spokój.

Hrabia odłożył resztkę kostki cukru na spodek, oblizał palce i wytarł je w niebieską bluzę.

– Co właściwie chciałby pan wiedzieć? O Clermontach?

– Co najmniej to, jaki był przebieg wieczoru poprzedzającego podpalenie. W jakim nastroju byli obaj bracia.

– W normalnym, a nawet w bardzo wesołym, o ile Christophe może być wesoły. Szampan, i to najlepszej marki, lał się strumieniami.

– Skąd pan wie?

– Byłem tam.

Hrabia wziął nową kostkę cukru, którą dokładnie zamoczył w trunku.

– Istnieje na tym świecie jądro atomowe, w którym przemysłowcy od zawsze szukają arystokratów i vice versa. Wymiana między nimi, ewentualnie zawieranie związków małżeńskich, wzmaga siłę wybuchu wszystkich. Należę do obu kręgów, szlachty i biznesu.

– Wiem, że sprzedał pan swoje stalownie Antoine’owi Clermontowi.

– Powiedział panu o tym nasz przyjaciel Émeri?

– Tak.

– Antoine był czystej wody drapieżnym ptakiem, który latał wysoko, ale pod pewnymi względami można było go podziwiać. Czego nie da się powiedzieć o jego synach. Ale jeżeli wbił pan sobie do głowy, że jeden z nich podpalił ojca, to jest pan w błędzie.

– Antoine chciał się ożenić ze swoją gosposią.

– Tak, z Rose – potwierdził hrabia, ssąc cukier. – Sądzę, że raczej bawiło go prowokowanie rodziny, i ostrzegałem go. Tylko że cały się jeżył, kiedy w oczach synów widział, jak bardzo wyczekują jego śmierci. Od jakiegoś czasu był zniechęcony, zraniony i skłonny do skrajności.

– Kto chciał go ubezwłasnowolnić?

– Zwłaszcza Christian. Nie miał jednak sposobu. Antoine był zdrowy na umyśle, co bez trudu dałoby się udowodnić.

– I szczęśliwym trafem pewien chłopak podkłada ogień pod mercedesa, akurat kiedy Antoine czeka sam w samochodzie.

– Widzę, co panu przeszkadza. Chce pan wiedzieć, dlaczego Antoine był sam?

– Bardzo. I dlaczego nie wiozł ich szofer.

– Bo szofera zaproszono do kuchni i Christophe uznał, że jest zbyt pijany, aby prowadzić. Wszedł więc z ojcem z przyjęcia, pieszo dotarli do samochodu przy rue Henri-Barbusse. Christophe usiadł za kierownicą i wtedy się zorientował, że nie ma komórki. Poprosił ojca, by poczekał, a sam wrócił tą drogą, którą przyszli. Znalazł komórkę na chodniku przy rue du Val-de-Grâce. Kiedy wyszedł z zakrętu, zobaczył samochód w ogniu. Niech pan posłucha, Adamsberg: Christophe był jakieś pięćset metrów od mercedesa, widzieli go dwaj świadkowie. Krzyknął i rzucił się biegiem, a świadkowie pobiegli razem z nim. Policję wezwał Christophe.

– On panu to powiedział?

– Jego żona. Jesteśmy w bardzo dobrych stosunkach. Ja przedstawiłem ją przyszłemu mężowi. Christophe był załamany, przerażony. Jakkolwiek wyglądały ich relacje, nie jest przyjemnie oglądać własnego ojca płonącego żywcem.

– Rozumiem – rzekł Adamsberg. – A Christian?

– Christian wyszedł wcześniej, był mocno wstawiony, chciał się położyć.

– Ale zdaje się, że do domu wrócił bardzo późno.

Hrabia przez chwilę drapał się po łysej głowie.

– Zasadniczo nic złego się nie stanie, jak powiem, że Christian spotyka się z taką jedną, z kilkoma nawet, i kiedy są oficjalne przyjęcia, korzysta, żeby wrócić późno do domu. Ale powtarzam: obaj bracia byli w bardzo dobrym humorze. Christian zatańczył, doskonale małpował barona de Salvin, a Christophe, który niełatwo się rozchmurza, przez kilka chwil nawet się dobrze bawił.

– Serdeczne porozumienie, normalny wieczór.

– Właśnie. O, na kominku leży koperta z kilkoma fotografiami z przyjęcia, które przysłała mi żona Christophe’a. Ta kobieta nie pojmuję, że w moim wieku nie lubi się oglądać swoich zdjęć. Proszę na nie zerknąć, zobaczy pan, jaka była atmosfera.

Adamsberg obejrzał z dziesięć zdjęć i faktycznie, żaden z nich, ani Christian, ani Christophe, nie wyglądał na człowieka, który w podnieceniu przymierza się do spalenia własnego ojca.

– No tak – powiedział, zwracając fotografię hrabiemu.

– Proszę je zatrzymać, jeśli mogą pana przekonać. I proszę szybko odnaleźć tego chłopaka. Ja bez trudu mogę załatwić z braćmi Clermontami, żeby dali panu więcej czasu.

– Uważam, że to konieczne – wtrącił nagle Danglard, który bez ustanku chodził od obrazu do obrazu niczym osa przelatująca z kropli na kroplę konfitur. – Ten Mo jest nieuchwytny.

– W końcu kiedyś będzie potrzebował pieniędzy – skwitował Adamsberg, wzruszając ramionami. – Uciekł bez grosza w kieszeni. Przyjaciele pomogą przez jakiś czas, a potem...

– Pomoc zawsze trwa tylko jakiś czas – mruknął Danglard – a nikczemność ma dla siebie wieczność. Zgodnie z tą zasadą na ogół łapiemy uciekinierów. Pod warunkiem, że nie wisi nad nami ministerialny miecz. Bo to krępuje ręce.

– Rozumiem – oświadczył hrabia, wstając. – Odsuniemy zatem ten miecz.

Jakby chodziło o przesunięcie krzesła, żeby było więcej miejsca, pomyślał Danglard, syn robotnika z północy kraju. Nie wątpił, że hrabiemu uda się to załatwić.

## XXV

Veyrenc czekał na nich z Zerkiem przed zajazdem Léo. Wieczór był ciepły, chmury ostatecznie się oddaliły, by zrzucić wodę gdzie indziej. Wynieśli sobie krzesła na dwór i palili po ciemku. Veyrenc twarz miał spokojną, lecz Adamsberg nie dał się zwieść. Bardzo rzymskie oblicze komisarza, pełne, nabite i ujmujące, o łagodnych rysach pozbawionych nierówności, było zbitą masą niemego działania i uporu. Danglard krótko uścisnął mu rękę i zniknął w domu. Było już po pierwszej.

– Możemy się przejść polami – zaproponował Veyrenc. – Telefony zostaw tutaj.

– Chcesz zobaczyć, jak krowy się ruszają? – zagadnął Adamsberg, biorąc od niego papierosa. – Wiesz, że tutaj, inaczej niż u nas, krowy bardzo niewiele się ruszają?

Veyrenc skinął na Zerka, aby z nimi poszedł, i nie odzywał się, póki się nie oddalili. Kiedy stanęli przed barierką odgradzającą pole, powiedział:

– Znowu dzwonili z ministerstwa. Nie spodobał mi się ten telefon.

– Co ci się w nim nie spodobało?

– Ton. Agresywny w związku z tym, że Mo ciągle jest nieuchwytny. Nie ma kasy, jego zdjęcie wszędzie opublikowano, więc dokąd mógł pójść? O to pytają.

– Agresywni są od początku. Co jeszcze było w tonie?

– Szyderstwo, ironia. Ten, kto dzwonił, nie był zbyt lotny. Miał głos faceta tak dumnego, że coś wie, że nie potrafił tego ukryć.

– Na przykład?

– Na przykład coś na ciebie. Niewiele mam, by zinterpretować to szyderstwo, hamowaną radość gościa, ale odnoszę przemożne wrażenie, że coś tam podejrzewają.

Adamsberg wyciągnął rękę po ogień.

– Podejrzewają coś, co ty też podejrzewasz?

– To nieważne. Wiem tylko, że syn przyjechał tu za tobą innym samochodem. Oni również o tym wiedzą, jak pewnie się domyślasz.

– Zerk robi reportaż o zgniłych liściach dla szwedzkiego pisma.

– Tak, to ciekawe.

– Taki już jest, wykorzystuje okazję.

– Nie, Jean-Baptiste, Armel wcale taki nie jest. Nie widziałem w domu gołębia. Coście z nim zrobili?

– Odfrunął.

– A, to dobrze. Ale dlaczego Zerk wziął drugi samochód? W bagażniku nie mieściły się bagaże was trzech?

- Czego szukasz, Louis?
- Próbuję ci uświadomić, że oni coś podejrzewają.
- Że ty sądzisz, że coś podejrzewają.
- Na przykład nie podoba im się, że Mo zniknął trochę magicznie. Że za dużo ptaszków odfrunęło. Sądzę, że Danglard wie. Komendant nie za dobrze umie kłamać. Od ucieczki Mo chodzi z miną stropionej kury, która wysiaduje strusie jajko.
- Masz bujną wyobraźnię. Uważasz, że byłbym zdolny do takiego cygaństwa?
- Jasne. Ale nie powiedziałem, że to cygaństwo.
- Wyłóż kawę na ławę, Louis.
- Sądzę, że niedługo zrobią tu nalot. Nie wiem, gdzie umieściłeś Mo, ale uważam, że powinien wiać jeszcze dzisiaj. Szybko. I daleko.
- Niby jak? Jeżeli ty, ja albo Danglard opuścimy to miejsce, tamci dostaną sygnał. Namierzają nas w godzinę.
- Twój syn – zaproponował Veyrenc, spoglądając na Zerka.
- Nie myślisz chyba, że go w to wciągnę?
- Już wciągnąłeś. Nie ma namacalnych dowodów. Ale jeżeli złapią go za kierownicą z Mo w samochodzie, pójdzie prosto do pułki. Jeśli masz rację, musimy wydać Mo. Niech odjedzie jakieś sto kilometrów stąd i da się złapać.
- Sam powiedziałeś: jak raz trafi w łapy wymiaru sprawiedliwości, już się nie wykaraska. To zostało ukartowane.
- Co proponujesz?
- Zerk musi wyjechać jeszcze tej nocy. W nocy jest dużo mniej zapór. I spora ich część nie jest skuteczna. Chłopcy są zmęczeni.
- Zgadza się – powiedział Zerk. – Daj spokój – dodał, powstrzymując Adamsberga – wywożę go. Gdzie mam jechać, Louis?
- Znasz Pireneje równie dobrze jak my, znasz przejścia do Hiszpanii. Pojedziesz tamtędy i dalej, do Grenady.
- A potem?
- Tam się zamelinujesz i będziesz czekał na nowe rozkazy. Przywiozłem ci adresy paru hoteli. Dwie blachy samochodowe, dowód rejestracyjny, pieniądze, dwa dowody osobiste, kartę kredytową. Kiedy odjedziecie dość daleko stąd, stańcie gdzieś na uboczu i niech Mo zetnie włosy. Na grzecznego chłopca.
- To jest dowód, że nie on spalił mercedesa – zwrócił uwagę Zerk. – Ma teraz długie włosy.
- I co z tego? – zapytał Adamsberg.
- Wiesz, czemu nazywają go Momo Łysa Pała?
- Bo chodzi wygolony na zero.
- Nie. Bo za każdym razem ogień opala mu kosmyki włosów. A on potem goli głowę,

żeby tego nie było widać.

– No dobra, Armel – powiedział Veyrenc – dość gadania, czas ucieka. Gdzie go zamelinowałeś, Jean-Baptiste? Daleko?

– Trzy kilometry stąd – odparł lekko ogłuszony Adamsberg. – Przez las dwa.

– Idziemy tam. Kiedy chłopcy będą się pakowali, my zamocujemy blachy, wyczyścimy odciski palców.

– I to akurat kiedy zaczął rysować – rzekł Zerk.

– I to akurat kiedy bracia Clermontowie, jak się wydaje, wybrnęli z kłopotu – stwierdził Adamsberg, przydeptując niedopałek papierosa.

– A ptak? Co robimy z ptakiem? – zagadnął naraz zaniepokojony Zerk.

– Wieziesz go do Grenady. Tak ustaliliśmy.

– Nie, ten drugi, gołąb. Co robimy z Hellebaudem?

– Zostawisz go nam. Z nim łatwiej by cię namierzyli.

– Co trzeci dzień trzeba mu jeszcze smarować łapki środkiem odkażającym. Obiecuj, że będziesz to robił, obiecuj, że nie zapomnisz.

Była prawie czwarta nad ranem, gdy Adamsberg i Veyrenc, z gołębiem gruchającym w klatce u ich stóp, patrzyli na tylne światła oddalającego się samochodu. Adamsberg naszykował synowi pełny termos kawy.

– Mam nadzieję, że nie wyprawileś go na darmo – rzekł Adamsberg cicho. – Mam nadzieję, że nie pchasz go w kłopoty. Będą musieli jechać całą noc i cały dzień. Będą wykończeni.

– Martwisz się o Armela?

– Tak.

– Dojedzie – zapewnił Veyrenc i dodał:

*Zuchwała to próba, zgoła niebezpieczny czyn,  
Mężne serce jednak zawaruje sukces w tym.*

– Jak to się stało, że zaczęli mnie podejrzewać w sprawie Moma?

– Za szybko to zrobiłeś. Doskonale rozegrane, ale za szybko.

– Mało czasu, brak wyboru.

– Wiem. Ale też to, że wzięłeś się za to sam.

*Nie sądź, że samotnie osiągniesz swoje cele,  
Uciekasz, gdy oparciem byli ci przyjaciele.*

– Było mnie wezwać – zakończył Veyrenc.



## XXVI

Hrabia przedsięwziął działania jeszcze wieczorem i zaraz z rana, nadzwyczaj skuteczne, na miarę jego uczucia do starej Léone, albowiem już o jedenastej trzydzieści lekarz dyskretnie przybył do szpitala w Ordebecu. Valleray o szóstej obudził starego sędziego, zgłosił zapotrzebowanie i o dziewiątej z bramy więzienia we Fleury wyjechał konwój wiozący osadzonego do Normandii.

Dwa cywilne samochody stanęły na parkingu przeznaczonym dla personelu szpitalnego, niewidoczne dla przechodniów. Prowadzony przez czterech ludzi lekarz szedł z kajdankami na rękach, korpulentny, z wręcz dobroduszną miną, na której widok Adamsberg się rozluźnił. Nie dostał jeszcze żadnego znaku od Zerka i ani słowa od Retancourt. Tym razem wydawało mu się, że jego torpeda Retancourt została rozbrojona, unieszkodliwiona. Co mogło pasować do hipotezy hrabiego. Jeżeli Retancourt niczego nie znajdzie, znaczy, że nie było nic do znalezienia. Pominąwszy to, że Christian wrócił późno – i tego właśnie Adamsberg się uczepił – nic nie pozwalało podejrzewać jednego lub drugiego brata.

Lekarz, czysty i dobrze ubrany, podszedł do niego swoim kolebiącym się krokiem. W więzieniu nie stracił ani grama, a nawet może przybrał na wadze.

– Dziękuję za ten spacer, Adamsberg – powiedział, ściskając mu dłoń. – Widok wsi działa bardzo odświeżająco. Tylko przy innych nie wymieniaj mojego nazwiska, chcę, żeby pozostało nieskalane.

– To jak cię przedstawimy? Doktor Hellebaud? To załatwi sprawę?

– Znakomicie. Jak tam twoje szумы w uszach? Wróciły? Jak pomyślę, że mogłem odbyć tylko dwa seanse...

– Zniknęły. Czasem w lewym uchu słyszę ciche gwizdanie.

– Doskonale. Załatwię ci ten drobiazg, zanim odjadę z tymi panami. A co z koteczką?

– Niedługo zostanie odstawiona od piersi. A jak więzienie, doktorze? Nie miałem czasu odwiedzić cię po wyroku. Wybacz.

– Cóż mam powiedzieć, przyjacielu? Jestem zapracowany. Trzeba zadbać o dyrektora z bardzo brzydkim starym nerwobólem grzbietu, o więźniów z somatyzacjami o podłożu depresyjnym i wszelkiej maści traumami z dzieciństwa, przypadki nadzwyczaj pasjonujące, muszę przyznać. A nie wspomnę o strażnikach, mam wśród nich dużo uzależnień i jeszcze więcej hamowanej przemocy. Nie przyjmuję więcej jak pięciu pacjentów dziennie, tu byłem bardzo stanowczy. Naturalnie nie biorę zapłaty, nie mam do tego prawa. Ale sam widzisz, jak jest: otrzymuję sowite wyrazy wdzięczności. Osobna cęla, specjalne traktowanie, posiłki na zamówienie, książek ile dusza zapagnie, nie mogę się uskarżać. Mając tyle różnych

przypadków co tam, piszę świetną książkę o traumach więziennych. Opowiedz, co mnie czeka. Wypadek? Diagnoza?

Adamsberg przez kwadrans rozmawiał z lekarzem w podziemiach, później udali się na piętro, gdzie przed drzwiami pokoju Léo czekał na nich kapitan Émeri, doktor Anchois, hrabia de Valleray i Lina Vendermot. Adamsberg przedstawił im doktora Paula Hellebauda, a jeden ze strażników delikatnie i z szacunkiem zdjął mu kajdanki.

– Tego strażnika – szepnął lekarz Adamsbergowi na ucho – przywróciłem do życia. Stał się impotentem, biedak był strasznie przybity. Co rano przynosi mi kawę do łóżka. Kim jest ta pulchna kobietka apetyczna jak nie wiem co?

– Lina Vendermot. To ona podłożyła ogień pod beczkę z prochem, przez nią doszło do pierwszego zabójstwa.

– Morderczyni? – zapytał, spoglądając na Adamsberga ze zdziwieniem i dezaprobatą, jakby zapomniał, że sam jest mordercą.

– Nie wiadomo. Miała ponurą wizję, opowiedziała o niej i tak to się zaczęło.

– Wizję czego?

– Wiąże się to ze starą miejscową legendą, chodzi o Dziki Hufiec, który od wieków tędy przechodzi, na poły martwy, na poły żywy, i zabiera ze sobą winnych żywych.

– Poczec Hellequina? – ożywił się lekarz.

– Owszem. Wiesz o tym?

– A kto o nim nie słyszał, przyjacielu? A więc pan Hellequin galopuje w okolicy?

– Trzy kilometry stąd.

– Cudowne otoczenie! – uznał lekarz, zacierając ręce, i ten gest przypomniał Adamsbergowi wieczór, gdy wybrał dla niego znakomite wino. – Starsza pani znajdowała się wśród pojmanych?

– Nie, przypuszczamy, że wiedziała coś o zabójcy.

Kiedy lekarz podszedł do łóżka i spojrzał na Léone, wciąż zbyt bladą i zbyt chłodną, uśmiech nagle spęłzył mu z twarzy, Adamsberg zaś zrzucił z karku kulę elektryczności, która znowu tam się ulokowała.

– Ból w karku? – zapytał go lekarz po cichu, nie odrywając oczu od Léone, jakby dokonywał rozpoznania miejsca pracy.

– To nic. Zwykła kula elektryczności, która lokuje się tam od czasu do czasu.

– Coś takiego nie istnieje – rzekł lekarz z pogardą. – Zobaczymy to później. Przypadek twojej staruszki jest inaczej styczny.

Czterem swoim strażnikom kazał się usunąć pod ścianę i poprosił o ciszę. Anchois wyglądał na jeszcze większego kejonga, prezentując minę podejrzliwą i rozmyślnie rozbawioną. Émeri stał niemal na baczność jak na paradzie przed cesarzem, a hrabia, któremu przysunięto krzesło, jedną rękę przytrzymał drugą, aby pohamować ich drzenie. Lina stała za nim. Adamsberg ścisnął w dłoni wibrujący telefon, tajny telefon numer dwa,

i zerknął na wiadomość. „Są. Przeszukują dom Léo. LVB”. Dyskretnie pokazał esemesa Danglardowi.

Niech przeszukują, pomyślał, w duchu śląc pełne wdzięczności podziękowanie komisarzowi Veyrencowi.

Lekarz położył swe wielkie dłonie na głowie Léone i długo jakby się w nią wsłuchiwał, następnie zajął się szyją i klatką piersiową. W milczeniu obszedł łóżko i ujął w palce jej chude nogi, przez kilka minut z przerwami obmacywał je i poruszał nimi. Potem zbliżył się do Adamsberga.

– Wszystko kompletnie martwe, Adamsberg. Bezpieczniki wywalone, obwody rozłączone, powięzi śródpiersiowe i mózgowa zablokowane, mózg niedotleniony, niewydolność oddechowa, układ trawienny nieporuszony. W jakim ona jest wieku?

Adamsberg usłyszał, że oddech hrabiego przyspiesza.

– Osiemdziesiąt osiem lat.

– Dobra. Będę musiał jej zrobić pierwszy seans, który potrwa około czterdziestu pięciu minut. Potem drugi, krótszy, około siedemnastej. Czy to możliwe, René? – zapytał dowódcę strażników.

Dowódca, ten był impotent, zaraz kiwnął głową z prawdziwą czcią w oczach.

– Jeżeli będzie podatna na leczenie, będę musiał tu wrócić za dwa tygodnie, żeby ją ustabilizować.

– Żaden problem – zapewnił hrabia z napięciem w głosie.

– Teraz wdzięczny będę, jeśli państwo wyjdą, chciałbym być sam z pacjentką. Doktor Anchois może zostać, jeśli sobie życzy, pod warunkiem że pohamuje ironię, nawet jeśli wyraża ją bez słów. Albo jego także będę musiał wyprosić.

Czterej strażnicy porozumieli się wzrokiem, napotkali władcze spojrzenie hrabiego oraz powątpiewające Émeriego i ostatecznie ich dowódca René wyraził zgodę.

– Będziemy za drzwiami, doktorze.

– Ależ naturalnie, René. Chociaż jeśli się nie mylę, w pokoju są dwie kamery.

– Zgadza się – potaknął Émeri. – W ramach ochrony.

– Czyli nie wyfrunę. Nie zamierzam zresztą, to fascynujący przypadek. Wszystko działa i nic nie chodzi. Bezdyskusyjnie skutek przerażenia, które w nieświadomym odruchu potrzeby przetrwania zaburzyło funkcje. Ona nie chce wspominać napaści, nie chce wrócić, żeby stawić jej czoło. Możesz wydedukować z tego, inspektorze, że zna napastnika i nie może znieść świadomości, kim on jest. Ta kobieta uciekła, uciekła daleko, za daleko.

Dwaj strażnicy stanęli przy drzwiach, dwaj pozostali objęli wartę przy oknie. Hrabia, kuśtykając korytarzem o lasce, przywołał Adamsberga.

– Będzie ją leczył tylko palcami?

– Tak, już mówiłem.

– Mój Boże.

Hrabia popatrzył na zegarek.

– Minęło dopiero siedem minut, Valleray.

– Nie mógłby pan zajrzeć, jak mu idzie?

– Kiedy doktor Hellebaud ma trudny przypadek, wkłada w to tyle energii, że na ogół wychodzi zlany potem. Nie można mu przeszkadzać.

– Rozumiem. Nie pyta pan, czy udało mi się odsunąć miecz?

– Miecz?

– Ten, który ministerstwo trzyma panu nad karkiem.

– A tak... No i?

– Niełatwo było przekonać synów Antoine'a. Ale załatwione. Ma pan tydzień więcej, żeby dopaść tego Mohameda.

– Dziękuję, Valleray.

– Niemniej szef gabinetu ministra wydał mi się dziwny. Kiedy wyrażał zgodę, dodał: „O ile nie znajdziemy go dzisiaj”. Mówił o tym Mohamedzie. Trochę jakby się bawił. Mają jakiś trop?

Adamsberg poczuł, że kula elektryczności mocniej szczypie go w kark, niemal boleśnie. Nie ma żadnej kuli, zapewniał lekarz, coś takiego nie istnieje.

– Nie zostałem poinformowany.

– Prowadzą za pańskimi plecami równoległe śledztwo czy co?

– Nie mam pojęcia.

O tej porze oddział specjalny ministerialnych siepaczy na pewno skończył już przeszukiwanie wszystkich miejsc, w których Adamsberg choćby postawił nogę po przyjeździe do Ordebecu. Zajazd Léo, dom Vendermotów – Adamsberg z całych sił miał nadzieję, że Hippolyte stale mówił do nich wspak – żandarmerię – Adamsberg z całych sił miał nadzieję, że Pasik się na nich rzucił. Niewielkie było ryzyko, że odwiedzili również dom Herbiera, lecz miejsce porzucone zawsze może zainteresować wścibskich gliniarzy. Dokonał w myślach przeglądu tego, co zrobili z Veyrenkiem: odciski palców powycierane, naczynia umyte we wrzątku, pościel zdjęta – chłopcy mieli ją wyrzucić w odległości ponad stu kilometrów od Ordebecu – pieczęcie założone. Był tylko problem z kupkami Hellebauda, które wyszorowali jak się dało, lecz pozostało trochę śladów. Adamsberg pytał Veyrenca, czy zna tajemnicę fenomenalnej odporności ptasich odchodów na zmywanie, lecz na ten temat Veyrenc wiedział nie więcej niż on.

## XXVII

W drodze chłopcy zmieniali się za kierownicą, śpiąc kolejno – Mo z obciętymi włosami, w okularach i z wąsem. Ta drobna przemiana działała uspokajająco, ponieważ tak wyglądał na zdjęciu, które Veyrenc dał do jego dowodu osobistego. Zafascynowany fałszywym dokumentem Mo obracał go z podziwem na wszystkie strony, myśląc, że gliniarze mają zdecydowanie większy talent do produkowania podróbek niż jego banda amatorów z Cité des Buttes. Zerk wybierał tylko bezpłatne drogi, tak że pierwszą zaporę spotkali dopiero na obwodnicy Saumur.

– Udawaj, że śpisz, Mo – powiedział przez zęby. – Jak mnie zatrzymają, obudzę cię, a ty zaczniesz grzebać w swoich rzeczach, wyjmiesz dowód. Rób z siebie gościa, który nie rozumie, w ogóle zawsze niewiele rozumie. Myśl o czymś zwyczajnym, myśl o Hellebaudzie, skup się na nim.

– Albo o krowach – rzekł Mo z niepokojem w głosie.

– No. I nic nie mów. Tylko kiwnij głową, masz być zaspany.

Dwaj żandarmi podeszli do samochodu wolno niczym dwaj śmiertelnie znudzeni faceci, którzy z ulgą widzą, że wreszcie mają coś na ząb. Jeden ciężkim krokiem obszedł auto z latarką, drugi szybko zaświecił w twarz pasażerom, biorąc od nich dokumenty.

– Tablice są nowe – zauważył.

– Tak – potwierdził Zerk. – Zostały założone dwa tygodnie temu.

– Samochód ma siedem lat, a tablice są nowe.

– To Paryż – wyjaśnił Zerk. – Wgnieciony przedni i tylny zderzak. Tablice były pogięte, więc kazałem je wymienić.

– Dlaczego? Były nieczytelne?

– Odczytać się dało. Ale dobrze pan wie, że jak w tym mieście widzą pokrzywione tablice, już nikt się nie krępuje przy parkowaniu.

– Pan nie jest z Paryża?

– Z Pirenejów.

– Ha, zawsze to lepsze niż stolica – skwitował żandarm z namiastką uśmiechu, zwracając im dokumenty.

Przez kilka minut jechali w milczeniu, póki serca nie wróciły im do normalnego rytmu.

– Ale z ciebie as – powiedział Mo. – W życiu bym tego nie wymyślił.

– Trzeba gdzieś stanąć i trochę podniszczyć tablice. Parę kopniaków wystarczy.

– I trochę sadzy z rury wydechowej.

– Przy okazji coś przekąsimy. Włóż dowód do kieszeni spodni, niech się ździebko

pogniecie. Za nowe mamy wszystko.

O jedenastej przed południem minęli drugą zaporę w Angou-lême. O czwartej po południu Zerk zatrzymał samochód na górskiej drodze niedaleko Laruns.

– Odpochniemy godzinę, Mo, nie więcej. Musimy przekroczyć granicę.

– Jesteśmy na granicy?

– Prawie. Przejedziemy do Hiszpanii przez przesmyk przy Caillou de Socques. I wiesz, co zrobimy? Pójdziemy na wyzerkę do niedużej karczmy w Hoz de Jaca i będziemy jak paniska. Na noc zatrzymamy się w Berdún. Jutro Grenada, dwanaście godzin jazdy.

– Trzeba też zmyć z siebie ten syf. Zdaje się, że cuchniemy.

– Jasne, że cuchniemy. A dwóch cuchnących facetów zaraz się zauważy.

– Twój ojciec wyleci z roboty. Przeze mnie. Myślisz, że jak to przyjmie?

– Nie mam pojęcia – odparł Zerk, popijając kilka łyków wody z butelki. – Nie znam go.

– Jak to? – zdziwił się Mo, biorąc od niego butelkę.

– Znalazł mnie raptem dwa miesiące temu.

– Jesteś znajdek? Kurde. Ale jesteś do niego podobny.

– Nie, mówię, że znalazł mnie, jak miałem dwadzieścia osiem lat. Wcześniej nawet nie wiedział, że istnieję.

– Kurde – powtórzył Mo, drapiąc się po policzkach. – Z moim ojcem jest na odwrót. Wie, że istnieję, ale nigdy nie próbował mnie znaleźć.

– Mój też nie. Ja go dopadłem. Myślę, Mo, że ojcowie to strasznie skomplikowana sprawa.

– Myślę, że lepiej przespać się godzinę.

Mo odniósł wrażenie, że Zerkowi głos jakby się trochę łamał. Albo przez ojca, albo przez zmęczenie. Mościli się obaj, szukając wygodnej pozycji do snu.

– Zerk?

– No?

– Ale w zamian mógłbym załatwić jeden drobiazg dla twojego ojca.

– Znajdziesz mordercę Clermonta?

– Nie, znajdę tego, kto związał łapki Hellebaudowi.

– Sukinkot.

– No.

– To wcale nie jest drobiazg. Ale sukinkota nie znajdziesz.

– U ciebie na kredensie ta kobiałka, w której były pióra... w niej przynieśliście Hellebauda?

– I co z tego? – zapytał Zerk, prostując się.

– Był w niej sznurek. Nim miał związane łapki?

– Tak, ojciec zostawił go do analizy. A co?

– No więc to jest sznurek do diabła.

Zerk zapalił papierosa, poczęstował Mo i otworzył okno.

– Skąd wiesz? – spytał.

– Do diabła używa się specjalnego sznurka. Inne szybko się zużywają, zaczynają się skręcać i diabloło wpada w korkociąg.

– Sznurki są takie same jak do jo-jo?

– Nie, co ty... Diabolo szybko wyciera sznurek w środku, przecina go nawet, więc musi być nylonowa wzmocniona linka.

– Dobra, i co dalej?

– Byle gdzie tego nie dostaniesz. Kupuje się ją u sprzedawców diabolo. W Paryżu nie ma ich wielu.

– Akurat – rzekł Zerk po chwili zastanowienia. – Pilnowanie sklepików nie pomoże znaleźć gnoja, który się nią posłużył, żeby torturować gołębia.

– Jest sposób – upierał się Mo. – Bo to nie linka zawodowca. Jądro raczej nie plecione.

– Jądro?

– No, środek. Zawodowcy wybierają droższe linki, które kupuje się w gałkach dziesięcio- albo dwudziestopięciometrowych. Ta nie była taka. Ją ktoś kupił razem z diabolo i kijkami, w zestawie.

– I co?

– No więc ta linka nie wyglądała na używaną. Ale może ludzie, którzy pracują z twoim ojcem, mogliby ją obejrzeć przez jakąś lupę czy coś?

– Przez mikroskop – przytaknęła Zerk. – A co to zmienia, jeśli jest nowa?

– Bo powiedz, czemu jakiś sukinkot miałby sobie niszczyć nową linkę do diabola? Czemu wziął akurat ją, a nie zwykły sznurek?

– Bo miał ją w domu pod ręką?

– Właśnie. Jego ojciec ma sklepik z diabolami. I gościu uciął kawałek z dużej szpulki, nowy kawałek, i wybrał najtańszą linkę. Czyli jego stary to hurtownik albo półhurtownik i sprzedaje linki tym, którzy robią zestawy. A hurtownik może być tylko jeden w Paryżu. Przypuszczalnie mieszka blisko komendy, bo Hellebaud związany nie dałby rady przejść daleko.

Zerk palił, mocno zmrużonymi oczami obserwując Mo.

– Długo nad tym myślałeś? – zapytał.

– No, miałem czas w pustym domu. Uważasz, że to głupie?

– Uważam, że jak tylko będziemy mogli podłączyć się do netu, raz-dwa znajdziemy adres sklepu i nazwisko sukinkota.

– Ale nie możemy się podłączyć.

– Nie, będziemy się ukrywali może nawet latami. Chyba że znajdziesz sukinkota, który tobie spętał łapy.

– To nierówna walka. Clermontowie to cały kraj.

– Kilka krajów nawet.



## XXVIII

W szpitalnym korytarzu niepokój unicestwił wszelkie zasady kurtuazji, nikt do nikogo się nie odzywał. Liną wstrząsnął dreszcz, szal zsunął się jej z ramion na podłogę. Danglard był szybszy niż Adamsberg. Dwoma długimi niezgrabnymi krokami znalazł się za nią i już nakładał szal na jej ramiona, nakładał go po staroświecku wolno i starannie.

Napromieniowany, uznał Adamsberg, podczas gdy Émeri, marszcząc jasne brwi, zdawał się z dezaprobatą oglądać tę scenę. Wszyscy napromieniowani, stwierdził Adamsberg. Wszystkich owinęła sobie dookoła palca, łapie, kogo chce, opowiada, co chce, zabija, kogo chce.

Później każdy znów wlepił nieruchomy wzrok w jedno miejsce, w zamknięte drzwi pokoju, czekając, aż klamka drgnie, jak czeka się na wyjątkowe podniesienie kurtyny. Wszyscy trwali w bezruchu niczym krowy na łące.

– Ruszyło, mruczy – oznajmił po prostu doktor Hellebaud, wychodząc. Wyjął z kieszeni wielką białą chustkę, metodycznie osuszył czoło, przytrzymując drzwi ręką. – Może pan wejść – powiedział do hrabiego – ale proszę się nie odzywać ani słowem. Niech nikt nie próbuje zmuszać jej teraz do mówienia. I to przez najbliższe dwa tygodnie. Będzie potrzebowała co najmniej tyle czasu, zanim zaakceptuje rzeczywistość, nie ma mowy, żeby ją ponaglać, bo gotowa znowu uciec w otchłań. Jeśli państwo to obiecują, pozwolę wam popatrzeć na nią.

Wszyscy zgodnie kiwnęli głową.

– A kto może mi przyrzec, że ten nakaz będzie przestrzegany? – dopytywał lekarz.

– Ja – rzekł Anchois, którego nikt nie zauważył, gdy wyszedł za Hellebaudem nieco przygarbiony z powodu przestrachu.

– Trzymam pana za słowo, kolego. Z każdym odwiedzającym ma iść pan albo osoba, którą pan wskaże. Inaczej będę pana uważał za odpowiedzialnego, jeśli pogorszy się stan pacjentki.

– Proszę mi zaufać. Jestem lekarzem, nie pozwolę nikomu zniweczyć takiej pracy.

Hellebaud kiwnął głową i pozwolił podejść do łóżka Vallerayowi, którego Danglard trzymał pod drżące ramię. Hrabia przez chwilę stał bez ruchu z otwartymi ustami, patrząc na Léo o zarumienionych policzkach, regularnym oddechu. Przywitała go uśmiechem i żywym spojrzeniem. Hrabia położył palce na obu dłoniach staruszki, znowu ciepłych. Odwrócił się do lekarza, aby mu podziękować bądź oddać cześć, i nagle zachwiał się wsparty na ramieniu Danglarda.

– Uwaga – rzekł Hellebaud, krzywiąc się. – Szok, zaburzenie nerwu błędnego. Proszę go

posadzić, zdjąć mu koszulę. Stopy są sine?

Valleray opadł na krzesło, a Danglard nie bez trudu go rozebrał. Zawstydzony hrabia odpychał go uparcie, jakby się zdecydowanie bronił przed obnażeniem i upokorzeniem w szpitalnym pokoju.

– Nienawidzi tego – lakonicznie skomentował doktor An-chois. – Taki sam cyrk odstawił kiedyś u siebie. Na szczęście byłem tam.

– Często tak zaniemaga? – spytał Adamsberg.

– Nie, ostatnio rok temu. Za dużo stresów, w sumie nic poważnego. Więcej strachu niż bólu. Czemu pan pyta, inspektorze?

– W imieniu Léo.

– Proszę się nie martwić, to krzepki człowiek, Léo będzie się nim cieszyła jeszcze długie lata.

## XXIX

Kapitan Émeri wszedł do pokoju i ze zmienioną twarzą pociągnął Adamsberga ze rękę.

– Mortembot znalazł swojego kuzyna Glayeux. Nie żyje, zmasakrowany.

– Kiedy?

– Prawdopodobnie tej nocy. Lekarz sądowy jest w drodze. Ale nie wiesz jeszcze najgorszego: ma rozłupaną czaszkę. Siekierą. Morderca wraca do pierwszej metody.

– Mówisz o starym Vendermocie?

– Jasne, to źródło wszystkiego. Kto sieje brutalność, zbiera bestialstwo.

– Nie było cię tu, kiedy zamordowano tego faceta.

– Nie szkodzi. Zapytaj raczej, dlaczego oni wtedy nikogo nie aresztowali. Dlaczego może nie chcieli nikogo aresztować.

– Oni, czyli kto?

– Widzisz, Adamsberg – powiedział Émeri, gdy Danglard wyprowadzał półnagiego Valleraya – prawdziwe prawo, jedyne prawo, to wola hrabiego Valleraya d'Ordebec. Prawo życia i śmierci na jego ziemiach, a nawet dalej, jeśli chcesz wiedzieć.

Adamsberg się zawahał, wspomniawszy polecenia, które otrzymał poprzedniego wieczoru na zamku.

– Zauważ – dodał Émeri. – Potrzebuje twojego więźnia do leczenia Léo? Dostaje go. Ty potrzebujesz przedłużenia terminu rozwiązania dochodzenia? On go uzyskuje.

– Skąd wiesz, że mam przedłużony termin?

– Sam mi powiedział. Lubi pokazywać, jak daleko sięga jego władza.

– Kogo mógłby chronić?

– Zawsze uważano, że któreś z dzieci zabiło ojca. Nie zapominaj, że zastano Linę, jak wycierała siekierę.

– Ona tego nie ukrywa.

– Nie może, to zostało dowiedzione w śledztwie. Ale mogła wytrzeć siekierę, żeby ochronić Hippa. Wiesz, co ojciec mu zrobił?

– Tak, odrąbał mu palce.

– Siekierą. Ale równie dobrze Valleray mógł postanowić, że zabije tego diabła, by chronić dzieci. Załóżmy, że Herbier o tym wiedział. Załóżmy, że zaczął szantażować Valleraya.

– Po trzydziestu latach?

– Może od lat go szantażował.

– A Glayeux?

– Czysta reżyseria.

– Zakładasz, że Lina i Valleray działają w porozumieniu. Że Lina ogłasza przejście hufca, żeby Valleray mógł się pozbyć Herbiera. Że pozostali, Glayeux, Mortembot, to tylko sztafaż, żeby wypuścić cię na poszukiwanie szaleńca, który wierzy w Poczet Hellequina i wykonuje wolę swojego pana.

– Pasuje, nie?

– Może, Émeri. Ale ja sędzę, że faktycznie istnieje jakiś szaleniec, który boi się hufca. Albo że jeden z pojmanych usiłuje zapracować na łaskę Hellequina, podejmując u niego służbę.

– Czemu tak uważasz?

– Nie wiem.

– Bo nie znasz tutejszych ludzi. Co ci obiecał Valleray, jeśli wyciągniesz Léo z tego? Może dzieło sztuki? Nie licz na to. Stale tak robi. A czemu za wszelką cenę chce ratować Léo? Zastanawiałeś się nad tym?

– Bo jest do niej przywiązany, Émeri, dobrze wiesz.

– A może dlatego, że chce się dowiedzieć, co ona wie?

– Kurde, Émeri, facet o mało nie zemdłał. Chce się z nią ożenić, jeżeli Léo przeżyje.

– Świetny pomysł. Świadeństwo żony nic nie znaczy przed sądem.

– Zdecyduj się, Émeri. Czy podejrzewasz Valleraya czy Vendermotów.

– Vendermotowie, Valleray, Léo, wszyscy to jedna banda. Stary Vendermot i Herbier to jej diaboliczne oblicze. Hrabia i dzieci to oblicze niewinne. Mieszasz wszystko i otrzymujesz plemię nieposkromione z domieszką gliny.

## XXX

– Zaatakowany w ciągu wieczora, bliżej północy – stwierdziła lekarka sądowa Chazy. – Dwa ciosy siekierą. Pierwszy wystarczył aż nadto.

Glaxeyx leżał w ubraniu rozciągnięty w swojej pracowni, w głowie miał dwa ślady po siekierze, krew obficie zalała stół i dywan, zachlapała szkice, które porozkładał na podłodze. Spod krwawych plam prześwitywała jeszcze twarz Matki Boskiej.

– Paskudne to – rzekł Émeri, wskazując rysunki. – Matka Boska cała we krwi – wyjaśnił z niesmakiem, jakby zachlapanie szkicu uważał za wstrętniejsze niż scenę jak z rzeźni, którą miał przed oczami.

– Pan Hellequin nie przebiera w środkach – mruknął Adamsberg. – A Matka Boska nie robi na nim żadnego wrażenia.

– Jasne – przyznał Émeri markotnie. – Glaxeyx miał zlecenie z kościoła w Saint-Aubin. I pracował zawsze do późna. Morderca wszedł, mężczyzna albo kobieta, znali się. Glaxeyx przyjął go tutaj. Skoro zaciukał go siekierą, musiał mieć na sobie płaszcz nieprzemakalny. Nie bardzo pasuje przy takim upale.

– Ale zanosilo się na deszcz, pamiętasz? Na zachodzie się chmurzyło.

W pracowni słycać było zawodzenie Michela Mortembota, krzyki raczej niż szlochanie – tak robią mężczyźni, którzy mają problem z wylewaniem łez.

– Po śmierci matki tak nie lamentował – zauważył Émeri złym głosem.

– Wiesz, gdzie był wczoraj?

– W Caen, od dwóch dni, z dużym zamówieniem grusz. Sporo ludzi to potwierdzi. Wrócił dziś późnym przedpołudniem.

– A wczoraj koło północy?

– Był w klubie, w Do Góry Nogami. Spędził noc z kurwami i ciotami i teraz ma wyrzuty sumienia. Jak się wysmarka, brygadier zabierze go, żeby złożył zeznanie.

– Uspokój się, Émeri, to niczemu nie służy. Kiedy przyjedzie twoja ekipa techniczna?

– Musi dojechać z Lisieux, policz sobie. Gdyby przynajmniej ten drań Glaxeyx mnie posłuchał, gdyby zgodził się na ochronę...

– Uspokój się, Émeri. Żałujesz go?

– Nie. Niech go Hellequin weźmie. Ale widzę przecież, że dwaj pojmani przez poczet zostali zabici. Wiesz, co się będzie teraz działo w Ordebecu?

– Jeden wielki strach.

– Ludzie mają gdzieś, że Mortembota też to czeka. Nikt jednak nie wie, kto ma być czwartą ofiarą. Można chronić Mortembota, ale nie całe miasto. Jeśli chcę się dowiedzieć,

kto ma coś na sumieniu, kto się boi, że został wskazany przez Hellequina, powinienem teraz czujnie się rozglądać. Wystarczy obserwować ludzi, patrzeć, kto się boi, a kto zachowuje spokój. I zrobię własną listę.

– Poczekaj na mnie – rzekł Adamsberg, zamykając telefon. – Danglard jest na zewnątrz, pójde po niego.

– Sam nie potrafi wejść?

– Nie chcę, żeby zobaczył Glayeux.

– Dlaczego?

– Nie znosi widoku krwi.

– I jest gliną?

– Uspokój się, Émeri. To niczemu nie służy.

– Na froncie byłby dobrym dekownikiem.

– To nic, on nie jest potomkiem marszałka. Wszyscy jego przodkowie fedrowali w kopalni. To też ciężka harówka, ale nie przynosi chwały.

Przed domem zebrał się już tłumek. Wiedzano, że Glayeux był jednym z pojmanyh pana Hellequina, zauważono samochód żandarmerii – to wystarczyło, aby ludzie zrozumieli. Znieruchomiały Danglard trzymał się z tyłu.

– Jestem z Antoninem – wyjaśnił Adamsbergowi. – Chce z tobą pogadać, z tobą i z Émerim. Ale boi się sam przejść przez tłum, trzeba mu utorować drogę.

– Wejdziemy od tyłu – rzekł Adamsberg, delikatnie ujmując Antonina za rękę. W czasie masażu, który robił mu brat, inspektor zrozumiał, że dłoń jest solidna, natomiast nadgarstek z gliny. Należało więc zachować ostrożność. – Jak ma się hrabia?

– Na nogach. A najważniejsze, że ubrany. I wściekły, żeśmy zdjęli z niego koszulę. Doktor Anchois zupełnie zmienił front. Pokornie oddał do dyspozycji jedną salę koledze Hellebaudowi, który peroruje i spożywa lunch ze strażnikami. Anchois nie odstępował go na krok, chodzi z miną faceta, którego przekonania zdmuchnął powiew cyklonu. A Glayeux jak się przedstawia?

– No, lepiej, żebyś go nie oglądał.

Adamsberg obszedł dom, razem z Danglardem ochraniali Antonina z obu stron. Minęli Mortembota, który szedł ze zwieszoną głową jak ochwacony koń, gdy brygadier Blériot dosyć grzecznie prowadził go do samochodu. Blériot dyskretnym gestem zatrzymał inspektora.

– Kapitan jest na pana zły za śmierć Glayeux – szepnął. – Powiedział... za przeproszeniem... że dał pan dupy. Mówię to teraz dla ostrzeżenia, bo kapitan potrafi się wściec.

– Widziałem.

– Proszę się nie przejmować, przechodzi mu.

Antonin ostrożnie usiadł na krześle w kuchni Glayeux, ręce schował pod stołem.

- Lina jest w pracy, Hippo pojechał kupić drewna, a Martin wybrał się do lasu – wyjaśnił.
- No to przyszedłem.
- Słuchamy cię – łagodnie zachęcił go Adamsberg.
- Émeri trzymał się na uboczu, ostentacyjnie dając do zrozumienia, że to nie jego dochodzenie i że Adamsberg, choć taki sławny, wcale nie poradził sobie lepiej niż on.
- Mówią, że Glayeux został zabity.
- Zgadza się.
- Pan wie, że Lina go widziała, jak błagał La Mesnie o litość?
- Tak. Z Mortembotem i jeszcze kimś nieznanym.
- Znaczy, chodzi mi o to, że jak La Mesnie zabija, robi to po swojemu. Nigdy żadną nowoczesną bronią, to mam na myśli. Nie z rewolweru czy ze strzelby. Bo Hellequin nie zna tej broni. Hellequin jest za stary.
- W wypadku Herbiera to nieprawda.
- No tak, ale może nie Hellequin się nim zajął.
- Ale prawda w wypadku Glayeux – przyznał Adamsberg. – Nie zginął od strzału z broni palnej.
- Od siekiery?
- Skąd wiesz?
- Bo nasza zniknęła. To chciałem powiedzieć.
- O!... – zaśmiał się krótko Émeri. – I ty, taki delikatny, przychodzisz tu, żeby nam wskazać narzędzie zbrodni? To miłe, Antonin.
- Matka powiedziała, że to może pomóc.
- A nie boisz się, że będzie odwrotnie? Że to może wam zaszkodzić? Chyba że uważasz, że ją odnajdziemy, i wolisz przejąć inicjatywę?
- Uspokój się, Émeri – uciął Adamsberg. – Kiedy się zorientowałeś, że siekiery nie ma?
- Rano, ale zanim się dowiedziałem o Glayeux. Ja jej nie używam, nie wolno mi. Zobaczyłem, że jej nie ma tam, gdzie zostawiamy ją zawsze, na dworze, wbitą koło stosu drewna.
- Czyli każdy może ją zabrać?
- Tak, ale nikt tego nie robi.
- Ta siekiera jest jakaś charakterystyczna? Ma coś, co pozwoli ją rozpoznać?
- Hippo wyciął V na trzonku.
- Myślisz, że ktoś się nią posłużył, żeby na was spadło oskarżenie?
- Możliwe, tylko chcę powiedzieć, że to by nie było bardzo sprytne. Gdybyśmy chcieli zabić Glayeux, nie wzięlibyśmy własnej siekiery, prawda?
- A owszem, byłoby sprytne – wtrącił się Émeri. – Byłby to tak kretyński błąd, że nie moglibyście go popełnić. Zwłaszcza wy, Vendermotowie, najwięksi spryciarze w całym Ordebecu.

Antonin wzruszył ramionami.

– Nie lubisz nas, Émeri, więc cię nie słucham. Chociaż twój przodek może i radził sobie w terenie i miał dość przebiegłości, żeby wygrywać, nawet jak miał mniej liczebne wojsko.

– Nie czepiaj się mojej rodziny, Antonin.

– Ty czepiasz się mojej i o to mi właśnie chodzi. A co ci zostało po nim? Gnasz przez pola za pierwszym zającem, którego zobaczysz. I nigdy nie patrzysz, co się dzieje wokół, nigdy się nie zastanawiasz, co myślą inni. A w ogóle to nie ty prowadzisz teraz śledztwo. Zwracam się do inspektora z Paryża.

– I dobrze – odparł Émeri z tym swoim bojowym uśmiechem. – Sam widzisz, jaki był skuteczny, odkąd przyjechał.

– To normalne. Bo trzeba czasu, żeby się zastanowić, co ludzie myślą.

Do domu wchodziła ekipa techników z Lisieux i Antonin, zaalarmowany hałasami, poderwał głowę.

– Danglard cię odprowadzi, Antonin – powiedział Adamsberg, podnosząc się. – Dziękuję, że do nas przyszedłeś. Émeri, widzimy się wieczorem na kolacji, jeżeli się zgodzisz. Nie lubię kłótni. Nie żebym był taki święty, ale swary mnie nudzą, czy są usprawiedliwione czy nie.

– Zgoda – odparł Émeri po chwili. – U mnie?

– U ciebie. Zostawiam cię z technikami. Trzymaj Mortembota jak najdłużej w celi pod pretekstem dozoru. Na posterunku przynajmniej nikt nie będzie miał do niego dostępu.

– A ty co będziesz robił? Idziesz na lunch? Spotykasz się z kimś?

– Będę chodził. Muszę pochodzić.

– W celu? Coś będziesz badał?

– Nie, tylko pochodzę. A wiesz? Doktor Hellebaud zapewnił mnie, że kule elektryczności nie istnieją.

– Więc co by to było?

– Pogadamy wieczorem.

Na twarzy kapitana już nie było widać złego humoru. Brygadier Blériot miał słuszość: przechodziło mu szybko, co w sumie jest dość rzadkie.



## XXXI

Wzrośnie niepokój w Ordebecu, wzrośnie strach, poszukiwanie odpowiedzi. To wszystko jednak, rozmyślał Adamsberg, już nie będzie nakierowane na Dzikiego Hufieca, lecz na bezsilność inspektora z Paryża. Któż bowiem tutaj poważnie by przypuszczał, że człowiek, zwykły człowiek mógłby się podszywać pod pana Hellequina? Adamsberg wybrał drogę mało uczęszczaną, aby uniknąć spotkań i pytań.

Obszedł Ordebec drogą koło stawu z ważkami, potem przeciął lasek Petites Alindes i w palącym słońcu skierował się skrótem ku chemin de Bonneval. Nie było obaw, że o tej porze spotka kogoś na tej przeklętej dróżce. Powinien był nią już nieraz się przejść. Bo tam i tylko tam Léo mogła się czegoś dowiedzieć albo coś zrozumieć. Ale miał na głowie Mo, miał na głowie Clermontów-Brasseurów, a także Retancourt, która rzuciła się na głęboką wodę, Léo bez zmysłów, rozkazy hrabiego, dlatego nie dość szybko zaczął działać. Niewykluczone również, że swoje zrobił tu niejaki fatalizm, przez który Adamsberg w naturalny sposób wolał obarczyć winą pana Hellequina, niż szukać prawdziwego człowieka, śmiertelnika, który zabija innych siekierą. Od Zerka żadnych wieści. Ale w tym akurat syn zastosował się do jego poleceń – żadnych telefonów. W tej chwili bowiem, po przyjeździe wysłanników ministerstwa, druga komórka Adamsberga z całą pewnością została namierzona i znalazła się na podsłuchu. Musi uprzedzić Retancourt, aby więcej się z nim nie komunikowała. Bóg jeden wie, jaki los może czekać kreta odkrytego w imponującej norze Clermontów-Brasseurów.

Na końcu skrótu stało samotne gospodarstwo, którego strzegł pies zmęczony szczekaniem. Tutaj telefon na pewno nie jest na podsłuchu. Adamsberg pociągnął kilkakrotnie za stary dzwonek, wołając głośno. Cisza, pchnął zatem drzwi i znalazł telefon na stoliku przy wejściu, pośród stosu listów, parasoli i ubłoconych gumiaków. Podniósł słuchawkę, aby zadzwonić do Retancourt.

I odłożył ją. Nagle zaalarmowany twardym pakietem zdjęć w tylnej kieszeni spodni, zdjęć otrzymanych poprzedniego dnia od hrabiego. Wyszedł z domu i udał się za stodołę, aby niespiesznie je przejrzeć, nie rozumiejąc jeszcze ich natarczywego wołania. Christian naśladujący nie wiadomo kogo przed kręgiem roześmianych osób, uśmiechnięty nieelegancki Christophe ze złotą szpilką w kształcie podkowy wpiętą w krawat, kieliszki we wszystkich dłoniach, półmiski ozdobione kwiatowymi girlandami, wydekoltowane suknie, kosztowności, sygnety wryte w stare palce, lokaje w smokingach. Dużo do oglądania dla zoologa wyspecjalizowanego w paradach i zachowaniach panujących, nic dla gliniarza szukającego ojcobójcy. Rozproszył go przelot klucza kaczek w idealnym kształcie V,

przyjrzał się jasnobłękitnemu niebu – zasnutemu chmurami na zachodzie – schował zdjęcia do koperty, pogłaskał po pysku klacz, która strząsała kosmyk grzywy spadający jej na oczy, i popatrzył na zegarki. Gdyby coś się stało Zerkowi, już by o tym wiedział. O tej porze pewnie dojeżdżają do Grenady, są poza terenem objętym czynnymi poszukiwaniami. Nie przewidział, że będzie się martwić o Zerka, nie miał pojęcia, ile w tym poczucia winy, a ile afektu, którego jeszcze nie znał. Wyobraził ich sobie u bram miasta, zobaczył w duchu uśmiechniętą kościstą mordę Zerka, którą zaczynał uważać za interesującą, zobaczył Mo z włosami obciętymi na grzecznego ucznia. Mo, czyli Moma Łysą Pałę.

Wsunął zdjęcia do kieszeni i szybkim krokiem wrócił do pustego gospodarstwa, rozejrzał się po okolicy, po czym wybrał numer Retancourt.

– Violette – powiedział – chodzi mi o to zdjęcie Zbawcy Jeden, które mi przesłałaś.

– Tak.

– Ma krótsze włosy. A na przyjęciu miał dłuższe. Kiedy zrobiłaś zdjęcie?

– Na drugi dzień po tym, jak tu przyszedłam.

– Czyli trzy dni po spaleniu jego ojca. Spróbuj się dowiedzieć, kiedy obciął włosy. Co do godziny. Po powrocie z przyjęcia czy wcześniej. Musi ci się udać.

– Ugłaskałam ochmistra, opryskliwego jak nikt inny z pracowników. Do nikogo się nie odzywa, ale dla mnie robi wyjątek.

– Wcale mnie to nie dziwi. Prześlij mi informację tradycyjną drogą. Już nie używaj tych komórek i zabieraj się stamtąd.

– Problem? – zapytała spokojnie Retancourt.

– I to duży.

– W porządku.

– Jeżeli sam obciął sobie włosy przed powrotem, może coś zostało na zagłówku w samochodzie. Po zabójstwie on prowadził?

– Nie, wziął szofera.

– Siada z przodu czy z tyłu?

– Z tyłu.

– Czyli szukamy króciutkich włosków na fotelu kierowcy.

– Ale bez nakazu.

– Zgadza się, komisarzy. Nakazu w życiu nie dostaniemy.

Z zamętem w głowie Adamsberg jeszcze przez dwadzieścia minut szedł do początku chemin de Bonneval, zaprzątnięty nieoczekiwanym odkryciem, Christophe Clermont-Brasseur skrócił włosy. Ale nie on wioził ojca mercedesem. On wyszedł wcześniej, mocno zawiany, i wstąpił do kobiety, której nazwiska nigdy nie uda się poznać. A później otrzymał wiadomość, chciał może skromniejszą fryzurę na okres żałoby po ojcu.

Może. Tyle że był Mo, któremu czasami żar ognia przypalał włosy. Jeżeli Christian podłożył ogień pod samochód, jeżeli opalił sobie parę kosmyków, musiał w pośpiechu to

ukryć, przycinając je krótko. Christiana jednak tam nie było, Adamsberg ciągle wracał do tego samego punktu, a nic go bardziej nie nużyło od chodzenia w kółko w kieracie – w przeciwieństwie do Danglarda, który potrafił tak krążyć aż do zawrotu głowy, grzęznąc we własnych śladach.

Na siłę starał się nie zwracać uwagi na jeżyny, aby skupić się w pełni na chemin de Bonneval, na śladach starej Léo. Minął gruby pień, na którym siedział obok niej, posłał jej przy tej okazji ciepłą myśl, sporo czasu spędził przy kaplicy Świętego Antoniego, który pomaga odnaleźć każdą zgubę. Jego matka monotonicznie mamrotała imię tego świętego, ilekroć gdzieś zapomniała byle drobiazg. „Święty Antoni Padewski, obywatelu niebieski, niech się stanie wola Twoja, niech się znajdzie zguba moja”. W dzieciństwie Adamsberga dość mocno szokowało, że matka bez skrupowania prosi o pomoc Świętego Antoniego, aby znaleźć naparstek. Jemu na razie święty nie pomagał, toteż niczego nie znajdował na drodze. Sumiennie przebył ją w kierunku przeciwnym i w połowie trasy usiadł na powalonym pniu, tym razem z zapasem jeżyn, które położył na korze. Na wyświetlaczu komórki przewijał zdjęcia, które przesłała mu Retancourt, i porównywał je z fotografiami otrzymanymi od Valleraya. Wtem za plecami usłyszał łomot i z lasu wypadł Pasik z błogością na pysku świadcząca, że odbył owocną wizytę u dziewczyny w gospodarstwie. Oślinioną mordę położył Adamsbergowi na kolanie i popatrzył z błagalną miną, której intensywności żaden człowiek nie potrafił powtórzyć. Adamsberg poklepał go po czole.

– A teraz chcesz cukier, tak? Nie mam, stary. Nie jestem Léo.

Pasik domagał się nadal, ubrudzone ziemią łapy oparł mu na spodniach, prosząc coraz natrętniej.

– Nie ma cukru, Pasik – powtórzył wolno Adamsberg. – Dostaniesz od brygadiera o wpół do siódmej. Chcesz jeżynę?

Podsunał mu owoc pod nos, lecz zwierzak go odrzącił. Jakby rozumiejąc, że na darmo prosi, albo uznawszy, że ten człowiek jest dziwnie tępy, zaczął drapać ziemię u stóp Adamsberga, rozrzucając obficie zeschnięte liście.

– Pasik, niszczysz mikroświat, który żyje w zgniłych liściach.

Pies znieruchomiał i natarczywie wpatrzył się w niego, po czym powiódł pyskiem od ziemi do twarzy Adamsberga. Jednym z pazurów przytrzymał biały papierek, który po swojemu kazał mu obejrzeć.

– Widzę, Pasik, to opakowanie po cukrze. Puste. Stare.

Adamsberg zjadł garść jeżyn, a Pasik nie ustępował, przestawiając łapę, by pokierować tym człowiekiem, który tak nic nie rozumiał. W ciągu minuty Adamsberg zebrał z ziemi sześć papierków po cukrze.

– Wszystkie puste, stary. Wiem, co chcesz powiedzieć: to kopalnia cukru. Wiem, że tutaj Léo dawała ci cukier po twoich amorach w gospodarstwie. Rozumiem, że jesteś zawiedziony. Ale ile razy mam ci powtarzać, że nie mam cukru? Naprawdę nie chcesz

jeżyny? Nie wiesz, co tracisz.

Adamsberg wstał i zrobił kilka kroków, licząc, że Pasik zapomni o swej obsesji. Pies podążył za nim, cichutko skamłając, wtem Adamsberg zawrócił i usiadł dokładnie w miejscu, gdzie siedział tamtego dnia z Léo, przywołał scenę w pamięci, pierwsze słowa, przybycie psa. O ile umysł Adamsberga fatalnie przyswajał słowa, o tyle precyzyjnie odtwarzał wszelkie obrazy. Inspektor miał teraz przed oczami gest Léo, wyraźny jak wyrysowany piórkiem. Léo nie odwinęła cukru z papierka, bo kostka była niezapakowana. Wyjęła cukier i od razu dała Pasikowi. Léo nie była kobietą, która by zabierała cukier w opakowaniu, nie przejmowała się, że pobrudzi sobie kieszenie, rękę czy cukier.

Pieczołowicie pozbiierał papierki wykopane przez Pasika. Ktoś inny jadł tu cukier. Dobre dwa tygodnie papierki tutaj leżały jeden przy drugim, jakby wszystkie wyrzucono razem. I co z tego? Pominąwszy fakt, że to było na chemin de Bonneval? Właśnie. Jakiś małolat mógł sobie usiąść na tym pniu w nocy, żeby poczekać na przejście hufca – bo takie wyzwanie niektórzy sobie rzucali – i pogryzał cukier na pokrzepienie. A może był tu w noc morderstwa? Może widział przechodzącego zabójcę?

– Pasik – zwrócił się Adamsberg do psa – czy pokazałeś te papierki Léo? Może liczyłeś na repetę? – Przeniósł się we wspomnieniach do szpitalnego łóżka i inaczej potraktował tamte trzy słowa, które wyszeptała staruszka: „hello”, „Pasik”, „cukier”. – Pasik – powtórzył – Léo widziała te papierki, tak? Widziała je? I powiem ci nawet, kiedy je widziała. W dniu, kiedy odkryła zwłoki Herbiera. Inaczej nie mówiłaby o tym w szpitalu, skoro była taka słaba. Ale wieczorem mi o nich nie wspomniała. Myślisz, że rozumiała potem? Jak ja? Z opóźnieniem? Następnego dnia? Co ona rozumiała, Pasik? – Adamsberg ostrożnie wsunął papierki do koperty ze zdjęciami. – Co rozumiała? – podjął, ruszając tą samą ścieżką na skróty, którą chodziła Léo. – Co rozumiała? Że był świadek morderstwa? Skąd wiedziała, że papierki wyrzucono tamtego wieczoru? Bo była tu z tobą w przeddzień morderstwa? I wtedy papierków nie było?

Pies z zapalem biegł ścieżką, obsikując te same drzewa co za pierwszym razem, coraz bliżej zajazdu Léo.

– Tak to musiało być, Pasik. Świadek, który podjadał cukier. Który zrozumiał, jakie ważne jest to, co zobaczył, kiedy później dowiedział się o morderstwie i o dacie popełnienia go. Ale ten świadek nic nie mówi ze strachu. Léo mogła wiedzieć, który chłopak tamtej nocy poddał się próbie na chemin de Bonneval.

W odległości pięćdziesięciu kroków od zajazdu Pasik popędził do samochodu zaparkowanego na poboczu. Brygadier Blériot wyszedł na spotkanie inspektorowi. Adamsberg przyspieszył kroku, licząc, że żandarm zajrzał do szpitala i przynosi wieści.

– Nic się nie da zrobić, nie mogą znaleźć, co to jest – powiedział do Adamsberga, nie witając się, z ciężkim westchnieniem rozkładając krótkie ręce.

– Cholera, Blériot. Co się dzieje?

– Ma stukanie w bokach.

– Stukanie?

– Tak, brak wytrzymałości na wysiłek, zaraz dostaje zadyszki. Ale wszystko normalnie z górki i na płaskim.

– O kim mówicie, Blériot?

– No o samochodzie, panie inspektorze. A zanim prefektura przydzieli nam nowy, dużo wody w rzekach upłynie.

– W porządku, Blériot. Jak poszło przesłuchanie Mortembota?

– On naprawdę nic nie wie. Niedojda – mówił Blériot z odrobiną smutku w głosie, głaszcząc Pasika, który oparł się o niego przednimi łapami. – Bez Glayeux ten facet zupełnie się rozkleił.

– Chce cukier – wyjaśnił Adamsberg.

– Chce głównie zostać w celi. Ten głąb nawymyślał mi, a potem jeszcze rzucił się na mnie w nadziei, że zapuszczujemy go na długo. Nie ze mną te numery.

– Nie zrozumieliśmy się, Blériot – rzekł Adamsberg, ocierając czoło rękawem koszulki. – Powiedziałem tylko, że pies chce cukier.

– Teraz mu się nie należy.

– Wiem, ale byliśmy w lesie, odwiedził swoją dziewczynę i teraz chce cukier.

– To musi pan mu dać, bo majstrowałem przy silniku, a jak mi ręce śmierdzą benzyną, nie ma siły, nic z nich nie weźmie.

– Nie mam cukru – cierpliwie tłumaczył Adamsberg.

Blériot bez słowa rozchylił kieszonkę koszuli pełną kostek cukru zawiniętych w papier.

– Proszę się częstować – powiedział.

Adamsberg wziął jeden kawałek, rozpakował i dał Pasikowi. Wreszcie jedną sprawę udało się załatwić. Drobna.

– Zawsze targacie przy sobie tyle cukru?

– Bo co? – mruknął Blériot.

Adamsberg wyczuł, że zadał pytanie zbyt bezpośrednie i osobiste, dotyczące czegoś, czego Blériot nie chciał wyjaśniać. Może gruby brygadier cierpi na hipoglikemię, gwałtowny spadek poziomu cukru sprawiający, że nogi robią się jak z waty, występują zlewne poty, człowiek robi się jak niedojda bliska zemdlenia? Albo dogadza koniom. Albo swoim wrogom wrzuca kostki cukru do paliwa. Albo zamacza je w kieliszku porannego calvadosa, tyle rzeczy można robić z cukrem.

– Możecie mnie podrzucić do szpitala, brygadierze? Muszę się zobaczyć z lekarzem, zanim wyjedzie.

– Zdaje się, że wyłowił Léo jak karpia ze stawu – powiedział Blériot, wpuszczając Pasika na tylne siedzenie i sadowiąc się za kierownicą. – Kiedyś w taki dzień jak ten wyciągnąłem pstrąga z Tou-ques. Normalnie gołą ręką. Musiał się zdrzemnąć przy jakimś kamieniu czy

coś. Nie miałem serca go zjeść, nie wiem czemu, wypuściłem go do wody.

– Co robimy z Mortembotem?

– Niedojda woli zostać na posterunku na noc. Ma prawo do jutra do czternastej. Potem nie wiem, słowo daję. Teraz pewnie żałuje, że zabił matkę. Z nią byłby bezpieczny, to nie była kobieta, której dało się wciskać kit. Poza tym gdyby siedział spokojnie, Hellequin nie wypuściłby na niego swojego hufca.

– Wierzycie w hufiec, Blériot?

– Gdzie tam – wymamrotał brygadier. – Powtarzam, co ludzie mówią, i tyle.

– Często nastolatki chodzą w nocy na chemin de Bonneval?

– Tak. Smarkate głupki, które nie potrafią się wykręcić.

– Kogo słuchają?

– Trochę starszych głupków. Tutaj to norma. Musisz spędzić noc na chemin de Bonneval albo nie masz jaj. Proste. Ja miałem piętnaście lat, jak to zrobiłem. I powiem panu jedno: w tym wieku to nie przelewki. A nie wolno rozpalić ognia, tego zakazują reguły tych kretynów.

– Znamy tegorocznych kozaków?

– Nie znamy. Ani tegorocznych, ani z innych lat. Nikt się tym później nie chwali. Bo rano na skraju lasu czekają na ciebie chłopaki i widzą, że narobiłeś w gacie. Albo i gorzej. Dlatego każdy trzyma buzię na kłódkę. To działa jak sekta, panie inspektorze, w tajemnicy.

– Dziewczyny też muszą to robić?

– Mówiąc między nami, panie inspektorze, dziewczyny są tysiąc razy mądrzejsze od chłopaków, jeśli chodzi o te rzeczy. One nie będą sobie tworzyły kłopotów na darmo. Nie, jasne, że one tam nie chodzą.

Doktor Hellebaud kończył skromny posiłek w sali, którą oddano mu do dyspozycji. Prowadził niezobowiązującą rozmowę z dwiema pielęgniarkami i doktorem Anchois, podbitym, przychylnym.

– Jak widzisz, przyjacielu – powiedział, witając się z Adamsbergiem – dojadam podwieczorkokolację przed wyjazdem.

– Jak ona się ma?

– Przeprowadziłem drugi seans weryfikujący, wszystko pozostało na miejscu, jestem zadowolony. Jeśli nie popełniłem jakiegoś błędu, całość znów spokojnie zacznie działać, z każdym dniem będzie lepiej. Efekty będą widoczne zwłaszcza w ciągu czterech pierwszych dni, później pacjentka wejdzie w fazę konsolidacji. Ale uwaga, Adamsberg, zapamiętaj: żadnych gliniarskich pytań w stylu: co pani widziała, kto był, co się stało. Ona jeszcze nie jest w stanie zmierzyć się z tym wspomnieniem, a zmuszanie jej zniweczyłoby wszystkie nasze starania.

– Osobiście tego dopilnuję, doktorze – zapewnił usłużnie Anchois. – Jej pokój będzie zamknięty na klucz i nikt do niego nie wejdzie bez mojego pozwolenia. I nikt nie będzie z nią rozmawiał beze mnie.

– W pełni liczę na pana, kolego. Adamsberg, jeśli uda ci się załatwić mi kolejną przejazdzkę, powinienem obejrzyć pacjentkę za dwa tygodnie. Było mi naprawdę bardzo miło.

– A ja naprawdę bardzo ci dziękuję, Hellebaud.

– Ależ, przyjacielu, to mój zawód. A właśnie, co z tą kulą elektryczności? Zajmiemy się nią? René – zwrócił się do szefa strażników – mamy jeszcze pięć minut? Z inspektorem nie potrzebuję więcej. On jest nienormalnie asymptotyczny.

– Załatwione – odparł René, spoglądając na zegar. – Ale musimy wyjechać nie później jak o osiemnastej.

– Aż tyle czasu nie potrzebuję.

Lekarz się uśmiechnął, osuszył usta papierową serwetką i wyszedł z Adamsbergiem na korytarz, a za nimi dwaj strażnicy.

– Nie musisz się kłaskać. Usiądź tu na krześle, to wystarczy. Ściągnij tylko buty. Gdzie się pojawia ta osławiona kula? Na karku? – Lekarz przez kilka chwil pracował nad głową, szyją i stopami inspektora, zatrzymał się także przy jego oczach i kościach policzkowych. – Nadal jesteś taki dziwny, przyjacielu – powiedział wreszcie, dając mu znak, że może włożyć buty. – Wystarczyłoby przeciąć tu i ówdzie nieliczne więzy ziemskie, żebyś uleciał między chmury, nie mając nawet ideałów. Jak balon. Uważaj, Adamsberg, już ci to mówiłem. Rzeczywiste życie to kupa gówna, podłości i mierności, w czym jesteśmy zgodni. Ale musimy dreptać po tym padole, przyjacielu. Musimy. Na szczęście ty jesteś dość proste zwierzę, a część siebie masz wbitą w ziemię jak kopyto byka, który ugrzązł w błocie. To twoja szansa. Wzmocniłem ją przy okazji na łusce potylicznej i na kości jarzmowej.

– A kula?

– Kula fizjologicznie brała się ze strefy ściśniętej między kręgami C1, który był unieruchomiony, i C2. Somatycznie powstała w wyniku wstrząsu z powodu poczucia winy.

– Nie przypominam sobie, żebym kiedykolwiek miał poczucie winy.

– Szczęściarz i wyjątek. Ale nie bez skazy. Powiedziałbym... a wiesz, z jak bliska śledziłem to odkrycie... powiedziałbym, że wtargnięcie w twoje życie syna, o którym nie wiedziałeś, w dodatku rozchwianego przez nieobecność ojca, a nawet osłabionego twoim brakiem uwagi, jak mogłeś sądzić, to wszystko wygenerowało potężne poczucie winy. Stąd taka reakcja w rejonie kręgów szyjnych. Muszę cię pożegnać, przyjacielu. Może zobaczymy się znowu za dwa tygodnie, jeśli sędzia podpisze kolejną zgodę. Wiedziałeś, że stary sędzia Varnier jest totalnie skorumpowany, zepsuty do szpiku kości?

– Tak, dzięki temu jesteś tutaj.

– Powodzenia, przyjacielu – rzekł lekarz, ściskając mu dłoń. – Miło by było, gdybyś

odwiedził mnie czasem we Fleury.

Powiedział „Fleury”, jakby podawał nazwę swego domu na wsi, jakby zwyczajnie go zapraszał na miłe popołudnie w swoim wiejskim salonie. Kiedy odchodził, Adamsberg patrzył za nim z szacunkiem, który wzruszył go lekko – rzadkość u niego, niewątpliwie bezpośredni skutek zaserwowanej mu właśnie terapii.

Zanim doktor Anchois zamknął drzwi na klucz, Adamsberg po cichu wszedł do pokoju Léo, dotknął jej ciepłych policzków, pogłaskał ją po włosach. Korciło go – choć zaraz pokusę odrzucił – aby powiedzieć jej o papierkach po cukrze.

– Hello, Léo, to ja. Pasik odwiedził swoją dziewczynę w gospodarstwie. Jest zadowolony.



## XXXII

W holu dość ponurego hotelu położonego na peryferiach Grenady Zerk i Mo wyłączyli wiekowy komputer, z którego skorzystali, i z rozmysłu nonszalanckim krokiem skierowali się do schodów. Człowiek nigdy nie myśli, jak idzie, chyba że czuje się obserwowany przez policję albo przez ukochaną. I nic wtedy nie jest trudniejsze niż naśladowanie utraconej naturalności. Zerk i Mo postanowili nie korzystać z windy, w której jadący siłą rzeczy mają więcej czasu, aby się sobie nawzajem przyglądać.

– No nie wiem, czy to był taki dobry pomysł, żeby grzebać w internecie – powiedział, zamykając drzwi pokoju.

– Wyluzuj, Mo. Najbardziej rzuca się w oczy spięty facet. Przynajmniej zdobyliśmy informacje.

– Ale dzwonienie do tej knajpy w Ordebecu to zły pomysł. Jak na nią mówisz?

– Pod Biegnącym Dzikim. Nie, nie będziemy dzwonili. To tylko zabezpieczenie na wszelki wypadek. Ale wiemy, jak się nazywa ten pieprzony sklep z diabolo: Na Lince. Bez problemu dotrzemy do nazwiska gościa, który prowadzi sklep, i dowiemy się, czy ma dzieci. Raczej chłopaka, jakieś dwanaście do szesnastu lat.

– Chłopaka – potwierdził Mo. – Dziewczynie nie wpadłoby do głowy, żeby związać gołębiowi łapy i skazać go na cierpienie.

– Ani żeby podkładać ogień pod furę.

Mo usiadł na swoim łóżku, wyciągnął nogi, starał się oddychać powoli. Odnosił wrażenie, że drugie serce cały czas bije mu w żołądku. W tamtym domu z krowami Adamsberg mu wytłumaczył, że na pewno chodzi o kulki elektryczności, które lokują się tu czy tam. Mo położył teraz dłoń na brzuchu, próbując, czy uda się je rozetrzeć, i kartkował francuską gazetę z poprzedniego dnia.

– Ale dziewczynie może wpaść do głowy – dodał Zerk – żeby ze śmiechem patrzeć na chłopaka, który wiązuje gołębia albo podkłada ogień pod furę.

– A co? Myślisz, że to się robi, żeby rwać laski?

– Nie. Żeby robić wrażenie na chłopakach. A jak chłopaków ma się owiniętych wokół palca, jest wolny teren dla lasek. Coś nowego w Ordebecu?

– Nic. Tak sobie myślę, że twój stary ma co innego do roboty, niż szukać chłopaka ze sklepu z diabolo.

– Nie sądzę. Moim zdaniem gość, który torturował gołębia, gość, który zabił w Ordebecu, gość, który spalił Clermonta-Brasseur... oni wszyscy chodzą mu kupą po głowie bez różnicy.

– Zdawało mi się, że go nie znasz.

– Tak, ale zaczynam mieć wrażenie, że jestem do niego podobny. Jutro, Mo, trzeba wyjść z pokoju za dziesięć dziewiąta. I potem też codziennie. Musi wyglądać tak, jakbyśmy mieli stałą pracę. Jeśli w ogóle jutro jeszcze tu będziemy.

– Ha, też to zauważyłeś? – zapytał Mo, masując sobie brzuch.

– Faceta, który na dole gapił się na nas?

– No.

– Trochę długo się patrzył, nie?

– No. Z czym ci się to kojarzy?

– Z gliną, Mo.

Zerk otworzył okno, żeby wydmuchiwać dym na zewnątrz. Z pokoju miał widok na podwórko, instalacje z grubych rur, suszącą się pościel i blaszane dachy. Wyrzucił niedopałek za okno, patrzył, jak ląduje na ziemi w cieniu.

– Lepiej wynieśmy się stąd od razu – powiedział.

## XXXIII

Émeri z dumą otworzył podwójne drzwi swojej jadalni w stylu empire, łaknąc uchwycenia min gości. Adamsberg wydał się zaskoczony, lecz obojętny – nieokrzesany, wywnioskował Émeri – za to zdziwienie Veyrenca i pełne podziwu komentarze Danglarda zaspokoili jego żądę pochwał na tyle, że rozwiały się w nim resztki urazy z powodu wcześniejszego spięcia. A Danglard, owszem, doceniał jakość sprzętów, lecz nie spodobała mu się przesada w tej drobiazgowej rekonstrukcji.

– Wspaniała jadalnia, kapitanie – rzekł z uznaniem, biorąc kieliszek z aperitifem, albowiem Danglard potrafił się zachować o wiele bardziej elegancko niż dwaj Bearneńczycy.

I dlatego też komendant Danglard niemal przez całą kolację prowadził rozmowę z ową szczerą żywością, którą doskonale potrafił udawać, za co Adamsberg zawsze był mu wdzięczny. Zwłaszcza że jakość wina, które podawano w zabytkowych karafkach ozdobionych herbem diuka d'Eckmühl, była wystarczająco dobra, aby zapobiec ewentualnemu późniejszemu lękowi komendanta przed niedopiciem. Zachęcony przez Danglarda, który brylował zarówno znajomością dziejów hrabstwa Ordebec, jak i bitew marszałka Davouta, Émeri pił dość ostro i stawał się coraz bardziej otwarty, często poufały, a nawet sentymentalny. Adamsbergowi się zdawało, że marszałkowska poza i sposób bycia, jakie Davout narzucał potomkowi, opadają z niego coraz niżej, aż legły na podłodze.

Równocześnie na obliczu Danglarda widniało coś nowego. Adamsberg wystarczająco dobrze znał kolegę, by wiedzieć, że ta odrobina wewnętrznego zadowolenia nie jest zwyczajnym skutkiem rozluźnienia pod wpływem alkoholu. Była to nutka figlarności, jakby komendant szykował jakiegoś psikusa, którego zamierzał utrzymać w tajemnicy. I to psikusa, pomyślał Adamsberg, wymierzonego na przykład w komisarza Veyrenca, wobec którego choć raz był miły, co stanowiło potencjalnie groźny sygnał. Psikusa pozwalającego mu uśmiechać się teraz do tego, kogo później okpi.

Dramat w Ordebecu, odsunięty, wyrzucony poza cesarskie wnętrza na czas posiłku, wrócił w końcu w porze calvadosu.

– Co zrobisz z Mortembotem, Émeri? – zapytał Adamsberg.

– Jeśli twoi ludzie nas wesprą, moglibyśmy w sześciu czy w siedmiu pilnować go przez tydzień. Miałbyś kogo ściągnąć?

– Jest u mnie jedna komisarz warta dziesięciu ludzi, ale teraz zanurkowała głęboko. Mogę dać jednego albo dwóch normalnych funkcjonariuszy.

– Twój syn nie mógłby nam pomóc?

– Nie narażam syna, Émeri. On nie ma do tego przygotowania i nie umie strzelać. Poza tym wyjechał.

– O... Myślałem, że robi reportaż o zgniłych liściach.

– Bo robi. Ale zadzwoniła do niego dziewczyna z Włoch i pojechał. Wiesz, jak to jest.

– Ano wiem – rzekł Émeri, opadając na oparcie na tyle, na ile prosty fotel w stylu empire pozwalał. – Ja po wielu pospolitych miłośkach znalazłem żonę tutaj. Przeprowadziła się ze mną do Lyonu, ale tam się zaczęła nudzić, a ja jeszcze ją kochałem. Pomyślałem, że będzie zadowolona, jeśli przeniosą mnie do Ordebecu. Wróci w rodzinne strony, do starych znajomych... Dlatego stawałem na głowie, żeby to załatwić. A tu nie, ona została w Lyonie i nie było takiej siły, która by ją przekonała. Przez pierwsze dwa lata w Ordebecu nic porządnie nie zrobiłem. Później bez przyjemności latałem po burdelach w Lisieux. Odwrotnie niż mój przodek, przyjaciele, jeśli wolno mi tak was nazywać. Każdą wydawaną bitwę przegrywałem, nie licząc drobnych zatrzymań, z którymi pierwszy lepszy głupek by sobie poradził.

– Nie wiem, czy wygrywanie albo przegrywanie to właściwe określenia przy osądzeniu życia – mruknął Veyrenc. – Znaczy, w ogóle nie uważam, żeby należało osądzać swoje życie. Człowiek jest do tego ciągle zmuszany, a to czysta zbrodnia.

– Gorzej niż zbrodnia, to błąd – mechanicznie potwierdził Danglard, cytując odpowiedź, której rzekomo Fouché udzielił cesarzowi.

– Dobrze – ożywił się Émeri, lekko chwiejnie wstając, aby nalać drugą kolejkę calvadosu.

– Siekiera się znalazła – oznajmił, nie zapowiadając zmiany tematu. – Wyrzucono ją za murek, który otacza dom Glayeux, spadła na pole niżej.

– Gdyby mordercą był ktoś z Vendermotów – odezwał się Adamsberg – naprawdę sądzisz, że użyłby domowego narzędzia? A gdyby już użył, to czy nie prościej byłoby zabrać je z powrotem do domu?

– To działa w obie strony, Adamsberg, już ci mówiłem. Uniewinnia ich, więc jest bardzo sprytne.

– Dla nich nie dość sprytne.

– Lubisz ich, hę?

– Nic na nich nie mam. Nic dość poważnego.

– Ale ich lubisz.

Émeri wyszedł i po kilku chwilach wrócił ze starym zdjęciem klasowym, które położył Adamsbergowi na kolanach.

– Popatrz, tu wszyscy mamy po osiem do dziesięciu lat. Hippo jest już bardzo wysoki, stoi z tyłu, trzeci od lewej. Ma jeszcze po sześć palców u rąk. Znasz tę straszną historię?

– Tak.

– Ja stoję w pierwszym rzędzie, jedyny, który się nie uśmiecha. Widzisz więc, że znam go nie od dzisiaj. I mogę ci powiedzieć: Hippo to był postrach szkoły. Żaden tam grzeczny

chłopczyk, na jakiego teraz pozuje. Omijaliśmy go z daleka. Nawet ja, chociaż byłem dwa lata starszy.

– Lał dzieci?

– Nie musiał. Miał inną potężną broń. Jako sześciopalczyk mówił, że jest wojownikiem diabła i może sprawić, że spadną na nas wszystkie nieszczęścia, jakie tylko mu się zamarzą, jeżeli będziemy mu dokuczali.

– A dokuczaliście?

– Z początku tak. Sam rozumiesz, jak mogą zareagować chłopaki z podwórka na kolegę z sześcioma palcami. Kiedy miał pięć, sześć lat, dzieci strasznie go gnębiły, nabijały się z niego bez litości. Naprawdę. Jedna banda, której przewodził Régis Vernet, była dla niego szczególnie okrutna. Kiedyś Régis powbił gwoździe w krzesło Hippa, tak że ostre końce wystawały z siedziska, i Hippo nadział się na nie. Z pośladków leciała mu krew, z sześciu dziur, wszyscy na podwórku naśmiewali się z niego. Kiedy indziej chłopacy przywiązali go do drzewa i wszyscy obsikali. Aż pewnego dnia Hippo się ocknął.

– Swoje sześć palców wykorzystał przeciwko wam.

– Właśnie. Jego pierwszą ofiarą był ten padalec Régis. Hippo mu zagroził, potem z bardzo poważną miną wyciągnął do niego obie ręce. I wierz mi albo nie, ale pięć dni później małego Régisa potracił samochód jakiegoś paryżanina, tak że chłopak stracił obie nogi. Potworne. Ale w szkole wiedzieliśmy dobrze, że to nie wina samochodu, tylko urok, który Hippo rzucił na niego. A Hippo wcale się tego nie wypierał, przeciwnie. Opowiadał, że pierwszego, który mu dokuczy, pozbawi rąk, nóg, a nawet jaj. Wtedy wszystko się odwróciło i odtąd my żyliśmy w strachu. Później Hippo skończył z tymi dziecinadami. Zapewniam cię jednak, i wierz mi albo nie, że do dzisiaj nikt nie szuka z nim zaczepki. Ani z nim, ani z nikim z jego rodziny.

– Można pogadać z tym Régisem.

– Nie żyje. Niczego nie zmyślam, Adamsberg. Spadało na niego nieszczęście za nieszczęściem. Choroby, zwolnienia z pracy, pogrzeby. I bieda. Trzy lata temu utopił się w Toques. Miał trzydzieści sześć lat. Wszyscy, którzy chodzili z nim do szkoły, wiedzieli, że to zemsta Hippa, bo on mu nigdy nie odpuścił. Hippo powiedział to na głos. Że kiedy zdecyduje się pokazać kogoś palcami, ten ktoś ma przesrane całe życie.

– A co myślisz o tym dzisiaj?

– Na szczęście wyjechałem stąd jako jedenastolatek i mogłem o wszystkim zapomnieć. Jeżeli pytasz Émeriego gliniarza, to odpowie ci, że te historie z urokami to bzdura. Jeżeli pytasz Émeriego dzieciaka, to zdarza mi się myśleć, że Régis był potępiony. Powiedzmy, że mały Hippo bronił się, jak mógł. Uważano go za wysłannika szatana, za kalekiego wyrzutka piekła, więc w końcu zaczął się bawić w diabła. Ale bawił się na spektakularnym poziomie, nawet kiedy stracił dodatkowe palce. Niemniej muszę przyznać, że nawet jeśli facet nie jest wysłannikiem diabła, to twardy z niego zawodnik, może wręcz niebezpieczny. Przez ojca

wycierpiał się tyle, że głowa mała. Ale jak poszczuł na niego psa, był to morderczy atak w czystej formie. Nie ręczyłbym, że mu to przeszło. No i powiedz, jak dzieciaki Vendermotów miałyby się przeobrazić w aniołki po tym, co przeszły?

– Antonina wrzucasz do tego samego worka?

– Tak. Nie wierzę, żeby w człowieku, który jako niemowlę został połamany na kawałki, wykształcił się spokojny charakter. Jak przypuszczam, Antonin za bardzo się boi połamania, by działać osobiście. Mógłby jednak nacisnąć na spust. Albo nawet podnieść siekiere, nie wiem.

– On mówi, że nie.

– Ale ślepo by wspierał wszelkie działania brata. Można pomyśleć, że jego dzisiejsza wizyta w sprawie siekiery odbyła się na zlecenie brata. To samo, jeśli chodzi o Martina, który żywi się jak dzikie zwierzę i naśladuje starszego brata we wszystkim.

– Pozostaje Lina.

– Która widzi Dziki Hufiec Hellequina i ma tak samo nierówno pod sufitem jak jej bracia. Albo udaje, że widzi hufiec, Adamsberg. Ważne, żeby wskazać przyszłe ofiary, nastraszyć innych, tak jak zrobił Hippo z palcami. Później Hippo załatwia te ofiary, a cała rodzina dostarcza mu każde potrzebne alibi. I już, rządzą strachem w Ordebecu, przeobrażają się w mścicieli, zwłaszcza że ofiary to poza wszystkim autentyczni szubrawcy. Sądzę jednak, że Lina faktycznie doznała wizji. I od niej wszystko się zaczęło. Bracia zrozumieli wizję dosłownie i postanowili ją zrealizować. Oni w nią wierzą. Bo pierwszą wizję Lina miała mniej więcej w czasie, kiedy umarł ich ojciec. Ciut wcześniej albo ciut później, już nie pamiętam.

– Dwa dni później. Powiedziała mi.

– Chętnie o tym opowiada. Zauważyłeś, jak spokojnie?

– Tak – przyznał Adamsberg, wspominając dłoń Liny kantem opadającą na stół. – A czemu Lina miałaby utrzymać w sekrecie nazwisko ostatniej ofiary?

– Albo rzeczywiście nie widziała jej wyraźnie, albo zachowali to dla siebie, żeby nastraszyć ludność. Mają do tego talent. Potworność tej groźby wywabia wszystkie szczury z nor. To ich bawi, uszczęśliwia, uważają, że tak jest sprawiedliwie. Tak jak sprawiedliwa była śmierć ich ojca.

– Prawdopodobnie masz słusność, Émeri. Chyba że ktoś wykorzystuje ewidentną winę Vendermotów, żeby popełniać zbrodnie. Zabija spokojnie, bo ma pewność, że oskarżona zostanie ta diaboliczna rodzina.

– A jaki byłby motyw?

– Strach przed Dzikim Hufcem. Sam powiedziałeś, że w Ordebecu wielu w nią wierzy, a niektórzy tak mocno, że nie śmia nawet o niej mówić. Pomyśl o tym, Émeri. Moglibyśmy sporządzić listę takich ludzi.

– Za dużo ich jest – odparł Émeri, kręcąc głową.

Adamsberg milczał w drodze powrotnej, podążając za Veyrenkiem i Danglardem, którzy szli spokojnym krokiem. Ostatecznie chmury na zachodzie nie przyniosły deszczu i noc była za ciepła. Danglard od czasu do czasu odzywał się do Veyrenca, co wydawało się tak samo zaskakujące jak ta tajemnicza kpiąca mina, która nie schodziła mu z twarzy.

Oskarżenia Émeriego rzucone na Vendermotów zmartwiły Adamsberga. I poparte szczegółami z dzieciństwa Hippolyte'a, które poznał, były całkiem wiarygodne. Trudno było sobie wyobrazić, jakim cudem – za sprawą jakich zalet umysłu bądź uprzejmości w zachowaniu – mogłyby ujść przed gniewem, przed zemstą. Jednakże ziarno piasku zgrzytało w trybach jego rozproszonych myśli. Mianowicie stara Léo. W nikim z Vendermotów nie widział człowieka zdolnego ją pobić. No chyba że wynikłaby konieczność ratowania własnego życia, jeśli Léo podejrzewała kogoś z nich. Ale nawet w takim wypadku Adamsberg przypuszczał, że taki Hippo na przykład użyłby nie tak okrutnego sposobu, by pozbyć się staruszki, która pomagała mu przez całe dzieciństwo.

Zanim wrócił do swojego pokoju, zaszedł do piwnicy i schował papierki od cukru i zdjęcia w starej beczce na cydr. Następnie przesłał wiadomość na komendę, aby przed czternastą następnego dnia jeszcze dwaj ludzie dołączyli do niego w Ordebecu. Estalère i Justin będą pasowali jak ulał, obaj bowiem niezbyt byli wrażliwi na przytłaczającą nudę nadzoru, pierwszy z racji swojego „dobrego charakteru” – jak mawiali niektórzy, aby nie powiedzieć „kretynizmu” – drugi dlatego, że cierpliwość była jednym z filarów jego perfekcjonizmu. Dom Mortembota nie będzie trudno chronić. Dwa okna od frontu i trzy z tyłu, wszystkie zaopatrzone w okiennice. Jedynie w okienku toalety w bocznej ścianie brakowało okiennicy, była za to żelazna sztaba. Morderca musiałby jednak podejść bardzo blisko, aby zbić szybę i strzelić przez wąski otwór, co byłoby niemożliwe przy dwóch ludziach krążących wokół domu. A jeśli dochowa tradycji mordów pana Hellequina, nie powinien wybrać broni palnej. Topór, miecz, lanca, maczuga, kamień, uduszenie, wszystkie te średniowieczne sposoby są do zastosowania we wnętrzu. Jeden Herbier zginął od kuli z obrzyna, co nie pasowało do reszty.

Adamsberg zamknął drzwi piwnicy i przeszedł przez rozległe podwórze. Światła w zajezdzie były już pogaszone, Veyrenc i Danglard spali. Pięściami jeszcze powiększył zagłębienie pośrodku wełnianego materaca i wygodnie się w nim umościł.

## XXXIV

Zerk i Mo przez wyjście awaryjne dostali się na schody hotelu i stamtąd na ulicę, nie spotkawszy nikogo.

– Gdzie teraz? – zapytał Mo, wsiadając do auta.

– Poszukamy jakiejś wioski na południu, o rzut beretem od Afryki. Z kupą statków i marynarzy gotowych się dogadać i przewieźć nas na drugą stronę.

– Chcesz płynąć do Afryki?

– Się zobaczy.

– Kuźwa, Zerk, widziałem, coś schował do torby.

– Mówisz o gnacie?

– No – potwierdził Mo z niezadowoleniem.

– Na postoju w Pirenejach byliśmy o kilometr od mojej wsi. Ty spałeś, a ja skoczyłem po broń dziadka. Obróciłem w dwadzieścia minut.

– Odwaliło ci chyba. Po cholere ci rewolwer?

– Pistolet. Automat, 1935A, kaliber siedem i pół milimetra. Pochodzi z tysiąc dziewięćset czterdziestego, ale działa, możesz mi wierzyć.

– A amunicja? Masz amunicję?

– Całe pudełko.

– Po diabła?

– Bo umiem strzelać.

– Cholera, nie masz chyba zamiaru strzelać do glin?

– Nie, co ty? Ale jakoś musimy się przedostać, nie?

– Myślałem, że spokojny z ciebie gość. Nie szurnięty.

– Jestem spokojny gość lekko szurnięty. Mój stary wyciągnął cię z pierdła, teraz my musimy załatwić resztę.

– Od razu przeprawiamy się do Afryki?

– Najpierw trzeba się dogadać z jakimś statkiem. Jak cię złapią, Mo, mój stary będzie umoczony. Chociaż go nie znam, bardzo mi się to nie podoba.



## XXXV

Veyrenc nie spał. Na stojąco pilnował okna. Danglard przez cały wieczór miał szczególną minę, Danglard antycypował jakąś przyjemność, zwycięstwo, Danglard coś knuł. Coś profesjonalnego, uznał Veyrenc, bo komendant nie należał do ludzi, którzy odwiedzają burdele w Lisieux wspomniane przez Émeriego. Albo bez skrępowania zapowiedziałaby, że to zrobi. Uprzejmość, z jaką się do niego odnosił, tłumiąc swą dziecięcą zazdrość, ostatecznie postawiła Veyrencia w stan gotowości. Przypuszczał, że Danglard dopina właśnie jakiś znaczący postęp w śledztwie i nie piśnie o tym ani słówka, aby go wyrolować i zapewnić sobie przewagę w oczach Adamsberga. Jutro z dumą przyniesie swą daninę inspektorowi. I z tym Veyrenc nic nie mógł zrobić. Nie złościł go też plan, który chodził po zwykle poukładanej głowie komendanta. Tyle że w śledztwie, w którym trup pada gęsto, nie idzie się w pojedynkę.

O wpół do drugiej nad ranem Danglard nadal się nie pojawił. Zawiedziony Veyrenc położył się na łóżku w ubraniu.

Danglard nastawił budzik na piątą pięćdziesiąt i szybko zasnął, co rzadko mu się zdarzało – jedynie kiedy podniecenie jakimś przyszłym działaniem nakazywało mu spać szybko i dobrze. O szóstej dwadzieścia pięć usiadł za kierownicą, zwolnił hamulec ręczny i pozwolił wolno potoczyć się samochodowi po spadzistej dróżce, aby nikogo nie obudzić. Silnik uruchomił dopiero na drodze gminnej i niespiesznie przejechał dwadzieścia dwa kilometry z opuszczoną osłoną przeciwsłoneczną. Jego korespondent, mężczyzna albo kobieta, prosił, aby przybył niepostrzeżenie. To, że ów korespondent błędnie wziął go za inspektora, należało uznać za szczęśliwy traf. Poprzedniego dnia w kieszeni marynarki znalazł bowiem kartkę napisaną ołówkiem lewą ręką albo przez kogoś, kto nieczęsto posługuje się słowem pisanym.

Inspektorze, Mam coś do powiedzenia o Glayeux ale pot warunkiem że się nie wyda. Za bardzo niebezpieczne. Spodkanie na stacji w Cérenay, peron A, punktualnie o 6.50. DZIĘKI. Niech pan bendzie – to słowo kilkakrotnie przekreślono i napisano na nowo – bardzo dyskretny, a zwłaszcza niech pan się nie spuźni.

Wspominając, co robił poprzedniego dnia, Danglard doszedł do przekonania, że autor liściku mógł wsunąć mu kartkę do kieszeni tylko przed domem Glayeux, kiedy komendant wmieszał się w tłumek gapiów. Wcześniej, w szpitalu, na pewno jej nie miał.

Danglard zaparkował pod rzędem drzew i poszedł na peron A, dyskretnie okrążając niewielki dworzec. Budynek stał na uboczu, z dala od domów mieszkalnych, był zamknięty i pusty. Nikogo nie było także na peronach. Danglard przeczytał rozkład jazdy i stwierdził, że żaden pociąg nie staje w Cérenay przed godziną jedenastą dwanaście. Nie było zatem ryzyka, że ktokolwiek znajdzie się tutaj wcześniej niż za cztery godziny. Korespondent wybrał jedno z nielicznych miejsc, gdzie samotność była zagwarantowana.

Zegar dworcowy wskazywał szóstą czterdzieści osiem, kiedy Danglard usiadł na ławce na peronie, zgarbiony jak zwykle, niecierpliw i trochę zmęczony. Przespał zaledwie kilka godzin, a poniżej dziewięciu godzin snu energię miał w strzępach. Jednakże stymulująca myśl, że zapędzi Veyrenca w kozi róg, przywoływała mu na twarz nowy uśmiech i poczucie rozkwitu. Od ponad dwudziestu lat pracował z Adamsbergiem i dosłownie się jeżył na spontaniczne porozumienie, które nagle połączyło inspektora i komisarza Veyrenca. Danglard był zbyt lotny, aby się karmić złudzeniami, i wiedział, że jego awersja to po prostu kwestia zwykłej haniebnej zazdrości. Nie miał nawet pewności, czy Veyrenc pragnie zająć jego miejsce, lecz nieodparta była pokusa, żeby wyjść o krok przed Veyrenca. Danglard podniósł głowę, przełknął ślinę, odsuwając od siebie poczucie niegodziwości. Adamsberg w żadnym razie nie był dla niego wzorem do naśladowania. Przeciwnie, maniery i sposób myślenia tego człowieka zwykle działały mu na nerwy. Tyle że uznanie, a nawet uczucie inspektora były mu niezbędne, jakby ten zmienny człowiek mógł go chronić albo uzasadniać jego istnienie.

O szóstej pięćdziesiąt jeden poczuł dotkliwy ból w karku, podniósł rękę i zwałił się na peron. Minutę później ciało komendanta leżało w poprzek torów.

Widoczność z peronu była tak dobra, że Veyrenc znalazł punkt obserwacyjny dopiero dwieście metrów od Danglarda, pod osłoną stacji rozrządu. Kąt widzenia nie był dobry, toteż tamtego człowieka spostrzegł, dopiero gdy był w odległości dwóch metrów od komendanta. Uderzenie kantem dłoni w tętnicę szyjną i osunięcie się Danglarda zajęły ledwie kilka sekund. Kiedy mężczyzna zaczął turlać ciało do skraju peronu, Veyrenc już biegł. Był oddalony jeszcze o jakieś czterdzieści metrów, gdy Danglard spadł na tory. A sprawca już uciekał krokiem ciężkim, lecz skutecznie.

Veyrenc zeskoczył na tory, chwycił głowę Danglarda, twarz wydała mu biała jak kreda w porannym świetle. Komendant usta miał otwarte, wiotkie, oczy zamknięte. Veyrenc znalazł puls, podniósł mu powieki, zobaczył pusty wzrok. Danglard był nieprzytomny, potraktowany jakimś narkotykiem albo umierający. Z boku szyi już tworzył się rozległy krwiak wokół wyraźnego śladu po ukłuciu. Komisarz próbował go dźwignąć, ująwszy pod pachy, lecz wyglądało na to, że nie poradzi sobie z bezwładnym ciałem ważącym dobre dziewięćdziesiąt pięć kilo. Potrzebował pomocy. Już zlany potem wstawał, by zadzwonić do

Adamsberga, gdy usłyszał charakterystyczny sygnał pociągu nadjeżdżającego z dużą prędkością. Przerażony patrzył, jak z lewej po prostym odcinku gna ku niemu potężna hałaśliwa masa elektrowozu. Veyrenc przypadł do Danglarda i wyęzając siły, ułożył go między szynami, ramiona wzdłuż boków. Pociąg wydał z siebie potężny ryk, jakby krzyk rozpacz, komisarz jednym podrzutem wspiął się na peron i przetoczył po nim. Wagony z hukiem przetoczyły się obok, po czym łoskot się oddalił, a on nie był w stanie się poruszyć – czy to dlatego, że ogromny wysiłek pozbawił go siły w członkach, czy też dlatego, że nie mógł się odważyć spojrzeć na Danglarda. Na twarzy ukrytej w zgięciu łokcia poczuł wilgoć łez. W pustej głowie kołatała mu się jedna jedyna informacja. „Przeźren między wierzchem ciała a spodem pociągu to zaledwie dwadzieścia centymetrów”.

Pewnie dobre piętnaście minut później komisarz w końcu dźwignął się na łokciach i przysunął do torów. Rękami podtrzymując sobie głowę, otworzył naraz oczy. Danglard wyglądał na nieboszczyka starannie ułożonego między błyszczącymi szynami, które tworzyły jakby obramowanie luksusowych noszy – ale był nietknięty. Veyrenc z ulgą opuścił głowę na przedramię, wyjął komórkę i zadzwonił do Adamsberga. Natychmiast przyjeżdżaj na stację w Cérenay. Potem wyjął rewolwer, odbezpieczył i dobrze ułożył w dłoni z palcem na spuście. Zamknął znów oczy. „Przeźren między wierzchem ciała a spodem pociągu to zaledwie dwadzieścia centymetrów”. Przypomniała mu się teraz historia sprzed roku na torach ekspresu Paryż-Quimper. Facet był taki pijany i bezwładny, kiedy pociąg przejechał nad nim, że absolutny brak reakcji uratował mu życie. Veyrenc poczuł mrowienie w nogach i zaczął poruszać nimi wolno. Wydawało mu się, że są jak z waty, a równocześnie jakby każda ważyła tyle co granitowy blok. Dwadzieścia centymetrów. Jedyna nadzieja, że zupełny brak mięskulów u Danglarda pozwolił mu tak się rozplaszczyc między szynami, że leżał jak zmięty gałgan.

Kiedy usłyszał tupot nóg za plecami, siedział po turecku na peronie ze wzrokiem utkwionym w Danglardzie, jakby ta bezustanna uwaga mogła powstrzymać przejazd kolejnego pociągu albo ześlizgnięcie się w śmierć. Odzywał się do niego jakimiś niedorzecznymi urywkami zdań w stylu „wytrzymaj”, „nie ruszaj się”, „oddychaj”, lecz w odpowiedzi nie zauważył nawet drgnienia powiek. Ale teraz widział, że przy każdym oddechu wiotkie wargi drżą, toteż niecierpliwie wypatrywał tych delikatnych znaków. Zaczynały mu wracać władze umysłowe. Człowiek, który wyznaczył spotkanie Danglardowi, wymyślił plan bez zarzutu – rzucił go pod ekspres Caen-Paryż w porze, kiedy żaden świadek nie mógł go zaskoczyć. Zwłoki odkryto by dopiero kilka godzin później, kiedy podany Danglardowi środek zdążyłby się rozłożyć. Co by wykazało dochodzenie? Że w ostatnim czasie mocno się wzmogła melancholia Danglarda, że bał się umrzeć w Ordebecu. Że pijany na umór położył

się na torach, by odebrać sobie życie. Dziwny wybór oczywiście, lecz pokrętnych myśli pijanego o skłonnościach samobójczych nie można mierzyć własną miarą – mniej więcej do takich wniosków doszliby śledczy.

Obrócił wzrok na dłoń, która spoczęła na jego ramieniu. Na dłoń Adamsberga.

– Idź do nich szybko – powiedział Veyrenc. – Ja nie mam odwagi.

Émeri i Blériot już ujeli Danglarda pod pachy, Adamsberg zeskoczył na tory, by podnieść jego nogi. Później Blériot nie był w stanie samodzielnie wspiąć się na peron, musieli mu więc pomóc, wciągając go za ręce.

– Doktor Anchois zaraz tu będzie – poinformował Émeri pochylony nad Danglarem. – Moim zdaniem kompletnie naćpany, ale nie ma zagrożenia. Serce bije miarowo, choć powoli. Co tu się stało, komisarzu?

– Jakiś facet... – wyjaśnił Veyrenc słabym jeszcze głosem.

– Nie możesz wstać? – zapytał Adamsberg.

– Chyba nie. Nie masz łyka jakiejś gorzałki czy coś?

– Ja mam – odezwał się Blériot, wyjmując tanią piersiówkę. – Nie ma jeszcze ósmej, może palić.

– Tego mi właśnie trzeba – zapewnił go Veyrenc.

– Śniadanie jadłeś?

– Nie, przez całą noc czuwałem.

Veyrenc pociągnął łyk z grymasem sygnalizującym, że faktycznie trunek pali. Łyknął raz jeszcze i zwrócił piersiówkę Blériotowi.

– Możesz mówić? – spytał Adamsberg, który usiadł po turecku obok niego, między nim a leżącym Danglarem, odnotowując na policzkach Veyrenca jasne smużki zostawione przez łyzy.

– Tak. Przeżyłem szok, to wszystko. Przeliczyłem się z siłami.

– Dlaczego czuwałeś?

– Bo Danglard obmyślał jakiś głupi numer w pojedynkę.

– Też to zauważyłeś?

– Tak. Chciał mnie zakasować i uznałem, że to niebezpieczne. Myślałem, że pójdzie gdzieś wieczorem, ale zebrał się dopiero o wpół do siódmej rano. Wziąłem drugi samochód, śledziłem go z daleka. Dojechaliśmy tutaj – opowiadał Veyrenc, machnięciem ręki wskazując stację. – Jakiś facet powalił go ciosem w szyję, a potem dał mu chyba zastrzyk i zepchnął go na szyny, w poprzek torów. Rzuciłem się biegiem, ale facet też, a kiedy próbowałem zabrać Danglarda, okazało się, że nie dam rady. I przyjechał pociąg.

– Ekspres Caen-Paryż – wtrącił z powagą Émeri. – Przejeżdża o szóstej pięćdziesiąt sześć.

– Tak – przyznał Veyrenc, spuszczaając lekko głowę. – I można powiedzieć, że to naprawdę ekspres.

– Szlag – wycedził Adamsberg przez zęby.

Dlaczego właśnie Veyrenc pilnował Danglarda? Dlaczego nie on? Dlaczego dopuścił, by komisarz przeszedł przez takie piekło? A dlatego, że plan Danglarda wymierzony był w Veyrenca i Adamsberg go zbagatelizował. Męska sprawa.

– Zdążyłem tylko przesunąć Danglarda i ułożyć między szynami, sam nie wiem jak, i wyskoczyć na peron, też nie wiem jak. Cholera, był strasznie ciężki, a peron strasznie wysoki. Owiał mnie wiatr po plecach, kiedy pociąg przejeżdżał. Dwadzieścia centymetrów. Jest dwadzieścia centymetrów między wierzchem ciała, ciała bezwładnego, ciała człowieka pijanego a spodem pociągu.

– Nie wiem, czybym o tym pomyślał – powiedział Blériot, który patrzył na Veyrenca z lekkim oszołomieniem na twarzy. Równocześnie zafascynowany obserwował ciemną czuprynę tego komisarza usianą około piętnastoma kosmykami nienaturalnych rudych włosów, które wyglądały jak maki na czarnym polu.

– A ten facet? – zagadnął Émeri. – Przypominał z wyglądu Hippolyte’a?

– Tak. Był dobrze zbudowany. Ale byłem daleko, a on miał kominiarkę i rękawiczki.

– A poza tym jak był ubrany?

– W tenisówki i bluzę. Granatową albo ciemnozieloną, nie wiem. Pomóż mi, Jean-Baptiste, mogę już stanąć.

– Czemu nie zadzwoniłeś do mnie, kiedy jechałeś za nim? Czemu wybrałeś się sam?

– To była sprawa między nim a mną. Groteskowy pomysł Danglarda, nie było sensu wciągać cię w to. Nie sądziłem, że tak się to potoczy. „Odszedł samotnie, a w sercu gorycz niósł...” – Veyrenc zaczął mówić wierszem, lecz przerwał i wzruszył ramionami. – Nie – mruknął – nie mam ochoty.

Przyjechał doktor Anchois i zakrzętnął się przy komendancie Danglardzie. Co rusz kręcił głową, powtarzając: „Przejechał po nim pociąg, przejechał po nim pociąg”, jakby starał się sam siebie przekonać do wyjątkowej natury tego, co w tej chwili przeżywał.

– Prawdopodobnie duża dawka anestetyku – powiedział, podnosząc się i dając znak dwóm sanitariuszom – ale zdaje mi się, że działanie już ustąpiło. Zabieramy go, ostrożnie zacznę go wybudzać. Ale mowa wróci mu dopiero za co najmniej dwie godziny, niech pan wcześniej nie przychodzi, inspektorze. Ma urazy spowodowane uderzeniem w tętnicę szyjną i upadkiem na tory. Ale niczego chyba nie złamał. Przejechał po nim pociąg, nie do wiary.

Adamsberg popatrzył za oddalającymi się noszami, czując napływającą z opóźnieniem falę rozpacz. Jednakże kula elektryczności nie pojawiła się na karku. Niewątpliwie skutek działań doktora Hellebauda.

– Jak Léo? – zwrócił się do Anchois.

– Wczoraj wieczór usiadła i zjadła kolację. Zdjęliśmy sondę. Nie mówi jednak, uśmiecha się tylko od czasu do czasu z taką miną, jakby jakiś pomysł chodził jej po głowie, ale nie

była w stanie go doścignąć. Można by sądzić, że ten pański doktor Hellebaud zablokował jej funkcje mowy, jak gdyby wcisnął wyłącznik. I że włączy je na powrót, kiedy uzna, że to właściwa pora.

– To do niego podobne.

– Napisałem do niego do domu we Fleury, co słychać. List zaadresowałem na dyrektora, jak mi pan radził.

– Do więzienia we Fleury – uściślił Adamsberg.

– Wiem, inspektorze, ale nie lubię ani tak mówić, ani myśleć. Wiem też, że to pan go aresztował, i nie chcę wiedzieć, jakie popełnił przestępstwo. Niezwiązane z medycyną przynajmniej?

– Zupełnie niezwiązane.

– Przejechał po nim pociąg, no w głowie się nie mieści. Tylko samobójcy rzucają się pod pociąg.

– Właśnie, doktorze. To nie jest zwykła broń. Ponieważ jednak to znany sposób odebrania sobie życia, śmierć Danglarda miała pewnie jak nic wyglądać na samobójstwo. Dla całego personelu szpitala proszę podtrzymywać wersję samobójstwa i w miarę możliwości proszę jakoś załatwić, żeby to nie wyszło na zewnątrz. Nie chcę spłoszyć mordercy. W tej chwili na pewno myśli, że jego ofiarę na kawałki poszatkowały koła pociągu. Niech przez kilka godzin trwa w tym przekonaniu.

– Rozumiem – stwierdził Anchois, mrużąc oczy z miną domyślniejszą, niż okoliczności wymagały. – Chce pan zaskoczyć, wyczaić, wysledzić.

Adamsberg nic takiego nie zrobił. Karetka odjechała, a on krążył wzdłuż i wszerz peronu A na odcinku dwudziestu metrów, nie chcąc oddalać się od Veyrencia, któremu brygadier Blériot – zauważył to – kazał zjeść ze trzy czy cztery kostki cukru. Blériot zjadacz cukru. Mimowolnie odnotował, że brygadier nie rzuca papierków na ziemię. Zgniatą każdą w kulkę i wsuwał ją do kieszeni spodni. Émeri, którego Adamsberg po raz pierwszy widział w mundurze nie jak spod igły, w takim pośpiechu się ubierał, by do nich dojechać, wrócił do niego, kręcąc głową.

– Nie widzę żadnych śladów koło ławki. Nic, Adamsberg, zupełnie nic nie mamy.

Veyrenc gestem pokazał Émeriemu, aby poczęstował go papierosem.

– I zdziwiłbym się, gdyby Danglard mógł nam pomóc – powiedział. – Facet zaszedł go od tyłu, komendant nie zdążył nawet odwrócić głowy.

– Jak to się stało, że maszynista go nie widział?

– O tej porze słońce świeciło mu w oczy. Jechał dokładnie na wschód.

– Nawet gdyby go zobaczył – rzekł Émeri – na zatrzymanie składu potrzebowałyby kilkuset metrów. Komisarzu, skąd przyszło ci do głowy, żeby za nim jechać?

– Przypuszczam, że z posłuszeństwa dla regulaminu – odparł Veyrenc z uśmiechem. – Widziałem, że wychodzi, i udałem się za nim. Bo przy takim śledztwie nikt nie chodzi sam.

– A czemu pojechał sam? Wydaje mi się człowiekiem raczej ostrożnym, nie?

– Ale samotnikiem – wtrącił Adamsberg, usprawiedliwiając go.

– I ten, kto wyznaczył mu spotkanie, na pewno zażądał, żeby przyszedł sam – westchnął Émeri. – Jak zwykle. Spotykamy się na komisariacie, żeby zorganizować patrole u Mortembota. Adamsberg, udało ci się dostać tych dwóch ludzi z Paryża?

– Powinni być tu przed czternastą.

Veyrenc czuł się już wystarczająco dobrze, aby usiąść za kierownicą, i Adamsberg jechał za nim, trzymając się blisko, do samego zajazdu Léo, gdzie komisarz posilił się naprędce zupą z puszki i poszedł się przespać. Idąc do swojego pokoju, Adamsberg przypomniał sobie, że poprzedniego wieczoru zapomniał dać ziarno gołębiowi. A okno zostawił otwarte.

Hellebaud jednak ułożył się w jednym z jego butów, choć normalnie jego pobratymcy ulokowaliby się na gzymsie kominka, i czekał cierpliwie.

– Hellebaud – powiedział Adamsberg, podnosząc gołębia z butem i stawiając go na parapecie okiennym – musimy poważnie porozmawiać. Właśnie odrywasz się od natury, staczasz się po cywilizacyjnym zboczu. Łapki ci wyzdrowiały, jesteś silny, możesz fruwać. Popatrz na dwór. Słońce, drzewa, lasy, do woli larw i robaków.

Hellebaud zagruchał, co wydało się dobrą wróżbą Adamsbergowi, który lepiej ustawił but na parapecie.

– Odleć, kiedy zechcesz – oznajmił. – Nie zostawiaj listu, zrozumieć.

## XXXVI

Adamsberg przypomniał sobie, że należy zanieść kwiatki pani Vendermotowej, i o dziesiątej rano lekko zapukał do drzwi. Była środa, istniała szansa, że w domu będzie Lina, która tego dnia miała wolne przedpołudnie w zamian za sobotni dyżur. Lina i Hippo – z tymi dwójkiem chciał się spotkać osobno, żeby dokładniej ich przesłuchać. Zastał wszystkich za stołem przy śniadaniu, nikt jeszcze nie był ubrany. Przywitał się z każdym po kolei, uważnie przyglądając się ich zaspanym obliczom. Wymięta twarz Hippa wydała mu się przekonująca, lecz przy już panującym skwarze niewątpliwie łatwo było przybrać minę wyrwanego ze snu śpiocha. Pominąwszy nabrzmiące po nocy powieki, czego nie da się udawać, Hippo miał je naturalnie ciężkie, przez co nieraz jego spojrzenie nie wyglądało na bystre ani sympatyczne.

Matka – jako jedyna już ubrana – przyjęła kwiaty z prawdziwym zadowoleniem i natychmiast zaproponowała inspektorowi kawę.

– Podobno coś się wydarzyło w Cérenay – powiedziała i Adamsberg po raz pierwszy od rozmowy w Paryżu usłyszał ją mówiącą naprawdę, głosem równie pokornym, jak dobrze postawionym. – Czy to aby nie dalszy ciąg tej strasznej sprawy? Mortembotowi nic się nie stało?

– Kto pani o tym powiedział? – zapytał Adamsberg.

– Mortembot? – nalegała.

– Nie, nie on.

– O Matko Boska!... – rzekła z westchnieniem ulgi. – Bo jeśli to będzie szło w takim tempie, ja i dzieci będziemy musieli przenieść się gdzie indziej.

– Ależ nie, mamu – mechanicznym głosem zapewnił Martin.

– Wiem, co mówię, synu. Wy wszyscy co do jednego nie chcecie nic widzieć. Ale kiedyś w końcu znajdzie się taki, co tu przyjdzie i po kolei nas wyzabija.

– Ależ nie, mamu – powtórzył Martin. – Za bardzo się boją.

– Oni nic nie rozumieją – zwróciła się matka do Adamsberga. – Nie rozumieją, że wszyscy mają nas za winnych. Oj, dziewczyno, że też nie utrzymałaś języka za zębami.

– Nie miałam prawa – odparła Lina nieco surowo, zupełnie nieporuszona niepokojem matki. – Dobrze wiesz. Trzeba dać szansę pojmanym.

– Prawda – przyznała matka, siadając przy stole. – Ale nie mamy gdzie się podziać. Ja muszę ich chronić – wyjaśniła, zwracając się znowu do Adamsberga.

– Mamu, nikt nas nie tknie – wtrącił Hippolyte, podniósł do góry zniekształcone dłonie i wszyscy wybuchnęli śmiechem.

– Nic nie rozumieją – powtórzyła matka łagodnie i ze smutkiem. – Nie igraj ze swoimi



palcami, Hippolyte. Nie pora na błaznowanie, kiedy w Cérenay zginął człowiek.

– Co się stało? – zapytała Lina, od której Adamsberg odwrócił wzrok, ponieważ jej piersi za bardzo były widoczne w białej pizamie.

– Mama ci mówiła – przypomniał jej Antonin. – Ktoś się rzucił pod ekspres z Caen. Samobójstwo, o to jej chodziło.

– Jak się pani dowiedziała? – zapytał Adamsberg matkę.

– Na zakupach. Naczelnik stacji przyszedł za piętnaście ósma i zobaczył policję i karetkę. Pogadał z sanitariuszem.

– Za piętnaście ósma? Przecież pierwszy pociąg zatrzymuje się tam dopiero koło jedenastej.

– Był telefon od maszynisty ekspresu. Wydawało mu się, że widział coś na torach, więc naczelnik przyszedł sprawdzić. Wie pan, kto się zabił?

– A pani powiedziano?

– Nie – odezwał się Hippo. – Może to Marguerite Vanout.

– Czemu ona? – zainteresował się Martin.

– Dobrze wiesz, co mówią w Cérenay. Abjasz jej ałibdo.

– Szajba jej odbiła – przetłumaczyła Lina.

– Tak? Po czym to widać? – dopytywał Antonin z miną człowieka szczerze zaintrygowanego, człowieka, który w żadnej mierze nie uświadamia sobie, że i jemu szajba odbija.

– Ma tak, odkąd mąż ją zostawił. Krzyczy, rozdziera ubrania, rysuje krechy na ścianach domów, pisze na nich. Na ścianach.

– Co pisze?

– „Strętne wieprze”. Albo w liczbie pojedynczej, albo w mnogiej. Pisze to w całym Cérenay i mieszkańcy zaczynają mieć tego dosyć. Codziennie mer musi zlecać naprawę wszystkich ścian, na których w nocy wyryła te „strętne wieprze”. Poza tym kobita ma kasę, więc ukrywa duże banknoty to tu, to tam, a to pod kamieniem, a to na drzewie i następnego dnia zaraz z rana ludzie nie mogą się pohamować, wszyscy szukają tych porozrzucanych pieniędzy, jakby się bawili w chowanego. Nikt nie przychodzi do pracy na czas. W ten sposób sama jedna dezorganizuje wszystko. A przecież nie ma zakazu ukrywania banknotów w mieście.

– To raczej zgrywne – zauważył Martin.

– Raczej – przyznał Hippo.

– Wcale nie zgrywne – zbeształa ich matka. – To biedna kobieta, straciła rozum, cierpi jak nic.

– No, ale mimo wszystko to zgrywne – rzekł Hippo, nachylając się, by cmoknąć matkę w policzek.

Vendermotowa kompletnie się odmieniła, jakby uświadomiła sobie naraz, że wszelkie

reprimendy są zbędne i niesłuszne. Poklepała najstarszego syna po dłoni, po czym odeszła i usiadła w fotelu w kącie, skąd bez wątplenia więcej nie będzie uczestniczyła w rozmowie. Było to niczym spokojne wyjście ukradkiem, jakby jakaś postać zniknęła ze sceny, chociaż nadal było ją widać.

– Poślemy kwiaty na pogrzeb – powiedziała Lina. – Znamy przecież jej ciotkę.

– Może nazbieram w lesie? – zaproponował Martin.

– Na pogrzeb nie posyła się zebranych leśnych kwiatów.

– Trzeba kwiatki kupione – przytaknął Antonin. – Może kupimy lilie?

– Nie, lilie są na śluby.

– I nie stać nas na lilie – dodała Lina.

– Zawilce? – zaproponował Hippo. – Ein eizdijw ogord.

– To nie sezon – odparła Lina.

Adamsberg przez chwilę pozwolił im się spierać na temat wyboru kwiatów dla Marguerite i rozmowa ta – o ile nie została przygotowana przez tęgie głowy – udowodniła mu lepiej niż wszystko inne, że nikt z Vendermotów nie maczał palców w wydarzeniu w Cérenay. Tyle że wszyscy Vendermotowie mieli tęgie głowy, bez dwóch zdań.

– Ale Marguerite nie umarła – powiedział wreszcie.

– Tak? A, to nie trzeba kwiatków – żywo skwitował Hippolyte.

– To kto umarł? – zapytał Martin.

– Nikt. Człowiek leżał między szynami i pociąg przejechał nad nim. Nic mu się nie stało.

– Brawo – pochwalił Antonin. – Nazywam to doświadczeniem artystycznym.

Mówiąc, podał kostkę cukru siostrze, która natychmiast zrozumiała, o co mu chodzi: przełamała ją na pół. Wymagało to dość mocnego nacisku palców, czego Antonin wolał nie ryzykować. Adamsberg odwrócił wzrok. Zalew cukru w każdej sytuacji przyprawiał go teraz o dreszcz, jakby nagle otoczyła go wataha wroga, który użył kostek cukru jako kamieni do miotania i do budowy murów.

– Jeśli chciał się zabić – odezwała się Lina, patrząc na Adamsberga – powinien był położyć się w poprzek.

– Ma pani słuszność, Lino. Nie chciał się zabić, zrzucano go na tory. Chodzi o mojego kolegę Danglarda. Ktoś chciał go zabić.

Hippolyte zmarszczył brwi.

– Używanie pociągu jako broni nie ułatwia zadania – zauważył.

– Ale nie jest głupie, kiedy chce się upozorować samobójstwo – powiedział Martin. – Na sam widok torów człowiek ma myśli samobójcze.

– No – przyznał Hippolyte z grymasem. – Ale taki numer musiał wykombinować ktoś ciężkawy na umyśle. Ambitny, ale tępy. Ktoś, komu odbiła abjasz. Kompletna szajba.

– Hippo – rzekł Adamsberg, odsuwając kubek – muszę pomówić z panem w cztery oczy. Później też z Liną, jeśli to możliwe.

- Tępy, tępy – powtórzył Hippo.
- Muszę z panem pomówić – nalegał Adamsberg.
- Nie wiem, kto chciał zabić pana kolegę.
- O co innego mi chodzi. O śmierć pańskiego ojca – dodał ciszej.
- A, to dobrze – rzekł Hippo, zerkając na matkę. – Faktycznie lepiej wyjść. Niech mi pan da tylko chwilę, żebym się ubrał.

Adamsberg szedł kamienistą ścieżką obok Hippolyte'a, który przewyższał go o dobre dwadzieścia centymetrów.

– Nic nie wiem o jego śmierci – mówił Hippolyte. – Tylko że dostał siekierą w głowę i w pierś.

– Wie pan jednak, że Lina wycierała trzonek.

– Tak wtedy powiedziałem. Ale byłem mały.

– Hippo, dlaczego Lina wycierała trzonek?

– Nie wiem – odparł Hippo z pretensją w głosie. – Nie dlatego, że go zabiła. Co pan, znam swoją siostrę. Nie żeby nie miała ochoty, jak my wszyscy. Ale było inaczej. Ona nie pozwoliła, żeby Łój go pogryzł.

– W takim razie wytarła trzonek, bo myślała, że któryś z was go zabił. Albo widziała, jak któryś z was go zabijał. Martin albo Antonin.

– Mieli sześć lat i cztery.

– Albo pan.

– Nie. Wszyscyśmy za bardzo się go bali, żeby się na coś takiego odważyć. Nie byliśmy w stanie.

– Ale psa pan na niego poszczuł.

– Wtedy jego śmierć byłaby z winy Łoja, nie z mojej. Różnicę pan widzi?

– Tak.

– A w efekcie ten drań zabił mojego psa. Wydawało nam się, że gdyby ktoś z nas ośmielił się podnieść rękę na ojca, on byłby zdolny załatwić nas wszystkich jak Łoja, a matkę w pierwszej kolejności. Może by i do tego doszło, gdyby hrabia nie zabrał mnie do siebie.

– Émeri mówi, że nie był pan strachliwym dzieckiem. Mówi, że jak pan był mały, straszny chaos siał pan w szkole.

– Cholernie wtedy mieszałem, a jakże – przyznał Hippolyte, odzyskując szeroki uśmiech.

– Co jeszcze mówi Émeri? Że byłem gówniarzem, który terroryzował wszystkich?

– Mniej więcej.

– Tak było. Ale Émeri też nie był aniołem. I on nie miał wytłumaczenia. Był rozpuszczony i nadziany. Zanim Régis zorganizował bandę oprawców, taki jeden Hervé urządzał na mnie nagonki. I wie pan co? Émeri nie trzymał się z boku, kiedy mnie okrążali

i okładali. Nie, panie inspektorze, niczego nie żałuję, musiałem się bronić. Wystarczyło, żebym wyciągnął ręce w ich stronę, a zaraz z wrzaskiem się rozbiegali. Śmiesznie było. Z ich winy. Oni powiedzieli, że mam ręce diabła, że jestem kaleką z piekła. Mnie by to nie przyszło do głowy. No więc postanowiłem to wykorzystać. Nie, jedyne czego może żałuję, to że jestem synem najgorszego śmiecia w okolicy.

Lina tymczasem zdążyła się ubrać w obcisłą bluzkę, która przyprawiła Adamsberga o dreszcz. Hippolyte zwolnił siostrze miejsce, poklepując ją po ramieniu.

– Nie zje cię, siostrzyczko – powiedział. – Ale nie jest też niegroźny. Lubi wiedzieć, gdzie ludzie poukrywali swoje podłostki, a to paskudna cecha.

– Uratował Léo – przypomniała Lina, patrząc na brata z zakłopotaniem.

– Ale się zastanawia, czy nie zabiłem Herbiera i Glayeux. Grzebie się w moich podłostkach. Nieprawda, panie inspektorze?

– Normalne, że zadaje sobie pytania – ucięła Lina. – Byłeś przynajmniej miły?

– Bardzo – zapewnił Adamsberg z uśmiechem.

– Ponieważ Lina nie ukrywa żadnych podłostek, spokojnie zostawiam ją panu – oświadczył Hippo na odchodnym. – Ale te wan meclap jej nap ein jinkt.

– Co to znaczy?

– „Nawet palcem jej pan nie tknij” – przetłumaczyła Lina. – Przepraszam, taki ma temperament. Czuje się odpowiedzialny za nas wszystkich. Ale my jesteśmy mili.

„Jesteśmy mili”. Prościutka wizytówka Vendermotów. Taka naiwna, taka głupia, że Adamsberg miał ochotę w nią uwierzyć. W ich poniekąd ideał siebie, w ich zawołanie. „Jesteśmy mili”. Bo co chcą ukryć? zapytałby natychmiast Émeri. Człowiek tak inteligentny jak Hippolyte – a to mało powiedziane, potrafił mówić słowami wspak, ot, jakby się bawił – nie mógł być po prostu miły.

– Lino, zadam pani to samo pytanie co Hippowi. Kiedy znalazła pani swojego ojca zamordowanego, dlaczego wytarła pani siekiere?

– Żeby coś zrobić, jak przypuszczam. Odruchowo.

– Nie ma pani już jedenastu lat. Nie sądzi pani chyba, że wystarczy odpowiedź tego rodzaju. Czy wytarła pani siekiere, żeby usunąć ślady któregoś ze swoich braci?

– Nie.

– Nie przyszło pani do głowy, że Hippo mógł rozplatać mu głowę? Albo Martin?

– Nie.

– Dlaczego?

– Za bardzo baliśmy się go wszyscy, żeby wejść do jego sypialni. Zresztą nawet nie śmieliśmy wchodzić na górę. To było zakazane.

Adamsberg przystanął, obrócił się twarzą do Liny i bez żadnej zdrożnej myśli przesunął palcem po jej mocno różowym policzku, tak jak Zerk musnął piórko chorego gołębia.

– Kogo więc pani chroniła?

– Mordercę – powiedziała naraz, podnosząc głowę. – A nie wiedziałam, kto nim jest. Nie byłam wstrząśnięta, kiedy znalazłam ojca zalanego krwią. Pomyślałam po prostu, że ktoś wreszcie go załatwił, że już go nie będzie, i poczułam wielką ulgę. Wytarłam ślady na trzonku, żeby nikt nigdy nie ukarał mordercy. Kimkolwiek był.

– Dziękuję, Lino. Czy Hippo w szkole siał postrach?

– Chronił nas. Bo moi młodszy bracia na innym podwórku też dostawali za swoje. Kiedy Hippo odważył się w końcu stawić tamtym czoło, wykorzystując dodatkowe palce, dzieci wreszcie dały nam spokój. Jesteśmy mili, ale Hippo musiał nas bronić.

– Mówił im, że jest wysłannikiem diabła, że może ich zniszczyć.

– I podziałało! – zauważyła, śmiejąc się bezlitośnie. – Usuwali nam się z drogi! A dla nas to był istny raj. Byliśmy jak króle. Jedna Léo nas ostrzegła. „Zemsta najlepiej smakuje na zimno”, mówiła, ale wtedy tego nie rozumiałam. Dzisiaj jednak – dodała ponuro – płacimy za to. Rozumiem, że matka wystraszyła się o nas, bo pamięta przecież Hippa jako diabła, a teraz jeszcze ten Hufiec Hellequina... W tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym roku zadźgali tu widłami François-Benjamin, hodowcę trzody chlewnej.

– Tak, dowiedziałem się o tym. Tylko dlatego, że zobaczył hufiec.

– Z trzema ofiarami, które wymienił, i z czwartą, której nie rozpoznał. Jak ja. Tłum rzucił się na niego po śmierci drugiej ofiary, przeszło dwie godziny trwało wybebeszanie go. François-Benjamin przekazał dar swojemu bratankowi Guillaume’owi, który przekazał go swojej kuzynce Élodine, później przeszedł na Sigismonda garbarza, potem na Hébrarda, potem na Arnauda, kupca bławatnego, potem na Louisa-Pierre’a, klawesynistę, na Aveline i w końcu na Gilberta, który chyba mnie go przekazał nad chrzcielnicą. Ten pana kolega wiedział coś, że chciano go zabić?

– Nie mam pojęcia.

„Odszedł samotnie, a w sercu gorycz niósł”, wyrecytował w duchu Adamsberg, zaskoczony, że przyszedł mu na myśl wierszyk Veyrenca.

– Niech pan nie szuka – powiedziała głosem nagle twardym. – Nie jego chciano zabić, tylko pana.

– Ależ nie.

– Tak. Bo nawet jeżeli dziś jeszcze nic pan nie wie, w końcu dowie się pan wszystkiego jutro. Jest pan o wiele groźniejszy od Émeriego. Dni są policzone.

– Moje?

– Pańskie, inspektorze. Pozostało panu tylko odjechać stąd, uciec. Nic nigdy nie zatrzymuje pana Hellequina ani jego żołdaków. Niech pan nie zostaje na jego drodze. Może mi pan wierzyć albo nie, usiłuję panu pomóc.

Słowa były takie szorstkie i nieopatrznie wygłoszone, że Émeri i za mniej by ją arestował. Adamsberg ani drgnął.

– Muszę chronić Mortembota – powiedział.

- Mortembot zabił matkę. Nie zasługuje, żeby się dla niego narażać.
- To nie mój problem, Lino, dobrze pani wie.
- Pan nie rozumie. On umrze, cokolwiek pan zrobi. Proszę wyjechać wcześniej.
- Kiedy?
- Teraz.
- Chodzi mi o to, kiedy Mortembot umrze.
- Hellequin decyduje. Niech pan wyjedzie. Razem ze swoimi ludźmi.

## XXXVII

Adamsberg wolnym krokiem wszedł na dziedziniec szpitala, który znał już prawie równie dobrze jak ulubiony bar swojej brygady. Danglard odmówił włożenia koszuli pacjenta, zdjął regulaminowy strój z niebieskiej włókniny i siedział na łóżku w garniturze, chociaż był mocno pobrudzony. Pielęgniarka głośno wyraziła dezaprobatę, to było niehigieniczne. Ponieważ jednak chodziło o niedoszęłego samobójcę, nad którym przejechał pociąg – takie wydarzenie wymuszało respekt – nie ośmieliła się zmusić go, aby się przebrał.

– Potrzebowałbym jakiegoś stosowniejszego ubrania – takie były pierwsze słowa Danglarda.

Równocześnie wzrokiem umknął ku żółtej ścianie, uciekając przed wstydem, śmiesznością i poniżeniem, których nie chciał zwłaszcza dojrzeć w oczach Adamsberga. Doktor Anchois przedstawił mu pokrótce najważniejsze elementy tego, co się stało, nie formułując własnej opinii, i Danglard nie wiedział teraz, jak się zmierzyć z samym sobą. Zachował się nieprofesjonalnie, był groteskowy, lekkomyślny i co gorsza, głupi. On, Danglard, tęga głowa. Prymitywne uczucie zazdrości, przemożne pragnienie, by zniszczyć Veyrenca, nie pozostawiły już miejsca na choćby krztynę godności ani mądrości. Być może te krztyny próbowały zabrać głos, coś powiedzieć, lecz on niczego nie słyszał, niczego nie chciał wiedzieć. Jak ostatni kretyn, taki, który zmierza prosto do samounicestwienia. A strzegł go człowiek, którego chciał upokorzyć, i o mało sam nie stracił życia pod kołami pociągu. No proszę, i ów człowiek, Veyrenc de Bilhc, miał na tyle przytomności umysłu, odwagi i sił, aby ułożyć go wzdłuż toru między szynami. Mnie by na pewno nie było stać na taki wyczyn, roztrząsał Danglard. Bez wątpienia nie pomyślałby o umieszczeniu ciała inaczej, na pewno też nie starczyłoby mu sił. Co więcej, może nawet po prostu by uciekł, pragnąc jak najszybciej wydostać się na peron.

Oblicze komendanta poszarzało ze strapienia. Można by powiedzieć: szczur przyparty do muru w jakimś korytarzu, a nie wygodnie wtulony w słusznych rozmiarów skórkę z bochna chleba u Tuilota Luciena.

– Boli? – zapytał Adamsberg.

– Tylko jak ruszam głową.

– Zdaje się, że nie byłeś świadom, że pociąg przejeżdża nad tobą – zauważył Adamsberg, nie dołączając do słów pocieszającej nutki w głosie.

– Nie. Nieprzyjemnie przeżyć coś takiego i niczego nie pamiętać, prawda? – rzekł Danglard, starając się dołączyć do słów nutkę ironii.

– Nie to jest nieprzyjemne.

– Gdybym chociaż był naprany bardziej niż zwykle.

– A tu nic, prawda? Przeciwnie, oszczędzałeś się u Émeriego, żeby mieć mniej więcej jasną głowę i z powodzeniem przeprowadzić swoją samotną misję.

Danglard podniósł wzrok na żółty sufit i postanowił w tej pozycji pozostać. Zdążył pochwycić spojrzenie Adamsberga i dostrzec ostry błysk w jego źrenicach. Błysk o dalekim zasięgu, błysk, przed którym Danglard usiłował uciec. Błysk nader rzadki, pojawiający się w oczach inspektora, tylko kiedy był wściekły, ogromnie zainteresowany albo kiedy doświadczył objawienia.

– Veyrenc poczuł przejazd pociągu – drążył Adamsberg.

Owszem, był zeźlony na małostkowość Danglarda, zawiedziony, zrozpaczony. Czuł potrzebę wiercenia w ranie, żeby komendant nie wywinął mu się poza arenę, żeby zmusić go do patrzenia i rozumienia. „Odszedł samotnie, a w sercu gorycz niósł”...

– Jak on się ma? – zapytał Danglard przez zęby ledwie słyszalnym głosem.

– Śpi. Nabiera sił. Po bezsennej nocy i podwójnym szoku. Cudem cię z tego wyciągnął. Będziemy mieli szczęście, jeśli mu po tym nie przybędą kolejne rude kosmyki. Albo siwe.

– Jak się dowiedział?

– Tak samo jak ja. Marny z ciebie konspirator, komendancie. Przez całą kolację z gestów i twarzy biła ci skrywana radość z sekretnego projektu, który podnieca i napawa dumą. Tą ścieżką nigdy już nie podążaj, czyta się w tobie jak w otwartej księdze.

– Dlaczego Veyrenc nie spał?

– Bo ma pomysłu. Pomyślał więc, że skoro na coś tak się napalasz, skoro coś chcesz zrobić sam, prawdopodobnie będzie to wymierzone w niego. Na przykład zdobędziesz jakąś nową informację. A ty, komendancie, zapomniałeś, że jeśli informator chce zachować anonimowość, nie zjawia się nigdy osobiście. Pisze, nie umawiając się na spotkanie. Nawet Estalère wyczułby tu podstęp. A ty nie wyczułeś. Veyrenc tak. Pomyślał przede wszystkim, że przy takiej jatce żaden gliniarz nie działa sam. Chyba że chce się zdobyć laury dla siebie i to pragnienie przysłania rzeczy oczywiste. Bo dostałeś wiadomość, Danglard, prawda? Z wyznaczonym spotkaniem?

– Tak.

– Gdzie? Kiedy?

– Znalazłem liścik w kieszeni. Facet musiał mi go wsunąć w tym tłumku przed domem Glayoux.

– Zachowałeś go?

– Nie.

– Brawo, komendancie. Dlaczego?

Danglard kilkakrotnie przygryzł wewnątrz policzków, zanim zdecydował się odpowiedzieć:

– Nie chciałem, by ktoś się dowiedział, że zatrzymałem tę wiadomość dla siebie. Po uzyskaniu informacji zamierzałem wymyślić coś wiarygodnego.



– Na przykład?

– Że coś zauważyłem, jakiegoś faceta w tłumie. Że wypytałem o niego. Że przejechałem się do Cérenay, by dowiedzieć się więcej. Coś niewinnego.

– Coś niejako godnego.

– Tak – wyszeptał Danglard. – Godnego.

– I nie udało się – rzekł Adamsberg, wstając. Chodził po kilkumetrowym pokoju, okrążając łóżko komendanta.

– W porządku – powiedział Danglard. – Wpadłem do dołu z gnojówką i ugrzęzłem w niej.

– Mnie też się kiedyś coś takiego zdarzyło, pamiętasz?

– Tak.

– Więc niczego mi tu nie wymyślaj. Wpaść do gnojówki to nic, najtrudniej później oczyścić się z niej. Co było w liściku?

– Pismo ćwierćalfabety, dużo błędów. Albo rzeczywistych, albo podrobionych, jedno i drugie możliwe. W każdym razie jeśli podrobione, to bardzo dobrze. Zwłaszcza słowo „bendzie”, które przekreślał kilka razy.

– Co w nim było?

– Żebym przyjechał na stację w Cérenay punktualnie o szóstej pięćdziesiąt. Przypuszczałem, że gość mieszka w tym miasteczku.

– Nie sądzę. Cérenay ma tę przewagę, że przejeżdżają tam pociągi. O szóstej pięćdziesiąt sześć. A stacja w Ordebecu jest opuszczona. Co powiedział Anchois o narkotyku?

Oczy Adamsberga wróciły do stanu niemal normalnego, były wodniste, algowate, mawiali niektórzy zmuszeni wymyślić słowo, by opisać ich rozmyty, zamglony, niemal lepki wygląd.

– Według wstępnych badań nie mam już nic w organizmie. Uważa, że to był używany przez weterynarzy anestetyk w ilości, która miała mnie uspić na kwadrans i zniknąć. Chlorowodorek ketaminy w niedużej dawce, bo nie miałem halucynacji. Słuchaj, można to jakoś załatwić? Znaczą, można tak zrobić, żeby w brygadzie się nie dowiedzieli o tej wpadce?

– Jeśli o mnie chodzi, nie mam nic przeciwko temu. Ale wiemy o tym we trzech. Nie ze mną musisz pertraktować, tylko z Veyrenkiem. W sumie mogłoby go kusić, żeby się zrewanżować. To zrozumiałe.

– No...

– Przysłać ci go?

– Nie teraz.

– W gruncie rzeczy – rzekł Adamsberg, kierując się do drzwi – słusznie myślałeś, że w Ordebecu twoje życie znajdzie się na szali. A jeśli chodzi o to, dlaczego ktoś chciał cię zabić, to trzeba się nad tym zastanowić, pozbierać do kupy różne drobiazgi. Znaleźć, czego zabójca obawiał się z twojej strony.

– Nie – prawie krzyknął Danglard, kiedy Adamsberg otwierał drzwi. – Nie z mojej. Facet

wziął mnie za ciebie. List zaczynał się od „Inspektorze”. Ciebie chciał zabić. Nie wyglądasz na glinę z Paryża, a ja tak. Jak przyjechałem pod dom Glayeux w szarym garniturze, facet pomyślał, że jestem inspektorem.

– Tak uważa też Lina. A ja nie wiem, dlaczego tak myśli. Zostawiam cię, Danglard, trzeba ustalić warty przy domu Mortembota.

– Będziesz się widział z Veyrenkiem?

– Jeżeli już wstał.

– Mógłbyś coś mu powiedzieć? W moim imieniu?

– Nie ma mowy, Danglard. To twoja sprawa.

## XXXVIII

Charakterystykę miejsca interwencji, jak się wyraził Émeri – czyli domu Mortembota – obszernie przedstawiono funkcjonariuszom z mieszanej ordebecko-paryskiej ekipy, przydzielono godziny dyżurów. Pół człowieka, do którego miał prawo Émeri – brygadiera Fauchera – żandarmeria w Saint-Venon odstąpiła mu w pełnym wymiarze godzin, rozumiejąc potrzebę chwili. Były zatem cztery dwójki ludzi, co pozwalało na dwudziestoczworgodzinną ochronę po sześć godzin para. Jeden człowiek będzie miał oko na tył budynku od strony pół oraz na ścianę wschodnią, drugi na front od strony ulicy i na ścianę zachodnią. Dom nie był długi, toteż żaden węgiel nie będzie niestrzeżony. O godzinie 14.35 Mortembot, opadłszy ciężkim cielskiem na plastikowe krzeselko, pocił się obficie, słuchając instrukcji. Ma siedzieć w domu aż do nowych rozkazów, za zamkniętymi okiennicami. Nie miał nic przeciwko. Gdyby mógł, błagałby, żeby go zamknięto w betonowym schronie. Ustalono hasło, które pozwoli Mortembotowi upewnić się, że faktycznie policjant puka do jego drzwi, aby dostarczyć zaopatrzenie i zasięgnąć wieści. Hasło zamierzano zmieniać codziennie. Oczywiście zakaz wpuszczania listonosza, posłańca przysłanego z jego pepiniery, przyjaciela pragnącego się dowiedzieć, co u niego słychać. Pierwszą wachtę, do godziny dwudziestej pierwszej, obejmą brygadierzy Blériot i Faucheur. Zmieniają ich Justin i Estalère, którzy będą dyżurowali do trzeciej rano, Adamsberg i Veyrenc do dziewiątej, a Danglard i Émeri do piętnastej następnego dnia. Adamsberg musiał negocjować, wymyślając nieprawdziwe preteksty, żeby Danglard i Veyrenc nie pełnili straży razem – wymuszone dochodzenie do zgody wydawało mu się daremne i w złym guście. Grafik rozpisano na trzy dni.

– A co po trzech dniach? – zapytał Mortembot, palcami nerwowo przeczesując mokre od potu włosy.

– Zobaczymy – odparł Émeri twardo. – Nie będziemy cię niańczyć tygodniami, jeśli dopadniemy mordercę.

– No przecież nigdy go nie dopadniecie! – niemal jęknął Mortembot. – Nie da się dopaść pana Hellequina.

– O, ty w niego wierzysz? Zdawało mi się, że ty i twój kuzyn należycie do niedowiarków.

– Jeannot należy. Ja zawsze uważałem, że jest jakaś siła w lesie Alance.

– I powiedziałaś to Jeannotowi?

– Nie, nie. On był zdania, że to jakieś bzdury zacofanych wieśniaków.

– Skoro w to wierzysz, na pewno wiesz, dlaczego Hellequin wybrał właśnie ciebie. Wiesz, czemu się go boisz?

- Nie, nie, nie wiem.
- Akurat.
- Może dlatego, że byłem blisko z Jeannotem.
- A Jeannot zabił młodego Tétarda?
- Tak – przyznał Mortembot, trąc oczy.
- Pomagałeś mu?
- Nie, nie, jak Boga kocham.
- Nie wstyd ci donosić na kuzyna, ledwie wyzionął ducha?
- Hellequin wymaga, żeby żałować.
- Ach, to dlatego. Żeby pan Hellequin cię oszczędził. W takim razie w twoim interesie leży, żebyś opowiedział, jak to było z twoją matką.
- Nie, nie, ja jej nie tknąłem. Przecież to moja matka.
- Tknąłeś tylko nogę stołka sznurem. Jesteś nic niewart, Mortembot. Wstawaj, zamkniemy cię w domu. A skoro będziesz miał dużo czasu na myślenie, wypowiadaj się Hellequinowi, spisuj swoje wyznania.

Adamsberg udał się do zajazdu, gdzie zastał Hellebauda ulokowanego na jego łóżku w zagłębieniu materaca, oraz Veyrencia wyspanego, po prysznicu, przebranego, siedzącego nad odgrzany makaronem, który jadł prosto z garnka.

- Mamy we dwóch dyżur od trzeciej do dziewiątej rano. Może być?
- Bardzo dobrze, chyba już doszedłem do siebie. Nie da się opisać, co czujesz, kiedy widzisz pędzący na ciebie pociąg. O mało nie stchórzyłem, o mało nie zostawiłem Danglarda na torach i nie wyskoczyłem na peron. Strasznie wysokie są te cholerne perony.
- Dostaniesz odznaczenie – rzekł Adamsberg z przelotnym uśmiechem. – Policyjny order zasługi. Cały medal jest ze srebra.
- Gdzie tam! Trzeba by powiedzieć o wszystkim i sypnąć Danglarda. Po tym stary raczej by się nie podniósł. Albatros, który spadł na ziemię, inteligencja w gruzach.
- On już wiosłuje po ziemi. Nie wie, jak się z tego wykaraskać.
- Normalne.
- No.
- Chcesz makaronu? Nie zjem wszystkiego – powiedział Veyrenc, podsuwając mu garnek.

Adamsberg jadł letni makaron, kiedy jego komórka brzęknęła. Otworzył ją jedną ręką i przeczytał wiadomość od Retancourt. Nareszcie.

Ochmistrz wie od Zb 1 włosy obcięte czw noca, powod szok, 3 rano. Ale wg wylanej pokojowki obcięte już czw po przyjeciu. Pokojowka mściwa, podejrzany świadek.

Odchodzi. Zajme się autem.

Adamsberg z mocniej bijącym sercem pokazał esemesa Veyrencowi.

– Nie rozumiem – powiedział Veyrenc.

– Wy tłumaczę ci.

– Ja też ci wytłumaczę – rzekł Veyrenc, opuszczając te swoje długie rzęsy. – Są w drodze.

Veyrenc narysował kontury Afryki na kartce, która była listą zakupów.

„Kiedy się dowiedziałeś?” – napisał Adamsberg pod słowami: „ser, chleb, zapalniczka, ziarno dla gołębia”.

„Wiadomość przyszła godzinę temu” – odpisał Veyrenc.

„Od kogo?”

„Od przyjaciela, do którego twój syn ma nr”.

„Co się stało?”

„W Grenadzie natknęli się na glinę”.

„Gdzie są?”

„W Esteponie”.

„Gdzie to jest?”

„Naprzeciw Afryki”.

– Chodźmy – powiedział Adamsberg, wstając. – Już pojadłem.

## XXXIX

– Nic się nie działo – powiedział Justin, kiedy za pięć trzecia nad ranem Veyrenc i Adamsberg przyszli go zmienić.

Adamsberg obszedł dom i odszukał Estalère'a, który sumiennie spacerował na tyłach domu, spoglądając na przemian to na budynek, to na pola.

– Nic – zameldował. – Jedyne, że on jeszcze nie śpi – oznajmił, wskazując światło sączące się zza okiennic.

– Ma o czym myśleć, to mu spędza sen z powiek.

– Pewnie tak.

– Co jesz?

– Cukier. Dobry na pokrzepienie sił. Chce pan kostkę?

– Nie, dzięki, Estalère. Akurat teraz coś mnie strasznie drażni w kostkach cukru.

– Alergia? – zaniepokoił się sierżant, otwierając szeroko swe wielkie zielone oczy.

Adamsberg także nie zdołał zmrużyć oka, choć próbował bardzo, aby wyspać się na zapas przed nocnym czuwaniem. Zerk i Mo byli w niebezpieczeństwie, o krok od zniknięcia gdzieś w Afryce – czemu jego Zerk aż tak mocno związał swój los z losem Mo? Ordebecki zabójca wymykał mu się niczym prawdziwa cuchnąca zjawa, jeszcze trochę, a zacznie wierzyć, że wszyscy mają słuszność: nikt nie zdoła dopaść długowłosego pana Hellequina; Clermontowie pozostawali nieuchwytni, chociaż wyszła na jaw ta historia z obciętymi włosami. Dowód tak słaby, że się rozplynie przy pierwszym bliższym badaniu. Chyba że zwolniona pokojówka miała rację i Zbawca 1, Christian, wrócił do domu z obciętymi włosami. O dwudziestej wyszedł z długimi, o drugiej nad ranem wrócił z krótkimi. Jak Mo, który golił sobie głowę, kiedy ogień ją opalił. Żeby nie było widać sfajczonych loków, braków, żeby gliniarze go nie podejrzewali. Tyle że nie Christian, a Christophe odwoził ojca. I garnitury obydwóch były bez jednej plamki, i nie oddawano ich do czyszczenia.

Adamsberg skupił się na pilnowaniu domu. Księżyc dość dobrze oświetlał pola i skraj lasu, mimo że – co zasygnalizował Émeri – na zachodzie gromadziły się chmury. Wydawało się, że po dwutygodniowych upałach bez kropli deszczu Normandczycy zaczynają się martwić tą anomalią. Sprawa chmur na zachodzie przeobrażała się w istną obsesję.

O czwartej nad ranem światła wciąż się paliły w dwóch pomieszczeniach na parterze, w kuchni i w ubikacji. Nie było nic dziwnego w tym, że Mortembot czuwa, ale wszyscy znani Adamsbergowi cierpiący na bezsenność gasili lampy wszędzie oprócz pomieszczenia, w którym się zaszywali. No chyba że Mortembot, sparaliżowany strachem, nie odważył się

siedzieć w domu spowitym ciemnością. O piątej inspektor zagwizdał na Veyrenca w umówiony sposób.

– Uważasz, że to normalne? – zapytał.

– Nie.

– Sprawdzamy?

– Tak.

Adamsberg zapukał do drzwi w ustalony sposób. Cztery wolne uderzenia, dwa szybkie, trzy wolne. Powtórzył kilkakrotnie – bez efektu.

– Otwieraj – powiedział do Veyrenca – i przygotuj broń. Czekaj na zewnątrz, ja sprawdzę, co z facetem.

Z odbezpieczoną bronią w garści, prześlizgując się pod ścianą, Adamsberg zaglądał kolejno do pustych pomieszczeń. Nigdzie otwartej książki, nigdzie włączonego telewizora, nigdzie Mortembota. W kuchni wystygłe resztki kolacji, której nie dokończył. W łazience ubranie, to, które miał na sobie wcześniej w komisariacie. Mortembot mógł uciec tylko przez okno w dachu, zaczekał pewnie, aż któryś z funkcjonariuszy zniknie za rogiem, i zeskoczył na ziemię. Nie ufał stróżom prawa, wolał zniknąć. Adamsberg otworzył drzwi ubikacji i pod nogi runęło mu wielkie cielsko plecami w dół. Podłoga była zalana krwią, a Mortembot ze spodniami spuszczoneymi do połowy ud miał gardło przedziurawione długim grubym stalowym grotem. Bełtem z kuszy, jeśli inspektor się nie mylił. Nie żył od co najmniej trzech godzin. Na posadzce leżało szkło z rozbitej szyby w okienku.

Adamsberg gwizdnięciem przywołał Veyrenca.

– Trafiony prosto w tchawicę, kiedy sikał. Popatrz na wysokość – ciągnął, ustawiając się przed muszlą twarzą do okienka zaopatrzonego w sztabę. – Pocisk wszedł mu prosto w gardło.

– Cholera, Jean-Baptiste, okienko ma żelazną sztabę. Po obu stronach nie ma więcej jak dwadzieścia centymetrów przestrzeni. Co to za strzała? Łucznik za oknem? Przecież Estalère by go zobaczył, na Boga!

– To bełt, potężny bełt do kuszy.

Veyrenc świsnął przez zęby, ze złości albo ze zdziwienia.

– No i proszę, średniowieczna broń.

– Niezupełnie, Louis. Sądząc po tym, co wystaje z rany, idę o zakład, że to bełt myśliwski. Bardzo współczesny. Lekki, mocny i precyzyjny, zaopatrzony w ostre jak brzytwa lotki, które wywołują krwotok. Pewna śmierć.

– Jeśli da się wycelować – zauważył Veyrenc, obchodząc zwłoki i przysuwając twarz do okienka między sztabą a górną częścią framugi. – Popatrz, ile tu miejsca. Ledwie zmieszczę rękę. Strzelec musiał mieć szczęście albo ustawić się nie dalej jak pięć metrów od okna, żeby nie trafić w sztabę. Estalère by go zobaczył. Światło z latarni ulicznej dochodzi aż tutaj.

– Szczęście tu nie ma nic do rzeczy, Louis. Wystarczy mieć kuszę z bloczkiem albo łuk

bloczkowy. Do tego celownik i lunetę noktowizyjną. Nie ma siły, nawet z czterdziestu metrów nie spudłuje. Z pięćdziesięciu, jeżeli facet jest w tym dobry. A skoro ma taką broń, to na pewno jest dobry. W każdym razie znaczy to, że zabójca był w lesie, ustawił się na samym skraju. Strzał absolutnie bezgłośny, facet miał kupę czasu, żeby się ewakuować, zanim zauważymy, co się stało.

– Znasz się na kuszach?

– W czasie służby byłem strzelcem wyborowym, chociaż tego nie chciałem. Kazali mi strzelać, z czego tylko się dało.

– Ciekawe – rzekł Veyrenc, odwracając się. – Czemu zmienił?

Adamsberg wybierał numer Émeriego.

– Co zmienił? – zapytał.

– Ubranie. Mortembot zmienił ubranie. Koszulkę polo i pasujące do niej spodnie dresowe. Po co, skoro siedział zamknięty w domu?

– Żeby zrzucić z siebie brud po pobycie w areszcie, nie? To chyba normalne. Émeri, obudziłem cię? Przyjeżdżaj galopem. Mortembot nie żyje.

– Nie mógł poczekać do jutra? – drażył Veyrenc.

– Z czym?

– Z przebraniem się.

– Kurde, Louis, a jakie to ma znaczenie? Poszedł się wysikać, zabójca czekał na tę chwilę. Mortembot stanął przed oknem bez ruchu, dokładnie na wprost i jasno oświetlony. Idealny cel. Zwalił się po cichu, pan Hellequin dopadł go, i to na dawną modłę.

– Na dawną modłę, ale po komandosku, ty tak powiedziałeś.

– Bo przy takim strzale tylko tak to widzę. Ale mimo wszystko sprzęt waży ponad trzy kilo, a długi jest na prawie metr. Nawet składanej kuszy nie wciśniesz pod kurtkę. Facet musiał wiedzieć, gdzie się jej później pozbyć.

– Kto dzisiaj ma coś takiego?

– Dużo myśliwych. To typowa broń kłusowników, którzy chodzą na dużego zwierza, bo jest cicha. Ciągłe mówi się na to „broń rekreacyjna”, zaliczana do szóstej kategorii, niepotrzebne zezwolenie, uważana za zabawkę albo broń sportową. Zabawka, też coś.

– Czemuś o niej nie pomyślał?

Adamsberg długo wpatrywał się w okienko, w rozbitą szybę, w żelazną sztabę

– Myślałem, ale wydawało mi się, że szyba zmieni kierunek lotu każdego pocisku. Kuli albo strzały. Wynik był zbyt niepewny, żeby strzelec próbował. Ale przyjrzyj się tej szybie, Veyrenc. Tego nie sprawdziliśmy jednak.

Do domu wszedł Émeri w kurtce zapiętej tylko na dwa guziki.

– Przykro mi – rzekł do niego Adamsberg. – Bełt kuszy przez okienko w ubikacji. Kiedy gość sikał.

– Przez okienko? Przecież tam jest sztaba.



- Przeszedł, Émeri. I trafił prosto w gardło.
- Kusza? Ona się nadaje do zranienia jelenia z dziesięciu metrów.
- Nie ta. Uprzedziłeś Lisieux?
- Już jadą. Jesteś za to odpowiedzialny, Adamsberg. Ty prowadzisz śledztwo. I twoi chłopcy trzymali straż.
- Moi chłopcy nie widzą, co się dzieje czterdzieści metrów dalej w lesie. A ty powinienesz być przewidzieć, że okienko może być ewentualną furtką. Ty miałeś sporządzić wykaz zagrożeń.
- I zgadnąć, że bełt z kuszy przejdzie przez myszą dziurę?
- Powiedziałbym, że przez szczurzą dziurę.
- Ta szczurza dziura miała grubą szybę, która zmieniałaby tor lotu każdego pocisku. Strzelec nie mógł wybrać tego miejsca.
- Przyjrzyj się oknu, Émeri. We framudze nie pozostał ani kawałeczek szkła. Szybę starannie podcięto, tak że wystarczyło pchnięcie palcem, by wypadła.
- Czyli nie zmieniła toru lotu pocisku.
- Nie. A myśmy nie zauważyli rysy po diamencie przy samej framudze.
- To nie tłumaczy, dlaczego facet wybrał kuszę.
- Bo jest cicha. A do tego strzelec znał dom matki Mortembota. Wykładziny są tu wszędzie, nawet w ubikacji. Szyba spadła bezgłośnie.
- Émeri postawił kołnierz kurtki, burcząc coś ze złością.
- Tu, w okolicy – powiedział – ludzie mają raczej strzelby. Morderca mógł strzelać z tłumikiem albo amunicją poddźwiękową.
- I tak głośno trzaska. Prawie tak samo jak pneumatyczna dwudziestkadwójka. Czyli dużo głośniejsza niż kusza.
- Mimo wszystko słyhać cięciwę.
- Ale tego dźwięku nikt się nie spodziewa. Przy takiej odległości można wibrowanie cięciwy pomylić z mocnym szelestem skrzydeł. A to broń Hellequina, prawda?
- Tak – przyznał Émeri z goryczą.
- Pomyśl o tym, Émeri. To wybór nie tylko doskonały od strony technicznej, ale też od artystycznej. Historyczny i poetycki.
- Nie strzelił poetycko do Herbiera.
- Powiedzmy, że ewoluuje. Subtelnie.
- Sądzisz, że morderca ma się za Hellequina?
- Nie mam pojęcia. Wiadomo tylko, że jest znakomitym kusznikiem. Mamy przynajmniej to na początek. Trzeba się rozejrzeć po klubach strzeleckich, poprzeglądać nazwiska członków.
- Czemu on się przebrał? – zapytał Émeri, patrząc na zwłoki Mortembota.
- Żeby się oczyścić z aresztu – odparł Veyrenc.

– Cela u mnie jest czysta. Pościel też. Co o tym myślisz, Adamsberg?

– Ja się tylko zastanawiam, dlaczego ciebie i Veyrenca denerwuje, że się przebrał. Chociaż wszystko się liczy – dodał, ze znużeniem wskazując okienko. – Nawet szczurza nora. A zwłaszcza szczurza nora.

## XL

Adamsberg do siódmej rano uczestniczył w przeszukiwaniu lasu wraz z pięcioma ludźmi wyciągniętymi z łóżek. Danglard wyglądał na wyczerpanego do cna. On też, pomyślał Adamsberg, nie mógł zasnąć, daremnie szukając spokojnego miejsca, w którym mógłby złożyć swoje myśli, tak jak próbuje się znaleźć osłonę przed wiatrem. Tyle że chwilowo Danglard nie miał osłony. Jego błyskotliwy umysł, na pozór wolny od podłości albo głupoty, spoczywał u jego stóp skruszony na kawałki.

O brzasku dość szybko wypatrzyli miejsce, gdzie czekał strzelec. Pierwszy zauważył je Faucheur i wezwał resztę. Nie do wiary – okazało się, że morderca pod siedmiopiennym dębem rozsiadł się na składanym krzeselku, którego metalowe nóżki zapadły się w warstwę liści.

– Czegoś takiego jeszcze nie widziałem – oznajmił Émeri niemal zgorszony. – Morderca, który dba o własną wygodę. Gość szykuje się do zabicia człowieka i nie chce, żeby go nogi rozboleły.

– Może jest stary – podsunął Veyrenc. – Albo coś go boli, kiedy stoi za długo. Czekanie, aż Mortembot wejdzie do ubikacji, mogło trwać nawet parę godzin.

– Bardzo stary nie jest – powiedział Adamsberg. – Żeby naciągnąć kuszę i wytrzymać odrzut, trzeba być raczej silnym mężczyzną. Pozycja siedząca pozwalała precyzyjnie wycelować. Poza tym mniej się hałasuje, niż drepcząc w miejscu na stojąco. Jak daleko mamy do celu?

– Powiedziałbym, że jakieś czterdzieści dwa, czterdzieści trzy metry – odparł Estalère, który miał dobre oczy, jak zawsze twierdził Adamsberg.

– W katedrze w Rouen – odezwał się Danglard cicho, jakby utrata blasku nie pozwalała mu mówić pełnym głosem – spoczywa serce Ryszarda Lwie Serce, który zginął w walce od strzału z kuszy.

– Naprawdę? – Émeri zawsze się ożywiał, kiedy była mowa o chwilach chwały na polach bitewnych.

– Tak. Został raniony w czasie oblężenia zamku Châlus-Chabrol w marcu tysiąc sto dziewięćdziesiątego dziewiątego roku i jedenaście dni później zmarł na gangrenę. Przynajmniej w jego wypadku znane jest imię zabójcy.

– Kto to był? – dopytywał Émeri.

– Pierre Basile, szlachetka z Limousin.

– A co nas to obchodzi, do cholery? – odezwał się Adamsberg zirytowany, że po takiej porażce Danglard nadal chwali się erudycją.

– Chodzi mi tylko o to – odparł Danglard głuchym głosem – że to jedna z najsłynniejszych ofiar kuszy.

– A po Ryszardzie nieciekawym Michel Mortembot – zauważył Émeri. – Upadek absolutny – podsumował, kręcąc głową.

Funkcjonariusze nadal przetrząsali las, szukając śladów zabójcy, choć nie wierzyli, że coś więcej znajdą. Warstwa liści tak wyschła w lecie, że nie było siły, by pozostały na niej odciski stóp. Trzy kwadransy później Émeri zwołał wszystkich gwizdnięciem, zgromadzili się w odległości kilku metrów od skraju lasu. Kapitan dopiął kurtkę i czekał na nich znów wyprostowany przed czworokątem świeżo poruszonej ziemi o powierzchni około metra kwadratowego, niedokładnie nakrytej z rzadka rozsypanymi liśćmi.

– Kusza – powiedział Veyrenc.

– Tak sędzę – przyznał Émeri.

Dołek nie był głęboki, miał najwyżej trzydzieści centymetrów, toteż żandarmi raz-dwa odkopali plastikowy pokrowiec.

– To jest to – rzekł Blériot. – Gościu nie chciał zniszczyć broni. Zakopał ją tu, żeby zwiąć jak najszybciej. Dołek musiał wykopać wcześniej.

– Tak jak wcześniej naciął szybę.

– Jak się domyślił, że Mortembot tutaj się zaszyje?

– Nie trzeba być jasnowidzem, by zgadnąć, że Mortembot po śmierci Glayeux wróci do domu matki – powiedział Émeri. – Dziadowsko zakopana – dodał skrzywiony, wskazując dołek. – Tak samo jak dziadowsko ukrył siekiere.

– Może jest jakiś ograniczony – podsunął Veyrenc. – Bardzo skuteczny na krótką metę, ale niezdolny planować długofalowo. Zmysł organizacji z białymi plamami, z lukami.

– Albo kusza, tak jak siekiera, jest czyjąś własnością – rzekł Adamsberg, któremu ze zmęczenia zaczynało się kręcić w głowie. – Na przykład któregoś z Vendermotów. I morderca chciał, żebyśmy ją znaleźli.

– Wiesz, jakie mam zdanie na ich temat – wtrącił Émeri. – Ale nie sędzę, żeby Hippo miał kuszę.

– A Martin? Wiecznie łązi po lesie i coś zbiera.

– Jakoś nie widzę go polującego na owady z kuszą. Ale na pewno kuszę miał Herber.

– Dwa lata temu znaleźliśmy lochę z bełtem w boku – potwierdził Faucheur.

– Morderca bez problemu mógł zabrać broń po jego śmierci, zanim opieczętowaliśmy dom.

– A w dodatku – cicho dodał Adamsberg – zawsze można pieczęć złamać i założyć nową.

– Trzeba być zawodowcem.

– To prawda.

Ludzie Émeriego zabrali materiał, aby przekazać go do Lisieux, odgradzili strefę dołka i miejsce, gdzie stało krzeselko. Blériot i Faucheur stanęli na straży, czekając na przybycie techników.

W domu Mortembota znaleźli się wraz z doktorem Anchois wezwanym na oględziny zwłok, lekarkę sądową zatrzymano bowiem w Livarot, gdzie dekarz spadł z dachu. Na pozór nic nie świadczyło o działaniach przestępczych, żandarmi woleli ją jednak wezwać z powodu komentarza małżonki, która ze wzruszeniem ramion oznajmiła, że jej mąż „nawalił się cydrem jak stodoła”.

Anchois obejrzał ciało Mortembota i wolno pokręcił głową.

– Coś takiego, żeby nie można się wysikać spokojnie – powiedział krótko.

Dość prymitywna mowa pogrzebowa, pomyślał Adamsberg, ale w sumie całkiem trafna. Anchois potwierdził, że zgon nastąpił między pierwszą a drugą nad ranem, w każdym razie przed trzecią. Wyjął bełt, nie przesuwając ciała, aby lekarka miała do oględzin wszystko nietknięte.

– Cholerny dzikus – rzekł, machając bełtem przed Adamsbergiem. – Koleżanka otworzy zwłoki, ale sądząc po sile uderzenia, bełt przeciął tchawicę i przełyk. Sądzę, że facet się udusił, zanim zdążył się wykrwawić. Naciągnąć mu spodnie?

– Nie można, doktorze. Najpierw technicy muszą zrobić swoje.

– No mimo wszystko... – Anchois znowu się skrzywił.

– Tak, wiem, doktorze.

– A pan – Anchois wpatrzył się bacznie w Adamsberga – powinien szybko iść spać. On też – dodał, wskazując Danglarda kciukiem. – Niektórzy nie wypoczywają wystarczająco. Posypiecie się jak kręgle, zanim ktoś rzuci kulę.

– Idź – powiedział Émeri do Adamsberga z lekkim klepinięciem w ramię. – Zaczekam na chłopców. My z Blériotem pospaliśmy trochę.

Hellebaud zostawił w pokoju oznaki porannego spaceru, wszędzie bowiem porozrzucił ziarno. Na powrót jednak zajął lewy but i zagruchał na widok Adamsberga. Okupacja buta, choć przeciwna ptasiej naturze, miała jeden wielki plus: gołąb nie fajdał gdzie popadnie w całym pokoju, ale wyłącznie w bucie. Adamsberg pomyślał, że jak się prześpi, oczyści go. Czym? zastanowił się, zwijając się we wgłębieniu materaca. Nożem? Łyzeczką? Łyżką do butów?

Skuteczność myśliwskiego bełtu mocno nim wstrząsnęła, ostre lotki podcięły facetowi gardło w trakcie sikania. Dużo bardziej wstrząsnęła niż miękisz chleba wciśnięty do gardła staruszki, Tuilot Lucette – ta metoda z racji oryginalności i prostoty była nawet poniekąd wzruszająca. A Danglard wkurzył go tym swoim komentarzem na temat Ryszarda Lwie Serce – co ich to obchodzi? Tak samo Veyrenc, który się zastanawiał, dlaczego Mortembot

się przebrał. Adamsberg szybko się wtedy zezłościł, choć nie było o co, ale to świadczyło, jak bardzo jest zmęczony. Mortembot zdjął granatową marynarkę – cokolwiek mówić o czystości w areszcie, pewnie śmierdziała całą, choćby środkiem antyseptycznym – i włożył jasnoszare bawełniane ubranie, spodnie wykończone ciemnopopielatą tasiemką. I co z tego? A jeżeli Mortembot chciał się ubrać wygodnie? Albo elegancko? Émeri też go zirytował, kiedy jak to on po swoim znowu zapowiedział, że na niego, Adamsberga, spada cała odpowiedzialność za to, co się stało. Tchórzliwy z niego żołnierz. Po trzecim morderstwie zawrze najpierw w Ordebecu, a potem w całym regionie. Lokalne gazety już się rozpisywały o morderczym gniewie Hellequina, listy od czytelników wskazywały Vendermotów, chociaż to nazwisko na razie nie padło, a jemu się wydało poprzedniego wieczoru, że ulice opustoszały wcześniej niż zwykle. A teraz, gdy zabójca mordował na odległość z kuszy, już nikt nie był bezpieczny w swojej szczurzej norze. Tym bardziej on – ktoś przecież chciał, żeby pociąg przeciął go na trzy części. Gdyby morderca miał świadomość, jak niewiele Adamsberg wie i jaki jest bezbronny, nie fatygowałby się i nie korzystał z pociągu, aby się go pozbyć. Być może piersi Liny zasłaniają mu cały widok na winy Vendermotów.

## XLI

Przeszło trzy godziny później Adamsberg otworzył oczy zaalarmowany bzyczeniem muchy, która jak meserszmit latała z jednego końca pokoju w drugi, jakby – niczym Hellebaud – nie zauważała, że okno jest szeroko otwarte. W pierwszej chwili po przebudzeniu nie pomyślał ani o Mo i Zerku, którym zagrażało niebezpieczeństwo, ani o ofiarach pana Hellequina, ani o starej Léo. Zastanowił się bowiem, dlaczego pomyślał, że Mortembot siedział w celi w granatowej marynarce, skoro była brązowa.

Otworzył drzwi, rozsypał nieco ziarna na progu, by zmusić Hellebauda do odejścia od buta chociaż na metr, po czym udał się do kuchni zaparzyć kawę. Siedział tam już milczący Danglard z głową pochyloną nad gazetą, której nie czytał. Stary kumpel, nie potrafiący się wydostać ze swojej gnojówki, budził w Adamsbergu niejakię współczucie.

– W „Le Reportage d’Ordebec” piszą, że policjanci z Paryża drepczą w miejscu. Mówiąc w skrócie.

– Nie myślą się – odparł Adamsberg, lejąc wodę na zmieloną kawę.

– Przypominają, że już w tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym pan Hellequin bez trudu rozłożył stróżów prawa na obie łopatki.

– W tym też mają rację.

– Ale jest coś. Ze śledztwem nie ma nic wspólnego, mimo to chodzi mi po głowie.

– Jeśli masz na myśli serce Ryszarda, to daj sobie spokój, Danglard.

Adamsberg gestem uciął odpowiedź kolegi i wyszedł na podwórze, zostawiwszy na gazie gotującą się wodę. Danglard pokręcił głową, dźwignął ciało, które wydało mu się dziesięć razy cięższe niż zwykle, i dokończył parzyć kawę. Podszedł do okna, skąd widział, jak Adamsberg krąży pod jabłonią z rękami wciśniętymi w kieszenie powypychanych spodni i wzrokiem – jak mu się wydawało – pustym, bezmyślnym. Danglard martwił się o kawę – powinien mu ją zanieść na dwór? czy wypić samotnie, a jego nie wołać? – kątem oka obserwując podwórze. Adamsberg znikł mu z pola widzenia, po chwili wyłonił się z piwnicy i ruszył w stronę domu dość szybkim krokiem. Ciężko, bez zwykłej miękkości w ruchach klapnął na ławę, obydwie dłonie położył płasko na stole i bez słowa utkwiał w nim nieruchome spojrzenie. Danglard, wyczuwając, że w tej chwili nie ma prawa zadawać pytań ani wygłaszać krytyk, postawił na stole dwa kubki i nalał do nich kawy niczym dobra żona. Nic lepszego nie mógł zrobić.

– Danglard – przemówił wreszcie Adamsberg – jakiego koloru Mortembot miał marynarkę, kiedy był na posterunku?

– Brązową.

– Właśnie. A ja widziałem granatową. Znaczy, kiedy później o tym myślałem, widziałem granatową.

– I...? – odezwał się Danglard ostrożnie, bardziej zaalarmowany fazami znieruchomienia Adamsbergowego wzroku, niż kiedy zapalało się światło w jego algowatych oczach.

– Dlaczego?

Komendant w milczeniu podniósł kubek do ust. Korciło go, żeby do kawy chlapnąć kropelkę calvadosu, jak robiono tutaj, aby „ożywić ciało”, czuł jednak, że coś takiego o trzeciej po południu mogłoby w Adamsbergu rozpalić na nowo gniew, który dopiero co wygasł. Zwłaszcza po tym, jak „Le Reportage d’Ordebec” napisał, że drepczą w miejscu, a także – to Danglard ukrył przed inspektorem – że się opieprzają. Chociaż mogłoby się stać wręcz przeciwnie – Adamsberg był tak nieobecny, że nawet by tego nie spostrzegł. Danglard już miał się podnieść, by chlapnąć sobie tę kropelkę, lecz Adamsberg wyjął z kieszeni plik fotografii, które rozłożył przed nim.

– Bracia Clermont-Brasseur – powiedział.

– Zgadza się – przytaknął Danglard. – Zdjęcia, które dał ci hrabia.

– Właśnie. Bracia na słynnym przyjęciu. Tutaj Christian w granatowej marynarce w cienkie prążki, a tu Christophe w kretyńskim przebraniu marynarskim z kieszonką.

– Wulgarne – ocenił Danglard po cichu.

Adamsberg wyjął komórkę, przewinał kilka zdjęć i podał aparat Danglardowi.

– A tu zdjęcie od Retancourt. Ubrania, które miał na sobie Christian, kiedy wrócił po przyjęciu. Garnitur, którego nie posłano do pralni, podobnie jak ubrania jego brata. Sprawdziła.

– Czyli należy jej wierzyć – rzekł Danglard, przyglądając się malutkiej fotografii.

– Granatowy w prążki garnitur Christiana. Widzisz go? Nie brązowy.

– Nie.

– Czemu więc pomyślałem, że Mortembot miał granatową marynarkę?

– Przez pomyłkę.

– Ponieważ on się przebrał, Danglard. Widzisz teraz związek?

– Szczerze mówiąc, nie.

– Ponieważ w głębi ducha wiedziałem, że Christian się przebrał. Tak jak Mortembot.

– A dlaczego Mortembot się przebrał?

– Mam gdzieś Mortembota – zdenerwował się Adamsberg. – Można by pomyśleć, że specjalnie udajesz, że nie rozumiesz.

– Nie zapominaj, że przejechał po mnie pociąg.

– Prawda – zwięźle przyznał Adamsberg. – Christian Clermont się przebrał i miałem to przed oczami od paru dni. Do tego stopnia, że kiedy pomyślałem o marynarce Mortembota, zobaczyłem granatową. Jak marynarka Christiana. Przyjrzyj się dobrze, Danglard: porównaj garnitur, który Christian miał na przyjęciu, i sfotografowany przez Retancourt, czyli ten,



w którym wrócił do domu tamtego wieczoru. – Położył przed Danglardem zdjęcie od hrabiego i obok swoją komórkę. Nagle jakby sobie uświadomił, że ma przed sobą kawę, opróżnił kubek do połowy. – I co, Danglard?

– Widzę to tylko dlatego, że mi powiedziałeś. Obydwa garnitury Christiana są bardzo podobne, granatowe, ale faktycznie to nie to samo.

– No właśnie.

– Na drugim prążki cieńsze, wyłogi szersze, pachy węższe.

– No właśnie – powtórzył Adamsberg z uśmiechem, po czym wstał i długim krokiem zaczął chodzić od kominka do drzwi. – Właśnie. Po wyjściu z przyjęcia około północy i przed powrotem do domu około drugiej Christian się przebrał. Bardzo dobrze to wymyślił, ledwie można się połapać, ale tak było. Garnitur, który następnego dnia oddał do pralni, to nie ten, który miał na sobie po powrocie, Retancourt się nie pomyliła. Do czyszczenia poszedł ten, w którym był na przyjęciu. A dlaczego, Danglard?

– Bo śmierdział benzyną – rzekł komendant, odzyskując blady uśmiech.

– A śmierdział benzyną, bo Christian podłożył ogień pod mercedesa z własnym ojcem zamkniętym w środku. Druga rzecz – dodał, uderzając dłonią w stół – to że przed powrotem podciął sobie włosy. Przyjrzyj się zdjęciom jeszcze raz: na przyjęciu są przydługie, kosmyk opada mu na czoło. Widzisz? Ale według pokojówki, którą wylał, po powrocie miał włosy dużo krótsze. Bo tak jak było z Momem, żar od ognia przypalił mu włosy i ubytki były widoczne. Przyciął je więc, wyrównał i zmienił garnitur. A co powiedział pokojowcowi następnego dnia? Że w nocy ogolił sobie głowę. W przypływie żalu, jak sądzono, na znak rozpaczy. Christian Łysa Pała.

– Bezpośrednich dowodów nie mamy – zauważył Danglard. – Retancourt nie zrobiła zdjęcia tej samej nocy i nic nie świadczy o tym, że garnituru nie pomyliła ona albo pokojówka, która jej o tym powiedziała. Są takie podobne.

– Można znaleźć włosy w samochodzie.

– Po takim czasie na pewno kabina jest wypucowana na wysoki połysk.

– Niekoniecznie, Danglard. Bardzo trudno zebrać wszystkie drobinki obciętych włosów, zwłaszcza z zagłówka, jeśli tak szczęśliwie się składa, że obicia w aucie są z tkaniny. Można przypuszczać, że Christian mocno się spieszył ze sprzątaniem, zwłaszcza że myślał, że nic nie ryzykuje. Nawet krótkiego przesłuchania. Retancourt musi zbadać samochód.

– Skąd weźmie pozwolenie na oględziny?

– Nie będzie go miała. Trzeci dowód, Danglard. Pies, cukier.

– A, chodzi o tę twoją Léo.

– Mówię o innym psie, o innym cukrze. Mamy teraz czas, komendancie, w którym kostka cukru kostkę pogania. Bywają lata, że chmary biedronek spadają na ziemię, a kiedy indziej kostki cukru.

Adamsberg poszukał wiadomości Retancourt odnoszących się do nagle zwolnionej

pokojówki i dał je komendantowi do przeczytania.

– Nie łapię – wyznał Danglard.

– A, to dlatego, że przejechał po tobie pociąg. Przedwczoraj na drodze Blériot poprosił, żebym dał cukier Pasikowi. Coś tam naprawiał pod maską samochodu i tłumaczył mi, że Pasik nie chce brać cukru, kiedy ręce mu śmierdzą benzyną.

– Świetnie – rzekł Danglard z lekkim ożywieniem, podnosząc się, by przynieść calvadosa z dolnej szafki.

– Co robisz, Danglard?

– Należę tylko kropelkę. Żeby rozweselić kawę, a zatem moją gnojówkę.

– Kurde, komendancie, to calvados Léo, ten, który dostaje od hrabiego. Na kogo wyjdziemy, kiedy Léo wróci? Na wojsko okupacyjne?

– No dobra – powiedział Danglard, szybko nalewając odrobinę trunku, gdy Adamsberg szedł w kierunku kominka, na krótko będąc tyłem do niego.

– Właśnie dlatego pokojówka nagle wyleciała z roboty. Christian się przebrał, umył, ale ręce ciągle śmierdziały mu benzyną. Ten zapach trzyma się skóry godzinami. A pies go wyczuwa bezbłędnie. I to zrozumiał Christian, kiedy zwierzak odwrócił się od cukru. Od cukru, który pokojówka podniosła. I skrytykowała. Christian musiał więc pozbyć się zanieczyszczonej kostki. I pokojówki, którą zwolnił natychmiast.

– Przydałoby się, żeby złożyła zeznanie.

– O tym i o obciętych włosach. Nie tylko ona widziała Christiana tego wieczoru. Byli też dwaj gliniarze, którzy przynieśli mu smutną wieść. Później zamknął się w sypialni. Trzeba się wywiedzieć więcej o tych słowach Retancourt: „Pokojowka krytykuje cukier”. Co właściwie krytykuje? Wieczorem napuścisz na to Retancourt.

– Niby jak?

– Na miejscu, Danglard, w Paryżu. Jedziesz, informujesz Retancourt i wyjeżdżasz znów jak cień.

– Do Ordebecu?

– Nie.

Danglard łyknął kawę wzmocnioną calvadosem, zastanowił się chwilę. Adamsberg zajął się swoimi obydwoma komórkami, wyjął z nich baterie.

– Chcesz, żebym poszukał chłopaków? O to chodzi?

– Tak. Nie zejdzie ci długo ze znalezieniem ich w Esteponie. Natomiast w Afryce to by była zupełnie inna para kaloszy. Jeżeli gliny namierzyły ich w Granadzie, w tej chwili równie dobrze mogą przeszukiwać inne miasta na wybrzeżu. Do chłopaków trzeba dotrzeć przed nimi, Danglard. Jedziesz tam ekstracugiem i przywozisz ich.

– Wydaje mi się, że to za wcześnie.

– Nie, myślę, że nasze oskarżenie wytrzyma. Ich powrót trzeba przeprowadzić z wyczuciem. Zerk będzie udawał, że wraca z Włoch, dokąd pojechał w jakiejś sercowej

sprawie, a Mo pomieszka u przyjaciela. Ojciec przyjaciela w stosownej chwili ugnie się i doniesie na niego. To będzie wiarygodne.

– Jak będę się z tobą porozumiewał?

– Dzwon do Niebieskiego Dzika, ustalimy szyfr. Umawiamy się, że od jutra codziennie będę jadł tam kolację. Albo Veyrenc.

– Do Biegnącego Dzika – mechanicznie poprawił Danglard, któremu nagle opadły długie mięsiste ręce. – Kurczę, ale przecież ten drugi, Christophe, prowadził mercedesa. Christiana już wtedy nie było na przyjęciu.

– Obaj to załatwili. Christian wziął własny samochód dużo wcześniej, zaparkował go w pobliżu mercedesa, później czekał, aż brat wyjdzie. Był gotowy, w nowych adidasach na nogach. Tyle że zawiązał je jak stary ignorant. Kiedy Christophe wysiadł z mercedesa, by rzekomo wrócić po komórkę, którą w rzeczywistości upuścił na chodnik, i zostawił w aucie starego ojca przypiętego pasami, Christian rozlał benzynę, podłożył ogień i galopem wrócił do swojego wozu. Christophe był jeszcze daleko, kiedy buchnął ogień, wezwał policję, nawet biegł na oczach świadków. Christian dokończył dzieła: podrzucił buty u Mo, u którego drzwi są tak zdezelowane, że można je otworzyć ołówkiem, przebrał się, garnitur wrzucił do bagażnika. I wtedy spostrzegł, że ogień opalił mu trochę włosy. Ogolił się. Następnego dnia zabrał garnitur i oddał do czyszczenia. Pozostało mu tylko wkopać Mo.

– A niby czemu Christian miał przy sobie golarkę?

– Tacy jak on zawsze mają w bagażniku neseser. Żeby na każde zawołanie móc wskoczyć do samolotu. Dlatego miał też golarkę.

– Sędzia nie będzie chciał tego słuchać – oznajmił Danglard, kręcąc głową. – To nieprzebyty mur, zamknięty system.

– No to wiedzmy się do systemu. Nie sądzę, by hrabiemu de Valleray spodobało się, że bracia spalili jego starego przyjaciela Antoine'a. Dlatego będzie naciskał.

– Kiedy mam jechać?

– Chyba już, Danglard.

– Nie podoba mi się, że zostawiam cię samego z panem Hellequinem.

– Nie wydaje mi się, żeby Hellequin atakował za pomocą ekspresu Caen-Paryż. Ani kuszą wyczynową.

– Brak gustu.

– Zgadza się.

## XLII

Danglard kończył ładować swoje rzeczy do bagażnika jednego z samochodów, gdy na podwórku zauważył Veyrenca. Nie znalazł dotąd siły ani słów, ani z pewnością pokory w sobie, by porozmawiać z komisarzem. Śmierć Mortembota pozwoliła odroczyć to doświadczenie. Zwykła myśl, że miałby wyciągnąć do niego rękę, mówiąc proste: „Dziękuję”, wydawała mu się kosmicznie śmieszna.

– Jadę po chłopaków – powiedział dość żałośnie, podchodząc do niego.

– Ryzykowne – zauważył Veyrenc.

– Adamsberg znalazł lukę. Szczurzy korytarz, który pozwoli wejść do Clermontów. Chyba jest dość materiału, żeby zbudować oskarżenie obu braci.

Veyrencowi pojaśniały oczy, warga uniosła mu się w tym jego niebezpiecznym dziewczęcym uśmiechu. Danglard przypomniał sobie, że komisarz jak własnego syna kocha swego siostrzeńca Armela zwanego Zerkiem.

– Na miejscu sprawdź jedno, proszę – rzekł Veyrenc. – Czy Armel nie zapodział gdzieś po drodze pistoletu dziadka.

– Adamsberg mówił, że on nie umie strzelać.

– Adamsberg nie zna tego chłopaka. On świetnie strzela.

– O Boże, Veyrenc! – zawołał naraz Danglard, zapominając na chwilę o brzemienu, które obciążało tę rozmowę. – Miałem coś powiedzieć Adamsbergowi, to nie ma nic wspólnego ze śledztwem, ale jest ważne. Możesz mu przekazać?

– Mów.

– W szpitalu podniosłem szal, który spadł Linie z ramion. Choćby było nie wiem jak gorąco, ona zawsze owija się tą szmatką. Później pomogłem lekarzowi przenieść hrabiego, kiedy zemdłał. Rozebrali go do pasa, chociaż bronił się, jak mógł. Tutaj – Danglard dotknął palcem górnej części swej lewej łopatki – ma na skórze fioletowe znamię, dość szpetne, przypomina stonogę długości dwóch centymetrów. No, a Lina ma takie samo.

Wymienili spojrzenia, patrząc sobie w oczy niemal wprost.

– Lina Vendermot jest córką de Valleraya – ciągnął Danglard. – To pewne jak to, że skąpałem się w gnojówce. A ponieważ ona i jej brat Hippo są podobni do siebie jak dwie krople wody, oboje o popielatoblond włosach, znaczy, że mają tego samego ojca. Za to Martin i Antonin, obaj bruneci, na pewno są dziećmi starego Vendermota.

– Cholera. Wiedzą?

– Hrabia na pewno. Dlatego tak się bronił przed rozbieraniem. Czy dzieci wiedzą, nie mam pojęcia. Nie wydaje mi się raczej.

- Dlaczego więc Lina ukrywa znamię?
- To kobieta. Stonoga niemiło wygląda.
- Zastanawiam się, co to może zmienić w działaniach Hellequina.
- Nie zdążyłem tego przemyśleć, Veyrenc. Zostawiam to tobie – zakończył, wyciągając do niego dłoń. – Dziękuję – dodał.

Zrobił to. Powiedział.

Jak najzwyczajniejszy człowiek. Jak pospolity zjadacz chleba gwoli banalnego zakończenia dramatu, myślał, wycierając dłonie, zanim położył je na kierownicy. Uścisnąć prawicę, podziękować, to łatwe niewątpliwie, tuzinkowe, ewentualnie odważne, lecz dokonało się, i zasłużenie. Coś więcej na ten temat powie później, jeżeli zdoła. Z powodu nagłego przypływu gniewnej radości, ruszając, aż się wyprostował na myśl, że Adamsberg dopadł morderców starego Clermonta. Dzięki marynarce Mortembota, ale pał sześć metodę, Danglard nie miał pewności, czy dość dokładnie śledził wywód. Jednakże właściwe siły były na miejscu, co bardzo go pocieszyło po nikczemnościach tego świata, aczkolwiek umiarkowanie po własnych.

O dziewiątej wieczorem spotkał się z Retancourt na tarasie restauracyjki mieszczącej się na dole jej kamienicy w Seine-Saint-Denis. Ilekroć widział Violette choćby po trzech dniach, wydawała mu się wyższa i grubsza, co robiło na nim wielkie wrażenie. Siedziała na plastikowym krześle, którego nogi pod jej ciężarem rozjeżdżały się na boki.

– Trzy rzeczy – zaczęła Retancourt. Niewiele czasu zmitrężyła na wypytywaniu o stany ducha kolegów, którzy utknęli w ordebeckim bagnie, albowiem współodczuwanie nie było jej mocną stroną. – Samochód Zbawcy Jeden, Christiana. Wywiedziałam się: parkuje w prywatnym garażu razem z wozami brata i ich żon. Jeśli mam go zbadać, będę musiała jakoś wyciągnąć go stamtąd. Czyli odciąć zabezpieczenia i wyłączyć alarm. Dla Noëla to będzie bułka z masłem. Nie będę później ryzykowała i odstawiała go na miejsce, poradzą sobie, znajdą wóz na pewno, to nie nasz problem.

– Nie da się wykorzystać dowodów, jeżeli nie zdobędziemy ich oficjalnie.

– Ale przecież nigdy nie dostaniemy nakazu. Dlatego przyjmujemy inny tryb postępowania: niedozwolone zebranie śladów, zmontowanie aktu oskarżenia, a potem atak.

– Założmy – rzekł Danglard, który rzadko kwestionował dość brutalne działania komisarz Retancourt.

– Druga rzecz – powiedziała, kładąc silny palec na blacie – to garnitur. Ten, który trafił prosto do pralni. Zapachu benzyny, tak samo jak włosów, zwłaszcza króciutkich, naprawdę trudno się pozbyć. Przy odrobinie szczęścia znajdziemy ich resztki w tkaninie. Oczywiście trzeba ukraść garnitur.

– Problem.

– Nie taki duży. Znam rozkład zajęć, wiem, kiedy Vincent, ochmistrz, odpowiada za drzwi. Przyjdę z torbą, powiem, że zapomniałam kurtki na górze czy czegoś innego, i załatwione.

Improwizacja, brawura i ufność – do takich sposobów Danglard nigdy się nie uciekał.

– Jak wytłumaczyłaś swoje odejście?

– Powiedziałam, że mąż depcze mi po piętach, że mnie odnalazł, więc muszę uciekać dla własnego bezpieczeństwa. Vincent wyraził współczucie, ale wydawał się zdziwiony, że jestem zamężna, a zwłaszcza tym, że mąż szuka mnie z takim uporem. Nie przypuszczam nawet, żeby Christian zauważył moje odejście. Rzecz trzecia: cukier. Czyli pokojówka Leila. Jest urażona, na pewno będzie mówiła, jeżeli coś sobie przypomni. O cukrze albo o obciętych włosach. Jak Adamsberg wpadł na przebranie się w inny garnitur?

– Nie potrafię dokładnie wyjaśnić, Violette. Rozumowanie bazowało na niekompletnych pajęczych niciach, które rozchodziły się w różnych kierunkach.

– A, rozumiem bardzo dobrze – zapewniła Retancourt, która często się sprzeciwiała mglistemu systemowi umysłowemu inspektora.

– Za aresztowanie Clermontów-Brasseurów – powiedział Danglard, napełniając kieliszek Retancourt wyłącznie po to, aby samemu także sobie nalać. – To będzie piękny widok, budujący, higieniczny i satysfakcjonujący, ale nie potrwa długo. Imperium przejdzie na bratanków i wszystko zacznie się od nowa. Nie będziesz mogła przesyłać mi wiadomości na komórkę. Składaj raporty Adamsbergowi wieczorem Pod Biegnącym Dzikim. To taka restauracja w Ordebecu. Jeśli ci powie, żebyś dzwoniła do Niebieskiego Dzika, nie przejmuj się, chodzi o to samo, tylko że nie udaje mu się zapamiętać nazwy. Nie rozumiem, czemu tak mu zależy, by dzik był niebieski. Zapiszę ci numer.

– Wyjeżdżasz, komendancie?

– Tak, jeszcze dziś.

– I nie będzie można do ciebie dzwonić? Znaczący, nie da się ciebie namierzyć?

– Owszem.

Retancourt pokiwała głową, nie okazując zdziwienia, co nasunęło Danglardowi obawę, że przejrzała z grubsza ich machinacje z Mo.

– Czyli zamierzasz się wymknąć niepostrzeżenie?

– Tak.

– A jak chcesz to zrobić?

– Ukradkiem. Piechotą, taksówką... jeszcze nie wiem.

– Zły pomysł – oświadczyła Retancourt, kręcąc głową z dezaprobatą.

– Nic lepszego nie mam.

– A ja tak. Idziemy do mnie na ostatni kieliszek, to będzie wyglądało naturalnie. Potem mój brat cię zabierze. Wiesz, że Bruno to niezłe ziółko? Dobrze znane miejscowej policji?

– Tak.

– A przy tym taki nieszkodliwy i niezaradny, że jak go zatrzymują za kierownicą, machają tylko ręką i każą jechać dalej. Do niewielu rzeczy się nadaje, ale potrafi prowadzić. Może cię zawieźć w nocy do Strasburga, Lille, Tuluzy, Lyonu czy gdzie indziej. Jaki kierunek najbardziej by ci odpowiadał?

– Powiedzmy, że Tuluza.

– Świetnie. Stamtąd pojedziesz pociągiem, gdzie ci będzie pasowało.

– Znakomity pomysł, Violette.

– Jeszcze tylko ubranie. Gdziekolwiek się udasz, przy założeniu, że nie chcesz, by rozpoznano w tobie paryżanina, twój strój nie będzie dobry. Wezmiesz dwa ubrania Bruna, nogawki będą przydługie, w pasie wszystko przyciasne, ale do zniesienia. I trochę krzykliwe. Nie spodoba ci się. Ciut dęte i wyzywające.

– Wulgarne?

– No, dosyć.

– To by nawet pasowało.

– I ostatnia rzecz. Odpraw Bruna zaraz po przyjeździe do Tuluzy. Nie wciągaj go w swoje kłopoty, on ma dość swoich.

– Nie zwykłem tego robić – oznajmił Danglard, myśląc równocześnie, że o mało nie spowodował śmierci Veyrenca.

– Jak ma się gołąb? – zapytała z prostotą Retancourt, wstając od stolika.

Trzydzieści pięć minut później Danglard opuszczał Paryż, leżąc na tylnym siedzeniu samochodu brata Retancourt, ubrany w garnitur z byle jakiej tkaniny, o za ciasnych rękawach. „Może pan się przespać”, powiedział Bruno. Danglard zamknął oczy, czując, że przynajmniej do Tuluzy chroni go mocarne niezawodne ramię komisarz Violette Retancourt.

## XLIII

– Jaka stonoga? – powtórzył Adamsberg po raz drugi.

Dopiero o siódmej wieczór wrócił z posterunku żandarmerii i ze szpitala. Veyrenc czekał na niego na początku dróżki prowadzącej do zajazdu i streścił mu pokrótce ostatnie wieści. Poszukiwania techników z Lisieux okazały się jałowe, krzeselko zabójcy było typowe, takie, jakich używają wszyscy wędkarze, kusza oczywiście należała do Herbiera – a zatem ten, kto ją skradł, musiał wiedzieć o jego śmierci, zanim opieczętowano dom – nie było na niej żadnych odcisków palców, Estalère i Justin wrócili do brygady, a Léo odzyskała częściowo siły, choć nadal się nie odzywała.

– Dwucentymetrowa stonoga. Na lewej łopatce u Valleraya i u Liny.

– Jakby duży owad namalowany na plecach?

– Nie chciałbym cię dręczyć jak Danglard, ale stonoga to nie owad. To skorupiak.

– Skorupiak? Znaczą jak krewetka? Krewetka bez wody?

– Owszem, to mała krewetka ziemna. Dowód: ma czternaścioro odnóży. Owady mają sześcioro odnóży. Dzięki temu zrozumiesz, że pająki, które mają ich ósmioro, też nie są owadami.

– Jaja sobie robisz? Próbujesz mi wmówić, że pająki to krewetki ziemne?

Otwierając przed nim ścieżki nauki, Veyrenc zastanawiał się równocześnie, dlaczego inspektor nie zareagował na informację, że Hippolyte i Lina są naturalnymi dziećmi Valleraya.

– Nie, to pajęczaki.

– To coś zmienia – przyznał Adamsberg, powoli ruszając dalej. – Tylko co?

– Nie bardzo zmienia sytuację stonogi. To niejadalny skorupiak, i tyle. Można się jedynie zastanawiać, co Martin z nimi robi.

– Mówię o Vallerayu. Jeśli ktoś ma takie znamię na plecach i dwie inne osoby też je mają, to wszyscy troje muszą być rodziną, tak?

– Na pewno. A opis Danglarda był dokładny. Dwa centymetry, odcień fioletowy, korpus podłużny i jakby dwa czułki w górnej części.

– No, skorupiak.

– Właśnie. Jeśli weźmiesz pod uwagę, że Valleray nie chciał się rozebrać przy ludziach, wydedukujesz, że na pewno wie o znamieniu i o tym, że ono może go zdradzić. Czyli wie, że dwoje Vendermotów to jego dzieci.

– Ale Vendermotowie tego nie wiedzą, Veyrenc. Hippo mi powiedział, i to ze szczerą nienawiścią, że jedyne, czego w życiu żałuje, to że jest synem tego śmiecia swojego ojca.



– Co oznacza, że hrabia się pilnuje, aby o niczym nie wiedzieli. Zajmował się nimi, kiedy byli mali, powierzył ich edukację Léo, dał schronienie małemu Hippowi, kiedy się zorientował, że chłopak jest w niebezpieczeństwie, ale nie zgodził się ich uznać. Zostawił ich z matką na skromne życie.

– Obawa przed skandalem, stabilność dziedzictwa. W sumie brzydko ze strony hrabiego de Valleray.

– Darzyłeś go sympatią?

– To niewłaściwe słowo. Uważałem, że jest szczerzy i zdecydowany. I wspaniałomyślny.

– A jest raczej podstępny i tchórzliwy.

– Albo przyspawany do skały przodków i nie śmie się z niej ruszyć. Jak ukwiał. Nie, proszę cię, nie mów mi, czym jest ukwiał. Mięczak, jak sądzę.

– Nie, parzydełkowiec.

– Niech będzie parzydełkowiec. Potwierdź mi tylko, że Hellebaud to ptak, i będzie dobrze.

– Ptak. Znaczy, był ptakiem. Odkąd wybrał twój but zamiast swojego środowiska naturalnego, sprawy się zmieniły.

Adamsberg wziął papierosa od Veyrenca i znów powoli ruszył dalej.

– Hrabia bardzo młodo ożenił się z Léo, ale szybko uległ naciskom klanu de Vallerayów, rozwiódł się i poślubił kobietę wysokiego rodu, wdowę z synem.

– Denis de Valleray nie jest jego synem?

– Nie. O tym wszyscy wiedzą. To syn żony, hrabia go adoptował w wieku trzech lat.

– Więcej dzieci nie mieli?

– Nie. Ludzie mówią, że hrabia jest bezpłodny, ale już wiemy, że to nieprawda. Wyobraź sobie, co by było, gdyby w Ordebecu się dowiedzieli, że miał dwoje dzieci ze służącą.

– Vendermotowa pracowała na zamku?

– Nie. Ale przez piętnaście lat pracowała w czymś w rodzaju hotelu na zamku w pobliżu Ordebecu. Jeżeli miała piersi jak Lina, musiała być czarującą dziewczyną. Mówiłem ci już o piersiach Liny?

– Tak. Nawet je widziałem. Minąłem się z nią, kiedy wychodziła z kancelarii.

– I co zrobiłeś?

– To co ty. Popatrzyłem.

– No i?

– No i masz słuszość. W człowieku wzbiera chcica.

– Na pewno właśnie w tym hotelu-zamku hrabia spotykał się z młodą Vendermotową. Efekt: dwoje dzieci. Ze strony matki hrabiemu nic nie groziło. Nie było obaw, że rozpowie wokoło, czyimi dziećmi są Hippo i Lina. Bo sądząc po tym, co nam powiedziano o starym Vendermocie, gotów był ją zabić, a może i dzieciaki razem z nią.

– Mogła wyznać prawdę po jego śmierci.

– A, to kwestia utraty czci. A ona ma swój honor.

– Czyli Valleray był spokojny. Zdradzić mogło go tylko znamię. Jest tu jakiś związek z panem Hellequinem?

– W sumie nie ma żadnego. Hrabia ma dwoje nieślubnych dzieci, i bardzo dobrze. Nie ma tu nic, co by wskazywało na powiązania z trzema morderstwami. Miałbyś opory, żeby przepaść się z kobietą, która nosi stonogę na plecach?

– W żadnym razie. Znaczy w żadnym razie, gdyby kobieta miała twarz Liny.

– Zmęczyłem się myśleniem, Louis. Posiedzę pod tą jabłonką.

– Możesz zmoknąć.

– Tak, widziałem. Chmurzy się na zachodzie.

Sam nie wiedząc dlaczego, Adamsberg postanowił spędzić część nocy na chemin de Bonneval. Przemierzył ją na całej długości, w ciemnościach nie mogąc dojrzeć ani jednej jeżyny, po czym zawrócił i przysiadł na pniu, przy którym Pasik domagał się cukru. Spędził tam ponad godzinę w bezruchu, wręcz z natężeniem wyczekując niespodziewanej wizyty pana Hellequina, który jednak nie raczył go zaszczyścić swoją obecnością. Może dlatego, że na Adamsbergu nie robiła wrażenia samotność w lesie, nie czuł się nieswojo, nie bał się, nawet kiedy się obejrzał na hałaśliwe przejście jelenia. Nawet kiedy sowa płomykówka przefrunęła niedaleko z tym szczególnym szmerem, który przypomina ludzki oddech. Miał nadzieję, że sowa jest ptakiem, jak sądził. Doszedł natomiast do przekonania, że Valleray niewiele sobą reprezentuje, co mocno go zezłościło. Autokrata, egoista nie darzący uczuciem adoptowanego syna. Uległy wobec honorowych zasad rodziny. Dlaczego jednak wobec tego postanowił ponownie poślubić Léo w wieku osiemdziesięciu ośmiu lat? Czemu miałyby służyć ta prowokacja? Dlaczego u kresu drogi, po długim życiu w uległości, zdecydował się na skandal? Hm, może właśnie po to, by ruszyć z posad to zbyt długie poddanie się innym. Bywa, że człowiek właśnie u schyłku życia podnosi kark. W takim wypadku to by wszystko zmieniało oczywiście.

Głośniejszy hałas na krótko przywrócił mu nadzieję, ciężki tupot, dyszenie. Wstał czujnie, gotów do uniku, jeśli nadciągnie długowłosa pan Hellequin. A to było jedynie stado dzików zmierzających do swojego leża. Nie, powiedział sobie Adamsberg, ruszając w drogę, on Hellequina nie obchodzi. Wielmoża sprzed wieków wołał kobiety takie jak Lina, a inspektor w pełni się z nim zgadzał.

## XLIV

– W takim wypadku to by wszystko zmieniało – oznajmił Adamsberg Veyrencowi przy śniadaniu.

Inspektor przyniósł kawę i pieczywo pod jabłoń na podwórku. Kiedy on napełniał kubki, Veyrenc ciskał drobne jabłka na jakieś cztery metry przed sobą.

– Zastanów się, Louis. Moje zdjęcie opublikowano w „Le Reportage d’Ordebec” nazajutrz po moim przyjeździe. Morderca nie mógł pomylić mnie z Danglardem. Czyli jego próbowano zabić na torach, nie mnie. Dlaczego? Bo widział stonogi. Nie ma innego wyjaśnienia.

– A kto mógł wiedzieć, że on je widział?

– Orientujesz się doskonale, że Danglard marnie udaje. Pewnie łąził po Ordebecu, gadał i brał ludzi na spytki. Musiał się zdradzić. No i mamy związek między morderstwami a stonogami. Zabójca za żadne skarby świata nie chce, żeby się wydało pochodzenie dzieci Vendermotów.

Veyrenc wymamrotał, ciskając kolejnym jabłkiem:

*Skrywaj swych potomków, owoc twego nasienia,  
Wróć pewnego dnia dla zemsty dopełnienia.*

– Chyba że hrabia już nie chce się z tym kryć. Od roku stary Valleray podnosi kark, skoro podjął decyzję, że ożeni się z Léo. Że naprawi to, co zepsuł ze słabości. Przez całe życie był posłuszny, wie o tym, teraz odkupuje swoje winy. Można sądzić, że również wobec dzieci.

– Jak? – zapytał Veyrenc, ciskając siódmym jabłkiem.

– Uwzględniając je w testamencie. Podział na troje. Jak pewne jest, że ukwiał to nie skorupiak, tak głowę dam, że Valleray dokonał zapisów na ich korzyść i Hippolyte i Lina zostaną uznani po jego śmierci.

– Wcześniej nie ma odwagi tego zrobić.

– Widać nie. Co ty wyczyniasz z tymi jabłkami?

– Celuję w mysie nory. Czemuś taki pewny tego testamentu?

– Nabrałem pewności tej nocy w lesie.

Jakby las niejako mógł mu dyktować swoje prawdy. Veyrenc wolał pominąć milczeniem typową dla Adamsberga niezborną odpowiedź.

– Czegoś szukał w lesie?

– Chciałem spędzić kawałek nocy na chemin de Bonneval. Duże rozczarowanie. To ścieżka jak każda inna. Spotkałem dziki, ryknął jelen, przeleciała płomykówka. To ptak,

prawda? Nie skorupiak, nie pająk?

– Ptak. Sowa, która dyszy jak człowiek.

– Właśnie. Czemu celujesz do mysich nor?

– Żeby grać w golfa.

– Ani razu nie trafiłeś.

– No. Twierdzisz, że jeśli Valleray uwzględnił w testamencie troje dzieci, to by wszystko zmieniło. Ale pod warunkiem, że ktoś o tym wie.

– Ktoś wie. Denis de Valleray nie lubi ojczyzna. Na pewno obserwuje go od dawna. Idę o zakład, że matka go ostrzegła, by nie dał się ograbić z dwóch trzecich majątku przez chłopskie bękarty. Zdziwiłoby mnie, gdyby nie znał testamentu ojca.

Veyrenc odłożył garść jabłek, nalał sobie drugi kubek kawy i wyciągnął rękę do Adamsberga, prosząc o cukier.

– Mam dość tych historii z cukrem – powiedział inspektor, podając mu kostkę.

– Skończyłeś z tym. Cukier Pasika doprowadził cię do cukru Christiana Clermonta, puszka się zamyka.

– Miejmy nadzieję – rzekł Adamsberg, mocno naciskając pokrywkę puszki, która się zacinała. – Trzeba spiąć gumką. Tak robi Léo, powinniśmy przestrzegać jej zwyczajów. Po powrocie musi zastać wszystko tak, jak zostawiła. Danglard już upił jej calvadosu, to dosyć. Uważam więc za pewne, że Denis nie jest skorupakiem i zna testament ojca. Może nawet od roku, odkąd zaczął się bunt hrabiego. Jego śmierć oznacza ruinę finansową i społeczną. Wicehrabia Denis de Valleray, taksator licytacyjny w Rouen, stanie się bratem dwojga wieśniaków, sześciopalcowego czubka i szajbuski z wizjami, pasierbem hrabiego, któremu odbiło.

– Chyba że wyeliminuje dzieci Vendermotów. Niełatwa decyzja.

– Z pewnych względów łatwa. Wicehrabia na pewno uważa Vendermotów za kmiotków. Myślę, że gardzi nimi spontanicznie, instynktownie. Pozbycie się ich może mu się nawet wydawać słuszne. Byłoby to niespecjalnie poważne w jego odczuciu. Nie poważniejsze niż w twoim wypadku zatykanie jabłkami mysich nor.

– Odetkam je później.

– W każdym razie o wiele mniej poważne niż utrata dwóch trzecich majątku i całego poważania wśród ludzi. Wysoka stawka.

– Masz osę na ręce.

– Owada – sprecyzował Adamsberg, przeganiając go.

– Fakt. A jeżeli Denis zna testament... o ile on istnieje... to nie tylko gardzi Vendermotami. On ich nienawidzi.

– Od roku albo dłużej. Nie wiadomo, kiedy hrabia go spisał.

– Tyle że nie Hippo i nie Lina zginęli.

– Wiem – przyznał Adamsberg, kładąc puszkę z cukrem dnem do góry, jakby jej widok

mu przeszkadzał. – To nie jest zabójca impulsywny. On rozważa, krąży. Pozbycie się Hippa i Liny jest niebezpieczne. Załóżmy, że ktoś wie o ich pochodzeniu. Skoro Danglard zdołał to przejrzeć w dwa dni, łatwo sobie wyobrazić, że inni też o tym wiedzą. Dlatego Denis się waha. Bo jeśli oboje Vendermotowie stracą życie, automatycznie zacznie się jego podejrzewać.

– Na przykład Léo mogłaby go podejrzewać. Bawiła tych dwoje w dzieciństwie, widywała się z hrabią od siedemdziesięciu lat.

– Denis rozbił jej głowę. Wobec czego ten atak nie miał nic wspólnego z jakimś odkryciem Léo. Teraz na tobie siedzi osa.

Veyrenc dmuchnął na rękę i odwrócił kubek do góry dnem, żeby resztką posłodzonej kawy nie wabiła owada.

– Też odwróć kubek – powiedział do Adamsberga.

– Nie słodziłem.

– Myślałem, że słodzisz.

– Mówiłem ci, że w tej chwili cukier mnie denerwuje. O ile cukier jest owadem. W każdym razie krąży wokół mnie jak rój os.

– Zasadniczo – skwitował Veyrenc – Denis czyha na sposobność, żeby zabić, nie narażając się na podejrzenia. I pojawia się w końcu idealna okazja, kiedy Lina doznaje wizji.

Adamsberg oparł się plecami o drzewo niemal tyłem do Veyrencia, który zajmował drugą połowę pnia. O wpół do dziesiątej słońce zaczynało już mocno przypiekać. Komisarz zapalił papierosa i nad ramieniem podał jednego inspektorowi.

– Idealna okazja – przytaknął Adamsberg. – Bo jeżeli umrą trzej „pojmani”, strach mieszkańców Ordebecu zwróci się nieuchronnie przeciwko Vendermotom. Przeciwno Linie odpowiedzialnej za wizję, łączniczce między żywymi a umarłymi. Ale też przeciwko Hippowi, o którym powszechnie wiadomo, że miał sześć diabelskich palców. W takim kontekście zamordowanie dwojga Vendermotów nikogo by nie zdziwiło i podejrzana mogłaby być połowa mieszkańców. Tak samo jak w tysiąc siedemset którymś tam roku wieśniacy zaciukali widłami niejakiego Benjamina, bo opisał „pojmany”. Żeby zakończyć hekatombę, tłum go zamordował.

– Ale nie jesteśmy w osiemnastym wieku, metoda będzie inna. Nikt nie wypruje flaków Linie ani Hippowi na rynku, dokona się to dyskretniej.

– Denis morduje więc Herbiera, Glayeux i Mortembota. Z wyjątkiem Herbiera robi to na dawną modłę, mniej więcej zgodnie z rytuałem, żeby wzmóc strach ludu. Nawet dość to pasuje do faceta, który należy do klubu starannie wyselekcjonowanych kuszników.

– To pierwsze, co należy sprawdzić – przyznał Veyrenc, ciskając dwudziestym jabłkiem.

– Przestań z tym golfem. Na siedząco nie masz szans dobrze wycelować. A ponieważ te trzy ofiary to notoryczne łajdaki, bez wątplenia mordercy, Denis poświęca ich bez specjalnych skrupułów.

– Co oznacza, że w tej chwili, kiedy tak sobie rozmawiamy, Lina i Hippo są bezpośrednio zagrożeni.

– Nie wcześniej jak w nocy.

– Zdajesz sobie sprawę, że teraz wszystko się opiera na fioletowej stonodze?

– Możemy popracować nad alibi Denisa.

– Zbliżysz się do gościa na taką samą odległość, na jaką zbliżyłeś się do Clermontów.

Przez długą chwilę siedzieli w milczeniu, po czym Veyrenc jednym rzutem cisnął cały zapas jabłek i zaczął ustawiać naczynia na tacy.

– Popatrz – odezwał się cicho Adamsberg, łapiąc go za rękę. – Hellebaud wychodzi.

Faktycznie gołąb oddalił się na jakieś dwa metry od drzwi.

– Tak daleko rozsypałeś ziarno? – zapytał Veyrenc.

– Nie.

– Czyli z własnej woli szuka owadów.

– Owadów, skorupiaków, stawonogów.

– Ano.

## XLV

Kapitan Émeri w poruszeniu słuchał Adamsberga i Veyrenca. Nigdy nie widział tego znamienia, nigdy nie doszły go pogłoski, jakoby młodzi Vendermotowie byli dziećmi Valleraya.

– Że bzykał na prawo i lewo, wiedzieli wszyscy. Tak jak o tym, że żona go nienawidziła i nastawiła młodego przeciwko niemu.

– Każdy też wie, że później jego żona również się nie krępowała – dodał Blériot.

– Nie musicie wszystkiego wywlekać, brygadierze. I bez tego mamy trudną sytuację.

– O nie, Émeri, trzeba wywlec wszystko – zaproponował Adamsberg. – Jest ten skorupiak, a jego nie można wymazać.

– Jaki skorupiak? – zdumiał się Émeri.

– Stonoga – wyjaśnił Veyrenc. – To skorupiak.

– A co nas to kurde obchodzi? – uniósł się Émeri, nagle zrywając się na nogi. – Nie sterczcie tak, Blériot, zróbcie nam kawy. Uprzedzam cię, Adamsberg, i zapamiętaj to sobie: wykluczam choćby najbliższe podejrzenia wobec Denisa de Valleraya. Słyszysz? Wykluczam.

– Bo jest wicehrabią.

– Nie obrażaj mnie. Zapominasz, że szlachta cesarstwa nie miała nic wspólnego z arystokracją.

– To dlaczego?

– Bo twoja historyjka nie ma sensu. Żeby ktoś zabijał trzech ludzi tylko po to, by pozbyć się Vendermotów, też coś!

– Ależ to ma sens.

– Nie, Denis musiałby całkiem zdurnieć albo łaknąć krwi. Znam go, nie jest ani taki, ani taki. Jest przebiegłym ambitnym oportunistą.

– Zadowolonym z siebie wyniosłym światowcem.

– To też. Ale to także ostrożny podszyty tchórzem leń, który ma problem z podejmowaniem decyzji. Idziesz złym tropem. Denis w życiu by się nie sprężył na tyle, żeby palnąć Herbierowi prosto w twarz, porąbać Glayeux siekierą czy strzelić bełtem do Mortembota. Szukamy zuchwałego czubka, Adamsberg. A dobrze wiesz, gdzie w Ordebecu szukać zuchwałych czubków. Skąd wiesz, czy nie jest odwrotnie? Skąd wiesz, że nie Hippo załatwił tych trzech, a teraz przymierza się do napaści na Denisa de Valleraya?

Blériot postawił tacę na stole, na chybcika rozstawił cztery kubki, byle jak, zupełnie inaczej niż Estalère. Émeri wziął jeden, nie siadając, puścił w obieg cukier.

- No? Skąd wiesz? – podjął.
- O tym nie pomyślałem – przyznał Adamsberg. – To by mogło pasować.
- I pasuje, nawet bardzo dobrze. Wyobraź sobie, że Hippo i Lina wiedzą o pokrewieństwie, znają testament. Możliwe, nie?
- Owszem – zgodził się Adamsberg, gestem zdecydowanie dziękując za cukier, który podsuwał mu Émeri.
- Wtedy twoje rozumowanie jest całkiem słuszne, tyle że w przeciwnym kierunku. Oni jak najbardziej mają interes w tym, żeby wyeliminować Denisa. Ale po otwarciu testamentu będą pierwszymi podejrzanymi. No więc Lina wymyśla wizję, ale nie podaje, kto będzie czwartą ofiarą.
- W porządku – przytaknął Adamsberg.
- A czwartą ofiarą ma być Denis de Valleray.
- Nie, Émeri, to nie pasuje. W takiej sytuacji Vendermotowie wcale by nie byli poza podejrzeniem. Przeciwnie.
- Niby czemu?
- Bo trzeba by wierzyć, że tych czterech zabił Hufiec Hellequina. Czyli znowu wracalibyśmy do Vendermotów.
- Cholera! – zaklął Émeri, odstawiając kubek. – To wymyśl coś innego.
- Najpierw trzeba sprawdzić, czy Denis de Valleray strzela z kuszy – odezwał się Veyrenc, który przyniósł małe zielone jabłko i turlał je na dłoni.
- Rozeznałeś się w okolicznych klubach sportowych?
- Sporo ich jest – wyznał niechętnie Émeri. – Jedenaście w regionie, pięć w samym departamencie.
- Któryś jest elegantszy?
- Towarzystwo Marchijskie w Quitteuil-sur-Touques. Trzeba mieć dwóch członków wprowadzających, żeby cię przyjęli.
- Super. Dowiedz się, czy Denis jest członkiem.
- Niby jak? W życiu nie udzielę tej informacji. Takie kluby chronią swoich członków. A nie zamierzam mówić, że żandarmeria wszczyna dochodzenie przeciwko wicehrabiemu.
- Faktycznie byłoby za wcześnie.
- Émeri krążył po pomieszczeniu sztywno wyprostowany, z rękami założonymi z tyłu, ze ściągniętą twarzą.
- No dobra – rzekł po chwili pod wyczekującym spojrzeniem Adamsberga. – Zablefuję. Wyjdźcie wszyscy, nie cierpię kłamać przy świadkach.

Dziesięć minut później kapitan otworzył drzwi i gwałtownym gestem dał znak, że mogą wejść.



– Podałem się za François de Rocheterre’a. Wyjaśniłem, że wicehrabia de Valleray zgodził się wprowadzić mnie do klubu. Zapytałem, czy wymagają dwóch członków wprowadzających, czy wystarczy może sama rekomendacja wicehrabiego.

– Świetnie – pochwalił Blériot.

– Zapomnijcie o tym, brygadierze. Przywykłem pracować bez podstępów, nie lubię takiego kombinowania.

– I co? – zapytał Adamsberg.

Émeri westchnął.

– Tak. Valleray należy do klubu. I jest dobrym strzelcem. Ale nigdy nie zgodził się na udział w zawodach Ligi Normandzkiej.

– Pewnie zbyt pospolite – zauważył Veyrenc.

– A jak!... Ale mamy problem. Sekretarz klubu był bardzo gadatliwy. Nie żeby tak bardzo chciał mnie informować, tylko mnie sprawdzał. Był nieufny, dają głowę. Co oznacza, że Towarzystwo Marchijskie może zadzwonić do Denisa z pytaniem, czy to prawda, że zna niejakiego François de Rocheterre’a. I Denis się połapie, że ktoś pod fałszywym nazwiskiem wypytuje o niego.

– A ściślej mówiąc, o jego umiejętności kuszniaka.

– Właśnie. Z Denisa geniusz nie jest, ale raz-dwa załapie, że podejrzewa się go o zamordowanie Mortembota. Albo policja, albo ktoś inny. Będzie się miał na baczności.

– Albo szybciotko dokończy dzieła. Załatwi Hippa i Linę.

– Śmieszne – stwierdził Émeri.

– Denis ma wszystko do stracenia – upierał się Adamsberg. – Zastanów się nad tym poważnie. Najlepiej byłoby postawić czujkę pod zamkiem.

– Mowy nie ma! Zaraz będę miał na karku hrabiego i wice-hrabiego, czyli całą górę. Nieuzasadniona obserwacja, oszczercze podejrzenia, uchybienie zawodowe.

– Fakt – przyznał Veyrenc.

– No to pilnujemy domu Vendermotów. Ale to dużo mniej pewne. Możesz znowu ściągnąć tu Fauchera?

– Tak.

– Nie trzeba wcześniej, wystarczy, jak całkiem się ściemni. Zaczynamy o dziesiątej wieczór, kończymy o szóstej rano. Osiem godzin wartowania, damy radę.

– Doskonale – przyznał Émeri, który nagle wydał się bardzo zmęczony. – Gdzie się podział Danglard?

– Nie mógł się pozbierać. Wrócił do domu.

– Czyli zostaliście we dwóch.

– Wystarczy. Bierzesz wachtę od dziesiątej do drugiej nad ranem, potem ja i Veyrenc zmienimy cię. Mamy czas skoczyć wcześniej na kolację do Dzika.

– Nie, zrobimy odwrotnie. Biorę z Fauchurem drugą wachtę, od drugiej do szóstej.

Jestem padnięty, prześpię się najpierw.

## XLVI

Trzy dni wcześniej Adamsberg przyniósł do szpitala książkę z biblioteczki Léo. Co dzień czytał staruszkę, po czym sadowił się na łóżku podparty łokciem i czytał jej około dwudziestu stron. Był to dawny romans, który szczegółowo przedstawiał perypetie szalonej miłości z góry skazanej na nieszczęśliwe zakończenie. Historia raczej niezbyt interesowała staruszkę, która jednak często się wtedy uśmiechała, poruszając głową i palcami podczas lektury, jakby słuchała piosenki, a nie powieści. Tego dnia Adamsberg umyślnie przyniósł inną książkę. Przeczytał bardzo techniczny rozdział na temat żrebiecia się kłaczy i Léo tańczyła tak samo. Tak samo też zachowywała się pielęgniarka, która nie pomijała półgodzinnego czytania na głos i której zmiana tematu jakby w ogóle nie wzruszyła. Adamsberg zaczynał się martwić tym stanem niemal błogiego spokoju, znał przecież zupełnie inną Léo, gadatliwą, bezpośrednią, trochę zgryźliwą i brutalną. Doktor Anchois, pokładający w koledze po fachu Hellebaudzie niesłabnącą wiarę, którą inspektor zaczynał tracić, po raz kolejny zapewnił go, że proces zdrowienia przebiega dokładnie tak, jak opisywał osteopata, a poprzedniego dnia otrzymał zgodę na telefoniczną rozmowę z nim w jego „domu we Fleury”. Léone była w pełni zdolna mówić i myśleć, lecz jej podświadomość przy pomocy lekarza zawiesiła czasowo te dwie funkcje, pozwalając jej ukryć się w zbawczym schronieniu, i trzeba będzie jeszcze kilku dni, zanim podniosą się kraty izolujące.

- To dopiero tydzień – powiedział Anchois. – Proszę dać jej czas.
- Nic jej nie mówiliście o Mortembocie?
- Ani słowa. Trzymamy się poleceń. Czytał pan wczorajszą gazetę?
- Artykuł o paryskich gliniarzach, którzy nic nie kumają?
- No, mniej więcej.
- Mają słuszność. Dwie ofiary, odkąd tu przyjechałem.
- Ale też dwie osoby uratowane. Léone i komendant.
- Ratowanie to nie łapanie przestępcy, doktorze.

Anchois współczująco rozłożył ręce.

– Lekarz nie zdiagnozuje choroby bez objawów, a policjant nie schwyta mordercy bez śladów. Pański zabójca to człowiek bezobjawowy. Nie zostawia ani śladu, porusza się jak duch. To nienormalne, inspektorze, nienormalne. Valleray też tak uważa.

- Ojciec czy syn?
- Ojciec oczywiście. Denis gwizdże na to, co się tutaj dzieje.
- Dobrze go pan zna?

– Tak sobie. W mieście rzadko się widujemy. Ale dwa razy do roku hrabia wydaje kolację dla notabli i jestem na nią zapraszany. Niezbyt zabawna, ale wymówić się nie da. Za to jedzenie pyszne. Ma pan wicehrabiego na celowniku?

– Nie.

– I dobrze. On nigdy by się nie pokusił o zabicie kogoś, a wie pan dlaczego? Bo musiałby podjąć decyzję, a do tego jest niezdolny. Nawet żony nie wybrał sobie osobiście, więc sam pan widzi. Znaczący, tak ludzie mówią.

– Jeszcze o tym pogadamy, doktorze, jeśli znajdzie pan chwilę.

Hippolyte przed domem rozwieszał pranie na niebieskim sznurku rozciągniętym między dwiema jabłnkami. Adamsberg go obserwował: strzepnął sukienkę siostry, żeby się rozprostowała, po czym starannie ją powiesił. Nie było mowy, żeby mu teraz wyklądać wprost sprawę nowego pokrewieństwa. Chwilowo to by wywołało gwałtowne nieprzewidywalne skutki, a morderca był zbyt chyży i ruchliwy, żeby dokładać nowe elementy do sytuacji, nad którą nie było kontroli. Hippolyte przerwał zajęcie, zauważywszy nadchodzącego Adamsberga, i machinalnie potarł krawędź prawej dłoni.

– Suwres, inspektorze.

– Serwus – odpowiedział Adamsberg. – Boli pana?

– To nic, tylko ten brakujący palec. Rwie przed deszczem. Od zachodu pogoda się psuje.

– Pogoda już jakiś czas psuje się od zachodu.

– Dziś to pewne – rzekł Hippo, wracając do pracy. – Będzie padało, i to porządnie. Mocno mnie rwie.

Adamsberg z wahaniem przetarł dłonią twarz. Émeri nie omieszkałby wysunąć przypuszczenia, że ból wcale nie jest skutkiem odcięcia palca, tylko mocnego uderzenia, które wymierzył Danglardowi kantem dłoni.

– A w lewej ręce nie rwie?

– Czasem rwie w jednej, czasem w drugiej, a czasem w obu. Nie ma reguły.

Inteligencja ponadprzeciętna, umysłowość wybitna, zachowanie nieprzychylnie. Gdyby Adamsberg nie przejął tego dochodzenia, Émeri już by zapuszkował Hippa. Hippa wcielającego w życie wizję siostry, mordującego pojmanych, a przy okazji eliminującego dziedzica Valleraya.

Hippo był spokojny, strzepywał właśnie jedną z kwiecistych bluzek Liny, co natychmiast przed oczy Adamsberga sprowadziło obraz jej piersi.

– Co dzień zmienia ciuchy, można oszaleć, ile z tego dodatkowej roboty.

– Hippo, będziemy pilnowali waszego domu tej nocy. Przyszedłem, żeby o tym uprzedzić. Jeżeli zobaczycie na zewnątrz dwóch facetów, nie strzelajcie. Ja z Veyrenkiem od dziesiątej do drugiej. Zmieniają nas Émeri i Faucheur, którzy postoją do rana.

- Dlaczego? – zapytał Hippo, wzruszywszy ramionami.
- Mamy już trzech nieboszczyków. Matka słusznie się o was boi. Kiedy tu szedłem, widziałem nowy napis na ścianie magazynu: „Śmierć wszystkim V.”.
- O byle co może chodzić – rzekł Hippo z uśmiechem.
- Albo o Vendermotów. O tych, przez których nadchodzi burza.
- I co by dało zabicie nas?
- Przełamałoby klątwę.
- Brednie. Już panu mówiłem, że nikt nie ośmieli się nas tknąć. A w pilnowanie nie wierzę. Dowód: Mortembot nie żyje. Nie chcę być złośliwy, ale nie przydaliście się do niczego. Krążyliście jak te osły dookoła jego domu i pod waszym nosem go zatłukł. Może mi pan pomóc?
- Hippolyte prostodusznie podał Adamsbergowi jeden koniec prześcieradła i we dwóch roztrzepali je w ciepłym powietrzu.
- Morderca – podjął Hippo, dając inspektorowi dwie klamerki do przypięcia pościeli – siedział sobie wygodnie na składanym krzeselku, a później musiał mieć niezły ubaw. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby gliniarz zapobiegł morderstwu. Jeśli facet się zawezmie, prze naprzód jak spłoszony koń. Kiedy spotka przeszkodę, to ją przeskakuje i już. A ten zawziął się jak nie wiem co. Żeby zrzucić człowieka na tory, trzeba mieć cholernie zimną krew. Wie pan, czemu zaatakował pańskiego kolegę?
- Jeszcze nie – odparł Adamsberg, w którym odezwała się czujność. – Zdaje się, że wziął go za mnie.
- Brednie – powtórzył Hippo. – Ktoś taki nie pomyli celu. Pan uważa w nocy na tej warcie.
- Zabijanie gliniarzy nigdy się nie opłacało. Jesteśmy jak osty: zawsze odrastamy.
- Fakt, ale ten gość lubi krew. Siekiera, kusza, pociąg... ohyda. Broń palna jest czystsza, nie?
- Nie bardzo. Herbier miał roztrzaskaną głowę. Poza tym robi hałas.
- Słuszna uwaga – przyznał Hippo, drapiąc się po karku. – A on jak duch: ani go widzieli, ani słyszeli.
- Tak mówi Anchois.
- Choć raz się nie myli. Pilnujcie nas, skoro tak wam pasuje, inspektorze. Przynajmniej matka będzie spokojniejsza. Chodzi cała roztrzęsiona. A musi się zajmować Liną.
- Chora jest?
- Na to – rzekł Hippo, wskazując swoją głowę. – Kiedy Lina zobaczyła hufiec, tak nią to wstrząsnęło, że nie może się pozbierać. Od czasu do czasu ma atak.

Nieco przed dwudziestą pierwszą Pod Biegnącym Dzikiem zadzwonił telefon. Danglard.

Adamsberg podniósł się z niejaką obawą. Wolno ruszył w stronę aparatu, zastanawiając się, jak zaszyfrować tę rozmowę. Do gier słownych zupełnie nie miał talentu.

– Możesz uspokoić nadawcę – powiedział Danglerd. – Znalazłem obie paczki w przechowalni. Klucz pasował.

Ufff, odetchnął Adamsberg z ulgą. Danglerd dopadł Zerka i Mo, byli w Esteponie.

– Bardzo zniszczone?

– Papier pognieciony, sznurki trochę przetarte, ale da się wytrzymać.

Ufff, powtórzył w duchu Adamsberg. Chłopaki zmęczone, ale w dobrej formie.

– Co z nimi zrobić? – zapytał Danglerd. – Mam odesłać do nadawcy?

– Jeśli to nie kłopot, przechowaj je jeszcze u siebie. Nie mam żadnych wieści z sortowni.

– To dość uciążliwe. Gdzie mam je trzymać?

– Nie mój problem. Jesz kolację?

– Jeszcze nie.

– Na aperitif dobra pora? To wypij porto za moje zdrowie.

– Nie biorę tego do ust.

– Ale ja je lubię. Wypij.

Aha, rzekł sobie Danglerd. Niezbyt wyrefinowane, ale niegłupie. Adamsberg prosił, żeby zawiózł chłopców do Porto, czyli w kierunku przeciwnym, niż dotąd zmierzali. I nie było żadnych wieści od Retancourt wążającej wokół Clermontów-Brasseurów. Za wcześnie więc, by przewozić chłopaków przez granicę.

– A jak w Ordebecu? Drgnęło coś?

– Na razie przestój. Może dziś w nocy coś się wyjaśni.

Adamsberg wrócił do stołu, przy którym siedział z Veyrenkiem, i dojadł niemal zupełnie wystygłe mięso. Nagle ścianami restauracji wstrząsnął grzmot.

– Chmury na zachodzie – mruknął Adamsberg, unosząc widelec.

Nocne czuwanie podjęli w ulewie i pośród huku piorunów. Adamsberg wystawił twarz na strugi deszczu. W takich chwilach podczas burzy, i tylko wtedy, czuł się po części połączony z masą energii, która eksplodowała tam, w górze, bez powodu, bez celu, powodowana jedynie przemożną potrzebą okazania fantastycznej bezużytecznej mocy. Mocy, której w ostatnich dniach osobliwie mu brakowało, mocy pozostającej w całości w rękach przeciwnika. I która wreszcie tego wieczoru łaskawie spływała na niego.

## XLVII

Ziemia rankiem jeszcze była mokra, toteż Adamsberg, siedząc pod śniadaniową jabłonią, puszkę z cukrem umieściwszy za sobą, czuł, jak spodnie nasiąkają mu wilgocią. Palcami u bosych stóp chwycił i wyrwał źdźbła traw. Temperatura spadła o co najmniej dziesięć stopni, niebo było zaciągnięte, lecz dzielna poranna osa wróciła do niego. Hellebaud dziobał coś w odległości czterech metrów od drzwi, co stanowiło znaczący postęp. Żadnego natomiast postępu nie odnotowali w odniesieniu do widma mordercy, cała noc upłynęła spokojnie.

Zobaczył tęgiego Blériota, który ile sił w nogach zmierzał w jego kierunku.

– Poczta przepelniona – oznajmił, dysząc, kiedy do niego dotarł.

– Proszę?

– Poczte głosową ma pan zapchaną. Nie mogłem się dodzwonić.

Pod oczami miał ciemne podkowy, był nieogolony.

– Co się dzieje, brygadierze?

– Nie było ryzyka, że Denis de Valleray przyjdzie w nocy ukatrupić Vendermotów. On nie żyje, inspektorze. Niech pan się pospieszy, wzywają pana na zamek.

– Jak zginął? – krzyknął Adamsberg, biegnąc boso do swojego pokoju.

– Zabił się, rzucił się z okna – odkrzyknął Blériot i poczuł zażenowanie, bo takich informacji nie obwieszcza się gromkim głosem.

Adamsberg nie tracił czasu na przebranie się w czyste spodnie, złapał telefon, gołe nogi wsunął w pierwsze lepsze buty i pognał obudzić Veyrenca. Cztery minuty później wsiadał do starego wozu brygadiera.

– No, Blériot, mówcie. Co wiadomo?

– Hrabia odkrył zwłoki Denisa pięć po ósmej, zadzwonił do Émeriego. Kapitan pojechał bez pana, bo nie dało się dodzwonić. A mnie przysłał po pana.

Adamsberg zacisnął usta. Po powrocie z nocnego czuwania on i Veyrenc wyłączyli komórki, by swobodnie podsumować sprawę zbiegów. A potem zapomniał włożyć baterię przed zaśnięciem. Ponieważ ostatnio traktował telefon jak osobistego wroga – i słusznie – nie zwracał później na niego uwagi.

– Co mówi?

– Że Denis de Valleray się zabił, bez cienia wątpliwości. Zwłoki z daleka zalatują whisky. Émeri mówi, że wicehrabia schlał się na umór, żeby dodać sobie odwagi. Ja tam nie jestem taki pewny. Bo wicehrabia się pochorował, wychylił się i rzygał za okno. Mieszka na drugim piętrze, podwórze w dole jest brukowane.

– Mógł wylecieć przypadkiem?

– Tak. W zamkowych oknach balustrady są bardzo niskie. Ale że dwa opakowania środków uspokajających są prawie puste, a tabletki nasenne otwarte, kapitan uważa, że chciał się zabić.

– O której?

– Koło północy, pierwszej rano. Choć raz lekarka sądowa przyjechała szybko i technicy też. Jak chodzi o wicehrabiego, zawsze się szybciej ruszają.

– Zążywał dużo lekarstw?

– Sam pan zobaczy, cały stolik nocny zastawiony lekami.

– Dużo pił?

– Podobno. Ale nigdy tyle, żeby się spić albo pochorować. Gorzej – ciągnął Blériot z grymasem na twarzy – że Émeri twierdzi, że Denis by się nie zabił, gdyby pan nie zaczął węszyć w tym jego klubie kuszniczym.

– Niby że to moja wina?

– Tak jakby. Bo wczoraj wieczorem sekretarz stowarzyszenia przyjechał na zamek na aperitif.

– Nie zwlekali.

– Ale później, na kolacji, Denis nie wyglądał na jakiegoś strutego. Tyle że w tej rodzinie tak naprawdę nikt na nikogo nie zwraca uwagi. Każdy siedzi nad swoim talerzem przy wielkim stole, zamieniają dwa słowa na krzyż. Innych świadków brak, jego żona jest w tej chwili w Niemczech z dziećmi.

– Émeri pewnie uznał też, że skoro wicehrabia się zabił, to faktycznie był winny.

– Tak mówi. Zna pan trochę kapitana. Najpierw miota pioruny, jak to potomek marszałka, i zaraz złość z niego opada. Mówi tylko, że mógł się pan zabrać do tego inaczej. Delikatniej, zgromadzić dowody i wziąć Denisa pod obserwację. Przy takim postępowaniu nie odebrałyby sobie życia.

– Za to dostałby dożywocie, a jego morderstwa wyszłyby na jaw. Właśnie tego nie chciał. A hrabia jak?

– Zszokowany, zamknął się w bibliotece. Ale nie rozpacza. Ci dwaj nie mogli się znieść.

Adamsberg złapał Émeriego przez komórkę, kiedy był w odległości dwóch kilometrów od zamku.

– Mam kwit – rzekł kapitan twardym głosem.

– Jaki kwit?

– No ten twój pieprzony testament, do licha. Zgadza się, dwoje młodych Vendermotów dziedziczy, każde po jednej trzeciej. Jedyna korzyść dla Denisa, że zatrzymuje zamek.

– Rozmawiałeś o tym z hrabią?

– Nic nie można z niego wyciągnąć, zrobił się ostry jak diament. Myślę, że nie wie, jak zapanować nad sytuacją.



- A co do morderstw popełnionych przez Denisa?
- Odrzuca wszystko hurtem. Przyznaje, że nie darzył pasierba sympatią, i ze wzajemnością. Ale twierdzi, że Denis nie mógł zabić trzech ludzi ani poturbować Léo, ani zepchnąć Danglarda na tory.
- Dlaczego?
- Zna go od trzeciego roku życia. Trzyma się swojej wersji jak pijany płotu. Strach przed skandalem, rozumiesz.
- A jaka jest jego wersja?
- Że Denis chlał do utraty przytomności z powodów osobistych, o których nic nie wiadomo. Że zrobiło mu się niedobrze, więc wychylił się przez okno, by zwymiotować. Że okno było otwarte, żeby weszło chłodniejsze powietrze po burzy. Że zawróciło mu się w głowie i spadł.
- A ty jak myślisz?
- Tak samo jak ty. Zaalarmowała go wizyta sekretarza stowarzyszenia. Zaaplikował sobie mieszaninę leków i alkoholu i przez to umarł. Ale nie tak, jak sobie umyślił. Nie stracił świadomości we własnym łóżku. Zatoczył się do okna, wychylił się, żeby zwymiotować, i wypadł.
- Badania wyjaśnią wszystko. Jak ci się udało wydostać testament od hrabiego?
- Przycisnąłem go. Powiedziałem, że znam jego treść. Był załatwiony. Paskudna robota, Adamsberg, ohydna. Nieczysta, podła.

Adamsberg obejrzał roztrzaskaną głowę wicehrabiego, ocenił, jak wysoko jest okno, jak niska balustrada, gdzie leżało ciało, wymiociny na ziemi. Wicehrabia faktycznie wypadł z okna swojej sypialni. W rozległym pomieszczeniu butelka whisky leżała na dywanie, a przy łóżku stały otwarte trzy buteleczki z lekami.

– Uspokajające, przeciwlękowe i nasenne – rzekł Émeri, wskazując kolejno buteleczki. – Leżał na łóżku, kiedy je zażył.

– Widzę – powiedział Adamsberg, wskazując ślady wymiotów: jeden na pościeli, drugi na podłodze dwadzieścia centymetrów od okna, ostatni na poręczy. – Kiedy zrobiło mu się niedobrze, był dość przytomny, żeby pobiec do okna. Kwestia godności.

Adamsberg usiadł w fotelu z boku, kiedy dwaj technicy rozkładali się w pokoju. Tak, wypytywanie z jego polecenia w klubie strzeleckim przyczyniło się do samobójstwa Valleraya. I owszem, wicehrabia po trzech zabójstwach i dwóch usiłowaniach zabójstwa wybrał własne wyjście. Adamsbergowi stanęła przed oczami jego głowa roztrzaskana na bruku podwórza. Nie, Denis de Valleray nie miał ani budowy, ani wyglądu zapamiętałego mordercy. Nie było w nim nic dzikiego ani deprymującego, był człowiekiem wycofanym

i wyciszonym, co najwyżej szorstkim. Zrobił to jednak. Strzelbą, siekierą, kuszą. Dopiero w tej chwili Adamsberg uzmysłowił sobie, że zakończyła się sprawa ordebecka. Że rozproszone wydarzenia, dotąd w stanie stagnacji, nagle się zapętlily, jakby ktoś jednym ruchem zasunął wielką torbę. Jakby chmury na zachodzie zrzuciły nadmiar wilgoci. Uzmysłowił sobie również, że pójdzie odwiedzić Léo po raz ostatni, że przeczyta jej kolejny kawałek romansu albo tej książki o ciężarnych klaczach. Po raz ostatni zobaczy Vendermotów, Anchois, hrabiego, Pasika, po raz ostatni zawiesi wzrok na piersiach Liny, po raz ostatni umości się w zagłębieniu wełnianego materaca, usiądzie pod pochyloną jabłonią. Na myśl o tym, że wszystko to odchodzi w przeszłość, ogarnęło go niemiłe poczucie nieprzydatności. Równie lekkie jak palec Zerka na piórach gołębia. Jutro zabierze Hellebauda do miasta, jutro pojedzie z powrotem do Paryża. Widmo Dzikiego Hufca zniknęło, pan Hellequin wracał w strefę mroku. Wypełniwszy ostatecznie – co Adamsberg uświadomił sobie z zawodem – całą swoją misję. Nie da się pokonać pana Hellequina. Wszyscy tak utrzymywali i wieszczyl i jak się okazało, była to prawda. Ten rok zostanie dodany jako pamiętny w annałach ponurej legendy Ordebecu. Czterech pojmanych, cztery trupy. On, Adamsberg, zdołał tylko zapobiec interwencji ludzi, uratował przynajmniej Hippa i Linę przed nadzianiem na widły.

Lekarka sądowa bez ceregieli szarpnęła go za ramię, by zwrócić na siebie uwagę.

– Przepraszam – powiedział Adamsberg. – Nie widziałem, kiedy pani weszła.

– To nie wypadek – oznajmiła. – Testy to potwierdzą, ale badanie wstępne wskazuje na zażycie śmiertelnej dawki benzodiazepin, a zwłaszcza neuroleptyków. Gdyby nie wyleciał z okna, prawdopodobnie umarłby od tego. Samobójstwo.

– Na to wygląda – potwierdził jeden z techników, podchodząc do nich. – Mam tylko jeden rodzaj odcisków palców, na pierwszy rzut oka należą do ofiary.

– Co się stało? – spytała lekarka. – Wiem, że jego żona postanowiła zamieszkać w Niemczech z synami, ale to małżeństwo od lat było wirtualne.

– Dowiedział się, że został przejrany – wyjaśnił Adamsberg ze znużeniem w głosie.

– Chodzi o pieniądze? Zrujnował się?

– Nie, o śledztwo. Zabił trzech ludzi, o mało nie zabił czwartego i starej Léone, zamierzał zamordować jeszcze dwoje. Albo czworo. Albo pięcioro.

– On? – upewniła się lekarka, kierując wzrok na okno.

– Dziwi to panią?

– Jeszcze jak. To był straszny niezguła.

– To znaczy?

– Mniej więcej raz w miesiącu jeżdżę próbować szczęścia w kasynie w Deauville. Właśnie tam go spotykałam. Właściwie nigdy z nim nie rozmawiałam, ale o człowieku można się dużo dowiedzieć, obserwując go przy zielonym stole. Decyzje podejmował z wahaniem, pytał o radę, hamował cały stół w sposób, który doprowadzał wszystkich do

rozpaczy, a potem obstawiał nisko. Nie był ryzykantem, nie należał do wygrywających, grał bojaźliwie i potrzebował wsparcia. Trudno sobie wyobrazić, że realizowałby własny pomysł. A tym bardziej tak okrutny. Żył tylko dzięki wsparciu i korzyściom płynącym z pozycji, prestiżu, koneksji. To było jego zabezpieczenie, siatka. Wie pan, taka, jakiej używają akrobaci, którzy ćwiczą na trapezach.

– A gdyby ta siatka się zerwała?

– W takim wypadku roztrzaskałby się na ziemi. Nie miał zabezpieczeń zastępczych. Znaczących, które ma się w sobie. Miała się zerwać?

– Tak.

– W takim razie wszystko jest oczywiście możliwe – rzekła lekarka na odchodnym. – Kiedy włącza się alarm o zagrożeniu życia, ludzka odpowiedź jest nieprzewidywalna i piorunująca.

Adamsberg zapamiętał to zdanie, on nigdy by tego nie ujął w taki sposób. To może mu się przydać, by uspokoić hrabiego. Piorunujące morderstwa, nieprzewidywalne samobójstwo, nie wolno zapędzać zwierzęcia w kozi róg, choćby było nie wiadomo jak światowe i ułożone. O tym wie każdy, są jednak różne sposoby, aby to wyrazić.

Mrucząc coś do siebie, szedł na dół głównymi dębowymi schodami wypastowanymi na błysk i złapał się za telefon, który mu zawibrował w tylnej kieszeni. W kontakcie z wyschniętym błotem przypomniał sobie, że nie zadbał o to, by zmienić spodnie na czyste. Przystanął przed drzwiami biblioteki, czytając wiadomość od Retancourt:

Na przednim lewym zagłowku 6 obcietych włosów, na marynarce wiecz. garnituru 2.  
Pokojowka potwierdza obcięcie włosów i cukier smierdzący benzyna.

Adamsberg zacisnął palce na aparacie ogarnięty poczuciem dziecięcej niepokojącej mocy, której doświadczył poprzedniego dnia podczas burzy. Radością pierwotną, dziką, barbarzyńską, triumfem nad kolosami. Odetchnął powoli dwa razy, przejechał dłonią po twarzy, aby zetrzeć z niej uśmiech, i zapukał do drzwi. Kiedy czekał na zaproszenie hrabiego, które padło rzucone gniewnym głosem przy akompaniamencie stuknięcia laską o podłogę, słowa lekarki wyleciały mu zupełnie z głowy, zatoneły w mętnych wodach jego umysłu.

## XLVIII

Odwiedził Léo, przeczytał jej rozdział na temat porodów bliźniaczych u koniowatych, pocałował staruszkę w policzek, powiedział: „Wróć”, i pożegnał się z doktorem Anchois. Zaszedł do Vendermotów, przeszkodził braciom, którzy rozwieszali hamak na podwórku, i wykazując się powściągliwością w słowach, przedstawił im, jak się sprawa zakończyła, przy czym nawet nie napomknął o kluczowej kwestii ojcostwa hrabiego de Valleraya. To pozostawił do wyjaśnienia Léo albo samemu hrabiemu, jeżeli kiedyś zbierze się na odwagę. Wzburzenie Valleraya zaczynało już opadać, lecz Adamsberg powątpiewał, czy po wstrząsie, jakiego doświadczone na zamku, hrabia podtrzyma zuchowate postanowienie poślubienia młodzieńczej miłości. Nazajutrz krajowe media zaczną roztrząsać zbrodnie wicehrabiego i węszyć jak najbliżej strugi krwi, która wiedzie prosto do zamku.

Konferencja prasowa miała się odbyć następnego dnia o dziewiątej – cały splendor Adamsberg pozostawiał kapitanowi Émeriemu, odwzajemniając się w ten sposób za współpracę mniej więcej bezkonfliktową. Émeri, który przepadał za składaniem oświadczeń i sztywnymi paradami, żywo mu za to dziękował, nie domyślając się, że Adamsberg jest cały szczęśliwy, mogąc tego uniknąć. Émeri nalegał, by uczcić zakończenie śledztwa drinkiem w jego empirowej jadalni wraz z Veyrenkiem, Blériotem i Fauchurem. Blériot pokroił kielbasę, Faucheur przygotował mdłe koktajle, a Émeri wzniósł toast na pohybel wrogowi, wspominając z rozpędu wielkie zwycięstwa swojego przodka: bitwy pod Ulm, Austerlitz, Auerstedt, Eckmühl, a szczególnie pod Pruską Iławą, swoją ulubioną. Kiedy to Davout, zaatakowany z prawej flanki, otrzymał wsparcie korpusu dowodzonego przez marszałka Neyą. Kiedy cesarz, zagrzewając do walki swoich żołnierzy, krzyknął do Murata: „Pozwolisz, by ci ludzie nas pochłonęli?!”. Zadowolony i jakby zaspokojony, kapitan gładził się po brzuchu, z pewnością już uwolniony od wszelkich kul elektryczności.

Inspektor odwiedził Linę w kancelarii, po raz ostatni łakomie zerknął na przedmiot swojego pożądanego. Razem z Veyrenkiem doprowadził dom Léo do ładu, wahając się, czy nie dolać trochę wody do butelki z calvadosem, aby ubytek nie rzucał się tak w oczy. Świętokradztwo niedouczonego nastolatka, uznał Veyrenc, nie dodaje się wody do takiego trunku. Adamsberg wydrapał odchody gołębia ze swojego lewego buta, pozamiatał rozsypane ziarno, przetrzepał materac, żeby wyrównać wgłębienie. Zatankował do pełna, zapiął torbę i powędrował do najwyższej położonej części starego miasteczka Ordebec. Siedząc na ciepłym

murku jeszcze ogrzewanym przez słońce, przyglądał się każdemu szczegółowi wzgórz i łąk, czyhając na najlżejszy choćby ruch którejs niewzruszonej krowy. Musiał dotrzeć do kolacji Pod Niebieskim Dzikim, zanim ruszy w drogę, to znaczy poczekać na telefon od Danglarda i polecić mu, by zabrał chłopaków. Komendant wysłał Zerka do Włoch, a Mo zostawił u jego kolegi, którego brat odegra rolę donosiciela. Adamsberg nie będzie musiał gadać szyfrem, szczegóły bowiem ustalił z Danglardem przed jego wyjazdem. Wystarczy, że da mu sygnał. Żadna krowa nie zdecydowała się poruszyć i w obliczu tej porażki Adamsberg doznał takiego samego jak rano uczucia nieprzydatności. Równie lekkiego i równie wyraźnego.

W gruncie rzeczy było ono podobne do tego, o czym opowiadał jego sąsiad, stary Lucio, który w dzieciństwie stracił rękę podczas hiszpańskiej wojny domowej. Jak tłumaczył Lucio, problemem jest nie tyle brak ręki, ile to, że kiedy ją stracił, nosiła ciągle swędzący ślad ukąszenia przez pająka. I siedemdziesiąt lat później Lucio wciąż drapał ją w powietrzu. Albowiem coś, co nie zostało zakończone, już zawsze będzie człowiekowi dokuczało. Czego Adamsberg nie dokończył w Ordebecu? Poruszania się krów? Definitywnego wyzdrowienia Léo? Odlotu gołębia? Albo – i to najpewniej – posmakowania piersi Liny, których nawet nie dotknął? Swędziała go każda z tych rzeczy, toteż nie znając przyczyny, skupił się na bydle, które tkwiło bez ruchu na łąkach.

Rozstali się z Veyrenkiem o zmierzchu. Adamsberg wziął na siebie zamknięcie domu, acz wcale się z tym nie spieszył. Ptasią klatkę umieścił w bagażniku, przeniósł Hellebauda w bucie, który umieścił na przednim siedzeniu. Gołąb wydawał mu się teraz wystarczająco ucywilizowany, to znaczy wynaturzony, by nie mieć obaw, że w drodze zacznie fruwać po samochodzie. Kabina zawilgotniała podczas burzy, silnik pewnie też trochę, tak że miał kłopot z uruchomieniem auta. Dowód, że samochody brygady są w nie lepszym stanie niż wóz Blériota, daleko im do mercedesów Clermontów-Brasseurów. Zerknął na Hellebauda spokojnie siedzącego na fotelu, na przednim fotelu, na którym stary Clermont ufnie czekał, kiedy jego dwaj synowie szykowali się, aby go spalić.

Dwie i pół godziny później szedł przez ciemny ogródek przy swoim domu, wypatrując starego Lucia. Sąsiad z pewnością wyglądał jego powrotu, nieuchronnie pojawił się z butelką piwa, udając, że idzie się wysikać pod drzewem, po czym wciągnie go w rozmowę. Adamsberg tyle, co zdążył wnieść torbę i Hellebauda, którego postawił w bucie na stole, a już zobaczył w mroku Lucia z dwiema butelkami piwa w ręce.

– Idzie lepiej, *hombre* – ocenił stary.

– Chyba tak.

– Zastrane gnoje wróciły dwa razy. A potem zniknęły. Pozałatwiałeś swoje sprawy?

– Prawie.

– A na wsi jak? Też to załatwiłeś?

– Koniec z tym. Ale nieciekawo. Trzej nieboszczycy i jeden samobójca.

– Winowajca?

– Tak.

Lucio pokiwał głową, zdając się oceniać makabryczny bilans sprawy, i otworzył butelki, zaczepiając kapsle o gałąź.

– Nie dość, że je obsikujesz – zaprotestował Adamsberg – i niszczysz korzenie, to jeszcze teraz uszkodzasz korę.

– Wcale nie niszczę – oburzył się Lucio. – W moczu jest mnóstwo azotu, nie ma nic lepszego jako nawóz. Myślisz, że czemu sikam pod drzewem? Azot – powtórzył, delektując się słowem. – Nie wiedziałeś o tym?

– Ja w ogóle niewiele wiem, Lucio.

– Siadaj, *hombre* – rzekł Hiszpan, wskazując mu drewnianą skrzynkę. – Gorąco tu było – dodał, pociągając z butelki. – Wycierpieliśmy się zdrowo.

– Tam też. Chmury zbierały się na zachodzie, ale żadna nie przychodziła. Ostatecznie wszystko gruchnęło wczoraj, i burza, i śledztwo. Była tam kobieta, no mówię ci taka, że schrupałbym jej piersi na surowo. Nie masz pojęcia. Odnoszę wrażenie, że powinienem był to zrobić, że czegoś nie dokończyłem.

– Swędzi cię?

– Tak, dlatego chciałem z tobą o tym pogadać. Nie swędzi mnie ręka, ale łaskocze gdzieś w głowie. Jest jak uchylone skrzypiące drzwi, których nie zamknąłem.

– No to musisz tam wrócić, *hombre*. Inaczej będą ci skrzypiały przez resztę życia. Znasz zasadę.

– Śledztwo zakończone. Nie mam czego tam szukać. A może to dlatego, że nie widziałem, by krowy się ruszały. W Pirenejach się ruszają. A tam nic.

– Nie mogłeś sobie przygruchać tej kobitki, zamiast wgapiać się w krowy?

– Ja nie chcę jej mieć, Lucio, chcę ją schrupać.

– Aaa...

Lucio wychylił duszkiem pół butelki, przełknął głośno, potem beknął, zastanawiając się nad trudnym przypadkiem, który przedstawił mu Adamsberg. Był niewiarygodnie czuły na punkcie tego, czego nie dokończono drapać. To był jego teren, jego specjalność.

– Jak myślisz o niej, myślisz też o jakimś jedzeniu?

– Tak. O babie na miodzie.

– Czyli?

– O takim cieście.

– No to wszystko jasne – skwitował Lucio tonem znawcy. – Ale z ukąszeniami zawsze wiadomo. Lepiej poszukaj tej baby. Może to załatwi sprawę.

– W Paryżu prawdziwej nie dostanę. To specjalność ze wschodu Europy.

– Zawsze mogę poprosić Marię, żeby ci upiekła. Na pewno są jakieś przepisy, nie?

## XLIX

Zebranie podsumowujące rozpoczęło się na komendzie w niedzielny poranek 15 sierpnia o godzinie dziewiątej trzydzieści w obecności czternastu członków brygady. Adamsberg niecierpliwie czekał na przyście Retancourt, której na znak wdzięczności i podziwu ścisnął ramię z odrobiną szorstką wylewnością, trochę na militarną modłę – Émeriemu taki gest na pewno przypadłby do gustu. Uścisk na powitanie najznamienitszego z jego żołnierzy. Retancourt, która traciła wszelką subtelność, kiedy trafiała na teren emocji, potrząsnęła głową jak płochliwe nadąsane dziecko, satysfakcję zostawiając sobie na później, to znaczy kiedy będzie sama.

Agenci zajęli miejsca wokół dużego stołu, Mercadet i Mordent robili notatki do protokołu. Adamsberg nie cierpiał takich nasiadówek, na których musiał wyciągać wnioski, wyjaśniać, wydawać polecenia i podsumowywać. Wystarczało jedno „tak” albo „nie”, by jego uwaga się rozpraszała, odmawiając w danej chwili wypełniania obowiązków, toteż zawsze miał u boku Danglarda, który w razie czego przywoływał go do rzeczywistości. Tyle że Danglard przebywał aktualnie w Porto z Momem Łusą Pałą, wyprawivszy Zerka do Rzymu i z pewnością szykując się do powrotu do Paryża. Adamsberg spodziewał się go pod wieczór. Później dla uwiarygodnienia wszystkiego odczekają kilka dni, po czym kolega donosiciel zaalarmuje brygadę. Mo zostanie triumfalnie dostarczony w ręce inspektora. Adamsberg dokonywał niejakich poprawek w swojej roli, kiedy komisarz Froissy przedstawiała przebieg spraw w ostatnich dniach, między innymi krwawego starcia dwóch pracowników towarzystwa ubezpieczeniowego: jeden wyzwał drugiego od „księżycowych pedziów”, drugi wylądował ze śledzioną przebitą nożem do papieru, ledwie go odratowano.

– Wygląda na to – uściślił jak zawsze skrupulatny Justin – że problemem nie było słowo „pedzio”, tylko „księżycowy”.

– A co znaczy „księżycowy pedzio”? – spytał Adamsberg.

– Nikt nie wie, nawet ten, kto to powiedział. Pytaliśmy.

– W porządku – rzekł Adamsberg, zaczynając rysować w bloku, który trzymał na kolanach. – Dziewczynka z suwakiem?

– Sąd zgodził się, żeby mała przeniosła się do przyrodniej siostry, która mieszka w Wandei. Sędzia zalecił leczenie psychiatryczne. Przyrodnia siostra zgadza się przygarnąć także suwaka. Który też jest dziewczynką, tak powiedział lekarz.

– Porządna kobieta – ocenił Mordent, wykonując szybki skręt szyją, co czynił zawsze, gdy wyrażał swoje zdanie, jakby chciał to podkreślić. A ponieważ Mordent z wyglądu przypominał oskubaną czaplę, ten ruch zawsze Adamsbergowi przywodził na myśl ptaka,



który hałaśliwie przełyka jakąś smakowitą rybkę. O ile czapla jest ptakiem, a rybka rybą.

– A cioteczny dziadek?

– Zatrzymany. Główne punkty oskarżenia sformułował sędzia: więzienie, przemoc i złe traktowanie. Przynajmniej gwałtu nie było. Co istotne, ten dziadek nie chciał jej oddać nikomu innemu.

– W porządku – powtórzył Adamsberg, rysując pochyloną jabłoń śniadaniową. O ile potrafił utrzymać w głowie słowa lekarza sądowego ledwie przez kilka sekund, o tyle każdy konar i gałązkę jabłoni miał trwale wyryte w pamięci.

– Tuilot Julien – zapowiedział komisarz Noël.

– Zabójstwo przy użyciu miękiszu chleba.

– Właśnie.

– Jedyne w swoim rodzaju narzędzie zbrodni – stwierdził Adamsberg, przewracając kartkę w bloku. – Równie skuteczne i ciche jak kusza, tyle że wymaga całkowitego zbliżenia się do ofiary.

– Jaki to ma związek? – zainteresowała się Retancourt.

Adamsberg dał znak, że wyjaśni to później, i zaczął rysować twarz doktora Anchois.

– Umieszczony w areszcie śledczym – ciągnął Noël. – Jakaś krewna zamierza opłacić jego obronę z powodu życia zniszczonego tyranią żony.

– Tuilot Lucette.

– Tak. Ta krewna przyniosła mu krzyżówki do więzienia. Siedzi raptem dwanaście dni, a już zdążył zorganizować turniej dla chętnych aresztantów na poziomie dla początkujących.

– W pełni formy, jeśli dobrze rozumiem.

– Zdaniem krewnej nigdy nie był taki dziarski.

Zapadła cisza, wszyscy zwrócili teraz wzrok na Retancourt, o której kluczowej roli w sprawie Clermontów-Brasseurów każdy wiedział, chociaż nikt nie znał szczegółów. Adamsberg dał znak Estalère'owi, by przyniósł wszystkim po kawie.

– Ciągle szukamy Moma Łysej Pały – zaczął Adamsberg – ale nie on spalił mercedesa.

Podczas dość długiej relacji Retancourt – pierwszy garnitur, drugi garnitur, obcięcie włosów, pokojówka, labrador, zapach benzyny – Estalère rozdawał kawę, następnie mleko i cukier, obchodząc stół dookoła, przykładając się do zadania i czyniąc to ze zdwojonym uważaniem. Mercadet ruchem podniesionej ręki dał do zrozumienia, że dziękuje za cukier, co wprowadziło w popłoch Estalère'a przekonanego dotąd, że komisarz słodzi kawę.

– Już nie – wyjaśnił mu cicho Mercadet. – Dieta – dodał, kładąc dłoń na brzuchu.

Uspokojony Estalère obsłużył resztę osób, a tymczasem Adamsberg zastygł bez powodu. Zaskoczyło go pewne pytanie Morela, uświadomił sobie, że Retancourt jest przy wnioskach swojego sprawozdania i że część tego przegapił.

– Gdzie Danglard? – powtórzył Morel.

– Na urlopie – szybko odpowiedział Adamsberg. – Przejechał po nim pociąg. Nie jest

ranny, ale po czymś takim niełatwo się pozbierać.

– Przejechał po nim pociąg? – powtórzyła Froissy z taką samą zaskoczoną i wyrażającą podziw miną, jaką miał doktor Anchois.

– Veyrenc zdążył go ułożyć między szynami.

– Dwadzieścia centymetrów między wierzchem ciała i spodem pociągu – wyjaśnił Veyrenc. – O niczym nawet nie wiedział.

Adamsberg wstał niezgrabnie, zostawiając notes na stole.

– Veyrenc, przejmij pałeczkę, zdaj raport z Ordebecu – poprosił. – Zaraz wracam.

„Zaraz wracam”, tak mówił zawsze, jakby nader było prawdopodobne, że pewnego dnia nie wróci. Wyszedł z sali krokiem roztańczonym bardziej niż zwykle i wymknął się na ulicę. Wiedział, że naraz zastygł niczym ordebecka krowa, że umknęło mu jakieś pięć, sześć minut zebrania. Dlaczego, nie potrafił powiedzieć, i właśnie tego szukał, maszerując chodnikiem. Nie zaniepokoiła go ta nagła utrata uwagi, przywykł do tego. Nie znał jej powodu, znał natomiast przyczynę. Coś przemknęło mu przez głowę niczym bełt z kuszy, tak szybko, że nie zdążył tego złapać. Ale to wystarczyło, aby zastygł. Jak wtedy, gdy dostrzegł skrzeczenie się wody w marsylskim porcie, gdy dostrzegł tamten afisz na paryskich murach, gdy nie spał w pociągu Paryż-Wenecja. I niewidzialny obraz przeciął wodniste pole jego umysłu, wciągnął w bruzdę inne nieuchwytnie postacie, które pouczepiały się siebie nawzajem niczym magnesy łańcucha. Nie widział ani jego początku, ani końca, widział natomiast Ordebec, a dokładniej drzwi – drzwi starego samochodu Blériota, otwarte drzwi, na które niespecjalnie zwrócił uwagę. To właśnie powiedział Luciowi poprzedniego dnia: były jakieś niedomknięte drzwi, kołysały się nadal, ukąszenie, którego nie skończył drapać.

Szedł powoli ulicami, ostrożnie, kierując się ku Sekwanie, dokąd nogi same go niosły w momentach wstrząsu. Adamsberg, prawie całkowicie odporny na niepokoje i w ogóle na wszelkie gwałtowne uczucia, w takich właśnie chwilach napinał się niczym struna, zaciskając pięści, i starał się uchwycić to, co zobaczył, nie widząc tego, albo pomyślał, nie zdając sobie sprawy. Nie miał metody, która by pozwoliła wygrzebać perełkę z nieforemnego stosu, w jaki układały się jego myśli. Wiedział tylko, że musi zrobić to szybko, ponieważ umysł miał taki, że wszystko w nim przepadało. Czasami udawało mu się to schwycić, trwając w całkowitym bezruchu i czekając, aż wątki obrazek wypłynie niepewnie na powierzchnię, kiedy indziej grzebiąc w bezładnie ułożonych wspomnieniach, to znów śpiąc, gdy pozwalał działać prawom grawitacji, i zawsze się bał, że skoro z góry wybiera teoretyczną strategię, zdobycz może mu się wymknąć.

Po ponad godzinie marszu usiadł na ławce w cieniu, oparł brodę na dłoniach. Urwał mu się wątek rozmowy, kiedy mówiła Retan-court. Co się wtedy stało? Nic. Wszyscy agenci siedzieli na miejscu, w skupieniu słuchając relacji komisarz. Mercadet walczył z sennością i ospale robił notatki. Jeden tylko człowiek nie siedział. Estalère. A pewnie, przyniósł i rozdawał kawę, robiąc to z taką samą jak zwykle dokładnością. Chłopak się zachnął, bo

Mercadet podziękował za cukier, chociaż zwykle słodził, i wskazał swój brzuch. Adamsberg odsunął ręce od twarzy, stulił kolana. Mercadet wcześniej wykonał inny gest: podniósł dłoń na znak odmowy. I właśnie w tym momencie przez głowę Adamsberga przemknął bełt. Cukier. Z tym cukrem od początku coś było na rzeczy. Inspektor uniósł rękę, naśladując gest Mercadeta. Powtórzył go z dziesięć razy, przed oczami stały mu otwarte drzwi samochodu i Blériot przed zepsutym wozem. Blériot. Blériot również podziękował za cukier do kawy, kiedy Émeri go proponował. Podniósł w milczeniu dłoń zupełnie tak samo jak Mercadet. Na posterunku żandarmerii w dniu, kiedy rozmawiali o Denisie de Vallerayu. Blériot z kieszeniami koszuli wypchanymi kostkami cukru, ale nie słodzący kawy. Blériot.

Adamsberg znieruchomiał. Miał perełkę, znalazł ją, błyszczała w załomie skały. Drzwi, których nie zamknął. Kwadrans później wstał ostrożnie, aby nie spłoszyć odczuć nadal nieufornych i niezrozumiałych, i pieszo wrócił do domu. Jeszcze nie rozpakował torby po przyjeździe, złapał ją więc, wetknął Hellebauda do buta i wszystko, jak tylko się dało najciszej, zapakował do samochodu. Nie chciał robić hałasu, obawiał się bowiem, że rozmowa na głos rozproszy cząsteczki jego myśli dopiero sklejujących się z trudem. Posłał więc do Danglarda krótkiego esemesa: „Wracam tam. W razie konieczności to samo miejsce o tej samej porze”. Okazało się, że za diabła nie może napisać „konieczności”, zamienił więc to słowo na „czego”. „W razie czego to samo miejsce o tej samej porze”. Następnie wysłał wiadomość do komisarza Veyrenca: „Przyjedź na 20.30 do zajazdu Léo. Koniecznie zabierz Retancourt. Nie rzucajcie się w oczy, jedźcie leśną drogą. Przywieź kłęb sznura i coś do jedzenia”.

## L

Adamsberg postarał się nie rzucać w oczy, gdy wjeżdżał do Ordebecu o godzinie drugiej po południu, w porze, o której w niedzielę ulice były puste. Leśną drogą dotarł do domu Léo, otworzył drzwi pokoju, który uważał za swój. Ułożenie się w zagłębieniu wełnianego materaca wydało mu się oczywistym priorytetem. Grzecznego Hellebauda postawił na parapecie i umościł się na łóżku. Nie spał, słuchał jedynie gruchania gołębia, który zdawał się zadowolony z powrotu na stare śmiecie. Pozwolił, by myśli mu się splątały, nie usiłował nijak ich sortować. Widział ostatnio zdjęcie, które go uderzyło, było bowiem oczywistą ilustracją tego, jak wyobraża sobie własny mózg. Przedstawiało zawartość sieci rybackich wysypną na pokład, stertę wyższą od marynarzy, niejednorodną mieszaninę srebra ryb, brązu wodorostów, szarości skorupiaków – morskich, a nie ziemnych jak ta cholerna stonoga – niebieskości homarów, bieli muszli, tak że nie dało się odróżnić poszczególnych elementów. Właśnie z czymś takim wiecznie walczył, z falującym zmiennokształtnym nagromadzeniem elementów gotowym w każdej chwili się przeistoczyć lub rozproszyć, a nawet odpłynąć w siną dal. Rybacy segregowali stos, wyrzucając w morze zbyt małe żyjątka, kłęby wodorostów, śmiecie, zostawiali tylko formy znane i użyteczne. Adamsberg, jak się wydawało, działał na odwrót: odrzucał sensowne elementy, a następnie przeglądał nieprzydatne fragmenty z osobistej sterty.

Wrócił do początku, do ręki Blériota podnoszącej się przy kawie, i pozwolił przepływać przez siebie obrazom i dźwiękom Ordebecu: widział pięknie rozkładające się oblicze pana Hellequina, Léo, która czekała na niego w lesie, empirową bombonierkę na stole u Émeriego, Hippa strzepującego wypraną moką sukienkę siostry, klacz, której pysk pogłaskał, Mo i jego kredki, maść na glinianych częściach ciała Antonina, krew na Matce Boskiej wykonanej przez Glayeux, Veyrenca rozciągniętego na peronie dworcowym, krowy i stonogę, kulki elektryczności, bitwę pod Pruską Iławą, o której Émeri zdołał mu opowiedzieć trzy razy, laskę hrabiego stukającą w stary parkiet, słyszał granie świerszczy u Vendermotów, stado dzików na chemin de Bonneval. Przewrócił się na plecy, podłożył ręce pod głowę i wpatrzył się w belki pod sufitem. Cukier. Cukier gnębił go bez przerwy przez wszystkie te dni, wywoływał nienormalne rozdrażnienie do tego stopnia, że przestał słodzić kawę.

Adamsberg wstał dwie godziny później z rozpalonymi policzkami. Z jedną tylko osobą

musiał się zobaczyć: z Hippolyte'em. Poczeka do dziewiętnastej, do godziny, o której wszyscy mieszkańcy Ordebecu ściągają do kuchni i restauracji na aperitif. Idąc obrzeżem miasteczka, dotrze do domu Vendermotów, nie ryzykując, że kogoś spotka. Oni także będą pili aperitif, może dokończą to okropne porto, które kupili na jego powitanie. Musi delikatnie nakierować Hippa, sprawić, by doszedł jak po sznurku do miejsca, w które chce go doprowadzić. „Jesteśmy mili”. Było to określenie zbyt pochopne jak na dziecko z obciętymi dodatkowymi palcami, które przez lata terroryzowało kolegów. „Jesteśmy mili”. Zerknął na zegarki. Musi jeszcze zadzwonić w trzy miejsca, aby zyskać potwierdzenie. Najpierw do hrabiego de Valleraya, potem do Danglarda i na koniec do doktora Anchois. Wyjdzie za dwie i pół godziny.

Wymknął się z pokoju i zszedł do piwnicy. Tam wspiął się na beczkę, wyjrzał przez zakurzone okienko, jedyny otwór pozwalający zerknąć na kawałek łąki z krowami. Ma czas, poczeka.

Idąc ostrożnie w stronę domu Vendermotów, kiedy dzwony biły na Anioł Pański, czuł się usatysfakcjonowany. Co najmniej trzy krowy się poruszyły. I to na odcinku kilku metrów, nie odrywając pysków od trawy. Wydało mu się to kapitalną wróżbą, jeśli chodzi o przyszłość Ordebecu.

## LI

– Nie dało rady zrobić zakupów, wszystkie sklepy pozamykane – powiedział Veyrenc, wykładając prowiant na stół. – Musiałem okraść szafę Froissy, trzeba będzie szybko jej to odkupić.

Retancourt oparła się plecami o zimny kominek, jej blond głowa wystawała sporo ponad jego kamienne obrzeże. Adamsberg się zastanowił, gdzie ją ulokuje w tym domu, w którym wszystkie łóżka były stare, czyli o wiele za krótkie na jej gabaryty. Z miną dość rozbawioną patrzyła, jak Veyrenc i Adamsberg robią kanapki z pasztetu z zająca z bocznikami. Nie było wiadomo, dlaczego Retancourt w różne dni prezentuje minę cierpką albo przyjemną, nikt o to nie pytał. Nawet kiedy ta dorodna kobieta się uśmiechała, była w niej jakaś szorstkość i coś, co wywierało wrażenie, zniechęcając do brania jej na spytki albo zadawania błahych pytań. Tak samo nie klepnęłoby się przyjaźnie – co w gruncie rzeczy świadczyłoby o braku szacunku – pnia tysiącletniej sekwoi. W sumie niezależnie od miny Retancourt wymuszała poważanie, a czasami uwielbienie.

Po skromnym posiłku – pasztet Froissy był bezdyskusyjnie wyborny – Adamsberg wyrysował im plan okolicy. Z zajazdu Léo pójść ścieżką na południowy wschód, potem przez pola, skręcić w drogę gruntową de la Bessonnière i dojść do starej studni.

– Drobną sześciokilometrową przebieżką. Nie znalazłem nic lepszego niż ta stara studnia. Studnia Gąsienica. Zauważyłem ją, kiedy szedłem wzdłuż Touques.

– Co to jest Touques? – dopytała Retancourt, jak zawsze dokładna.

– Tutejsza rzeka. Studnia jest na terenie sąsiedniej gminy, od czterdziestu lat nie używana, głęboka na dwanaście metrów. Aż się prosi, żeby bez problemu wepchnąć do niej człowieka.

– Jeżeli człowiek wystarczająco się przechyli przez cembrowinę – zauważył Veyrenc.

– Na to liczę. Bo morderca już coś takiego zrobił, kiedy wypchnął Denisa przez okno. Wie, jak się do tego zabrać.

– Czyli Denis nie popełnił samobójstwa – stwierdził Veyrenc.

– Nie. Był czwartą ofiarą.

– I nie ostatnią.

– Właśnie.

Adamsberg odłożył ołówek i przedstawił swoje ostatnie rozumowanie – o ile tak można nazwać przebieg jego procesów myślowych. Retancourt kilkakrotnie zmarszczyła nos, jak zwykle lekko rozdrażniona pokrętnością, z jaką inspektor zdążał do celu. Ten cel jednak osiągnął, to musiała przyznać.

– Co oczywiście tłumaczy, dlaczego nie zostawił żadnych śladów – stwierdził Veyrenc,

którego te nowe elementy wprawiły w zadumę.

Retancourt natomiast drażyła kwestie praktyczne związane z akcją.

– Gruba jest? Ta cembrowina?

– Nie, ma najwyżej trzydzieści centymetrów. A najważniejsze, że jest niska.

– Może zagrać – przyznała Retancourt. – A średnica studni?

– Wystarczająca.

– Jaki jest plan?

– Dwadzieścia pięć metrów dalej stoi stary budynek gospodarczy. Stodoła z dwojgiem rozchwierutanych wierzei. Tam się przyczaimy, bliżej nie ma gdzie się schować. Ale uwaga, Hippo to silny facet. Ryzyko jest duże.

– To niebezpieczne – powiedział Veyrenc. – Narażamy ludzkie życie.

– Nie mamy wyboru, nie znaleźliśmy żadnych dowodów z wyjątkiem paru nędznych papierków z cukru, i to poza sprawą.

– Zachowałeś je?

– W beczce w piwnicy.

– Może będą na nich odciski palców. Przez kilka tygodni w ogóle nie padało.

– Ale nie uznają tego za dowód. Siedzenie na pniu drzewa i jedzenie cukru nie jest przestępstwem.

– Są jeszcze słowa Léo.

– Słowa staruszki w szoku. I które tylko ja słyszałem.

– Z Danglardem.

– Nie zwrócił na to uwagi.

– Nigdy tego nie łykną – potwierdziła Retancourt. – Nie ma innego wyjścia jak przyłapanie na gorącym uczynku.

– Niebezpieczne – powtórzył Veyrenc.

– Louis, dlatego Retancourt jest tutaj. Dobiegnie szybciej, zdąży. Złapie gościa, jeśli będzie wpadał. W razie czego będzie miała sznur.

Veyrenc zapalił papierosa, kręcąc głową, lecz nie okazując zawodu. To, że siłę Retancourt oceniano wyżej niż jego, było bezdyskusyjną oczywistością. Ona by na pewno dała radę dźwignąć Danglarda na peron.

– Jak nam się nie uda – powiedział – będzie po facecie i po nas też.

– Nie może się nie udać – spokojnie wyraziła sprzeciw Retancourt. – O ile do tego dojdzie.

– Dojdzie – zapewnił Adamsberg. – Gość nie ma wyboru. A zabicie człowieka bardzo mu się spodoba.

– Założmy – rzekła Retancourt, wyciągając kieliszek, żeby jej nalano.

– Violette – łagodnie odezwał się Adamsberg, napełniając go – to już trzeci. A potrzebujemy wszystkich twoich sił.

Retancourt wzruszyła ramionami, jakby inspektor wygłosił głupstwo niegodne komentowania.



## LII

Retancourt tkwiła za lewym skrzydłem wierzei stodoły, obaj panowie za prawym. Kiedy ona rzuci się do biegu, żadna przeszkoda nie powinna stanąć jej na drodze.

W mroku Adamsberg wyciągnął obie ręce w stronę kolegów z rozprostowanymi dziesięcioma palcami. Jeszcze dziesięć minut. Veyrenc zgniótł papierosa na ziemi i przytknął oko do szerokiej szpary w drewnianej ścianie. Dobrze zbudowany komisarz przeżył mięśnie, aby się przygotować, Retancourt tymczasem, oparta o futrynę, mimo piętnastu metrów liny, która opasywała jej pierś, tchnęła wrażeniem całkowitego wyluzowania. Adamsberg trochę się tym martwił, zważywszy na trzy kieliszki wina.

Pierwszy przyszedł Hippolyte i przysiadł na cembrowinie z rękami wciśniętymi w kieszenie.

– Silny, pewny siebie – mruknął Veyrenc.

– Wygląda od strony gołębnika. Tamtędy przyjdzie Émeri.

Trzy minuty później pojawił się kapitan – wyprostowany, w starannie zapiętym mundurze, szedł jednak z niejakim wahaniem.

– I to jest problem – stwierdził Adamsberg cicho. – Jest bardziej bojaźliwy.

– To może mu dać przewagę.

Przy studni obaj mężczyźni wdali się w rozmowę, której w stodole nie było słyhać. Stali niecały metr od siebie, nieufni, napastliwi. Hippolyte mówił więcej niż Émeri, szybko, z agresją w głosie. Adamsberg niespokojnie zerknął na Retancourt, która wciąż stała oparta o framugę i przez cały czas ani o włos nie zmieniła spokojnej pozycji. Co niekoniecznie było dobrym znakiem, Retancourt bowiem niczym koń potrafiła spać na stojąco i nawet się nie zachwiać.

Hippolyte w ciemnościach ryknął śmiechem twardym, złym. Klepnął Émeriego w plecy gestem, który nie miał w sobie nic przyjacielskiego. Następnie przechylił się nad cembrowiną z wyciągniętą ręką, jakby coś wskazywał. Émeri podniósł głos, warknął coś w stylu „drań” i również się nachylił.

– Uwaga – szepnął Adamsberg.

Ruch był sprawniejszy i szybszy, niż przewidział – męskie ramię poderwało obie nogi jednocześnie – a jego reakcja wolniejsza, niż się spodziewał. Ruszył do biegu z dobrą sekundą opóźnienia, zaraz za Veyrenkiem, który parł naprzód całą swoją masą. Retancourt była już przy studni, kiedy jemu zostało jeszcze trzy metry do przebycia. Technika, którą ona jedna znała, rzuciła Émeriego na ziemię i usiadła na nim okrakiem, przytrzymując mu ręce rozpostarte i blokując klatkę piersiową. Kapitan jęczał pod jej ciężarem. Hippolyte

podniósł się, dysząc, z kostkami palców poranionymi o kamień.

– Akurat – powiedział.

– Nic ci nie groziło – rzekł Adamsberg, wskazując Retancourt. Kajdankami skuł kapitanowi ręce z tyłu, Veyrenc tymczasem pętał mu nogi. – Nic nie kombinuj, Émeri. Zrozum, Violette może cię rozdeptać jak stonogę. Jak ziemną krewetkę.

Spocony Adamsberg, z sercem walącym jak młot, wybrał numer Blériota, Retancourt tymczasem podniosła się i przysiadła na studni, zasłaniając dużą jej część, po czym zapaliła papierosa tak spokojnie, jakby wróciła z targu. Veyrenc chodził w tę i we w tę, wymachując rękami, aby zrzucić napięcie. W pewnej odległości zarys jego postaci zniknął, widać było tylko połyskujące rude kosmyki włosów.

– Dołączcie do nas przy starej Studni Gąsienica, Blériot – mówił Adamsberg. – Pojmaliśmy człowieka.

– Jakiego człowieka? – zdziwił się Blériot, który odebrał dopiero po dziesiątym dzwonku i mówił zaspanym głosem.

– Mordercę z Ordebecu.

– No a Valleray?

– To nie był Valleray. Przyjeżdżajcie, brygadierze.

– Gdzie? Do Paryża?

– W Paryżu nie ma Studni Gąsienica, Blériot. Obudźcie się wreszcie.

– Jakiego człowieka? – powtórzył Blériot, odchrząknąwszy.

– Émeriego. Przykro mi, brygadierze.

I faktycznie Adamsbergowi było przykro. Pracował z tym facetem, razem z nim pił i jadł, u niego wznosił toast za zwycięstwo. Tamtego dnia – właściwie wczoraj, uzmysłowił sobie Adamsberg – Émeri był przyjacielski, rozgadany, sympatyczny. Zabił czterech ludzi, zrzucił Danglarda na tory, starej Léo roztrzaskał głowę o ziemię. Starej Léo, która wyciągnęła go z zamrożonego stawu, kiedy był dzieckiem. Wczoraj Émeri wznosił kieliszek kiru za swojego przodka, był spokojny. Winny się znalazł, nawet jeżeli nie był to ten człowiek, którego planował zrobić. Roboty jeszcze nie zakończył, pozostały dwie osoby do wyprawienia na tamten świat, trzy, jeżeli Léo odzyska mowę. Niemniej wszystko przedstawiało się jak najlepiej. Cztery popełnione morderstwa, dwie nieudane próby, trzy następne w kolejce, miał plan. W sumie siedem ofiar, piękny dorobek dumnego żołnierza. Adamsberg wróci do swojej brygady, mając winnego w postaci Denisa de Valleraya, sprawa zostanie zamknięta, pole bitwy oczyszczone.

Adamsberg usiadł po turecku obok niego na trawie. Émeri, ze wzrokiem wlepionym w niebo, przywołał na twarz minę bojownika, któremu nie drgnie nawet powieka w obliczu wroga.

– Pruska ława, po niemiecku Eylau – odezwał się Adamsberg – jedno ze zwycięstw twojego przodka i jedno z twoich ulubionych. Na pamięć znasz całą strategię, opowiadasz

o tym naokoło, czy ktoś chce słuchać czy nie. Bo Léo powiedziała właśnie „Eylau”, nie żadne „Hello”. „Eylau, Pasik, cukier”. Wskazywała ciebie.

– Popełniasz kardynalny błąd, Adamsberg – powiedział Émeri głuchym głosem.

– Trzy osoby mogą zaświadczyć, że próbowałeś Hippa wrzucić do studni.

– Bo to morderca, diabeł. Zawsze to mówiłem. Groził mi, broniłem się tylko.

– Nie groził ci, powiedział, że wie, że jesteś winny.

– Nie.

– Tak, Émeri. Ja go nauczyłem tej roli. Miał dać ci znać, że zobaczył ciało w studni, poprosić, żebyś przyjechał i potwierdził to. Zaniepokoiłeś się. Czemu to spotkanie po nocy? Co Hippo wygaduje o jakimś ciele w studni? Przyszedłeś.

– I co z tego? Skoro zgłoszono, że jest ciało, moim obowiązkiem było zjawić się tu. Niezależnie od pory.

– Ale nie było ciała. Był tylko Hippo, który cię oskarżał.

– Dowodu nie masz – zauważył Émeri.

– Właśnie. Od początku nie było żadnego dowodu, żadnej wskazówki. Ani w sprawie Herbiera, ani Glayeux, ani Léo, Mortembota, Danglarda, Valleraya. Sześć ofiar, cztery trupy i żadnego śladu. Rzadko się zdarza zabójca, który działa jak duch. Albo jak gliniarz. Bo kto lepiej od gliniarza pozbędzie się wszystkich śladów? Ty się zajmowałeś stroną techniczną, ty mi podawałeś wyniki. Skutek? Nie mieliśmy nic, ani jednego odcisku palca, ani jednego śladu.

– Nie ma żadnych śladów, Adamsberg.

– Wierzę, że wszystko zniszczyłeś. Ale jest cukier.

Blériot zaparkował samochód koło gołębnika i biegł z podskakującym brzuchem, świecąc sobie latarką. Popatrzył na swojego kapitana skutego na ziemi, przerażonym wściekłym wzrokiem obrzucił Adamsberga, lecz ugryzł się w język. Nie wiedział, czy powinien interweniować, coś powiedzieć, nie miał pojęcia, gdzie są przyjaciele, a gdzie wrogowie.

– Brygadierze, uwolnijcie mnie od tych durniów – zażądał Émeri. – Hippo umówił się tu ze mną pod pretekstem, że widział ciało w studni. Groził mi, a ja się tylko broniłem.

– Próbując mnie wepchnąć do studni – zaznaczył Hippo.

– Nie miałem broni – powiedział Émeri. – Później wezwałbym pomoc, żeby cię wyciągnąć. Chociaż diabelskie nasienie takie jak ty powinno tak właśnie szczeznąć. Wrócić do głębin ziemi.

Blériot popatrywał to na Émeriego, to na Adamsberga, wciąż nie potrafiąc wybrać, po której stronie się opowiedzieć.

– Brygadierze – odezwał się Adamsberg, podnosząc głowę – wy nie słodzicie kawy. Czyli wasz zapas cukru był dla kapitana, nie dla was, prawda?

- Zawsze mam cukier przy sobie – bąknął Blériot oschle.
- Żeby jemu dać, kiedy dostanie ataku? Kiedy nogi się pod nim uginają, oblewa go pot i dostaje dreszczy?
- Nie wolno mi o tym mówić.
- Czemu właśnie wy taszczyte ten cukier? Bo wypycha kieszenie? Bo kapitan się wstydzi?
- Chodzi i o to, i o to. Nie wolno mi o tym mówić.
- Kostki cukru muszą być w opakowaniu?
- Ze względu na higienę. Czasem tygodniami noszę je w kieszeni i kapitan ich nie tknie.
- Papierki na waszym cukrze, Blériot, są takie same jak te, które znalazłem na chemin de Bonneval przy zwałonym pniu. Właśnie tam Émeri dostał ataku. Tam usiadł i zjadł sześć kostek, tam zostawił papierki, tam Léo je znalazła. Po zabójstwie Herbiera. Bo dziesięć dni wcześniej ich nie było. Léo wie o wszystkim, Léo kojarzy szczegóły, motyle skrzydła, Léo wie, że Émeri czasem musi zjeść sześć kostek cukru, żeby mu przeszło. Czego Émeri szukał na chemin de Bonneval? Oto pytanie, które mu zadała. Przyszedł do niej, by to wyjaśnić, co znaczy, że ją uszkodził.
- To niemożliwe. Kapitan nigdy nie nosi cukru. Mnie prosi, żeby mu dać.
- Ale tamtego wieczoru, Blériot, szedł sam do kaplicy, zabrał cukier. On zna swój problem. Zbyt silne emocje, duży wydatek energii i w każdej chwili może dostać spadku poziomu cukru we krwi. Nie zamierzał ryzykować, że po zabójstwie Herbiera straci przytomność. Jak on rozrywa papierki? Z boku? Środkiem? Co robi potem? Zwija papieraek w kulkę? Zgniatą zwyczajnie? Rzuca taki, jaki był? Składa? Każdy ma jakąś manię związaną z papierkami. Wy, brygadierze, zgniatacie go w malutką kulkę i wsuwacie do przedniej kieszeni.
- Żeby nie śmiecić.
- A on?
- Rozdziera pośrodku na trzy czwarte.
- A potem?
- Rzuca.
- No właśnie, Blériot. I Léo na pewno o tym wiedziała. Nie będę żądał, żebyście aresztowali swojego kapitana. Ja i Veyrenc usiądziemy z tyłu, wy za kierownicą. Proszę tylko, żebyście nas zawieźli na posterunek.

## LIII

Kiedy znaleźli się w sali przesłuchań posterunku żandarmerii, Adamsberg zdjął kajdanki Émeriemu. Zawiadomił komendanta Bournanta w Lisieux. Blériota posłał do piwnicy Léo, aby przywiózł papierki po cukrze.

– Nieostrożnie zostawiać mu ręce wolne – zauważyła Retan-court tonem możliwie obojętnym. – Niech pan nie zapomina o ucieczce Mo. Wystarczy jedno tak albo nie, a podejrzani zwiewają.

Adamsberg spojrzał w oczy Retancourt i dostrzegł w nich niewątpliwe oznaki prowokującej ironii. Retancourt zrozumiała, jak to było z ucieczką Mo, podobnie jak Danglard, i nie pisnęła słowa. A przecież z całą pewnością nie przypadła jej do gustu ta metoda działania o niepewnych skutkach.

– Ale tym razem wy jesteście na miejscu, Retancourt – odparł Adamsberg z uśmiechem. – Niczego więc nie ryzykujemy. Czekamy na Bournanta – dodał, zwracając się do Émeriego. – Nie jestem uprawniony do przesłuchiwania cię na tym posterunku, na którym jesteś ciągle oficerem. Tutaj nie ma już szefa, Bournant przeniesie cię do Lisieux.

– I bardzo dobrze. On przynajmniej respektuje zasadę opierania się na faktach. A o tobie wszyscy wiedzą, że szuflujesz chmury i że jesteś niewiarygodny dla wszystkich stróżów prawa, i dla żandarmów, i dla gliniarzy. Mam nadzieję, że masz świadomość tego?

– I dlatego nalegałeś, żebym przyjechał do Ordebecu? A może myślałeś, że będę bardziej ustępliwy niż twój kolega, który nie pozwoliłby ci wtykać nosa w śledztwo?

– Jesteś zerem, Adamsberg. Wiatr, chmury, niepiśmienna ekto-plazma niezdolna do jakiegokolwiek sensownego rozumowania.

– Dobrze jesteś poinformowany.

– Jasne. To było moje śledztwo i nie zamierzałem pozwolić, żeby mi je odebrał skuteczny gliniarz. Jak tylko cię zobaczyłem, zrozumiałem, że wszystko, co o tobie mówią, to prawda. Że będę mógł robić, co mi się spodoba, a ty będziesz się błąkał we mgle. I do niczego nie doszedłeś, Adamsberg, nic nie wskórałeś, o czym każdy zaświadczy. Łącznie z prasą. Jedyne, co zdołałeś, to nie pozwoliłeś mi aresztować tego śmiecia Hippa. A czemu tak go chronisz? Wiesz przynajmniej? Żeby nikt nie tknął jego siostry. Do niczego się nie nadajesz i masz obsesję. Nic nie zrobiłeś w Ordebecu, tylko gapiełeś się na jej cycki i zajmowałeś się tym pieprzonym gołębiem. Nie licząc tego, że policja na policję zrobiła tu nalot, żeby przeszukać sektor. Myślisz, że o tym nie wiedziałem? Coś ty kombinował tutaj, Adamsberg?

– Zbierałem papierki po cukrze w kostkach.

Émeri otworzył usta, nabrał powietrza i zamilkł. Adamsberg chyba wiedział, czego nie

wyraził na głos: „Ty kretynie, na nic ci się nie przydadzą te papierki”.

Bardzo dobrze, nie znajdzie na nich odcisków palców. Będzie miał po prostu dziewicze papierki i nic więcej.

– Liczysz, że przekonasz sąd papierkami?

– Zapominasz o jednym, Émeri. Ten, kto usiłował zabić Danglarda, zamordował innych.

– No pewnie.

– Silny mężczyzna, bardzo dobry biegacz. Mówiłeś, tak jak ja zresztą, że Denis de Valleray popełnił morderstwa i że on również wyznaczył Danglardowi spotkanie w Cérenay. To widnieje w twoim pierwszym raporcie.

– No pewnie.

– I że odebrał sobie życie, kiedy sekretarz klubu poinformował go o wszczęciu dochodzenia.

– Nie „klubu”. Towarzystwa Marchijskiego.

– Jak chcesz, dla mnie to bez różnicy. Mój przodek został wcielony do armii w czasie tych twoich wojen napoleońskich i zginął w wieku dwudziestu lat, jeśli cię to interesuje. Pod Pruską łąką, pod Eylau. To ci powinno uświadomić, dlaczego zapamiętałem tę nazwę. On brodził w błocie, a twój pradziad odbywał paradę zwycięstwa.

– Ot, rodzinne fatum – rzekł Émeri z uśmiechem, plecy trzymając wyprostowane jeszcze bardziej niż zwykle, jedną rękę pewnie przerzuciwszy przez oparcie krzesła. – Masz nie więcej szczęścia niż twój przodek, Adamsberg. Już tkwisz w błocie powyżej kolan.

– Denis się zabił, napisałeś, bo wiedział, że jest podejrzany. Podejrzany o zamordowanie Herbiera, Glayeux, Mortembota i o usiłowanie zabójstwa Léo i Danglarda.

– Zgadza się. Nie znałeś dalszego ciągu: wyników badań laboratoryjnych. Końska dawka środków przeciwlękowych, uspokajających i prawie pięć promili alkoholu we krwi.

– Czemu nie? Łatwo wlać wszystko do gardła półprzytomnemu człowiekowi. Podnosisz mu głowę i wywołujesz odruch przełykania. Nieważne. A powiedz, Émeri, dlaczego Denis chciał zabić Danglarda?

– Sam mi to wyjaśniłeś. Z tego szuflowania chmur wyszło ci, że Danglard znał prawdę o młodych Vendermotach. Dzięki temu znamieniu w kształcie robaka.

– Skorupiaka.

– Jak zwał, tak zwał.

– Tak powiedziałem i pomyliłem się. Bo widzisz, ciekawe, jakim cudem Denis de Valleray miałby się tak szybko dowiedzieć, że Danglard widział skorupiaka? I zrozumieć, co to oznacza? Skoro nawet ja dowiedziałem się o tym dopiero tego wieczoru, kiedy on zginął?

– Z pogłosek.

– Też tak sądziłem. Ale zapytałem Danglarda: nikomu o tym nie wspomniał oprócz Veyrenca. Ten, kto wsunął mu liścik do kieszeni, zrobił to wkrótce po tym, jak hrabia zasnął w szpitalu. Danglarda, który okrywał szalem ramiona Liny, Danglarda, który

zobaczył gołe plecy hrabiego, Danglarda, który widział to fioletowe znamię i zdziwił się, mógł więc widzieć wyłącznie Valleray ojciec, doktor Anchois, pielęgniarze, strażnicy więzienni, doktor Hellebaud, Lina i ty. Wykluczam strażników i Hellebauda, którzy nie mają nic wspólnego z tą historią. Wykluczam pielęgniarzy, którzy nie widzieli znamienia na młodych Vendermotach. Wykluczam Linę, która nigdy nie oglądała gołych pleców hrabiego.

– Zobaczyła je tamtego dnia.

– Nie, trzymała się na uboczu, była na korytarzu, Danglard to potwierdził. Denis de Valleray nie wiedział zatem, że Danglard odkrył jego przyrodnie rodzeństwo. Nie miał więc powodu wpychać go pod pociąg relacji Caen-Paryż. A ty miałeś. Kto jeszcze?

– Anchois. Operował Hippowi dłonie w dzieciństwie.

– Jego nie było w tłumku, który się zgromadził przed domem Glayeux. W dodatku potomkowie Valleraya nic go nie obchodzą.

– Lina mogła widzieć, cokolwiek mówi twój komendant.

– Nie było jej przed domem Glayeux.

– Był za to ten jej gliniany brat. Antonin. Skąd wiesz, że mu nie powiedziała?

– Od doktora Anchois. Lina wyszła ze szpitala dużo później niż inni, rozmawiała ze znajomą w recepcji. Wyklucz ją.

– Pozostaje hrabia – stwierdził wyniośle Émeri. – Który nie chciał, by ludzie się dowiedzieli, że to jego dzieci. Przynajmniej nie za jego życia.

– On też nie stał przed domem Glayeux, był na obserwacji w szpitalu. Ty jeden widziałeś i zrozumiałeś, i mogłeś wsunąć liścik Danglardowi do kieszeni. Najprawdopodobniej kiedy wszedł do domu Glayeux.

– A co mnie do tego, że hrabia zmajstrował te diablęta? Ja nie jestem synem Valleraya. Chcesz obejrzeć moje plecy? Znajdź przynajmniej jeden związek między mną a śmiercią tych wszystkich biedaków.

– Ależ to proste, Émeri. Strach. I konieczność usunięcia przyczyny strachu. Zawsze byłeś bojaźliwy i upokorzony, że nie masz dumy przodka. Na nieszczęście dostałeś jego imię.

– Strach? – rzekł Émeri, rozkładając ręce. – A przed kim, na Boga? Przed żalonym Mortembotem, który umarł w spuszczonej portkach?

– Przed Hippolyte'em Vendermotem. Przed człowiekiem, który w twoich oczach jest odpowiedzialny za wszystkie słabości, jakie masz. I to od trzydziestu dwóch lat. Prześladowuje cię perspektywa, że skończysz jak Régis, zależało ci, by zniszczyć tego, który wyklął cię w dzieciństwie. Tego „wyklęcia” jesteś pewny. Bo później o mało nie zabiłeś się na rowerze. Ale mnie tego nie powiedziałaś. Mam rację?

– Czemu miałbym ci opowiadać o swoim dzieciństwie? Dzieci ciągle się przewracają na rowerach. Tobie się to nie zdarzyło?

– Zdarzyło się. Ale nie tuż po tym, jak mnie „wyklął” mały sataniczny Hippo. Nie po tym,

jak się dowiedziałem o tragicznym wypadku Régisa. Później układało ci się w życiu coraz gorzej. Szkolne porażki, zawodowe niewypały w Valence i Lyonie, niepłodność, odejście żony... Strach, bojaźliwość, zasłabnięcia... Nie jesteś marszałkiem, jak chciał twój ojciec, nie jesteś nawet żołnierzem. I to fiasko na każdym froncie jest dla ciebie dramatem, który tylko narasta. Ale ten dramat nie jest z twojej winy, Émeri, bo zainicjował go Hippo, kiedy cię „wyklął”. Pozbawił cię nadziei na potomków, na życie szczęśliwe albo chlubne, co dla ciebie wychodzi na jedno. Hippo jest sprawcą twoich niedoli, niepowodzeń. I nadal cię przeraża.

– Adamsberg, zastanów się tylko: kto by się bał degenerata, który mówi wspak?

– Uważasz, że trzeba być degeneratem, żeby umieć mówić od tyłu? Jasne, że nie. Trzeba być wyposażonym w genialny umysł, ale wyjątkowy. Diaboliczny. Wiesz o tym, podobnie jak wiesz, że Hippo musi zostać zniszczony, żebyś ty się uchronił. Masz dopiero czterdzieści jeden lat, możesz zacząć życie od nowa. Od odejścia żony i od samobójstwa Régisa trzy lata temu to twoja obsesja. Bo ty jesteś człowiekiem obsesji. O czym świadczy między innymi twój empirowy pokój.

– To zwyczajny szacunek, nie zdołasz tego zrozumieć.

– Nie, to megalomańska mania. Nieskazitelny mundur, którego nie może deformować żadna kostka cukru. Postawa dumnego żołnierza. Jest jeden odpowiedzialny za to, co uważasz za niesłuszną klęskę, nieznośną, wstydliwą, a przede wszystkim groźną: Hippolyte Vendermot. Tyle że urok, który na ciebie rzucił, może zostać zdjęty dopiero wraz z jego śmiercią. Czyli to byłby przypadek neurotycznej niejako słusznej obrony, gdybyś nie zabił czterech innych osób.

– Czemu w takim razie – zapytał Émeri, na powrót opadając na oparcie krzesła – nie zabiłem po prostu Hippa?

– Bo nade wszystko boisz się oskarżenia o spowodowanie jego śmierci. Co jest zrozumiałe. Bo tutaj wszyscy wiedzą, co się działo, kiedy byliście dziećmi, wiedzą o twoim wypadku rowerowym po tym, jak Hippo cię przeklął, i o nienawiści, jaką darzysz Vendermotów. Potrzebujesz alibi, żeby czuć się w pełni bezpiecznie. Alibi i winnego. Potrzebujesz przemyślanej wszechstronnej strategii, takiej jak pod Pruską Iławą. Strategii dobrze opracowanej, bo to jedyny sposób, żeby tak jak cesarz pokonać armię dwa razy silniejszą. A Hippolyte Vendermot jest dobre dziesięć razy silniejszy od ciebie. Ale ty jesteś potomkiem marszałka, do licha, i możesz go zniszczyć. „Pozwolisz, żeby ci ludzie cię pożarli?”, jak by powiedział cesarz. Nie, jasne, że nie. Pod warunkiem jednak, że najmniejsza nierówność terenu zostanie przygotowana. Potrzebujesz takiego marszałka Neya, który przyszedł z odsieczą, kiedy Davoutowi wróg zagroził na prawej flance. Dlatego odwiedziłeś Denisa.

– Ja byłem u Denisa?

– Rok temu byłeś u hrabiego na kolacji z paroma notablami, był doktor Anchois,



wicehrabia oczywiście, taksator licytacyjny z Evreux i tak dalej. Hrabia źle się poczuł, razem z lekarzem zaprowadziłeś go do sypialni. Anchois mi o tym opowiedział. Sądzę, że właśnie tamtego wieczoru poznałeś treść testamentu.

Émeri zaśmiał się krótko, ale całkiem naturalnie.

– Byłeś tam, Adamsberg?

– W pewnym sensie. Poprosiłem hrabiego o potwierdzenie. Myślał wtedy, że umiera, poprosił, żebyś mu przyniósł testament, dał ci klucz do sejfu. Chciał przed śmiercią uwzględnić w nim swoją dwójkę dzieci, które noszą nazwisko Vendermot. Z trudem dopisał kilka linijek na kartce i poprosił cię o podpis jako świadka. Ufał w twoją dyskrecję, jesteś kapitanem, człowiekiem honoru. Ty jednak oczywiście przeczytałeś ten dopisek. I wcale cię nie zdziwiło, że hrabia spłodził takie potwory jak Hippo i Lina. Zobaczyłeś znamię na jego plecach, kiedy Anchois go badał. O znamieniu Liny wiedziałeś wcześniej, ten szal ciągle zsuwa jej się z ramion. Dla ciebie to nie stonoga z czułkami, tylko czerwone oblicze rogatego diabła. To dodatkowo utwierdziło cię w opinii, że całe to bękarcie nasienie jest przeklęte. I tamtego wieczoru, po takim długim czasie szukania okazji, żeby usunąć plemię Vendermotów... bo Lina w twoich oczach też jest brudna... wreszcie nadarza się sposobność. Jako człowiek podszyty strachem, długo się zastanawiasz, starannie ważysz wszystkie elementy i jakiś czas później odbywasz rozmowę z synem Valleraya.

– Nigdy nie utrzymywałem kontaktów z wicehrabią, wszyscy o tym wiedzą.

– Ale możesz go odwiedzić, Émeri, jesteś szefem posterunku żandarmerii. Wyjawiłeś prawdę Denisowi, powiedziałeś mu o tych paru linijkach, które jego ojciec dopisał do testamentu. Pokazałeś mu, jak na tym wyjdzie. To słabeusz i ty o tym wiesz. Ale człowiek pokroju wicehrabiego nie podejmuje od razu decyzji. Pozwoliłeś, żeby się zastanowił, przemyślał to. Znowu się z nim zobaczyłeś, żeby go ponaglić, przekonać i złożyć mu następującą propozycję: możesz go uwolnić od kłopotliwych współspadkobierców, ale pod warunkiem, że on dostarczy ci alibi. Denis jeszcze się wahał, na pewno rozważał sytuację. Ale tak jak przewidziałeś, w końcu się zgodził. Jeżeli ty zabijesz, jeżeli on będzie miał tylko przysięgę, że był z tobą, to niska cena. Dobiliście targu. I potem już czekałeś tylko na okazję.

– Nadal nie odpowiedziałeś na moje pytanie. A co mnie obchodziło, że hrabia spłodził te gnidy? Że Danglard o tym wiedział?

– Nic cię nie obchodziło. Obchodziły cię tylko gnidy. Ale gdyby wyszło na jaw, kto jest ich ojcem, straciłbyś wsparcie współnika, Denisa, który już nie miałby interesu, żeby cię kryć. Czyli straciłbyś alibi. Dlatego zrzuciłeś Danglarda na tory.

W tej chwili do sali wszedł komendant Bournant, oschle przywitał inspektora Adamsberga, dla którego nie miał żadnego poważania.

– Jakie zarzuty? – zapytał.

– Cztery morderstwa, dwa usiłowania morderstwa, dwa zamiary morderstwa.

– Zamiary się nie liczą. Ma pan podkładki?

– Jutro o dziesiątej dostanie pan mój raport. Pan zdecyduje, czy przedstawiać sprawę sędziemu czy nie.

– Może być, jak sądzę. Proszę za mną, kapitanie – zwrócił się do Émeriego. – Bez urazy, bo nic nie wiem o tej sprawie. Ale Adamsberg prowadzi śledztwo, więc muszę słuchać.

– Niewiele czasu spędzimy razem, komendancie – powiedział Émeri, podnosząc się z godnością. – Adamsberg nie ma dowodów, bredzi.

– Przyjechał pan sam? – zapytał Adamsberg Bourlanta.

– Tak jest, inspektorze. Mamy piętnasty sierpnia, sam środek sezonu urlopowego.

– Veyrenc, Retancourt, pojedziecie z komendantem. Ja tymczasem zacznę pisać raport.

– Wszyscy wiedzą, że nie potrafisz sklecić trzech linijek – szyderczo zauważył Émeri.

– Już ty się o to nie martw. Jeszcze słówko, Émeri: idealną sposobność dała ci niechcący Lina. Kiedy zobaczyła Dziki Hufiec i kiedy cały Ordebec się o tym dowiedział. Sama pokazała ci drogę, to był znak od losu. Pozostało ci tylko zrealizować jej przepowiednię, wykończyć trzech „pojmanyh” i w ten sposób nastawić mieszkańców przeciwko Vendermotom. „Śmierć wszystkim V.”. A potem zabić Linę i jej przekłętogo brata. W mieście na pewno szukano by jakiegoś wariata śmiertelnie wystraszonego hufcem i zdecydowanego pozbyć się jego „pośredników”. Tysiąc siedemset siedemdziesiąt pięć! Wtedy dziesiątki osób zadźgały widłami François-Benjamina. Podejrzanych by nie brakowało.

– Tysiąc siedemset siedemdziesiąt siedem – sprostował Veyrenc, zastępując w tym Danglarda.

– Aż tyle to może nie, ale co najmniej ze dwustu.

– Nie mówię o liczbie podejrzanych, tylko o roku, w którym zamordowano François-Benjamina. Tysiąc siedemset siedemdziesiąt siedem.

– A, dobrze – rzekł Adamsberg ani trochę nie speszony.

– Kretyn – mruknął Émeri przez zęby.

– Denis jest prawie tak samo winny jak ty – podjął spokojnie Adamsberg – bo z tchórzostwa dał ci przyzwolenie, rozgrzeszył cię podle. Ale kiedy zrozumiałeś, że Towarzystwo Brukwijskie...

– Marchijskie – wpadł mu w słowo Émeri.

– Jak chcesz. Że powiadomią wicehrabiego o śledztwie, od razu zrozumiałeś, że on wytrzyma może parę godzin i się ugnie. Wyjawi prawdę, oskarży cię. On przecież wiedział, że to ty załatwiłeś „pojmanyh”, żeby przygotować grunt pod śmierć Vendermotów. Poszedłeś do Denisa, pogadałeś z nim, żeby uspić jego obawy, ogłuszyłeś go tym swoim profesjonalnym ciosem w tętnicę szyjną, wlałeś w niego alkohol i leki. Ale nieoczekiwanie Denis się podniósł, dostał mdłości, rzucił się do otwartego okna. Była akurat burza, pamiętasz? Pora wszelkich mocy. Wystarczyło podnieść go za nogi i wypadł za okno. Denis będzie oskarżony o morderstwa, przez to odebrał sobie życie. Idealnie. Trochę to burzyło

twój plan, ale nie aż tak bardzo. Po czterech zgonach, i nawet gdyby było racjonalne wyjaśnienie tego, połowa Ordebecu nadal by uważała, że zasadniczą przyczyną śmierci tych ludzi był hufiec. Że Hellequin przyszedł, by zniszczyć czterech „pojmanyh”. Że wicehrabia był tylko jego zbrojnym ramieniem, narzędziem. Że Hippo i Lina znowu mieli swój udział w przybyciu Hellequina. Nic więc nie stałoby na przeszkodzie, by później powiedzieć, że szaleniec po wszystkim usunął jego dwoje pomagierów. Szaleniec, którego nigdy by nie znaleziono za aprobatą całej społeczności miasteczka.

– A toś wymyślił hekatombę tylko po to, żeby dopaść jednego faceta – zauważył Émeri, wygładzając mundur.

– I owszem. Ale dodaj, że ta hekatomba nadzwyczajnie ci przypadła do gustu. Glayeux i Mortembot drwili z ciebie, upokarzali cię i nic nie mogłeś im zrobić. Nienawidziłeś ich. Tak samo Herbiera, którego nigdy nie udało ci się aresztować. Wszyscy byli złymi ludźmi, a ty takich eliminowałeś. Hippa na końcu. Najważniejsze jednak, Émeri, że mocno wierzysz w hufiec. Pan Hellequin, jego słudzy Hippo i Lina, ofiara Régis... dla ciebie to wszystko ma sens. Usuwając „pojmanyh”, zapewniałeś sobie równocześnie łaski u pana Hellequina. A to nie byle co. Bo bałeś się, że będziesz czwartą ofiarą. Nie lubiłeś mówić o czwartym człowieku, tym bez nazwiska. Przypuszczam więc, że dawno temu już kogoś zabiłeś. Jak Glayeux, jak Mortembot. Ale o tym wiesz tylko ty.

– Wystarczy, inspektorze – wtrącił się Bourlant. – Nic z tego, co może tu zostać powiedziane, nie będzie miało wartości dowodu.

– Wiem, komendancie – powiedział Adamsberg z przelotnym uśmiechem, popychając Veyrenca i Retancourt za szorstkim oficerem z Lisieux.

Veyrenc wyszeptał:

*Dumna orła latorośl na ziemi ląduje,  
Szalony, kto marzył, że chwały dostępuje.*

Adamsberg znacząco spojrział na niego, dając mu do zrozumienia, że chwila jest nieodpowiednia, tak jak kiedyś zasygnalizował to Danglardowi podczas jego opowieści o Ryszardzie Lwie Serce.

## LIV

Lina nie poszła do pracy – w domu Vendermotów zburzeniu uległ cały porządek na wieść o zatrzymaniu kapitana Émeriego, przedstawiciela sił strzegących ładu. Było trochę tak, jakby kościół w Ordebecu stanął na dachu. Po przeczytaniu raportu Adamsberga – w którego sporządzeniu Veyrenc miał znaczny udział – komendant Bourlant zdecydował się powiadomić sędziego, który wydał nakaz tymczasowego aresztowania. W Ordebecu nie było nikogo, kto by nie wiedział, że Louis Nicolas Émeri siedzi w celi w Lisieux.

Ale co najważniejsze, hrabia przez umyślnego przesłał Vendermotom uroczysty list, w którym powiadał o prawdziwym pochodzeniu Hippolyte'a i Liny. Jak wyjaśnił Adamsbergowi, mniej poniżające będzie, jeśli dzieci wcześniej dowiedzą się o tym od niego niż później z plotek, które zawsze rozchodzą się szybko i czynią krzywdę.

Po powrocie z zamku koło południa Adamsberg zastał ich obijających się po jadalni w tę i w tę niczym kule, które zderzają się na nierównym stole bilardowym, rozprawiających na stojąco, krążących wokół dotąd nieposprzątanego dużego stołu.

Jego przyjscia jakby nikt nie zauważył. Martin postukiwał tłuczkiem w prawie pustym mózdzierzu, podczas gdy Hippo, zazwyczaj rządzący wszystkim, chodził dookoła pokoju, sunąc palcem wskazującym po ścianie, jakby rysował niewidzialną linię. Dziecięca zabawa, pomyślał Adamsberg. Hippo odtwarzał całe swoje życie, zajmie mu to trochę czasu. Antonin z lękiem obserwował szybki krok najstarszego brata, ciągle się usuwając, aby nie potrafił go po drodze. Lina wyżywała się na krześle, z którego paznokciem zdrapywała drobiny farby z takim zapamiętaniem, jakby od tego zajęcia zależało czyjeś życie. Tylko matka się nie ruszała, siedząc skulona w fotelu. Całą swoją postawą – spuszczone głowa, ściśnięte chude nogi, ręce obejmujące ciało – zaświadczała o wstydzie, który ją przytłoczył i którego nie potrafiła się pozbyć. Teraz już wszyscy wiedzieli, że sypiała kiedyś z hrabią, że zdradziła męża, i cały Ordebec będzie to komentował w nieskończoność.

Adamsberg, nie witając się z nikim, nie sądził bowiem, żeby ktokolwiek go usłyszał, najpierw podszedł do Vendermotowej i położył jej na kolanach przyniesiony bukiet. Co chyba jeszcze pogłębiło jej speszenie. Nie była godna kwiatów. Adamsberg się nie poddał, ujął kolejno jej dłonie i obydwie położył na wiązance. Następnie zwrócił się do Martina:

– Czy bylibyś tak dobry i zrobił nam kawy?

Te słowa i przejście na „ty” wyraźnie skupiło na nim uwagę rodziny. Martin zostawił mózdzierz i drapiąc się po głowie, pomaszerował do kuchni. Adamsberg sam wyjął kubki z kredensu i postawił je na stole, przesunawszy część brudnych naczyń w jeden róg. Kolejno poprosił każdego z Vendermotów, aby zajął miejsce. Lina posłuchała ostatnia i ledwie

usiadła, zaatakowała paznokciem odpryski na nodze krzesła. Adamsberg nie czuł w sobie żadnego talentu psychologicznego, toteż przez chwilę miał ochotę uciec stamtąd. Wziął kawiarkę z rąk Martina i nalał do wszystkich kubków, po czym jeden zaniósł Vendermotowej, która pokręciła głową z dłońmi wciąż zaciśniętymi na bukietach. Odnosił wrażenie, że nigdy nie pił tyle kawy co tutaj. Hippo także odsunął kubek, w zamian otworzył sobie piwo.

– Matka bała się o was i po stokroć miała rację – zaczął Adamsberg. Wszyscy spuścili wzrok, głowy mieli schylone, jakby skupiali się przed mszą. – Jeśli nikogo z was nie stać na to, żeby stanąć w jej obronie, kto inny to zrobi?

Martin wyciągnął rękę w stronę mózdzierza, powstrzymał się jednak.

– Hrabia uratował ją przed szaleństwem – zaryzykował Adamsberg. – Nikt z was nie jest stanie sobie wyobrazić, jakim piekłem było jej życie. Valleray wszystkich was chronił, jesteście mu to winni. Nie pozwolił zastrzelić Hippa jak psa. To też jemu zawdzięczacie. Przy jego pomocy matka wszystkich was chroniła. Sama nie mogła tego zrobić. Wypełniała swoją rolę matki. To wszystko.

Adamsberg nie miał pewności, czy prawdą jest to, co wygłosił, nie wiedział, czy matka by oszalała czy nie, czy ojciec by strzelił do Hippolyte'a, lecz pora nie była odpowiednia na wdawanie się w szczegóły.

– Hrabia zabił ojca? – zapytał Hippo.

Przerwanie ciszy przez najstarszego z rodzeństwa było dobrym znakiem. Adamsberg westchnął, żałując w duchu, że nie ma pod ręką papierosa Zerka albo Veyrenca.

– Nie. Kto zabił ojca, nigdy się nie dowiemy. Może Herbier.

– Tak – wtrąciła się z ożywieniem Lina – to możliwe. Tydzień wcześniej rozegrała się burzliwa scena. Herbier domagał się od ojca pieniędzy. Było dużo krzyku.

– No jasne – odezwał się Antonin, wreszcie otwierając szeroko oczy. – Herbier musiał wiedzieć o Hippie i Linie, na pewno szantażował Vendermota. Ojciec nigdy by nie zniósł, gdyby całe miasto się dowiedziało.

– W tej sytuacji raczej ojciec by zabił Herbiera – zauważył Hippo.

– Właśnie – przytaknęła Lina. – I dlatego zginął od własnej siekiery. Ojciec próbował zabić Herbiera, ale okazał się słabszy.

– No przecież skoro Lina widziała Herbiera w Dzikim Hufcu – zauważył Martin – znaczy, że popełnił jakąś zbrodnię. O Mortembocie i Glayeux było wiadomo, ale o Herbierze nie.

– Zgadza się – skwitował Hippo. – Herbier rozwalił łeb ojcu.

– Na pewno tak było – zgodził się Adamsberg. – Wszystko pasuje, a najważniejsze, że wszystko się kończy.

– Czemu pan mówi, że matka słusznie bała się o nas? – zapytał Antonin. – Przecież nie nas Émeri zabił.

– Ale właśnie was chciał zabić. Taki miał cel: zabić Hippa i Linę, a winę zrzucić na kogoś

z mieszkańców Ordebecu. Na kogoś, komu ze strachu odebrało rozum z powodu umarłaków z Dzikiego Hufca.

– Jak w tysiąc siedemset siedemdziesiątym siódmym.

– Właśnie. Ale śmierć wicehrabiego pokrzyżowała szyki Émeriemu. Bo to on wyrzucił go z okna. Tyle że na tym już koniec – powiedział Adamsberg, zwracając się do matki, która z wolna podnosiła głowę, jak gdyby po nazwaniu jej czynów na głos, po wystąpieniu nawet w jej obronie wreszcie mogła otrząsnąć się z letargu. – Koniec czasów strachu – z naciskiem ciągnął Adamsberg. – I koniec z przekleństwem, które wisiało nad Vendermotami. W tej jatce dobre jest jedno: wszyscy się dowiedzą, że wy nie byliście sprawcami, tylko ofiarami.

– Czyli na nikim już nie zrobimy wrażenia – rzekł Hippo z lekko zawiedzionym uśmiechem.

– Może i szkoda – przyznał Adamsberg. – Stajesz się człowiekiem z pięcioma palcami.

– Całe szczęście, że mama zachowała odcięte – westchnął Antonin.

Adamsberg posiedział jeszcze z nimi godzinę, w końcu się pożegnał, po raz ostatni obrzucając wzrokiem piersi Liny. Przed wyjściem objął Vendermotową ramieniem i poprosił, żeby go odprowadziła do drogi. Onieśmielona kobiecina odłożyła kwiaty, a wzięła miskę, wyjaśniając, że przy okazji zbierze pranie.

Adamsberg pomagał jej ściągać poszczególne sztuki ze sznurka rozciągniętego między jabłoniemi i składać do miski. Nie widział nijakiego sposobu, by delikatnie poruszyć nurtujący go temat.

– Co pani na to, że Herber zabił pani męża? – odezwał się cicho.

– Dobrze zrobił – szepnęła.

– Ale to nieprawda. Pani go zabiła.

Kobiecina upuściła klamerkę do bielizny i oburącz przytrzymała się sznurka.

– Proszę pani, tylko my dwoje o tym wiemy. Zbrodnia uległa przedawnieniu i nikt nigdy do niej nie wróci. Nie miała pani wyboru. Albo on, albo dwoje dzieci. Znaczący dwoje dzieci Valleraya. On by je zabił. Był tylko jeden sposób, żeby je uratować, i pani go wybrała.

– Jak się pan dowiedział?

– No cóż, w gruncie rzeczy wiedzą o tym trzy osoby: pani, ja i hrabia. Sprawie ukręcono łeb, bo on interweniował. Dziś rano mi to potwierdził.

– Vendermot chciał zabić małe. Wiedział.

– Od kogo?

– Od nikogo. Kiedyś zawiózł deski do zamku i Valleray pomagał mu je wyładować. Hrabia zahaczył koszulą o ząb ładowarki i rozerwał ją na całej długości. Vendermot zobaczył jego plecy. Zauważył znamię.

– Ale ktoś jeszcze wie, chociaż tylko połowicznie.

Vendermotowa zwróciła ku Adamsbergowi przerażoną twarz.

– Lina – podjął. – Widziała, jak pani go zabijała. Dlatego wytarła trzonek. Później chciała

wszystko wymazać z pamięci, pogрузić w zapomnieniu. Dlatego niedługo potem miała pierwszy atak.

– Jaki atak?

– Pierwszą wizję Dzikiego Hufca. Zobaczyła wtedy Vendermota jako „pojmanego”. I odtąd dla niej odpowiedzialny za zbrodnię był pan Hellequin, nie pani. W dalszym życiu pielęgnowała w sobie tę szaloną myśl.

– Umyślnie?

– Nie, żeby chronić siebie. Ale przez to jest chora, trzeba by ją uwolnić od tego koszmaru.

– Nie da rady. Są rzeczy silniejsze od nas.

– Pani może to zrobić, mówiąc jej, jak było naprawdę.

– W życiu – odparła kobiecina, znowu czepiając się sznurka.

– Gdzieś w zakamarku umysłu Lina już się tego domyśla. A jeśli ona się domyśla, to jej bracia także. Bardzo by im pomogło, gdyby się dowiedzieli, że pani to zrobiła i dlaczego.

– W życiu.

– Niewykluczone, że wtedy glina Antonina by stwardniała, Martin jadłby mniej owadów, Lina uwolniłaby się od hufca. Proszę o tym pomyśleć, pani jest ich matką.

– Szczególnie ta glina jest kłopotliwa – powiedziała słabym głosem.

Tak słabym, że Adamsberg nie wątpił, iż w tej chwili powiew wiatru poniósłby ją niczym puszyste spadochrony owoców mniszka lekarskiego. Drobną, kruchą, pozbawioną pewności siebie kobietę, która dwoma ciosami siekiery zarąbała ongiś swego męża. Mniszek lekarski to skromny i bardzo wytrzymały kwiatek.

– Przypuszczam jednak, że dwie rzeczy nigdy się nie zmienią – podjął Adamsberg. – Hippo nadal będzie mówił wspaniale. I myślę, że Dzikie Hufiec Hellequina dalej będzie przechodził przez Ordebec.

– A, to pewne na bank – stanowczo oznajmiła Vendermotowa. – To całkiem inna sprawa.

## LV

Veyrenc i Danglard bez ceregieli dostarczyli skutego Mo do biura Adamsberga i siłą posadzili go na krześle. Na jego widok Adamsberg odczuł prawdziwą przyjemność, w gruncie rzeczy satysfakcję pomieszaną z dumą, że zdołał go uchronić przed stosem.

Stojący po obu stronach chłopaka Veyrenc i Danglard znakomicie grali swoje role, miny mieli twarde i czujne. Adamsberg nieznacznie mrugnął do Mo.

– No i widzisz, Mo, jak się kończą ucieczki.

– Jak wam się udało mnie znaleźć? – zapytał chłopak tonem niespecjalnie agresywnym.

– Wpadłbyś i tak wcześniej czy później. Mieliśmy twój notes z adresami.

– I co z tego? – burknął Mo. – Miałem prawo uciec, musiałem uciec. Nie podłożyłem ognia pod tę furę.

– Wiem – przyznał Adamsberg i Mo przywołał na twarz minę średnio zdziwioną. – Załatwili to dwaj synowie Clermonta-Brasseura. W tej chwili zostali już oskarżeni o morderstwo z premedytacją.

Trzy dni wcześniej, jeszcze przed wyjazdem z Ordebecu, Adamsberg uzyskał od hrabiego obietnicę interwencji u stosownego funkcjonariusza wymiaru sprawiedliwości. Obietnicę złożoną bez problemu, ponieważ okrucieństwo braci wstrząsnęło do głębi Vallerayem. Miał naprawdę dosyć brutalności w Ordebecu i nie był usposobiony do pobłażliwości, nawet wobec siebie.

– Synowie? – nieszczerze oburzył się Mo. – Właśni synowie podpalili mu furę?

– Tak pokombinowali, żeby winę zrzucić na ciebie. Twoje buty, twoja metoda... Tyle że Christian Clermont nie potrafił odpowiednio zawiązać sznurowadeł. No i płomień opalił mu trochę włosy.

– Prawie zawsze tak się robi.

Mo obrócił głowę w prawo i w lewo jak ktoś, kto nagle uświadamia sobie nowy stan rzeczy.

– Czyli mogę sobie iść?

– Żartujesz? – twardo zapytał Adamsberg. – Już nie pamiętasz, jak ostatnio stąd wyszedłeś? Napaść z bronią w ręku na policjanta, przemoc i ucieczka.

– Bo musiałem – powtórzył Mo.

– Może i tak, chłopcze, ale prawo jest prawem. Idziesz do aresztu tymczasowego, staniesz przed sądem za jakiś miesiąc.

– Przecież nic panu nie zrobiłem – zaprotestował Mo. – Tylko lekko stuknąłem.

– Za to lekkie stuknięcie staniesz przed sądem. To dla ciebie nie pierwszyna. Sąd



postanowi, co dalej.

– Ile mi grozi?

– Dwa lata – oszacował Adamsberg. – Ze względu na wyjątkowe okoliczności i poniesione szkody. Będziesz mógł wyjść po ośmiu miesiącach za dobre sprawowanie.

– Kurde, osiem miesięcy! – powiedział Mo, tym razem prawie szczerze.

– Powinieneś mi podziękować, że znalazłem podpalaczy. A nie miałem przecież powodu życzyć ci dobrze. Inspektor, który pozwala uciec aresztantowi... wiesz, czym to grozi?

– Mam to gdzieś.

– Domyślam się – przyznał Adamsberg, wstając. – Zabierzcie go. – I gestem dał do zrozumienia chłopakowi: „Uprowadzałem. Osiem miesięcy. Nie mamy wyboru”.

– Ma pan rację, inspektorze – rzekł nagle Mo, wyciągając do niego skute rękę. – Powinienem panu podziękować.

Ściskając dłoń Adamsberga, Mo wsunął w nią kulkę papieru. Kulkę większą niż zgnieciony papierek z kostki cukru. Po wyjściu wszystkich Adamsberg zamknął drzwi, oparł się o nie, by nikt mu nie przeszkodził, i rozłożył liścik. Małymi literkami Mo opisał szczegółowo swoje rozumowanie na temat sznurka, którym spętano łapki gołębiowi Hellebaudowi. Na koniec podał nazwisko i adres sukinsyna, który to zrobił. Adamsberg się uśmiechnął i starannie schował papierek do kieszeni.

## LVI

W umówiony dzień, wedle tej samej co poprzednio procedury, hrabia de Valleray sprowadził ponownie osteopatę do szpitala, w którym leżała Léo. Lekarz odprawiał swoje czary-mary sam w pokoju, w towarzystwie jedynie doktora Anchois, który nie chciał stracić ani okruszyny, i strażnika Renégo. W korytarzu odbywała się niemal identyczna scena – krążenie w tę i we w tę tych, którzy tam czekali, Adamsberga, Liny, pielęgniarki, hrabia siedział, postukując w linoleum laską, strażnicy z Fleury stali przy drzwiach. Taka sama cisza, takie samo napięcie. Jednakże Adamsbergowy niepokój był teraz innej natury. Nie chodziło już o ratowanie życia Léo, lecz o upewnienie się, że lekarz przywróci jej mowę. Mowę, dzięki której Léo wyjawi nazwisko zabójcy z Ordebecu. Adamsberg wiedział, że bez tego świadectwa jest mało prawdopodobne, by śledczy postawił kapitana Émeriego w stan oskarżenia. Żaden stróż prawa nie oprze sprawy na sześciu papierkach z cukru, na których w dodatku nie znaleziono żadnych odcisków palców. Ani na jego napaści na Hippolyte'a przy studni, bo przecież nijak nie potwierdzała innych zabójstw.

Hrabia pragnął się dowiedzieć, czy stara Léo odzyska utraconą żywość czy też pozostanie unieruchomiona i niema. O małżeństwie na razie przestał mówić. Po tylu przeżyciach i skandalach, które wstrząsnęły Ordebekiem, po przeżyciu takiego strachu miasteczko zdawało się kompletnie wyczerpane, jabłonie bardziej powyginane, krowy znieruchomiałe na kamień.

Deszczowy front, za którym przyszło chłodne powietrze, przywrócił Normandię do normalnego stanu. W związku z tym nawet Lina zrezygnowała z wydekoltowanej kwiecistej bluzki, zastąpiwszy ją swetrem zapiętym pod szyję. Adamsberg właśnie roztrząsał ten problem, kiedy z pokoju wreszcie tanecznym krokiem wyszedł zadowolony lekarz. Tak jak poprzednio nakryto dla niego stół w pokoju pielęgniarek. Zaprowadzono go tam w milczeniu, a lekarz długo szorował ręce, po czym zapewnił zebranych, że już nazajutrz Léo zacznie mówić jak zwykle. Odzyskała wystarczającą odporność psychiczną, aby stawić czoło sytuacji, mógł więc ją odblokować. Anchois wpatrywał się w niego, gdy jadł z policzkiem wspartym na dłoni, w pozie jakby starego amanta.

– Jedną rzecz chętnie bym wyjaśnił – rzekł lekarz między jednym kęsem a drugim. – Każdym by wstrząsnęło, gdyby ktoś się na niego rzucił i chciał go zabić. Gdyby to była bliska osoba, trauma byłaby zdecydowanie większa. W Léo jednak wyzwoliło się coś znacznie silniejszego, tak że za żadne skarby świata nie chciała spojrzeć temu w twarz. Taki fenomen mógłby się zdarzyć, gdyby na przykład napadł na nią syn. Bez dwóch zdań. Dlatego nie rozumiem. Ale nadal twierdzę, że ten, kto na nią napadł, nie był zwykłym

znajomym. Był kimś więcej.

– Faktycznie – przyznał Adamsberg w zamyśleniu. – Człowiek, którego ostatnio nieczęsto widywała, ale kiedyś dobrze poznała. W szczególnych okolicznościach.

– Tak? – podchwycił lekarz, wpatrując się w niego z błyskiem uwagi w oczach.

– Kiedy ten człowiek miał trzy lata, wpadł do zamrożonego stawu i byłby utonął, gdyby Léo go nie wyciągnęła. Uratowała mu życie.

Lekarz długo kiwał głową.

– To mi wystarczy – rzekł wreszcie.

– Kiedy będę mógł ją zobaczyć?

– Choćby zaraz. Ale pytać ją można dopiero jutro rano. Kto jej przyniósł te niemożliwe książki? Jakieś groteskowe romansidło i podręcznik chorób koni. Ludzie nie mają za grosz pomysłu.

– Mnie się podobał ten romans – powiedziała pielęgniarka.

Adamsberg wybrał się na chemin de Bonneval, obszedł kaplicę Świętego Antoniego, dotarł do starej Studni Gąsienicy i ździebko zmachany zjawił się na kolacji Pod Dzikim – czy to Niebieskim, czy Biegnącym. Zerk, który wrócił z sentymentalnej wyprawy do Włoch, zadzwonił w czasie posiłku z Paryża, aby go powiadomić, że Hellebaud wzbił się w powietrze i odfrunął na dobre. Doskonała wiadomość, Adamsberg jednak wyczuł w głosie syna niepokój.

Nazajutrz o siódmej rano po raz ostatni wyniósł sobie pod jabłonkę śniadanie. Nie chciał, by komendant Bourlant uprzedził go i pierwszy zjawił się u Léo. Przy pomocy doktora Anchois i pielęgniarki załatwił sobie wejście do szpitala na pół godziny przed oficjalnym otwarciem drzwi dla odwiedzających. Pogodzony teraz z puszką z cukrem, wrzucił dwie kostki do kawy, starannie zamknął wieko i założył gumkę na pudełko.

O ósmej trzydzięci pielęgniarka dyskretnie wpuściła go do szpitala. Léo czekała na niego, siedząc ubrana w fotelu. Doktor Anchois zgodził się wypisać ją już tego dnia. Uzgodniono, że w południe przyjedzie po nią brygadier Blériot z Pasikiem.

– Nie przyszedł pan tu dla samej przyjemności zobaczenia mnie, prawda, inspektorze? Wstrętna jestem – zreflektowała się zaraz. – Przecież to pan przywiózł mnie do szpitala, pan przesiadywał przy mnie, pan sprowadził tego lekarza. Gdzie on praktykuje?

– We Fleury.

– Anchois mi powiedział, że nawet mnie pan cesał. Jest pan miły.

„Jesteśmy mili”, wspomniał Adamsberg i przed oczami przedfilowały mu twarze młodych Vendermotów, dwóch blondynów i dwojga brunetów, i była to prawie prawda. Stanowczo zakazał doktorowi Anchois mówić wiekowej pacjentce o aresztowaniu Émeriego. Chciał usłyszeć jej zeznania nie naznaczone żadnym wpływem.

– To prawda – zgodził się. – Chcę się dowiedzieć.

– Louis – wyszeptwała Léo. – To był mój mały Louis.

– Émeri?

– Tak.

– Wytrzyma pani?

– Tak.

– Co się stało? O co chodziło z tym cukrem? Bo to właśnie pani mi powiedziała: Eylau od miejsca bitwy napoleońskiej, Pasik i cukier.

– Nie pamiętam. Kiedy to było?

– Dwa dni po napaści na panią.

– Nie, nie przypominam sobie. Ale owszem, był problem z cukrem. Dziesięć dni wcześniej byłam w kaplicy Świętego Antoniego i niczego nie zauważyłam.

– Czyli przed zniknięciem Herbiera.

– Tak. I w dniu kiedy pana spotkałam, czekając na Pasika, zobaczyłam porozrzucone te papierki przy pniu. Zagrzebałam je pod liśćmi, bo zaśmiecały teren, było ich co najmniej sześć. Przypomniałam sobie o nich następnego dnia rano. Jak pan wie, ludzie nie chodzą po chemin de Bonneval. Dziwne mi się wydało, że ktoś tam się kręcił, akurat kiedy zamordowano Herbiera. A znam tylko jednego człowieka, który zjada sześć kostek cukru z rzędu. I który nie zgniata papierków. Louisa. Miewa czasami spadek poziomu cukru, no wie pan, i musi wtedy się pokrzepić. Następnego dnia zastanawiałam się więc, czy Louis tam był, czy szukał ciała w lesie, a jeśli tak, to czemu tego nie powiedział, a przede wszystkim czemu go nie znalazł. Z ciekawości zadzwoniłam do niego. Nie ma pan przypadkiem cygara? Tyle dni nie paliłam...

– Mam jednego pogniecionego papierosa.

– Może być.

Adamsberg szeroko otworzył okno i podał Léo papierosa i ogień.

– Dziękuję – powiedziała Léo, wydmuchując dym. – Louis odpowiedział, że zaraz u mnie będzie. Jak tylko wszedł, rzucił się na mnie. Nic z tego nie rozumiem.

– To on zabijał w Ordebecu.

– Herbiera?

– Jego i innych ludzi.

Léone zaciągnęła się mocno papierosem, który lekko drżał.

– Louis? Mój mały Louis?

– Tak. Możemy spokojnie o tym pogadać wieczorem, jeżeli pozwoli mi pani zostać na kolacji. Ja przygotowuję jedzenie.

– Dobrze by było zjeść mocno popieprzonej zupy. Tu nie dają pieprzu.

– Zajmę się tym. Ale proszę powiedzieć: czemu nazwała go pani „Eylau”, a nie „Louis”?

– W dzieciństwie takie miał przezwisko – wyjaśniła Léo z odmienionym wzrokiem, jaki

towarzyszy zagłębieniu w przeszłość. – Wzięło się z kaprysu ojca, który podarował mu bębenek, ale w zamierzeniu na pewno miało to przygotować go do wojska. Nazywali go tak do piętego roku życia: mały dobosz z Eylau, mały Eylau. Tak go nazwałam?

W tym samym czasie w mediach zawrzało z powodu sprawy Clermontów-Brasseurów. Wszyscy zachłannie dopytywali, czy aby po dokonaniu zbrodni ktoś nie chronił braci. Ale nie rozwodzono się zbyt długo nad tą kwestią. Podobnie jak nie rozwodzono się nad aresztowaniem młodego Mohameda. Całe to poruszenie nie potrwa długo. Za kilka dni sprawa przycichnie, a potem pójdzie w zapomnienie niczym Hippo, który o mało nie wpadł do Studni Gąsienicy.

Zarazem zszokowany, zawiedziony i roztargniony Adamsberg słuchał wiadomości z zakurzonego radjka starej Léo. Zrobił zakupy, zmiksował zupę jarzynową, przygotował lekką kolację nadającą się dla rekonwalescentki po wyjściu ze szpitala. Aczkolwiek uważał, że Léo wolałaby solidny, a nawet tłusty posiłek. Jeżeli się nie myli, wieczór zakończy się przy calvadosie i cygarach.

Odszedł od radia i rozpałił w kominku z okazji powrotu gospodyni tego domu. Upały skończyły się wraz z wykryciem mordercy, w ciężko doświadczonym miasteczku znów panowały temperatury wywołujące dreszcze.

## LVII

Ponad miesiąc później w pewną środę Danglard odebrał na komendzie solidną skrzynkę zaopatrzoną w dwa uchwyty, starannie zamkniętą, dostarczoną przez kuriera. Przepuścił ją przez detektor, który ujawnił, że w środku znajduje się prostokątny przedmiot umieszczony między dwiema deskami i ułożony w trocinach. Delikatnie dźwignął skrzynkę i ostrożnie przeniósł ją na biurko Adamsberga. On nie zapomniał. Pożądliwie spojrzął na przesyłkę, pogładził chropowaty wierzch skrzynki, zawahał się, czy podnieść wieko. Ogarniało go wielkie podniecenie na myśl, że płótno ze szkoły Cloueta spoczywa kilka centymetrów od jego ręki. Zastąpił drogę Adamsbergowi, kiedy ów wszedł do budynku.

– Masz paczkę u siebie na biurku.

– Dzięki, Danglard.

– Sądzę, że to Clouet.

– Co?

– Obraz hrabiego. Ze szkoły Cloueta. Klejnot, perełka, radość dla ludzkich oczu.

– Dzięki, Danglard – powtórzył Adamsberg, który spostrzegł, że poczerwieniałą nagle twarz komendanta zwilża pot.

Bez wątpienia Danglard od jakiegoś czasu czekał na niego rozgorączkowany. Adamsberg nie myślał o obrazie od tamtej sceny w bibliotece hrabiego de Valleray.

– Kiedy przyszedł?

– Prawie dwie godziny temu.

– Odwiedziłem Tuilot Luciena. Przechodzą do zawodów krzyżówkowych na poziomie drugim.

Adamsberg trochę na siłę otworzył skrzynkę, po czym gołymi rękami zaczął rozgarniać trociny, bacznie obserwowany przez zaniepokojonego Danglarda.

– Tylko nie uszkodź czegoś, na Boga! Miejże trochę wyobraźni.

Faktycznie był to obiecany obrazek. Adamsberg przekazał go w instynktownie wyciągnięte ręce Danglarda i udzielił mu się uśmiech prawdziwego szczęścia, który rozjaśnił oblicze komendanta. Pierwszy, odkąd go wciągnął w tę walkę z Dzikim Hufcem.

– Oddaję go pod twoją opiekę, Danglard.

– Nie! – prawie krzyknął przerażony komendant.

– Tak. Ja jestem prosty chłop, góral, który szufluje chmury, ignorant nawet, jak powiedział Émeri. I to wszystko prawda. Przechowaj mi go, u ciebie będzie dużo szczęśliwszy, otoczony troskliwością. Powinien być u ciebie... a popatrz, już ci wpadł

w ramiona.

Danglard opuścił głowę nad obrazkiem, niezdolny odpowiedzieć, Adamsbergowi zaś przyszło do głowy, że jego kolega jest na skraju łez. Taka właśnie była uczuciowość Danglarda: wznosiła go ku wspaniałościom, jakich Adamsberg nigdy nie doświadczał, ale mogła go też popchnąć do podłostki takiej jak na dworcu w Cérenay.

Wraz z obrazkiem – i Adamsberg miał świadomość, że chodzi o prezent bezcenny – hrabia Valleray wystosował do niego zaproszenie na swój ślub z panną Léone Marie Pommereau, mający się odbyć za pięć tygodni w kościele w Ordebecu. Na ściennym terminarzu Adamsberg obwiał datę ślubu grubym niebieskim kółkiem, posyłając całusa starej Léo. Nie omieszka powiadomić o tym lekarza z „domu we Fleury”, nie było jednak co myśleć, że nawet przy ogromnych wpływach hrabiego de Valleraya uda się załatwić dla niego zezwolenie na uczestnictwo w zaślubinach pacjentki, którą przywrócił między żywych. Tę wszechmocną potęgę dawało się odczuć jedynie w fortecach takich jak Clermontów, w której wydrążona przez niego szczyrca nora codziennie bardziej się zamykała, nieodwracalnie, przy pomocy tysięcy nabożnych dłoni usuwających niegodziwości, korszachy i rozciągnięte lonty.

Upłynęły jeszcze trzy tygodnie i pięć dni, zanim pewnego ranka Hellebaud, gołąb, wylądował na parapecie kuchennego okna. Gorące powitanie, bardzo ożywiona wizyta. Ptak skubał dziobkiem ręce Zerka i Adamsberga, kilkakrotnie obszedł stół dookoła, zapamiętałe gruchając, opowiedział, jak mu się żyje. Godzinę później odfrunął, odprowadzany pustym rozmarzonym wzrokiem Adamsberga i jego syna.

## Nota autorska

Historia spotkania Gauchelina, proboszcza w Bonneval, z Dzikim Hufcem, opowiedziana przez dwunastowiecznego historyka Orderica Vitalisa, jest na tyle znana, że wiele informacji można znaleźć w internecie. Dawne teksty cytowane w niniejszej powieści zostały zaczerpnięte z: Lecouteux Claude, *Fantômes et revenants au Moyen Âge*, Paris 1986.



---

[1](#) Zob. teŹe autorki *Niepewne miejsce*, Katowice 2018.

[2](#) Zob. teŹe autorki *Modlitwa do trzeciej dziewicy*, Katowice 2017.

[3](#) Zob. teŹe autorki *Niepewne miejsce*, Katowice 2018.

[4](#) Zob. teŹe autorki *Modlitwa do trzeciej dziewicy*, Katowice 2017.

[5](#) Zob. teŹe autorki *Niepewne miejsce*, Katowice 2018.